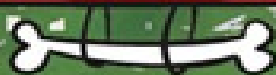


*kryminał pod pseem*



MARTA MATYSZCZAK



**ZBRODNIA**  
NAD   
**URWISKIEM**



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

## KRYMINAŁY POD PSEM

- ◆ *Tajemnicza śmierć Marianny Biel*
- ◆ *Zbrodnia nad urwiskiem*

MARTA MATYSZCZAK

ZBRODNIA  
NAD  
URWISKIEM



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

WROCLAW 2017

Projekt okładki  
ILONA GOSTYŃSKA-RYM KIEWICZ

Redakcja  
ANNA JACKOWSKA

Korekta  
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna  
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Polish edition © Publicat S.A., Marta Matyszcak MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.  
All rights reserved.

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5756-0



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# Spis treści

Dedykacja

\* \* \*

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Podziękowania

Przypisy

*Mojej Mamie – za wszystko!*

Autorka zaświadcza, że wszelkie podobieństwo książkowych postaci do osób rzeczywistych jest niezamierzone i przypadkowe. Przyznaje się też do dość dowolnego potraktowania topografii przepięknej irlandzkiej wyspy Inishmore.

*Dwaj najwięksi tyrani ziemi: przypadek i czas.*

Johann Gottfried Herder

*Przypadek jest najlepszym detektywem.*

Agatha Christie

*Erlendur wiedział, że przypadek to rzadko coś innego niż samo życie. Przypadki istnieją po to, by mieć ludzi lub sprawić im radość. Są niczym deszcz, który pada zarówno na niesprawiedliwych, jak i prawych. Mogą służyć dobru, mogą i złu. To one kształtują tak zwane ludzkie losy, w większym lub mniejszym stopniu. Kiełkują z niczego; niespodziewane, dziwne i niewyjaśnione.*

Arnaldur Indriðason, *Hipotermia*





## PROLOG

Klify wyrastały ponad ocean na wysokość stu metrów. Fale uderzały w skalne ściany, sięgając stóp mężczyzny stojącego na krawędzi urwiska, a potem wznosiły się jeszcze wyżej i chlustały mu w twarz mętną breją zalatującą wodorostami. Zalewały oczy. Sprawiały, że wciąż ociekający krwią nos szczypał. Moczyły ubranie pod przeciwdeszczową peleryną.

Z daleka jego chuda, wysoka sylwetka wyglądała jak uginające się w porywach wichru drzewko, którego nie utrzymają korzenie. On jednak tkwił w miejscu. Wciąż miał przed oczami ten obraz.

Gdzieś pod nim Atlantyk huczał, zmierzwiony bałwanami. Mężczyzna jeszcze raz ostrożnie zbliżył się do skraju przepaści. Położył się na skale. Przywarł do śliskich, poprzetykanych kępami trawy kamieni. Jego ciałem wstrząsały drgawki. Spojrzał w dół. Wyciągniętym ramieniem osłaniał się przed atakami spienionej wody.

Strzępy czerwonej tkaniny ciągle zwisały z poszarpanych skał. Fale nie zdążyły ich jeszcze pochłonąć. To była kurtka, jakich wiele. Mogła należeć do kogokolwiek. On jednak nie wierzył w zbiegi okoliczności. Spojrzał na szalejący w dole żywioł. Sunąc na czworakach, wycofał się na bezpieczną odległość. Wstał. Popychany przez dmący w plecy wiatr, pobiegł w głąb lądu.

Spóźnił się. I nie było już nadziei.

# Rozdział 1

*May you have the hindsight to know where you've been,  
the foresight to know where you are going,  
and the insight to know when you have gone too far<sup>[1]</sup>.*

*Obyś wiedział, skąd przybywasz,  
przewidział, dokąd zmierzasz,  
i miał świadomość tego, że poszedłeś za daleko.*

Wsadziłem mordę między metalowe pręty furtki i gapiłem się na świeżo wytynkowaną willę. Klinkierek, żwirek, iglaczki, czyli za wysokie progi na me skromne łapy. Mnie bliżej było do familoka z osmolonej węglowym pyłem cegły. Takiego, w jakim mieszkałem z moim panem.

Wyżej wymieniony przyciskał właśnie po raz trzeci guzik domofonu i psioczył pod nosem. Wulgaryzmami się brzydzę, więc starałem się nie podsłuchiwać. Ale i tak dotarły do mnie strzępy o starym dziadzie, który nas pewnie zrobił na cacy.

Wolałbym, żeby potencjalny klient nie wystawił nas do tego, przenikliwego skądinąd, styczniowego wiatru, bo naprawdę potrzebowaliśmy zlecenia. Gwoli ścisłości – Solański potrzebował. Przecież to nie ja tu robiłem za właściciela agencji detektywistycznej Solan. Ja mu tylko łaskawie pomagałem. Choć nie wiem po co, bo i tak nie spotykałem się z wyrazami wdzięczności.

Rejonu Chorzowa, w którym się znaleźliśmy, moje piękne oczy dotąd

nie widziały. Z ulicy Opolskiej, gdzie znajdowało się schronisko dla zwierząt, w którym to spędziłem gros mej dekady życia, do Roosevelta był kawał drogi. Parady Kundelków ze schronu, prowadzone przez wolontariuszy, nie docierały do tych domków jednorodzinnych z ogródkami w cieniu starych drzew owocowych. Solański też pewnie z własnej woli nie wybrałby się tu na przechadzkę. Ale w naszej lodowce nie sposób już było znaleźć nawet lodu. Naprawdę.

W zaistniałej sytuacji telefon od Czesława Koszyckiego spadł nam z nieba. A Solański spadł z fotela, w którym zadekował się po wyjeździe naszej przyjaciółki Róży Kwiatkowskiej i pił. Wystraszył się brzęku komórki. Pewnie by jej nie odebrał, gdybym zawczasu nie doskoczył do leżącego na podłodze aparatu i nie postawił łapy na zielonej słuchawce.

Chciał nie chciał, Szymon przytknął zdezelowaną nokię do ucha.

– Detektyw Solański? – zaskrzeczał Koszycki. Wyraźnie słyszałem każde jego słowo.

– Szymon Solański – potwierdził mój pan.

– Czytałem o panu w „Chorzowskich Nowinach” – wyjaśnił Koszycki.

– Dorwał pan morderczynię tej aktorki.

– No i co? – zapytał Szymon.

Peany pochwalne pod adresem Solańskiego rozbrzmiewały w mediach jeszcze długo po tym, jak rozwiązaliśmy sprawę zabójstwa naszej sąsiadki, niegdysiejszej gwiazdy Teatru Uciecha, Marianny Biel. Swoją drogą, ci żurnaliści bez szkoły i krztyny talentu o moim udziale w akcji nie pisnęli ani słowem.

Sława zrobiła swoje. Komórka Solańskiego brzędoliła non stop, a klienci walili do nas drzwiami i oknami. Wszyscy chcieli wynająć tego utalentowanego, a nawet na swój sposób przystojnego (co wbrew pozorom nie było bez znaczenia dla żon zbierających dowody kompromitujące niewiernych mężów) detektywa.

Tyle że ów detektyw siedział i chlał. W nosie miał zlecenia, które mogłyby podratować nasze finanse. Wpadł w stupor, bo Róża wyjechała. Nie chciała nawet powiedzieć, dokąd i na jak długo. Tak, to Solański jej nie zauważał, ale gdy nagle Kwiatkowskiej zabrakło, to się załamał chłopina. Faceta nie zrozumiesz.

– Czego pan chcesz? – warknął Szymon do telefonu.

– Odnajdzie pan moją wnuczkę. Cena nie gra roli – rzekł mężczyzna.

Solański o dziwo zgodził się spotkać z Koszyckim. Starszy pan go zaintrygował. A może po prostu Szymon poczuł wyrzuty sumienia na widok mojej michy pełnej badziewnych kulek z dyskontu.

Staliśmy teraz przed furtką, a nogi nam zamarzały. Solańskiemu tylko dwie, za to obute w przemoczone trampki. Chciałem go zapytać, kto w styczniu nosi trampki, ale moje trzy kończyły plus kikut tylnej lewej łapy wcale nie były w lepszej sytuacji. Nie miałem na sobie nawet tanich psich kaloszków na rzepy, które można zamówić na Allegro wprost z Hongkongu. Wiem, bo mój kolega pinczerek takie dostał. A ten kutwa Solański najwyraźniej był zdania, że skoro jestem psem, to mogę pomykać na bosaka.

Szymon już chciał zawracać i wsiadać do naszej przerdzewiałej tu i ówdzie skody, gdy zobaczyliśmy falującą w kuchennym oknie firankę. Zza firanki wystawała głowa. A obok głowy pobłyskiwał metal. Solański raz jeszcze wsparł się na domofonie. Głowa zniknęła nam z widoku. Z głośnika zachrobotać.

– Ktoś pan? – Usłyszeliśmy męski głos.

– Solański. Byliśmy umówieni. – Szymon zgrzytnął zębami.

– Jesteś pan sam?

– Nie, z kolędą – rzekł Solański. – Otwiera pan czy nie?

– I po co te nerwy?

Koszycki nacisnął przycisk uwalniający zamontowany w furtce zamek. Przeszliśmy zwirową ścieżką wzdłuż ogrodzenia dzielącego nas od,

sądząc po geometrycznie przystrzyżonych krzaczkach, ogrodu zaprojektowanego przez architekta krajobrazu. Wspięliśmy się po kamiennych schodach zakończonych podestem, nad którym właśnie zamigotała lampka. Szczęknięty zasuw kolejno otwieranych zamków. Pancerne drzwi zaskrzypiały, a w ich progu stanął dziadek. Na pierwszy rzut oka miał chyba ze sto lat. Na drugi – jeszcze więcej. Gapił się na nas podejrzliwie, a pod pachą ścisnął flintę.

– Legitymację okaże – zażądał i wbił rozwodniony wzrok w Solańskiego.

Musiał przy tym porządnie zadrzeć głowę, bo sięgał detektywowi do klatki piersiowej.

Wyglądał jak spod igły. Jego elegancja uwydatniała się szczególnie w zestawieniu z Solańskim, który nigdy nie rezygnował z poszarzałych T-shirtów, spranych dżinsów i znoszonej kurtki moro.

Na Czesławie Koszyckim granatowy garnitur leżał prawie idealnie. Jedynie nogawki spodni ciągnęły się nieco po podłodze, a dłonie starszego pana chowały się głęboko w rękawach jego marynarki. Koszycki skurczył się z wiekiem. A ubranie pozostawało żywą pamiątką dawnej krzepy. Całości dopełniała wielka bordowa mucha stercząca na tle śnieżnobiałej koszuli. Resztki siwych włosów przylgnęły, równo ulizane, do łysiny Koszyckiego. Przyjrzałem się odbiciu swego pyska w wyglancowanych trzewikach Czesława. Z ulgą uznałem, że sam prezentuję się całkiem, całkiem.

– Gliną byłem dawno i nieprawda. – Szymon tracił cierpliwość.

– Co proszę? – Koszycki nachylił się w naszą stronę. – Jaki ładny piesek! – Dopiero teraz mnie zauważył. Z trudem zgiął się wpół, żeby mnie pogłaskać. Wywoływałem ten naturalny odruch w każdym rozsądnym homo sapiens. – Gucio! – Środkowym palcem przytknął okulary do nosa i odczytał moje imię z plakietki, którą nosiłem przy szyi. Zerknął na Solańskiego już z nieco mniejszą wrogością. – Na pewno

pan to pan? – zapytał.

– Wejdziemy? – Solański rozgościłby się sam, bez pytania, ale powstrzymywała go ta strzelba.

– Tylko niczego nie dotyka! – zastrzegł Koszycki i wpuścił nas do środka.

Z zewnątrz hacjenda Koszyckiego prezentowała się niezgorzej, ale już o jej czeluście Czesiulek nie zadbał. Zajeżdżało tu stęchlizną, niepranymi skarpetami i starym człowiekiem. Nie to, żebym sam pachniał fiołkami, ale tu naprawdę nie zaszkodziłby mały przeciąg. Ściany przedpokoju pokryto zszarzałą boazerią, a na wieszaku w równym rzędku wisały klucze. Było ich tak dużo, że pogubiłem się w liczeniu. A przecież umiem rachować aż do pięciu.

– Przejdźmy do salonu – zaordynował Koszycki i zdjął jeden z kluczy.

Począł gmerać w zamku jednych z czworga drzwi w korytarzu. Pokryte plamami wątrobowymi ręce staruszka się trzęsły. Przyciskana łokciem do boku strzelba kolebała się od prawa do lewa. Pomyślałem, że dziadek zaraz nas tu wszystkich, na czele z samym sobą, powybija jak te kaczory, ale Koszycki wreszcie zdołał uchylić wrota do reprezentacyjnego pomieszczenia.

– Wejść! – zarządził, a naszym oczom ukazało się istne muzeum.

Liczba nagromadzonych tu mebli na centymetr kwadratowy była na głowę zbiory magazynu Ikei. Wszystko, począwszy od komody, przez wielki okrągły stół, krzesła, otomanę, szereg innych gratów, których nazwy już dawno wywalono na zbity pysk ze słowników języka polskiego, a skończywszy na żyrandolu, musiało pochodzić z początków minionego wieku. Ciemnobrązowe blaty były przykryte kremowymi obrusami robionymi na szydełku. Za szybą kredensu stał niekompletny serwis kawowy. A zza niego, na wyściełanej zielonym sukniem tablicy, pobłyskiwały medale w kształcie krzyży na czerwono-białych tasiemkach. Ściany obwieszono jakimiś – na moje oko – bohomazami

w złożonych ramach oraz całym szeregiem czarno-białych zdjęć przedstawiających dziwacznie wyglądających ludzi.

Solański wgapił się właśnie w fotografię, na której stało na baczność dwóch umundurowanych żołnierzy. Każdy z nich nosił miniwąsik *à la* wódz Trzeciej Rzeszy i krótko przystrzyżone włosy. A miny mieli takie, jakby sobie właśnie w chwili uwalniania migawki wspomniane już mundury przez nieuwagę ofajdali. Pewno bali się iść na wojnę. W przyptywie dobrej woli i przy dużym natężeniu zmysłów w jednym z mężczyzn można było rozpoznać Czesława Koszyckiego w wersji sprzed kilkudziesięciu lat. W sumie ten drugi też mi się wydał podobny do naszego klienta. Mieli takie same odstające uszy, wielkie kinole przypominające stok narciarski, gęste brwi i wysokie czoła. Ale co ja tam widziałem i wiedziałem. Przecież ten weterynaryjny oprawca Dłutko dawno już wyróżzył mi z fusów starczą zaćmę, niedoczynność tarczycy i powiększoną śledzionę.

– Wezwałem pana do siebie – zaczął Koszycki i wyjrzał ostrożnie zza firanki. Zapisał coś obgryzionym i zawczasu poślinionym ołówkiem w szkolnym zeszycie, który leżał na parapecie. Zauważyłem, że okno salonu wychodzi na ogród, który najwyraźniej nie budził zaufania Czesława.

– Nigdzie mnie pan nie wezwał – przerwał mu Solański. – Proszę odłożyć tę giwerę. Wtedy pogadamy.

Koszycki wsparł broń na specjalnym stojaku, który tkwił przy oknie.

– Sąsiadka trzyma kury – powiedział, widząc zdziwioną minę Szymona. – Wypuszcza je codziennie do ogrodu. Punkt piętnasta. Nawet zimą. Pan patrzy. Mam tu rejestr. – Wskazał na zeszyt. – A one przełazą przez szparę w płocie do mnie. I mi dziobią po rabatkach – dodał, głaszcząc strzelbę.

– Poluje pan na drób? – Solański uniósł brew.

– Gdzieżby! – Koszycki się obruszył. – Na sąsiadkę. Herbaty? –



zapropnował.

Solański wolałby od razu przejść do rzeczy, ale wiedział, że tej partii nie wygra. Jeśli chce dostać zlecenie, musi wyłtopać jeszcze niejedną lurę. Zresztą Czesław, nie czekając na odpowiedź, zniknął już w przedpokoju, gdzie pobrzękiwał kluczami.

– Zamykam wszystko – wydarł się stamtąd, jakbyśmy znajdowali się w sąsiednim województwie, a nie w pokoju obok – przed rabusiami. Odwieszam klucze na haczyki. I nawet jak się taki włamię do domu, niech sobie szuka odpowiedniego! – Zacharczał w konwulsyjnym śmiechu.

Podczas gdy Koszycki trząsał w kuchni porcelaną i nalewał wody do czajnika, my mogliśmy rozejrzeć się swobodniej po jego włościach. Pośród tych wszystkich reliktyw czasów dawno minionych dało się zauważyć dowody na to, że współczesność wdarła się podstępem do willi przy Roosevelta. Na regale stał rząd polskich kryminałów. Na komodzie zawieruszył się w połowie opróżniony flakonik damskich perfum. Solański zdjął z buteleczki zakrętkę i przytknął ją sobie do nosa. Doleciał do mnie zapach piżma i lilii. Szymon odstawił perfumy na miejsce. Przesunął wzrokiem dalej, co i ja uczyniłem.

Na stoliku kawowym stało zdjęcie, z którego uśmiechała się do nas młoda kobieta. Miała krótkie ciemne włosy obcięte po chłopięcemu. Nosiła czerwoną kurtkę przeciwdeszczową. Solański podniósł zdjęcie i spojrzał dziewczynie w oczy. Trudno było określić jej wiek. Pewnie prosili ją w monopolowym o dowód, choć równie dobrze mogła jej już stuknąć trzydziestka.

– To Kasia. Moja wnuczka. – Koszycki zmaterializował się za naszymi plecami. W rozdygotanych rękach trzymał tacę wypełnioną filiżankami, dzbaneczkami i innymi pobrzękującymi skarbami.

Staruszek z ulgą odłożył zastawę na stół. Poczęstował nas ciasteczkami, które wyglądały i smakowały, jakby były domowej

produkcji. I opowiedział, co skłoniło go do szukania pomocy w agencji detektywistycznej Solan.

Katarzyna Walasek była jedyną, ukochaną wnuczką Czesława. W zasadzie traktował ją jak córkę. Ponieważ rodzice dziewczynki nie żyli, od małego wychowywał ją dziadek. Ostatnimi czasy Kasia na powrót z nim zamieszkała, bo straciła pracę i nie stać jej było na wynajmowanie mieszkania w pojedynkę.

– A potem wyjechała do Irlandii. Na zmywak! – Koszycki z oburzenia walnął pięścią w stół, aż herbata chlapnęła z filiżanki na dziergany obrus. – Wszystko, panie, przez ten rząd. Przed wojną to by było nie do pomyślenia, żeby dziewczyna z dobrego domu, wykształcona, u obcych służyła! – pieklił się. – Nie o taką Polskę walczyłem!

– Kiedy to było? – Solański otworzył powycierany na brzegach notes, który wydobył z za pazuchy.

Dowiedzieliśmy się, że Walasek wyjechała na Zieloną Wyspę trzy miesiące temu. Spakowała się do jednej walizki, ucałowała dziadka na do widzenia i wsiadła na pokład tanich linii lotniczych.

– Czyli od października nie miał pan żadnych wiadomości od wnuczki? – uściślił Solański.

– Gdzie tam! Od tygodnia – sprecyzował.

No to już widziałem minę Solańskiego. Wyrażała ona jasno i dobitnie, że Szymon trafił na wariata, i ma tego świadomość. Czesław musiał się pokapować, że strzelił jakąś gafę, bo szybko wyjaśnił, w czym rzecz.

– Zawsze dzwoniła co drugi dzień. Jak w zeszłym roku była w Anglii na praktykach – tak samo. A teraz cisza.

– Mimo wszystko... – Solański uniósł wysoko swoje krzaczaste brwi i zmierzwił czarną czuprynę.

– Pan nie zna Kasi – stwierdził oczywiste Koszycki. – Musiało się jej coś przytrafić. Coś strasznego – dodał i skurczył się jeszcze bardziej. Wyglądał jak żółw wycofujący się w bezpieczne czeluście swojej

skorupy.

Pewnie byśmy wrócili do naszego familoka, żeby dalej wbijać zęby w ścianę w celu zaspokojenia głodu, gdyby Koszycki nie przedstawił mocnych argumentów.

– Zapłacę tyle. – Położył przed Szymonem kartkę, na której kaligraficznym pismem zdradził stawkę. – Plus koszty podróży, zakwaterowania i czego tam jeszcze będziesz pan potrzebował.

– Mam jechać do Irlandii?! – przeraził się Solański.

– Ciesz się pan, że nie przeniosła się na Spitsbergen – odparł Czesław z kamienną twarzą. – To jak będzie?

A było tak, że przyjęliśmy zlecenie przypieczętowane spisaniem umowy, uściskiem dłoni i wręczoną Solańskiemu grubą kopertą z zaliczką, którą mój pan wetknął niedbale do tylnej kieszeni spodni.

Po wąskich, pokrytych brunatną wykładziną schodach wdrapaliśmy się na piętro willi, by obejrzeć pokój Kasi. Było to dość bezosobowe pomieszczenie, na jakie można by się w sumie natknąć w podrzędnym hotelu. Pojedyncze łóżko, regał z książkami, stolik nocny, szafa i puste biurko.

– Nie miała komputera? – zdziwił się Solański.

– Tylko tego, jak mu tam, laptoka – wyjaśnił Koszycki. – Zabrała go ze sobą.

Zrobiliśmy odwrót w stronę wyjścia, ale Koszycki zatarasował nam drogę strzelbą, którą, nie wiedzieć po co, przytarabanił tu z dołu.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział i wszedł do pokoju znajdującego się naprzeciw schodów.

Zostawił otwarte drzwi, przez które ujrzeliśmy sypialnię. Wszystko tu było poukładane w kosteczkę. Podłoga załatwywała jakimś specyfikiem do pastowania. Firanki w oknie balkonowym najwyraźniej poszarzały ze starości i dymu dawno już niepalonych papierosów, ale wykrochmalono je na sztywno. Koszycki stanął przy meblościance

i otworzył barek. Pomyślałem, że chce sobie golnąć dla kurażu, a może i nas poczęstować, ale on zanurkował we wnętrzu mebla i wyjął z niego zwitek papierów.

– Znalazłem to u niej pod łóżkiem. – Wręczył plik Solańskiemu. – To może być ważne. – Starszemu panu zadrżał głos. – Informuj mnie pan na bieżąco – zażądał.

Kiedy Solański lokował mnie na tylnym siedzeniu skody, w oknie willi znów zobaczyłem poruszającą się firankę. Mógł to być efekt przeciągu, który wywołałiśmy naszą wizytą.



Solański siedział na wąskiej ławce w poczekalni u weterynarza. Przydeptywał smycz z uczepionym do niej, wyrywającym się zaciekle, Guciem. Otworzył przegródkę plecaka, w której tkwiły materiały wręczone mu przez Czesława Koszyckiego. Zdążył je już pobieżnie przejrzeć w domu. W poźółkłych kopertach znalazł listy datowane w prawym górnym rogu każdej z kartek. Wysyłano je od początku lat czterdziestych po lata osiemdziesiąte zeszłego wieku. Potem korespondencja się urywała.

Najbardziej zaintrygowały go znaczki. Były tam te z Romualdem Trauguttem, Tadeuszem Kościuszką i Henrykiem Dąbrowskim. Były takie z orłem pozbawionym korony, niektóre zaś przedstawiały podobiznę brytyjskiej królowej. Znalazł też znaczki radzieckie, a nawet irańskie. Jedno się nie zmieniało. Jako adresat i odbiorca naprzemiennie widnieli Czesław i Kamil Koszyccy.

Solański nie rozumiał, dlaczego jego klient wetknął mu stare listy, którymi przed laty wymieniał się z bratem. Część z nich, głównie ta z czasów wojny, w ogóle nie została wysłana. Nie było na nich żadnych stempli.

Koszycki nie chciał Szymonowi niczego tłumaczyć. Powiedział,

że wszystko jest w korespondencji. Zanim więc Solański miał wyruszyć w trasę do Irlandii, chciał jeszcze zerknąć na te przykurzone papiery. Przypuszczał, że nie mają nic wspólnego z rzekomo zaginioną Kasią. Spodziewał się też, że odbędzie podróż nadaremno. Kobieta zapewne zaszalała w jednym z pubów, poznała jakiegoś gacha i po prostu nie miała czasu, żeby wydzwaniać do dziadka. Najprawdopodobniej takiego wyjaśnienia udzieliłaby Koszyckiemu irlandzka Garda, gdyby ten zdecydował się zgłosić sprawę policji. Ale skoro klient płacił, detektyw nie zamierzał go zniechęcać.

– Pchełka, która się drapie. – Doktor Dłutko stanął w progu gabinetu i wywołał kolejną pacjentkę.

Łypnął na Solańskiego i wycofał się, by przepuścić damulkę prowadzącą na smyczy pudła obwiązanego różową obrozą.

Szymon wyciągnął ze stosu pierwszy z listów, które wcześniej ułożył w porządku chronologicznym. Przyciągnął do siebie próbującego staranować drzwi wyjściowe Gucia. Zaczął z trudem odcyfrowywać bazgraninę.

*Buzułuk, 23 sierpnia 1941 roku*

*Kochany Cześku!*

*Sikorski-Srajski, tyle Ci powiem, Braciszku. Traktuj nas tu jak ścierwa. Pies z kulawą nogą ma się lepiej na tym radzieckim zadupiu niż polski oficer. Pozwalam sobie na taką szczerłość i bezpośredniość, bo i nie zamierzam wysyłać do Ciebie tych listów. Na razie. Z pewnością Ruscy by je przechwycili. A wtedy sam wiesz, jak bym skończył. Piszę dla siebie. Żeby nie zwariować. Może kiedy będę już bezpieczny, gdzieś daleko stąd, prześlę Ci wszystkie te epistoły razem, w jednej paczce. A może wręczę Ci je osobiście? Bo przecież kiedyś wrócę do domu?*

*Pomaga mi poczucie humoru. Sam posłuchaj. Tak śpiewamy tym cholernym kacapom:*

Dziękuję wam za wszystko,  
Za dobre i za złe,  
Dziękuję za więzienie,  
W nich noce i dni.  
Dziękuję wam za łagry,  
Za konwój i za psy,  
Dziękuję wam za owies i wszy.  
A kiedy dziś amnestia jest,  
Dziękuję za łaskawy gest<sup>[2]</sup>.

*Rozpętała się niezła chryja, jak jeden z enkawudzistów usłyszał te częstochowskie rymy podczas naszego ostatniego przedstawienia lalkowego. Ta krzywa morda wparowała na scenę i chciała, żeby mu oddać tekst. Musiał interweniować sam Generał.*

*Przy zdrowych zmysłach pozwalają mi też pozostać wspomnienia. O naszym domu rodzinnym. O Mamie, Tatce i Tobie, kochany Cześku. Zawsze Cię podziwiałem. Mojego starszego Brata, takiego dorosłego, choć dzielą nas przecież zaledwie trzy wiosny. W ustach absolwenta (no dobra, niedoszęłego, ale za to winę ponosi przecież ta szuja Hitler, nie ja) Szkoły Podchorążych Piechoty zabrzmiałoby to pewnie jak świadectwo niedojrzałości, ale muszę Ci się przyznać, że w głębi duszy ja wciąż czuję się dzieckiem. Minęło przecież zaledwie parę lat, odkąd biegaliśmy razem po dębickich polach i psociliśmy.*

*Pamiętasz, jak w Twoje dziewiąte urodziny podprowadziłem nioskę z kurnika i poszedłem z nią do sklepu? Położyłem ją taką nastroszoną i gdaczącą na ladzie w spożywczaku Woźniakowej i chciałem ją wymienić na kilo cukierków. Stara Woźniakowa udawała, że traktuje mnie poważnie, ale aż jej się okryte*

*fartuchem brzuszysko trzęsło ze śmiechu. Kazała mi oddać Mamie kurę, ale cukierków też dołożyła na odchodne. Porządna z niej była babka. A potem wróciłem do domu z twarzą całą umazaną słodyczami, bo jednak nie mogłem się powstrzymać i zeżarłem Twój ode mnie niedoszły prezent.*

*Przyszedłem za późno. Matka już się zdążyła zorientować, że jej najlepsza kokoszka zniknęła. Już uderzyła w lament, odsądziła od czci i wiary okoliczne lisy. Nawet na Tatkę padły podejrzenia, że furtki nie domknął, obdarowując kwokę nienależną jej wolnością. Pamiętasz zdziwienie Mamy, gdy mnie na progu zobaczyła z brudną od czekolady gębą i tym nieboskim stworzeniem wyrywającym się spod kurtki?*

*I jak to zwykle bywało, oberwało się Tobie. Żeś mnie nie dopilnował. Zły pewnie przykład młodszemu bratu dałeś. I tak przeze mnie we własne urodziny manto Ci sprawiono. Ja byłem całkiem zadowolony, bo te cukierki jednak prima sort się okazały. Jeszcze teraz czuję w ustach ich smak. Rozpływająca się czekolada z nutką nugatu i orzech laskowy w środku. Kiedy łamię sobie zęby na kolejnej suchej pajdzie chleba, bo tym nas tu raczą, wyobrażam sobie, że to te cukierki. Wyobraźnia potrafi zdziałać cuda.*

*Mam nadzieję, żeś nigdy nie miał do mnie pretensji o te urodziny. Chciałem dobrze. Wyszło jak zawsze. Wydaje mi się, że to było w innym życiu. I pewnie mam rację.*

*Nic to, już niedługo wszystko się zmieni. Parę dni temu podjęto decyzję o tym, że tu, na wschodzie, powstanie nasza polska armia. A jej dowództwo objął generał Anders. Dopiero co wypuścili go z Łubianki. Stacjonuje w Kołtubance. Podobno już rozpoczął rekrutację do polskich oddziałów. Uformują się one też w Buzułuku i Tockoje. Mówią, że ma nas być aż trzydzieści tysięcy.*

*Tymczasem!*

*Tęsknię za Wami wszystkimi!*

*Wasz na zawsze  
Milek*



Róża Kwiatkowska stała za kasą odziana w koszulkę z napisem upokarzającym ją jeszcze bardziej niż przyciasne spodnie z rodzaju „mam wodę w piwnicy”, w które kazał jej się wbić przygłupi menedżer. „Ludzie w mojej kolejce są fajniejsi niż ci w kolejce obok” – głośiły odblaskowe literki na bujnej piersi Róży. Kwiatkowska najchętniej wyrznęłaby ich wszystkich, bez względu na to, w którym ogonku się ustawili. Z pewnością nie odwiódłby jej od czynu zabronionego i nagradzanego wieloletnim, jeśli nie dożywotnim więzieniem durny zapis w kodeksie karnym albo jakieś tam dyrdymały z Dekalogu. Na dokonanie zbiorowego mordy nie pozwalała jej duma.

Podjęła decyzję – może nie najmądrzejszą, może nie do końca przemyślaną, ale podyktowaną silnymi uczuciami skierowanymi przeciwko temu bęcwałowi Solańskiemu. No to teraz się doczekała. Teraz miała, co chciała. I z godnością musiała znosić konsekwencje własnych wymysłów.

Tkwiła w tej śmierdzącej starym olejem budzie i sprzedawała kotlety zrobione z jakichś przemielonych kartonów i odpadków radioaktywnych. No bo jaką inną substancję można przechowywać przez całe lata w zamrażalniku, a po usmażeniu pozostawić na kolejny rok, a toto nawet nie zmieni konsystencji?

Rarytasów w menu było więcej. Już ich Róża wszystkich spróbowała. Już odchorowała swoje. Teraz przynajmniej miała świadomość, że ten cały tłum stojący przed nią w kolejce też się prędzej czy później struje.

– Następny! – rozdarła się Kwiatkowska, poprawiając firmową



czapeczkę z daszkiem, która zsunęła jej się z włosów oplecionych obrzydliwą siateczką ochronną.

Stanąła przed nią baba o gabarytach podwojonej Róży, co wzbudziło podziw dziennikarki. No dobra, ściślej rzecz ujmując, byłej dziennikarki. Kwiatkowska porzuciła swój fach po ultimatum naczelnego. Stary powiedział, że albo Róża przejdzie na samozatrudnienie, albo z ich wieloletniej współpracy nici. Redakcji „Chorzowskich Nowin” nie było stać na etat dla niej. Różyczka wybrała drugie z proponowanych „albo” i wsiadła w samolot, uciekając przed zranionymi uczuciami. Z bełkotu wydobywającego się z ust sterczącej pod kasą baby Kwiatkowska wywnioskowała, że zamówienie dotyczy niejakiego BOGO. Tak w skrócie nazywano ofertę dwóch podwójnych kanapek w cenie jednej. *Buy one, get one free*, czy jak tam leciało w tym międzynarodowym fastfoodowym sloganie. Róża wstuknęła zamówienie i zamyśliła się nad swą niedolą.

Dziś rano znów odebrała telefon od matki. Rodzicielka nie po raz pierwszy groziła Róży wydziedziczeniem, ale i sugerowała, aby jej osobista córka zastanowiła się nad urzędową zmianą nazwiska, by nie przynosić wstydu rodzinie.

– Chcesz do końca życia przerzucać kartofle czy co ty tam robisz?! – zapytała, wcale niezainteresowana, czym w istocie zajmuje się Róża.

A Róża zajmowała się nie tylko obsługiwaniem zgrai nienażartych klientów, którzy wyglądali jej na opuszczających właśnie mury zakładu karnego, względnie psychiatrycznego. O, nie tylko! Róża myła też kible (a było co myć, zważywszy na jakość serwowanych tu potraw), szorowała podłogę, wcześniej wlewając do wiadra płyn o odpowiednim kolorze (czerwony do kafelków, fioletowy do naczyń, niebieski do cholera wie czego). Smażyła również frytki, parząc sobie przedramiona skwierczącym olejem, którego tu nie wymieniano w całości, tylko wciąż dolewano do smolistej brei nowego, żeby się

poziom płynu zgadzał w maszynie. Kleiła kanapki, wcale nie używając ochronnych rękawiczek i zupełnie nie wyrzucając do kosza składników, które przez nieuwagę spadły na podłogę. Róża oszczędnie, po krakowsku, ładowała je na powrót między połówki buły.

– Jak ja się tu znalazłam? – Po raz enty sama sobie zadała pytanie z gatunku egzystencjalnych, ignorując domagającą się dodatkowego keczupu babę.

Jak przez mgłę pamiętała całą tę żalosaną podróż. Kupiła bilet na samolot. Całkiem tani, bo kto by tam chciał gdzieś lecieć w wigilijny wieczór. Spakowała się i wybyła w nieznane.

Już na lotnisku w Pyrzowicach spotkała ją pierwsza niespodzianka. Oprócz niej na pokład boeinga wpakowała się zgraja facetów, na pierwszy rzut oka – murarzy. Odzianych, jak jeden mąż, w dresy z lampasami. Ich łyse czachy świeciły światłem odbitym. Żłopali browary z puszek i zgodnie siakali w rękawy czerwonymi nosami. Żeby się nie wyróżniać, Róża szybko skoczyła do wolnoctowego, w którym oprócz piwa miała nadzieję nabyć też kielnię – jako inwestycję w swój przyszły fach. Zapewniła sobie tym samym reklamę w postaci komunikatów wygłaszanych przez głośniki w hali lotniska – pasażerka Róża Kwiatkowska była uprzejmie proszona na pokład.

Róża golnęła sobie do dna na odwagę, co okazało się wielkim błędem. Bo nie dość, że jej się zrobiło w tym durnym samolocie duszno, to jeszcze chciało jej się sikać. Ale wołała już cierpieć, niż udać się do klaustrofobicznej toalety.

Stewardesie, nakłaniającej nachalnie pasażerów do zakupu napojów alkoholowych w proszku, kanapek za Bóg wie ile, perfum, losów i innego śmiecia, siedząca na skrajnym fotelu Róża wreszcie podstawiła nogę. Ubrana w coś na kształt nylonowego fartucha chuda glista wyłożyła się jak długa, burząc swój misternie upięty koczek. Dodatkowej satysfakcji dostarczył Kwiatkowskiej fakt, iż popychany

przez lalunię wózek odjechał w siną dal i zatrzymał się na drzwiach do kabiny pilotów, łupiąc w nie z impetem. W kabinie zawrzało. Samolotem zarzuciło. Wreszcie dało się słyszeć przerażony głos z megafonu.

– Czy to zamach? – dopytywał się pilot.

Stewardesa pozbierała swe patykowate ciało z podłogi. Spojrzała oskarżycielsko na Różę. Nie mogła jednak przedstawić jej oficjalnych zarzutów, gdyż klient nasz pan. Poza tym brakowało dowodów rzeczowych świadczących o winie pasażerki, z obojętnością wpatrującej się teraz w okrągłe okienko, za którym gówno, tak po prawdzie, było widać. Dziewczyna poszła więc uspokoić pilota i pozbierać rozsypane na ziemi zdrapki, dzięki którym pasażerowie, gdyby tylko je kupili, mogli zostać milionerami.

Wylądowali w środku nocy w jakimś szczekającym psimi dupami zakątku świata. Róża – na trzęsących się nogach, omiotana strugami deszczu, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach – udała się na przystanek. Stał na nim jeden jedyny żółto-granatowy autobus. Kwiatkowska wsiadła do niego, mając nadzieję, że pojedzie w odpowiednim kierunku. Zasnęła, zanim kierowca zdążył odpalić silnik.

Przebudziła się gwałtownie. Szofer stał nad nią i szarpał ją za rękaw. Wysiadła, przeszła za róg przeszklonego dworca i z ulgą dojrzała postój taksówek. Kazała się zawieźć do najbliższego hostelu. Taksówkarz był niezwykle rozmowny, jednak mógł sobie co najwyżej pogadać sam ze sobą, bo Róża ni w ząb nie przyswajała jego gaworzenia. Tyle dobrze, że okazał się uczciwym człowiekiem, kiedy znajomość języków obcych wystawiła Różę na próbę i dziennikarka zapłaciła za kurs trzydzieści zamiast wymaganych trzynastu jednostek monetarnych. Mężczyzna oddał Kwiatkowskiej resztę i życzył jej wesołych świąt.

W hostelu nie było lepiej. Za ladą recepcji zastała rodaka. Ten przeszedł na polski, z góry ucinając żałosne próby wszelkich wyjaśnień

z rozmówkami w dłoni. Chłopak zagryzł wilcze zęby na ołówku, poprzerzucił strony książki meldunkowej, po czym ruszył wąskim korytarzem, każąc Kwiatkowskiej pójść w swoje ślady.

Róża, w puchowej kurtce, sapała jak lokomotywa. Futrzana czapa zsuwała jej się na twarz. Trzy swetry nałożone na siebie w celu obejścia głupich limitów bagażu w tanich liniach lotniczych też nie poprawiały nastroju Kwiatkowskiej. Kazamaty, po których prowadził ją recepcjonista, ciągnęły się w nieskończoność. Hotelik ulokowano w starej kamieniczce, którą zdaniem Róży wybudowano z myślą o liliputach, względnie o urządzeniu tutaj przedszkola. Już dwa razy palnęła się w czachę, bo przez tę cholerną myckę nie zauważyła obniżenia sufitu.

– To tutaj – rzekł krajan.

Wręczył Róży magnetyczną kartę i ulotnił się czym prędzej, by oglądać pirackie filmy pornograficzne na służbowym komputerze. Kwiatkowska zdążyła się dobrze przyjrzeć jego „pracy”. Gdy stanęła w progu hostelu, nadaremno próbowała zwrócić na siebie uwagę jegomością zaopatrzonego w słuchawki wielkości talerzy, z których sączyły mu się do uszu dzikie jęki cycatyh panienek z ekranu.

Róża weszła do zaciemnionego pokoju. Nie zapalając światła, by nikogo nie obudzić, próbowała zorientować się w sytuacji. W kiskowatym pomieszczeniu upchnięto cztery piętrowe łóżka, z których dochodziło zbiorowe chrapanie. Na ślepo wymacała wolną, jak jej się zdawało, górną pryczę. Wygrzebała z walizki ciuchy na przebranie i kosmetyczkę, po czym udała się do łazienki. Wróciła, zadowolona z otaczającej ją ciemności, bo też nie życzyłaby ani sobie, ani nikomu innemu, by ją oglądał w barchanowych gaciach i bluzie rozmiarów namiotu, które stosowała w charakterze piżamy. Po chwiejnej drabince wgramoliła się na materac i ułożyła na wznak. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Na cholere mi to było? – załkała, przełykając rosnącą w gardle gulę.

Szybko jednak zaprzestała lamentów, bo drzwi skrzyknęły, a do pokoju weszły jakieś dwie dziewczyny. Róża zamarta. Jedna z przybyłych, nie zapalając światła, pomacała miejsce obok Róży i odskoczyła w przerażeniu.

– Co, do cholery?! – wymamrotała scenicznym szeptem do swej towarzyszki. – Ktoś śpi na moim łóżku!

Tyle to Róża zrozumiała z tego obcego narzecza. I podjęła decyzję. Będzie udawać martwą! Nie ma siły, żeby te dwie wysiudały ją z jej wyra. Poprzysięgła też sobie, że w akcie zemsty na niedorobionym recepcjoniście, który z beztroską wpakował ją w tę kabałę, zostawi komentarz na TripAdvisorze, sugerujący właścicielowi przybytku zastosowanie blokady Internetu na służbowych pecetach.

– Ej! – Róża usłyszała tuż przy prawym uchu.

Namolna dziewczucha pociągnęła ją za rękaw bluzy. Widać nie zamierzała odpuszczać. Kwiatkowska wspięła się więc na wyżyny aktorstwa, charknęła, sapnęła, chrapnęła, niby to przez sen, i z jękiem odwróciła się twarzą do ściany, a tym samym zadem do tej upierdliwej. Nasłuchiwała. Jej zachowanie najwyraźniej wywołało konsternację pod pryczą.

– Chodźmy do mojego pokoju. – Ciszę przerwał szept drugiej dziewczyny.

Na Róży szczęście koleżanka nie oponowała. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Róża wywaliła oczy w słup i tak już została do bladego świtu, nie przymknąwszy powiek nawet na sekundę.

Następnego dnia Kwiatkowska wyruszyła w dalszą podróż. Miejsce docelowe upatrzyła sobie, jeżdżąc palcem po mapie jeszcze w Polsce. Uznała, że nie zaszkodzi, jeśli raz o jej życiu zdecyduje przypadek.

Wydawało jej się, że będzie tu uroczo. I może było, ale z pewnością nie w zimie, bo wichury, ulewy i temperatury w okolicach zera mogły

ucieszyć jedynie samobójców. Róża nie zważała jednak na pogodę. Było jej wszystko jedno, co się z nią stanie, byle tylko znaleźć się jak najdalej od Chorzowa, od swojej zapomnianej przez Boga ulicy 11 Listopada i przede wszystkim od Szymona Solańskiego. Tego kutafona, który złamał jej serce i nawet nie zauważył. Tęskniła jedynie za Guciem.

Posługując się dialektem Kalego, który chceć, Róża wynajęła obskurny pokój ze wspólną łazienką w domu z drzwiami wejściowymi w kolorze intensywnej czerwieni, w którym zamieszkiwała niezliczona liczba osób przeróżnego pochodzenia. Przynajmniej było w miarę tanio.

Ku własnemu bezbrzeżnemu zdziwieniu już trzeciego dnia pobytu na obcej ziemi Róża otrzymała pracę. I na nic zdało się przy zdobywaniu tejże wymachiwanie dyplomem ukończenia uczelni wyższej, potwierdzającym nabycie zacnego tytułu magistra. Ów świstek równie dobrze mogła sobie zużyć w miejscu, gdzie i monarcha chadzał piechotą. To inny czynnik przy zatrudnieniu Róży okazał się kluczowy. Wystarczyło, że Kwiatkowska z głupia frant weszła do miejscowego fast foodu, zwanego tutaj Super Burgerem, powiedziała dzień dobry i że się nazywa, jak się nazywa, a menedżer od razu pochwycił ją za rękaw i zaciągnął na zaplecze.

– Twój angielski jest znakomity! – oznajmił i przydzielił Róży stanowisko przy kasie.

Kwiatkowska w jednej chwili porzuciła ambicje. Szybko też zorientowała się, gdzie jest pies pogrzebany. Przy pracującej w kuchni bandzie neandertalczyków pochodzenia wschodnioeuropejskiego, którzy nawet w rodzimym języku nie potrafili się wysłowić, Róża mogła uchodzić za poliglotkę.

Szybko zakumplowała się z nowymi kolegami, bo też ci odkryli pasję, którą po robocie mogli dzielić z Różą. Szli mianowicie całą zgrają do sklepu, gdzie robili zakupy pobrzękujące w reklamówce przez drogę do skwerku upstrzonego ławeczkami. Dotarwszy na miejsce, dzielili się

po równo łupem i spożywali w zgodzie i przyjaźni napoje wysokoprocentowe.

Po męczących dniach w Super Burgerze, zakrapianych na dobitkę podczas wieczorów w parku, Róży nie przeszkadzali już nawet współlokatorzy z piekła rodem.

Kwiatkowską przywróciło do rzeczywistości beknięcie, na jakie pozwoliła sobie klientka. Róża rzuciła za oddalającą się babą trzema saszetkami keczupu. I stanęła twarzą w twarz z mężczyzną swoich marzeń.



– Gucio, który chce wyrobić paszport! – zawołał od progu ten zwyrodnialec Dłutko i spojrzał na mnie wymownie.

Solański schował do plecaka jakieś stare, podśmierdujące kurzem oraz stęchlizną papiery i pociągnął mnie za smycz. Że miałem na imię Gucio, tego nie dało się ukryć. Ale czy ja chciałem mieć paszport? A niby po co? Tu, w Chorzowie, było mi całkiem dobrze i wcale nie musiałem jechać do żadnej Irlandii, jeśli to miało się wiązać z wizytą u tego konowata. Wyżej wspomniany już przywdziewał gumowe rękawiczki, już grzebał w szufladzie w poszukiwaniu igły (to zawsze była igła!) i diamdziolił pod nosem.

– No tak, tak, to znowu pan. Pamiętam pana – przemawiał do Solańskiego, który stał z miną, jakby zeżarł cytrynę. Założył ręce na piersi i opierał się plecami o zamknięte mi przed nosem drzwi prowadzące na wolność. Nie słyszał chyba, że blokowanie wyjścia ewakuacyjnego jest karalne. – No to się znowu spotykamy. Co ja z wami mam! To dokąd się wybieracie, że paszport temu przystojnemu dżentelmenowi potrzebny? – Tu Dłutko wskazał na mnie, myśląc zapewne, że dam się przekupić pochlebstwami. Czy ja wyglądam na głupiego? Pewnie, że jestem ładny jak ta lala, czarny, z brązowymi

łapami, takimiż pyskiem, krawatką i podbrzuszem, uszami jak haczyki i karbowanym ogonem, ale to jeszcze nie powód, żeby próbować robić z tata wariata.

– Do Irlandii – rzekł Solański, choć pewnie wolałby nie wdawać się w dyskusję.

Rozmowny to ten mój pan nie był. A już z Dłutką w szczególności nie lubił prowadzić dialogów, bo weterynarz gadał jak najęty i jeszcze oczekiwał odpowiedzi. Ja tam miałem swoje zdanie i uważałem, że Solański jest po prostu o Dłutkę zazdrosny. Pewnie na ten słowotok lekarz wyrywał wszystkie panny. O, na przykład tę od pudła. A Szymonowi Bozia poskąpiła zdolności oratorskich. Mój pan był jak znalazł tylko dla tych niewiast, które gustowały w mrukach.

Solański i Dłutko nie musieli za to rywalizować, jeśli chodzi o urodę, bo wyglądali jak bracia bliźniacy. Długie z nich były i chude tyki ze zmierzwionymi czarnymi kłakami i wiecznym trzydniowym zarostem na mordach.

– To zaboli tylko trochę – oznajmił ten troglodyta i wbił mi w szyję igłę (a nie mówiłem?!) grubości wiertła udarowego. Zawyłem w niebiosa, jednak nie zostałem wysłuchany. – No tak, tak. Mikroczip już jest w środku – poinformował mnie Dłutko.

„Mikroczip? Ja przepraszam, czy dobrze usłyszałem?” – chciałem ich zapytać, ale z wrażenia aż odjęło mi mowę. Wychodziło na to, że wyglądałem im nie tylko na głupiego, ale i na Jasona Bourne’a. No bo komu innemu, jeśli nie superagentom i szpiegom, wszczepia się te małe ustrojstwa, dzięki którym można cię namierzyć, choćbyś się ukrył w najdalszym zakątku kuli ziemskiej? Po krótkim zastanowieniu nawet mi się ta sytuacja spodobała. Było nie było, lubiłem znajdować się w centrum wydarzeń.

– Twój paszport. – Dłutko podetknął mi pod nos otwartą książeczkę, do której wklejono zdjęcie jakiegoś kudłatego potwora. Zezował



na mnie zamglonym wzrokiem, a z pyska ciekła mu ślina. Chciałem temu niedouczonemu paramedykowi uświadomić, że się pomylił, bo to przecież nie była moja fotografia, ale dałem sobie spokój. A nuż uznałby za konieczne żgać mnie ponownie.

Wychodziłem z przychodni weterynaryjnej Psia Kostka w przeświadczeniu, że oto świat stanął przede mną otworem.



Solański walnął nokią o podłogę. Obudowa pękłaby z pewnością, gdyby już nie była posklejana taśmą. W sumie powinien się cieszyć. Jednak nowo odkryte szczęście jego rodziców doprowadzało go do furii. Nie dość, że Leokadia i Janusz Solańscy odmówili opieki nad Guciem podczas wyjazdu syna do Irlandii, to jeszcze udali się na wakacje. Na Teneryfę! I teraz właśnie zadzwonili do niego, by podzielić się swą radością. A Szymon w dupie miał ich uniesienia. Nie wspominając o wulkanach, oceanie i innych palmach, o których truli mu przez ostatni kwadrans, narażając się na koszty rozmowy międzynarodowej. Już wolał ten czas, gdy nie rozmawiali ze sobą, ale przynajmniej z każdym z osobna on mógł się dogadać. Teraz stanowili wspólny front wymierzony, nie wiedzieć dlaczego, przeciwko niemu.

– Synu, już czas najwyższy, byś ponownie się ustatkował – oznajmiła autorytatywnie Leokadia między relacją z wycieczki na klify Los Gigantes a zachwytemi nad wieczorną grą w bingo, którą oferowano im w hotelu. – Z Joanną stało się, co się stało. Tymczasem Róża jest całkiem miła – szczebiotała matka, będąca najwyraźniej na haju wakacyjnych lektur, które stanowiła sterta romansów autorstwa Janusza Leona Wiśniewskiego, taszczonych przez jej męża w bagażu podręcznym.

– Mama ma rację. – Z oddali usłyszał głos ojca, który całą rozmowę oczywiście podsłuchiwał.

– Róży nie ma! – wydarł się Szymon i przerwał połączenie w sposób

dość niekonwencjonalny.

Nie miał ochoty rozmawiać o Kwiatkowskiej z nikim, a w szczególności z tymi podstarzałymi Romeem i Julią. Tym bardziej nie życzył sobie dyskutować o swojej zmarłej żonie. Ten temat dla niego nigdy nie zostanie zamknięty. A rany nie ulegną zabliznieniu.

Ponieważ rodziciele zostawili go na lodzie, a zlecenie Koszyckiego, jeśli nie chciał zacząć żebrać w najbliższym przejściu podziemnym, przyjęć musiał, nie pozostawało mu nic innego, jak jechać na Zieloną Wyspę samochodem. Z psem na siedzeniu pasażera.

Jedyną osobą, z którą mógłby jeszcze zostawić Gucia, była Róża. Ale, jak już ustalił, zniknęła. Jej komórka milczała. Mieszkanie pozostawało zamknięte na głucho. W redakcji „Chorzowskich Nowin”, do której wstąpił w nadziei na wyjaśnienie sytuacji, usłyszał tylko, że Kwiatkowska już tam nie pracuje. Od rodziców Róży też nie mógł się niczego dowiedzieć, bo nawet nie wiedział, gdzie mieszkają.

Czesław Koszycki obiecał mu zwrot kosztów podróży, więc te dwa i pół tysiąca kilometrów, które miał do przebycia, aż tak bardzo go nie przerażało. Dopchnął plecak z kolana, zapiął psu obrożę i po raz ostatni zerknął na swoje cztery kąty. Redaktorzy pism wnętrzarskich mieliby tu używanie. Choć przypuszczał, że prędzej uciekliby z krzykiem, nie mogąc przyjąć do wiadomości, jak można żyć w takich warunkach. Pokój z kuchnią i mikrołazienką na drugim piętrze familoka w dzielnicy Chorzowa, w której nikt przy zdrowych zmysłach nie pokazywał się na ulicy po zmroku, może nie był szczytem marzeń. Ale Solański dawno już przestał marzyć. Starał się tylko przetrwać.

Przekręcił klucz w zamku i zszedł po wytartych drewnianych stopniach. Przed kamienicą stała jego szara skoda fabia wsparta na skrzynce elektrycznej, z którą Solański zderzył się, nie zdążywszy wyhamować w porę. Szymon wrzucił torbę na tylne siedzenie, a psa ulokował z przodu.

– Kaj ty, pieronie jedyn, sam ciśniesz? – usłyszał nad głową znajomy głos.

– By pani nie uwierzyła, pani Buchtowa – odparł Solański i pomachał do kobiety, która mimo mrozu rozsiadła się w oknie położonego na wysokim parterze mieszkania. Łokcie wsparła na przywleczonej z łóżka kołdrze. Obok niej na poduszce dumnie sterczał pinczerek.

Nie musiał prosić sąsiadki, by miała oko na jego włości. Po pierwsze, nie posiadał nic, czym mógłby się zainteresować ewentualny złodziej. Po drugie, Brygida Buchta tak czy siak lustrowała bliższą i dalszą okolicę przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. A odkąd w ich kamienicy doszło do morderstwa, jej uwagi nie mógł umknąć najmniejszy nawet ruch na poszarzałej, odrapanej i śmierdzącej rozgotowanym obiadem oraz moczem ulicy 11 Listopada.

Silnik odpalił z kasznięciem niewróżącym niczego dobrego, zważywszy na trzydniową trasę, jaką Solański miał odbyć. Szymon ruszył, odprowadzany czujnym okiem sąsiadki i jej psa.

Granicę przekroczył w Zgorzelcu. Z głośników Lady Pank zapewniało na cały regulator, że zawsze tam, gdzie ty. Wyłączył radio, międląc pod nosem stek przekleństw. Skierował się na Budziszyn i po czterech godzinach z okładem, odkąd wyruszył z domu, znalazł się w Dreźnie. Zatrzymał się, by rozprostować nogi, dać się wybiegać Guciovi i zerknąć z brzegów Łaby na zabytkową część miasta.

Jadąc dalej przez Lipsk, Nordhausen, Kassel i Dortmund do Essen, gdzie zarezerwował sobie nocleg, miał aż nadto czasu na rozmyślenia. Wolałby uniknąć wyciągania wniosków na swój własny temat, ale te same się pchały i nie przedstawiały sobą niczego dobrego. Solański nie miał żony ani dziecka, bo zginęli. A winę za ich śmierć ponosił tylko on. Nie miał przyjaciół, bo jedyna pokrewna mu dusza, czyli Róża, z niewiadomych przyczyn zniknęła z jego życia bez słowa. Rodziców wprawdzie miał, ale chwilowo nie sposób było się z nimi porozumieć.

Porządnej pracy zabrakło, także na własne życzenie. Mógł się za to poszczycić posadą licencjonowanego prywatnego detektywa, który w dodatku otrzymał intratne zlecenie.

Postanowił skupić się na pozytywach. Rozwiązać sprawę Walasek. Zgarnąć sporą sumkę. No i miał przecież psa. Najwierniejszego z towarzyszy, który łypał właśnie z fotela obok załzawionym okiem, jednocześnie próbując ukradkiem podprowadzić kanapkę z szynką z torby z prowiantem.

Solański zatrzymał się w przydrożnym motelu. Choć to nie on płacił, nie widział powodów, dla których miałby szastać kasą i wydawać ją na kosmicznie drogie noclegi. Poza tym w tych wszystkich eleganckich hotelach nie przyjmowali psów, a jeśli już, były to z pewnością noszące diamentowe obroże yorki, a nie rozczochrane mieszańce z azylu. Motel to było miejsce dla takich kundli jak Gucio. I on sam.

Spał snem bez snów. Na śniadanie zjadł miejscowy specjał w postaci pieczonej kiełbasy i sałatki ziemniaczanej. Tą pierwszą szczerze podzielił się z psem i ruszył w dalszą drogę. Przeciął Holandię.

Po dwóch godzinach odkąd wsiadł do samochodu, znalazł się w Antwerpii. Tu zatrzymał się, by zobaczyć chociaż rynek z renesansowym ratuszem i szesnastowiecznymi kamienicami. A potem co sił w nogach wiał z powrotem do samochodu, bo Gucio postanowił akurat w tych zabytkowych okolicznościach przyrody ulżyć swemu układowi wydalniczemu. Solańskiemu ani się śniło sprzątać po pupilu. Brzydził się. Umykał z kraju czekolady i frytek. Pruł przez Gandawę już bez postojów na zwiedzanie, jednocześnie poprzysięgając sobie, że jego noga więcej tu nie postanie. Zbyt wielką odczuwał obawę przed belgijskim monitoringiem ulicznym i grzywną wymierzaną w euro.

Przejechał przez Dunkierkę i po czterdziestu minutach znalazł się na przedmieściach Calais. Szybko przekonał się, że jedna rzecz widzieć coś w telewizji czy oglądać na zdjęciach w Internecie, inna – być

naocznym świadkiem wydarzeń, które nie powinny mieć miejsca we współczesnym świecie. Przez ufajdaną martwymi muchami i komarami szybę Solański oglądał szałas, namioty, pokryte blachą falistą kontenery i tysiące koczujących w nich ludzi. Jakiś ciemnoskóry mężczyzna w skórzanej kurtce klęczał na dachu domku przypominającego rudere z afrykańskich slumsów i wznosił pokłony do swojego boga. Opatulona chustą kobieta rozpałała ognisko. Na rozwieszonym między namiotami sznurze suszyło się pranie. Pobocze drogi tonęło w stertach śmieci. Pośród tego wszystkiego biegały zbyt cienko jak na tę porę roku ubrane dzieci. W błogosławieństwie nieświadomości wydawały radosne okrzyki.

W miarę gdy Szymon zbliżał się do portu, tłumy oblegające skraj jezdni gęstniały. Młodzi mężczyźni polowali na stojące w korku ciężarówki.

Solański włączył automatyczny zamek i przymknął okno, przez które do tej pory Gucio wystawiał pysk. W oddali dostrzegł na pace jednego z tirów pełzającą postać. Człowiek podkradł się na brzeg pojazdu i próbował otworzyć drzwi prowadzące do wnętrza samochodu. Szarpał się, aż wreszcie udało mu się uchylić wrota. Chwilę później przy ciężarówce pojawiło się pięciu innych mężczyzn, którzy po kilku susach zniknęli w czeluściach samochodu. Ten z góry zręcznym przewrotem znalazł się obok swoich towarzyszy. Drzwi się domknęły. Tir ruszył za sznurkiem innych aut w stronę wjazdu do tunelu pod kanałem La Manche.

Solański przetarł zaczerwienione oczy. Skręcił w stronę przeprawy promowej. Tu także nie brakowało uchodźców. Między czekającymi na swą kolej pojazdami raz po raz przejeżdżał patrol policji na skuterach i za pomocą gazu pieprzowego rozganiał co bardziej namolnych Afrykanów czy Azjatów. Ale ci powracali niezrażeni.

Jeden z nich rzucił się na maskę skody Solańskiego. Rozpłaszczył się

na karoserii. Patrzył detektywowi prosto w oczy błagalnym, załamionym od gazu wzrokiem. Szymon zacisnął ręce na kierownicy. Nie zdążył zrobić nic więcej. Policjant odziany w mundur i kask pochwycił mężczyznę za poły kurtki i szarpnięciem ściągnął go z samochodu. Uchodźca upadł na betonowe pobocze. Stoczył się parę metrów po trawiastym zboczu.

Solański zagryzł wargi. Z wściekłością walnął pięścią w klakson, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie rozumiał, co z tym pieprzonym światem było nie tak. Dlaczego zwykli ludzie musieli cierpieć, bo jednemu zachciało się ropy, innemu forsy, a kolejnemu władzy.

Pokazał celnikowi kupiony przez Internet bilet na prom. Wylegitymował tak siebie, jak i psa. Odpowiedział na serię pytań o cel podróży i zawartość bagażu. Wreszcie mógł wjechać na statek.

Przeprawa trwała niecałe dwie godziny. Wyszedł na górny pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Bryza osiadała mu na twarzy lodowatymi kroplami. Na horyzoncie bieleły się klify Dover.

Wjechał na brytyjską ziemię. I o mało od razu nie zakończył swojej wyprawy. Był już tak zmęczony po wielogodzinnej jeździe i wytracony z równowagi widokami z francuskiego wybrzeża, że zupełnie zapomniał o drobnym szczególe, zwanym ruchem lewostronnym. Z rozpędu wjechał na prawy pas i tylko cudem uniknął czołowego zderzenia z vanem na polskich zresztą blachach. O tym, że pojazd należał do rodaka, świadczyły nie tylko tablice rejestracyjne, ale i zachowanie kierowcy. Ten, zobaczywszy wyczyny Solańskiego, począł jednocześnie walić się pięścią w czoło, trąbić jak na pożar oraz niewątpliwie zapluwać sobie szybę wyzwiskami skierowanymi w stronę matki Szymona. Detektyw pomyślał, że Anglik pewnie by się zatrzymał, przeprosił, a na koniec poczęstował herbatą.

Solański przejechał Ashford i Maidstone, minął obwodnicą Londyn, potem Oksford, by po trzech godzinach dotrzeć do miejscowości

Warwick pod Birmingham. Zadekował się na nocleg w B&B, które – gdyby stawiać na całkowitą szczerłość – bardziej przypominało mu stajnię niż pokoje gościnne. Może miało to związek z właścicielką, rodowitą na pierwszy rzut oka Angielką, która jako żywo przypominała mu dorodną klacz. Na szczęście na śniadanie podano nie tylko końską owsiankę, ale także tradycyjne angielskie specjały (jajka, kiełbaski, boczek, fasolkę, pomidory, pieczarki, pudding jasny i ciemny – wszystko smażone w głębokim tłuszczu), od których może i jęczała wątroba, ale przynajmniej dawały energię na resztę dnia.

Miał już naprawdę dosyć tej cholernej podróży. Żywił jednak nadzieję, że to jej ostatnia część. Wieczorem planował dotrzeć do celu. Kolana mu drętwiały, łydki chwytały skurcze, tyłek wrastał w siedzenie samochodu. Z kolei Gucio wydawał się zadowolony. Przez całą drogę to spał, to gapił się przez okno, jakby próbował zapamiętać, którądy do domu.

Solański nie chciał nawet myśleć o drodze powrotnej. Nie wyobrażał sobie tej katorgi ponownie, i to w odstępie kilku dni. Samolot jednak nie wchodził w rachubę. Gucio w życiu by mu nie wybaczył przejażdżki w luku bagażowym.

Po trzech godzinach opuszczali Wielką Brytanię na pokładzie promu odbijającego z portu w Holyhead w kierunku Zielonej Wyspy. Fale Morza Irlandzkiego uderzały wściekle w burty statku, gotując Solańskiemu niezbyt przyjazne powitanie w krainie whiskey i piwem płynącej. Detektyw chętnie by się już zresztą napił wyżej wspomnianych. Musiał jednak jeszcze przeciąć wszerz republikę, by dotrzeć do zachodniego brzegu, gdzie leżało podobno najpiękniejsze jej miasteczko.

Odkąd opuścił Anglię, minęło pięć i pół godziny. Wreszcie dotarł do Galway. Był chodzącym dowodem na istnienie żywych trupów. Czuł się jak przeciągnięty przez wyżymaczkę i wypluty do wypełnionego

guanem rowu.

Zaparkował byle gdzie. Szedł głównym deptakiem miasta w ścianie deszczu, z trudem odczytując z tabliczek zawieszonych na budynkach kolejne nazwy ulic. William Street przeszło w Shop Street, potem w Church Yard Street i High Street. Wreszcie dotarł do Quay Street. Mijał kamieniczki, których intensywne kolory rzedły w szarzyźnie ulewy i ciemnych chmur broniących dostępu do słońca. O tej porze sklepy dawno pozamykano. Przed pubami, których minął już po drodze kilka, stali nieliczni palacze, ćmiąc papierosy pod osłoną targanych wiatrem parasoli. Po prawej stronie wreszcie zauważył biały napis „Barnacles” na zielonym tle.

Solański wyglądał, jakby właśnie wyskoczył w ubraniu spod wodospadu Niagara. Pies również przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Bujna na co dzień sierść szczelnie okleiła jego tułów. Uszy położył po sobie. Wlókł się obrażony za swoim panem.

Recepcjonista nie zwrócił na nich uwagi. Wgapił się w komputer, a do uszu miał przytknięte monstrualne słuchawki. Solański przywalił w stojący na ladzie dzwonek do przywoływania personelu. Koleś ocknął się, zmieszał, poczerwieniał na twarzy. Przyjrzał się Szymonowi.

– Myślisz, że przed sezonem znajdziesz jakąś robotę? – wypalił po polsku i z dezaprobatą popatrzył na psa.

– Rezerwacja na Solański. – Detektyw opanował szczękościsk.

Odebrał kartę magnetyczną i zapewnił recepcjonistę, że sam trafi do właściwego pokoju. Błądził wąskimi korytarzami, jednak wolałby już przenocować na wykładzinie, niż wrócić i prosić rodaka o pomoc.

Wreszcie dotarł pod drzwi wynajętej jedyńki. Nie zdążył się wykąpać ani przebrać w suche rzeczy, bo zwyczajnie usnął, gdy tylko położył się na wąskim i twardym łożku. Zanim zupełnie odpłynął, poczuł jeszcze tylko, że przykleja się do niego mokra, śmierdząca psem sierść.



## Rozdział 2

*Nil aon tinteán mar do thinteán fein.*

*Nie ma większego ognia niż twój wewnętrzny ogień.*

Pies, który jeździł koleją, mógłby mi buty pucować, gdybym nimi dysponował. Ja wprawdzie popylałem naszą zramolałą skodą, a nie pociągiem, za to przez cały kontynent, a nie do jakiejś zapyziałej Marittimy. Na moje oko przemierzyliśmy z Solańskim kulę ziemską wkoło i z powrotem. Krajów odwiedziliśmy chyba z dwieście. Ludzi spotkaliśmy miliony. Żaglowcami nawet płynęliśmy po morzach i oceanach. Aż wreszcie zatrzymaliśmy się w kolorowym miasteczku, gdzie przy wjeździe stała tablica z dwiema nazwami – Galway i Gaillimh. Jedna była po angielsku, a druga w języku gaelickim. Ale z grubsza oznaczały to samo.

Z wojaży wyszliśmy ledwo żywi. W hostelu zasnąłem, zanim zdążyłem sobie przypomnieć, że jestem głodny. Do tego jeszcze zaliczyłem nadprogramowy prysznic, który zafundowało mi irlandzkie niebo, bo się aż ze wzruszenia poryczało na nasz widok. Zamierzałem w stosownym czasie przypomnieć Szymonowi, że coroczna kąpiel przedświąteczna jest odwołana z racji ablucji odczynionych na Zielonej Wyspie.

Z błęgiego snu o kotletach wybudził mnie Solański, podtykając mi pod nos parujące jeszcze paróweczki. Przyniósł je specjalnie dla mnie z hostelowej kuchni. Zjąłem dar i zabrałem Szymona na spacer.

Wyszliśmy z hotelu, skręciliśmy w prawo i doszliśmy do jakichś kamiennych murów, które podobno nazywały się Spanish Arch. Wybudowano toto nad samą rzeką, zwaną Corrib. Wszystkie te mądrości czerpałem z tabliczek informacyjnych zamontowanych tu i ówdzie z myślą o turystach. Woda najwyraźniej ciasno miała w swoim korycie, bo powylewała się z brzegów. Z nieba waliły krople deszczu w rozmiarze spasionych żab. Wichura chciała nas powalić na glebę, ale się nie daliśmy.

Zawróciliśmy do hostelu. W recepcji siedziała jakaś panienka. Solański spytał ją, o której wypływa prom na Inishmore, największą z trzech wysp Aran, które broniły Atlantykowi dostępu do zatoki Galway (tę informację wziąłem z kolei z ulotki podwędzonej w recepcji). Paniusia z trudem powstrzymała odruch, by popukać się w czoło, i upewniła się, czy Solański zwrócił uwagę na pogodę. Ślepy nie był, więc zauważył co i jak. Nie kumał tylko, jak się ma jedno do drugiego.

– Jest sztorm – rozjaśniła mroki jego niewiedzy recepcjonistka. – Regularne promy nie kursują. Wcale – uściśliła.

– A nieregularne? – chciał wiedzieć Solański.

Szymon nie zamierzał w nieskończoność czekać na poprawę aury. Chciał jak najszybciej odnaleźć Walasek i wrócić do domu.

Dziewucha przyjrzała się Szymonowi. I znowu się zaczęło, drodzy państwo. Apiać to samo. Pod tymi kapturami, ortalionami i innymi szmatami, którymi poowijał się Solański, dziewczyna dojrzała wątpliwą – jeśli mnie pytalibyście o zdanie – urodę mego pana. Ale dziewczę było zachwycone. Zmarznięty Solański spoglądał stalowym wzrokiem, a jej już w brzuchu motylki latały na widok tego patykowatego bruneta sięgającego metra dziewięćdziesięciu co najmniej.

Zgrzytnąłem zębami na tę jawną niesprawiedliwość. Nawet mi się trochę kamienia nazębnego odłamało z lewej dolnej czwórki. Nade mną, biednym kundelkiem ze schroniska, by się smarkula pochyliła, a nie

tylko *Mister Simon* to, *Mister Simon* tamto. Fakt, iż Solański całym sobą prezentował zupełny brak zainteresowania niewiastą, wcale nie odbierał tejże zapału. Przecież on pewnie tylko zgrywa takiego niedostępnego!

Pożytek z tego cyrku był taki, że recepcjonistka przekazała nam numer telefonu do swojego stryja, Patricka O'Connora.

– On pomoże – wyszeptła do ucha Solańskiego spreparowaną na tę okazję i rzekomo seksowną chrypką.

Wyszliśmy do przedsionka, żeby babsko nas nie podsłuchiwało. Na szczęście progi Barnacles przekroczyła właśnie wycieczka Amerykanów, którzy dzikim wrzaskiem poczęli domagać się łóżek z baldachimami, płatności w dolarach i hamburgerów na śniadanie. Mogliśmy więc wykonać telefon. Solański poszwargotał coś do słuchawki i znów skierował nasze kroki na siąpiące deszczem zewnątrz.

Pognaliśmy w górę Quay Street. Weszliśmy do The Kings Head, nęcącego wnętrzem wyłożonym drewnem, skórzanymi kanapami i zapachem whiskey. No bo, powiedzmy sobie szczerze, przyjechać do Irlandii i nie odwiedzić pubu? To już lepiej podjechać sobie tramwajem numer jedenaście z Rynku w Chorzowie do Chebia Pętli. Prędzej to można by nazwać udaną wycieczką.

W The Kings Head przywitano mnie z honorami. Łysy barman na mój widok przerwał nalewanie guinnessa. Wylazł zza swojej lady i przyszedł podać mi łapę. Dostałem miskę z wodą, a Solański jakieś ścieki woniejące myszami. Musiał to chyba wypić za karę, bo wcześniej podpadł łyseму.

– Guinnessa z sokiem z czarnej porzeczki poproszę. – Szymon złożył zamówienie.

Wyglądało na to, że barman go nie usłyszał. Albo nie rozumiał jego angielszczyzny, bo akcent miał bardziej amerykański niż Britney Spears.

- Z sokiem? – Ocknął się jednak. – Jesteś pewny?  
– Jestem pewny – potwierdził już całkiem niepewnie Solański. – A co?  
– zająknął się, przygnieciony krytycznym spojrzeniem mężczyzny.  
– Piwo z sokiem jest tylko dla kobiet, stary – oznajmił autorytatywnie barman. – Albo dla Brytyjczyków – dokończył z odrazą.

Solański, wyraźnie zmieszany, zmienił więc zamówienie na tchnące testosteronem whiskey i wreszcie mogliśmy zasiąść w kącie. Ten cały O'Connor wciąż się nie pojawiał. Widocznie cechowało go typowo irlandzkie podejście do życia: nie ma się co spieszyć. Czytałem o tych ich dziwactwach w przewodniku.

Detektyw otrzepał swój plecak z deszczówki i wygrzebał z niego te zalatujące antykwariatem papiery. Wskoczyłem mu na kolana, żeby też sobie poczytać. Albo przynajmniej sprawiać wrażenie, że interesują mnie meandry prowadzonego przez nas śledztwa.

Szymon wyjął z zielonkawej koperty list. Rozprostował go otwartą dłonią na drewnianym stoliku o porysowanej politurze. Zagłębiliśmy się w lekturze równego technicznego pisma.

*Dębica, 24 września 1941 roku*

*Drogi Milku!*

*Dawno nie mieliśmy od Ciebie żadnych wieści. Mam nadzieję, że po prostu nie masz możliwości pisać. Albo Ruscy przechwytyją Twoją korespondencję. A tak naprawdę chcę powiedzieć tylko tyle: wierzę, że żyjesz. I wrócisz do nas cało.*

*Matka się o Ciebie martwi. U niej w zasadzie po staremu. Charakter ma tak samo ciężki jak za czasów naszego dzieciństwa. Gorzej ze zdrowiem. Zapadła się w sobie. Wychudła. Postarzała się. Szczególnie odkąd o Tatce słuch zaginął. A teraz jeszcze Ty milczysz.*

*Zajrzałem ostatnio do niej na Lipową. Sądziłem, że się ucieszy na mój widok. Z trudem udało mi się zdobyć przepustkę na pół*

dnia. Tymczasem ona stanęła w progu kuchni, ubrana w ten swój fartuch. Wzięła się pod boki. Zmarszczyła twarz. I powiedziała, że myślała, że to jej Miluś kochany. A to tylko ja byłem.

Potem kawy zbożowej mi zaparzyła z zapasów, które w komórce zostały. Siedzieliśmy przy stole, tym rozkładanym, przy którym Tatko zawsze rano czytywał gazetę. Wspominaliśmy początki wojny. Naszą mobilizację. Matka doszła do wniosku, że to wszystko przez cholerny przypadek. Tak się wyraziła. Wojna przez przypadek. Bo podobno Hitler w dzieciństwie o mało się nie utopił zimą w rzece Inn. Ale go w porę zdołał wyłowić niejaki Johann Kuehberger. Pomyśl, co by było, gdyby nie zdążył interweniować. Ten Johann potem został duchownym. Ja bym się na jego miejscu powiesił. Dla przyzwoitości.

Według Matuli naszej to, że to Ty trafiłeś do Sowietów, a nie ja, to też przypadek. Bo przecież NKWD mogło pochwycić na Litwie mnie, a nie Ciebie. I teraz to Ty byś tu siedział i sączył z nią te fusy zalane letnią wodą. Rodzicielka nasza twierdzi, że jestem starszy i lepiej bym sobie poradził na wschodzie niż Ty. Ale ja tam w Ciebie wierzę, Kamilu. Zawsze wychodziłeś cało ze wszystkich drak, to i tym razem Ci się upiecze.

Z innych rzeczy – w sierpniu zostałem oficerem saperów. Teraz mogę się pomylić tylko raz.

Wysyłam ten list do Kołtubanki w nadziei, że Cię odnajdzie. Bądź twardy. Do zobaczenia w Polsce!

Czesław



Tak jak on na nią patrzył, to jeszcze nikt nigdy! Róża czuła się, jakby w nią piorun strzelił. Facet może nie wygrałby *Top Model*, czy jak się

tam nazywały te bzdurne programy telewizyjne, ale dla niej był Viva! Najpiękniejszy. Wysoki, chuderlawy, o czuprynie w kolorze marchewki i o niebieskich oczach. Błękitnych! A nie jakichś tam zszarzałych, jak u tego wypranego z życia Solańskiego. Świdrował ją tymi swoimi ślepiami, aż jej się wata z nóg robiła, a z mózgu galareta. Twarz miał usianą piegami. I choć na dworze lało jak głupie, a zimno było jak w *Przystanku Alaska*, to miał na sobie tylko koszulę. Żadnej kurtki czy bluzy. I co to była za koszula! Od munduru! A wiadomo, jak panny za mundurem. Róża w tym względzie wcale nie stanowiła wyjątku.

Liam, jak się przedstawił zaraz po tym, gdy zamówił dwa burgery, duże frytki z sosem curry i mleko, zakorkował kolejkę do kasy Kwiatkowskiej na dobre. Oparł się o ladę i zawiesił wzrok na imponującym biuście dziennikarki. Przemawiając do jej piersi, umówił się z Różą na randkę, która miała się odbyć następnego dnia w miejscowym pubie. Tak więc Róża siedziała teraz przy barze i sączyła zakupionego dla niej Jamesona, którym podlewała kawał tortu czekoladowego znikającego w jej przełyku w zastraszającym tempie. Obok tkwił rudzielec. Przysuwał się do Kwiatkowskiej nieznacznie, milimetr po milimetrze, aż wreszcie ich kolana splotły się pod blatem baru. Najpierw nieśmiało, niby przez przypadek. Potem już bez miejsca na pomyłkę, bez ogródek. To, co wydobywało się z różowiutkich ust Liama, Róża rozumiała piąte przez dziesiąte. Ale różnice kulturowe nie miały znaczenia. Liczył się tylko i wyłącznie fakt, iż Liam był Różą zachwycony. I tego nie ukrywał. Najbardziej przypadły mu do gustu – rzecz w Polsce niespotykana – jej bujne kształty. Co chwila, niby to niezamierzenie, dotykał jej powleczonego tłuszczem ramienia. A gdy już się rozzuchwalił, dzięki wysokoprocentowym trunkom, to nawet zaczął ją smyrać palcem wskazującym w trzeci podbródek.

Kwiatkowskiej aż tak nie dziwiły jego upodobania. Już nieraz na ulicach swej nowej obczyzny widziała zdumiewające pary: krusi

i delikatni mężczyźni z trudem obejmowali swoje partnerki, które spokojnie mogłyby stawać w szranki z Pudzianem. Najwyraźniej taka tu panowała moda. I Róża zamierzała wycisnąć z niej dla siebie, ile wlezie.

Kiedy więc Liam po godzinie znajomości zaproponował, by poszli do niego, Róża nie zastanawiała się ani chwili. Być może pomysł z wyjazdem wcale nie miał się okazać durnym wybrykiem chorej wyobraźni, jak określiła zaistniałą sytuację jej matka.



Za kierownicą siedział dziarski pięćdziesięciolatek i gwizdał przez zęby. Wybijał nogą rytm dudniącej z samochodowego radia piosenki Sharon Shannon. Z tego, co Solański zrozumiał, traktowała ona o dziewczynie pochodzącej z Galway, która mogła się poszczycić czarnymi włosami i niebieskimi oczami. W trakcie podrygiwania facet zamiast w pedał hamulca trafił stopą w gaz. Koła zabuksowały na śliskiej od ulewy jezdni. Przez tę jego muzykalność o mało nie wylądowali na przydrożnym murku, nieskalanym gramem zaprawy. Ogrodzenie było ułożone przez jakiegoś farmera ręcznie, z nazbieranych w polu kamieni.

Mijali właśnie wioskę o nazwie Barna. Po ich lewej stronie szalał ocean. Języki fal zalewały plażę o złotym piasku i próbowały sięgnąć drogi. Wichura starała się zepchnąć z jezdni należącego do O'Connora land rovera.

Pat, jak kazał się do siebie zwracać stryj recepcjonistki z Barnacles, okazał się człowiekiem wielu talentów. Zapijając whiskey guinnessem w The Kings Head, wyjaśnił Szymonowi, że na co dzień uprawia ziemniaki odmiany roosters, czyli te o czerwonej skórce, które podczas gotowania najmniej się rozpadają (jakby Solańskiego interesowały zagadki kulinarne). W sezonie letnim zaś, lub w razie nagłego najazdu turystów, Pat przekazywał gospodarstwo pod opiekę krewnych, a sam

przenosił się na Inishmore, by chętnych obwozić busikiem po najciekawszych atrakcjach wyspy. W wolnych chwilach z kolei O'Connor zajmował się rybołówstwem.

Ta ostatnia profesja Irlandczyka najbardziej zainteresowała Solańskiego. Wiązała się bowiem z tym, że Pat był posiadaczem niewielkiej łodzi motorowej. I właśnie za pomocą tejże mężczyzna miał zabrać Solańskiego i jego psa na największą z wysp Aran.

Szymon zostawił skodę tam, gdzie ją zaparkował. Wymeldował się z hostelu. Zabrał rzeczy i wsiadł do terenówki O'Connora. Próbował zignorować fakt, iż biorąc pod uwagę ilość napojów wyskokowych, którymi uraczył się w barze Irlandczyk, w żadnej mierze nie powinien on siadać za kółko. A już tym bardziej za ster. W czasie sztormu. Jednak gdy napomknął Patowi o swoich obawach, został wyśmiany.

– My tu w żyłach mamy whiskey, a nie krew – poinformował Szymona O'Connor i mrugnął porozumiewawczo. Albo po prostu wpadło mu coś do oka.

Początkowo Pat nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do propozycji rejsu. Lecz kiedy Solański przedstawił mu argumenty w postaci kilku banknotów euro o wysokich nominałach, O'Connor zmienił śpiewkę.

– Jeśli ktoś miałby dzisiaj szansę dopłynąć do Kilronan, to tylko ja – chciał się. – Ale jest odgórny zakaz wypływania. Może nas zgarnąć straż przybrzeżna i wlepić spory mandat.

– Biorę to na siebie – zapewnił go Szymon.

– To nie mój biznes. Ale po co cię tam niesie? – dopytywał się rybak.

– Masz rację – odparł Solański. – To nie twój biznes.

Szymon przetarł rękawem zaparowaną szybę. W oddali na wodach zatoki nie można było dostrzec żadnej łódki, promu czy jachtu. Tylko spienione bałwany targane przez wiatr. Po obu stronach jezdni rozciągały się pofalowane niczym wielbłądzie garby pola. Były pokryte



wiecznie zieloną trawą, która wyglądała tak, jakby ktoś wylał na nią cysternę plakatówki. Połacie poprzecinane kamiennymi murkami układały się w wielką kratownicę. W oddali pobłyskiwały szare dachy domostw. Wielkie luksusowe rezydencje stały tu obok krytych strzechą chat. Te ostatnie miały mury bielone wapnem i intensywnie kolorowe framugi okien oraz skrzydła drzwi.

Zniekształcone przez ulewę widoki przelatowały Solańskiemu przed oczami, a detektyw zastanawiał się, po jaką cholerę Czesław Koszycki wcisnął mu stertę starych listów. Wojenne wspomnienia może i były ciekawe, ale zdaniem Szymona zupełnie nieprzydatne w odnalezieniu wnuczki Koszyckiego.

Na sam koniec wizyty detektywa w domu przy Roosevelta dziadek wręczył mu jeszcze kaligraficznie wypisany na kartce wyrwanej z papeterii adres: Kelly's B&B, Meenabool, Inishmore, County Galway, Republic of Ireland. Brakowało tylko dopisku: Europa, Ziemia, Kosmos.

Szymon miał nadzieję, że odnajdzie w owym przybytku rzekomo zagubioną dziewczynę. Nakłoni młodą, by zadzwoniła do odchodzącego od zmysłów dziadka. I będzie mógł w spokoju, i z solidnie zasilanym kontem, wrócić do Chorzowa.

Wiedza komputerowa Solańskiego wystarczyła, żeby zlokalizować Kelly's B&B na internetowej mapie. Gdy przyglądał się zarysowi podłużnej niewielkiej wyspy o poszarpanej linii brzegowej, Gucio postanowił poinformować świat o zakończonej drzemce i rozszedł się na dobre. Pod wpływem niespodziewanego hałasu Szymonowi omsknęła się ręka na komputerowej myszce. Przez przypadek kliknął. Mapa zniknęła z ekranu przechodzonego laptopa, a w jej miejsce pojawiło się zdjęcie przedstawiające niewielki piętrowy dom z mansardowymi oknami i donicami kwitnących na różowo petunii, ustawionymi na zewnętrznych parapetach. Nad wejściem przymocowano drewniany szyld z napisem: „Kelly's Bed and Breakfast”

Solańskiego zadziwiła taka metamorfoza obrazu na monitorze. Nie wnikał jednak w jej przyczynę. Zdawał sobie sprawę ze swojej niedołążności w zetknięciu z nowoczesnymi technologiami. Szymon niekiedy miał wrażenie, że nawet Guccio lepiej by sobie poradził z tymi wszystkimi iPhone'ami, tabletami, MacBookami i im podobnymi niż on sam.

Ale teraz przynajmniej wiedział, za czym ma się rozglądać.

– Nie musisz zostawać w Kilronan – zagadał do O'Connora. – Zadzwoń po ciebie, jak będę chciał wracać.

Pat prychnął lekceważąco.

– W taką pogodę na wyspach może nie być zasięgu – oznajmił. – Poczekasz sobie.

O'Connor przyhamował z piskiem opon. Spory kawałek przed nimi na drogę zaczęły wyłazić owce. Całe stado owiec. Samochód zatrzymał się tuż przed futrzaną zgrają. Kłęby kremowej wełny mokły na deszczu. Mimo pracującego silnika, pozamykanych okien i świszczącego na zewnątrz wiatru dotarło do nich chóralne pobekiwanie. Zagłuszało je jedynie brzęczenie dzwoneczków przywieszonych u szyi niektórych zwierząt. Solański przetarł szybę rękawem kurtki i wybałuszył oczy.

– Czemu mają kolorowe zady? – wyrwało mu się.

– Właściciele je malują – wyjaśnił O'Connor. – Żeby było wiadomo, do kogo należą, jak się już rozleżą we wszystkie strony. Że na przykład te z niebieską dupą są Fahy'ego, a te z czerwoną Fitzgeralda.

Patrzyli na nieśpiesznie przekraczające jezdnię owce. Guccio siedział z przyklejonym do szyby nosem i powarkiwał. Zwierzęta ruszyły w stronę swojej zagrody. Droga była wolna.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby na wyspie zabrakło prądu. – O'Connor po chwili milczenia wrócił do poprzedniego tematu. – Mogło pozrywać kable.

Solański był pewny, że Irlandczyk przesadza. Postanowił, że nie

pozwoli się nastraszyć.

– Są przyzwyczajeni. I tak sieć elektryczną mają od niedawna – ciągnął gawędziarsko Pat.

– A wcześniej co? – Szymon jednak się zainteresował. – Grzali tyłki nad ogniskiem?

– Byś się zdziwił. – O'Connor się zaśmiał. – Długo stronili od cywilizacyjnych zdobyczy. Potem używali generatora na ropę. A kabel pociągnęli ze stałego lądu dopiero parę lat temu. Po co ty tam jedziesz? – powtórzył swoje.

Detektyw został jednak zwolniony od odpowiedzi, bo zatrzymali się właśnie na parkingu przy porcie w Rossaveal. Czy też Ros an Mhíl, jak było napisane na tabliczce przy wjeździe do wioski.

– Znalazłeś się, Polaczku, na Półwyspie Wieloryba – oznajmił Pat. – Albo, jak wolisz, Morskiego Potwora. – O'Connor wyszczerzył poźółkłe zęby i chuchnął Solańskiemu alkoholowym wyziewem prosto w twarz.

– Co ty pieprzysz? – rzucił Solański. Miał już serdecznie dosyć swojego przewodnika. Niestety, bez niego nie mógł się obejść.

– Chciałbym – zarechotał O'Connor i wywalił jęzor w obleśnym grymasie. – Jesteś w An Ghaeltacht. Tu się mówi po gaelicku. Ciekawe, jak się dogadasz na wyspie. – Skrzywił się. – Te cholery, nawet jak znają angielski, to nie bardzo chcą gadać.

– Gdzie masz łódź?

Solański naciągnął na głowę kaptur przeciwdeszczowej rybackiej peleryny, którą w odruchu miłosierdzia wcisnął mu O'Connor. Wyszedł z samochodu i od razu dostał w pysk strugą ulewy. Wciągnął głęboko powietrze i odetchnął mieszanką zapachów, na którą składała się woń wodorostów, ryb i soli. Z tylnego siedzenia wyjął plecak. Wypuścił psa. Rozejrzył się po nabrzeżu.

Na uboczu, przycumowane w niewielkiej zatoczce, kolebały się na rozszalałej wodzie dwa promy. Na ich pomalowanych na białą

burtach widniał granatowy napis: „Aran Island Ferries”. Pomarańczowe odbijacze zwieszane z pokładów grzmociły w molo, chroniąc dwupokładowe statki przed uszkodzeniem. Nieco w głębi ktoś wyciągnął na brzeg niewielki jacht. Solański pomyślał, że musiał kosztować fortunę.

– To tutaj – rzekł Pat ze swoim potwornym akcentem, do którego Solański powoli zaczynał się już przyzwyczajać.

Szymon nie wierzył własnym oczom. Przetarł je nawet dla pewności mokrą dłońią. Psa chyba też nie spodobało się to, co zobaczył, bo kręcił się niespokojnie z podkulonym ogonem wokół nóg Solańskiego i spoglądał na pana bojaźliwie.

– To? – Detektyw wyciągnął przed siebie palec wskazujący.

– Nie to, tylko „Erin”! – powiedział O’Connor. – Jak moja stara. A czego się spodziewałeś? „Queen Mary II”?

Na uderzających o brzeg falach podrygiwało coś, w stosunku do czego miano „skorupa” stanowiło komplement ponad miarę. Szerokie toto było na półtora metra, długie na trzy. Deski przegniły, a elementy metalowe przeżarła rdza. Za to z pokładu dumnie powiewały dwie flagi: zielono-biało-pomarańczowa oraz bordowo-biała z napisem „Gaillimh” i rysunkiem jakiegoś statku, który bez dwóch zdań wyglądał solidniej niż łódka O’Connora.

– Tym? – upewnił się Solański. – W ten sztorm?

– Nie chcesz, to nie. – Pat się naburmuszył. – Ale kasy ci nie zwrócę. – Zatarł ręce.

Chcąc nie chcąc, Solański wziął psa na ręce i ulokował się z nim na pokładzie.

– Włóż to. – O’Connor rzucił w stronę Szymona dwa pomarańczowe kapoki. – Jemu też. – Wskazał na Gucia.

Irlandczyk sam nie zhańbił się kamizelką ratunkową. Już za trzecim razem udało mu się odpalić kaszłący silnik. Zostawiając na powierzchni

wody tłuste plamy paliwa, ruszyli w głąb zatoki Galway.

Przez pierwsze pięć minut rejs wydawał się Solańskiemu nawet zabawny. Pat przekrzykiwał huk oceanu, opowiadając Szymonowi, jak to kiedyś organizowano na tych wodach specjalne wycieczki, by obserwować delfiny. Teraz jednak, twierdził O'Connor, przy wzmożonej turystyce, ssaki przeniosły się w spokojniejsze rejony.

Bujało jak w wesołym miasteczku. Góra – dół, góra – dół. Łajba ślizgała się na atakujących ją falach. Słona, lodowata woda pryskała pasażerom w twarze (i pyski). Szymon uchwycił się mocniej barierki, która pewnie miała w żeglarskiej nomenklaturze swoją nazwę. Solański nigdy jednak nie zainteresował się bliżej tą dziedziną. A może powinien? Może gdyby w liceum jeździł na mazurskie spływy kajakowe czy regaty, teraz by go tak nie mdliło? Jego mina musiała zdradzać prawdę, bo kierujący łupiną Pat oderwał się na chwilę, ku zgrozie Solańskiego, od steru i poklepał go z rozmachem po plecach.

– Nie bój, Polaczku! – pocieszył detektywa. – Nie ma się co martwić!

– Wcale się nie martwię – wysyczał przez zaciśnięte zęby upokorzony Szymon.

Było to jednak wierutne kłamstwo. Trząśł się ze strachu. Jedną ręką przyciskał do siebie psa, który najwyraźniej nic sobie nie robił z tego rejsu godnego „Titanica”. Szymon czuł, że jego nogi zaczynają przypominać kolosy z waty. Mimo potwornego na otwartej wodzie ziąbu, jaki wdierał się pod jego kapotę, poczuł na twarzy uderzenie gorąca.

– Nie ma się co martwić! – powtórzył Pat. – Bo albo jesteś zdrowy, albo chory. – Solański wyczuł, że zanosi się na dłuższą przemowę. – Jeśli jesteś zdrowy, to nie masz powodu do zmartwień. A jak jesteś chory, to albo wyzdrowiejesz, albo umrzesz. – Do detektywa z trudem docierały słowa O'Connora. Mimo że wciąż znajdowali się w zatoce, ocean szalał. Woda przelewała się przez pokład. Łódź, jak wydawało się Szymonowi,

stawała dęba. Siekało deszczem. Irlandczyk nie zauważał tych pogodowych niedogodności. Bez zająknięcia kontynuował swoją tyradę. – Jeśli wyzdrowiejesz, nie masz się co martwić. A jak umrzesz, to albo pójdziesz do nieba, albo do piekła. Jeśli pójdziesz do nieba...

– Zamknij ryj! – wydusił z siebie Solański.

– ...nie masz się co martwić. – Irlandczyk tak łatwo się nie poddawał. Z satysfakcją przyglądał się twarzy Szymona, która coraz bardziej przypominała kolorem koniczynę Świętego Patryka. – A jak trafisz do piekła, to nie starczy ci czasu, żeby się martwić, bo będziesz się musiał przywitać ze wszystkimi swoimi znajomymi – zakończył radośnie O'Connor i szarpnął sterem, który wyślizgnął mu się z rąk.

– Z tobą na pewno – mruknął Solański.

Wsparł się o burtę. Wiedział, że nie ma sensu się oszukiwać. Ani odwlekać tego, co nieuchronne. Przechylił się nad powierzchnię wściekłego Atlantyku i puścił pawia. Za plecami posłyszał śmiech O'Connora.

Solański uznał za cud, że w jednym kawałku dopłynęli do niewielkiego portu w Kilronan, największej osadzie na Inishmore. Im dłużej trwał ich rejs, tym pogoda była gorsza. Gdy dotarli na miejsce, fale podchodziły już naprawdę wysoko. Niebo szczelnie zakryła gruba warstwa ołowianych chmur. Strumienie deszczu ktoś musiał wylewać z nieba wiadrami. Nawet Pat zgubił gdzieś swój entuzjazm i przestał zabawiać Szymona anegdotami. Skupił się na utrzymaniu łajby na powierzchni wody.

Przycumowali przy kamiennym nabrzeżu. Przed sobą mieli rząd kolorowych jednopiętrowych domków, w których na turystów w czasie sezonu czekały atrakcje w postaci swetrów z arańskiej wełny i wszelkiej maści rękodzieła. Teraz jednak wszystko zamknięto na głucho, a na otaczającej port promenadzie nie było żywego ducha. Przynajmniej tak się Solańskiemu zdawało, dopóki nie zauważył wyłaniającego się

spomiędzy budynków jegomości.

Chudy, ubrany w ciemne spodnie i jasną koszulę, bez kurtki przeciwdeszczowej czy choćby zwykłej plastikowej peleryny. Spod czapki z daszkiem wystawały rude włosy i oklejały mu twarz. Mężczyzna ruszył chwiejnym krokiem w kierunku przybyłych.

Początkowo Solański był przekonany, że facet nie może złapać równowagi, bo szarga nim napierająca raz z lewa, raz z prawa wichura. Kiedy jednak Irlandczyk podszedł do gramolących się z pokładu na brzeg Szymona i Pata, detektyw zrozumiał w czym rzecz. Rudzielec był zalany. Może nie w trupa, ale niewiele mu brakowało. Wsparł się ramieniem na klatce piersiowej Solańskiego, jakby od dawna razem opijali smutki w miejscowym pubie. Czapka zsunęła mu się z głowy.

– Pojechało was? – wybełkotał.

Solański dużo słyszał o irlandzkiej gościnności. Miała ona niemal dorównywać tej typowo polskiej. Chlebem, solą i guinnessem. Ale aż tak gorącego powitania się nie spodziewał. Spojrzał w czerwoną twarz faceta. Zlustrował jego wciąż wspierającą się na klapie swojej kurtki dłoń. Wreszcie zerknął na nurzającą się w kałuży czapkę. Pośrodku, nad daszkiem, przyczepiono do niej metalową odznakę w kształcie przywodzącym na myśl kwiat w pełni rozkwitu.

Solański strzepnął sobie z klaty dłoń pijusa. Schylił się po czapkę, do której obsikania już zabierał się Gucio, i odczytał z niej napis, w który ułożyły się złote litery na granatowym tle.

– Garda Síochána? – Solański zmarszczył brwi.

– *Sir, yes, sir!* – Irlandczyk stanął na baczność.

Zasalutował Solańskiemu. Stracił równowagę i pacnął tyłkiem o ziemię. Pozbierał się jednak szybko. Odebrał detektywowi czapkę i nasadził ją krzywo na głowę.

– Za dużo jamesona, sierżancie Murphy? – odezwał się O'Connor.

– Paddy, Paddddy – zaciął się policjant. – Po co żeś się pchał w ten

sztorm?

– Jego spytaj. – O'Connor wskazał na Solańskiego. Ten jednak zacisnął usta w wąską kreskę. Nie zamierzał się nikomu zwierzać ze swoich planów. A już na pewno nie miejscowemu stróżowi prawa, który mógłby mu wejść w drogę. – To na razie, chłopaki – rzekł Pat i zawrócił w stronę łajby.

Na ten widok sierżant Murphy wykonał skok swojego życia. Zrobił zamach ramionami, wybił się i poszybował, wyginając ciało w zgrabny łuk, wprost na O'Connora. Wylądował farmerowi na plecach. Obaj runęli na ziemię. Potoczyli się kawałek i zatrzymali na samym skraju portowego nabrzeża. Jeszcze metr i runęliby do wody.

– Dokąd?! – ryknął Murphy.

O'Connor wydostał się spod policjanta, otrzepał upaprane piaskiem spodnie i popukał się w skroń.

– Do Honolulu. A jak myślisz? Wracam do domu. Przywiozłem Polaczka, bo zapłacił. Ale sam nie będę tkwił w tym waszym średniowieczu – oznajmił. Już chciał na powrót pakować się na „Erin”, ale Murphy wczepił się pazurami w jego łydkę i nie popuszczał.

– Jako jedyny funkcjonariusz Gardy na tej wyspie stanowczo ci zabraniam! – wrzeszczał.

– Nie żeby to była moja sprawa – wtrącił się Solański – albo żeby mnie to coś obchodziło, ale on ma rację – poparł sierżanta. – Przyjrzyj się tylko. – Zatoczył ręką wzdłuż linii horyzontu.

Murphy i O'Connor zaprzestali szarpaniny. Wszyscy trzej zapatrzili się na ocean. A ten nie wróżył niczego dobrego. Fale przelewały się na promenadę. Lało, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej niż dotychczas. Porywy lodowatego wiatru wzięły w tany jakieś nieschowane w porę drewniane krzesło ogrodowe, które obijało się teraz o fasady domów.

– Niech was szlag! – O'Connor splunął pod nogi. – Można tu coś zeźreć czy wszystko żeście pozamykali? – Pomógł Murphy'emu pozbierać się



z ziemi.

– Jest takie jedno miejsce – poinformował ich radośnie Murphy.



Było takie jedno stanowisko w Super Burgerze, przy którym praca wydawała się Róży nawet znośna. Kwiatkowska wolała nie zastanawiać się nad tym, jak nisko upadła, skoro cieszyło ją smażenie frytek. Żeby jeszcze przygotowywała je dla siebie! Ale nie, Róża załadowywała metalowe kosze mrożonym półproduktem. Pakowała je do gorącego oleju. Fryty skwierczały w brązowej brei, a Kwiatkowska włączała timer, który po paru minutach zaczynał buczeć. To był nieodwołalny znak, że trzeba wyciągnąć ziemniaki i zapakować je w papierowe tytki. Róży nie przeszkadzało dźwiganie pioruńsko ciężkich pojemników. Nie miała nic przeciwko bliznom po poparzeniach pstrzącym jej przedramiona. Przywykła nawet do smrodu zjełczałego oleju, który wsiąkał nie tylko w ubrania, ale też we włosy i w skórę, i niczym nie pozwalał się wywabić. Róża próbowała użyć w tym celu także domestosa, ale tylko poparzyła się jeszcze bardziej. Teraz woni smażeniny już nie zauważała.

Te wszystkie niedogodności nie miały znaczenia. Róża lubiła stać przy frytkach, bo tam nie musiała gadać z ludźmi. A raczej z nienażartymi popaprańcami, jak ich postrzegała, którzy pchali podejrzaną proweniencję mielone nawet swoim kilkumiesięcznym dzieciom wprost do malutkich przełyków. Nie musiała też wysłuchiwać ich gorzkich żalów i oczekiwań właściwym stołującym się w kopenhaskiej Nomie, a nie w podrzędnym fast foodzie. Przy frytkach Róża była zwolniona z przyklejania do twarzy sztucznego uśmiechu i udawania, że interesuje ją, jak się kto miewa, *how's gone, how you keeping, you well*. Kwiatkowska głęboko miała samopoczucie innych, szczególnie że jej własne szwankowało.

A przyczynił się do tego niejaki Mejsiur. Takim mianem ochrzciła

Róża kurduplowatego menedżera. A to z racji tego, że łąził za pracownikami i kazał im *make sure*, czy podłoga jest czysta, a frytki usmażone. Ksywa przyjęła się szybko i nikt już nie mówił inaczej o szefie. Róża przypuszczała, że nawet stali klienci jadłodajni byli przekonani, że Mejksiur to pełnoprawne nazwisko.

Większość wyrobników Super Burgera uważała za szczyt swoich osiągnięć stanąć przy kasie i obsługiwać motłoch. To była nobilitacja. Nie jakieś tam klejenie kotletów czy jazda na mopie, nie wspominając o kiblonurkach. Hierarchia stanowisk obowiązywała w fast foodzie niczym w ciemieżyckim korpo w Mordorze na Domaniewskiej w Warszawie.

Tylko Róża była innego zdania. Spotkał ją jednak niefart. Przez zupełny przypadek natknęła się na Mejksiura, gdy ten w wielkiej, stanowiącej osobne pomieszczenie, zamrażarce posuwał zatrudnioną na zmywaku Filipinkę. Menedżer poczuł się urażony wścibstwem Kwiatkowskiej i na wszelki wypadek wpisał ją na czarną listę. Złośliwy był z Mejksiura skurczybyk, czego źródła Róża upatrywała w jego predyspozycjach psychofizycznych. Były to mianowicie: metr czterdzieści wzrostu w kapeluszu, czterdziecha na karku i brak urozmaicenia w CV. Na całą bowiem karierę, jak i ambicje Mejksiura składały się... posady w Super Burgerze.

Róża się nawet nie dziwiła, że menedżera zżerała wściekłość. I że się wyżywał, na kim popadło. Ze stoickim spokojem przyjmowała notoryczne przerzucanie jej z kas na gorszą w mniemaniu Mejksiura frytkownicę. Mejksiur jednak nie był aż taki głupi (choć, z drugiej strony, trochę był). Nie spodobało mu się, że umazana olejem Róża nie protestuje. Nie klnie w tym dziwnie szeleszczącym języku, tylko uśmiecha się pod nosem. Zmienił więc zdanie i z powrotem władował Różę przed kasę.

Także tego popołudnia Kwiatkowska zobaczyła na grafiku swoje imię

przy znieawidzonej rubryczce. Westchnęła. Przeliczyła forszę w przydzielonej jej kasetce. Poprawiła daszek firmowej czapeczki.

– Następny! – wydarła się swoim zwyczajem.

I wtedy go zobaczyła. Stał w kolejce ustawionej do jej kasy. (A jakże!) Rozmawiał z dwoma facetami. Jednego z nich Róża doskonale знаła. Na ten widok aż ją coś łupnęło w dołku. Aż jej się kieszki obróciły w tę i nazad. Ten, którego nie życzyła sobie spotkać już nigdy, był do niej obrócony bokiem i na szczęście jeszcze jej nie zauważył. Kwiatkowska zdążyła zerknąć na niego tylko przelotnie. Dostrzegła jednak, że schudł jeszcze bardziej. Ciemne obwódki otaczały jego siwe oczy. Właśnie zdejmował pelerynę, która nie zdołała go ochronić przed ulewą. Jego kurtka moro, sprane džinsy i wytarty T-shirt z napisem „Lady Pa\_k” ociekały wodą. Do nogi przyklejał mu się, prezentując się równie żałośnie, Guccio.

– Co on tu, do kurwy nędzy, robi?! – Róża zapytała samą siebie, uprawiając w konsternację stojącą przed nią klientkę.

– *Whaaaa?* – Wielbicielka hamburgerów wydała z siebie przeciągły, nosowy dźwięk.

– Nie mówię do ciebie! – Róża z tych nerwów już całkiem przeszła na polski.

– Duży zestaw! – zaordynowała Irlandka. – Największy, jaki macie! – Jej słowa padły jednak w próżnię. Kasjerki nigdzie nie było. A przecież jeszcze sekundę temu stała tu i gadała coś, zapewne po chińsku. W każdym razie w tym języku, który od paru lat można było usłyszeć na ulicach częściej niż angielski. – Halo! – zawołała zdezorientowana kobieta. Wspięła się na palce i przechyliła przez ladę. – Co ty robisz?! – drążyła temat, bo zupełnie nie mogła pojąć, dlaczego ta głupia imigrantka skuliła się w kłębek tuż przy podłodze i próbuje, bezskutecznie zresztą, wgramolić się między ustawione pod kasą półki. Choć Róża bardzo się starała wcisnąć w szczelinę, jej opływające

tłuszczem cielsko wylewało się na zewnątrz. – Oszalałaś?! – chciała wiedzieć klientka. – Jest tu menedżer?! – podniosła głos.

– Stul pysk! – wymamrotała Kwiatkowska spod lady. Znowu zapomniała, jak by to było po angielsku, więc jej apel nie spotkał się z oczekiwanym przyjęciem.

– Czy ktoś mnie może obsłużyć?! – Babsztyl nie tracił woli walki. – I zrobić coś z tą tutaj?! – Poczęła wskazywać na Różę.

– Morda w kubeł! – warczała Kwiatkowska. Wściekłość podchodziła jej do gardła, a oczy zachodziły łzami.

Solański za nic w świecie nie mógł jej zobaczyć! W tej jadłodajni! W tym wdzianku! Róża poprzysięgła sobie, że prędzej umrze, niż mu się tak pokaże. Jednak upierdliwa baba lamentowała coraz głośniejsze. Róża podczołgała się na skraj lady i wyjrzała chyłkiem. Zgromadzeni w restauracji ludzie zaczynali odwracać się w stronę awanturnicy. Rozmowy cichły. Kwiatkowska usłyszała trzask otwieranych i zamykanych na zapleczu drzwi. Niewątpliwy znak, że zbliża się przywołany niecodziennym poruszeniem Mejksieur. Dziennikarka zrobiła obrót o sto osiemdziesiąt stopni i wciąż poruszając się na czworakach, skierowała się w stronę kuchni.

– To wariatka! – darła się raszpla, a Róża obiecywała sobie, że zanim sama umrze ze wstydu i upokorzenia, najpierw zabije tę histeryczkę. – Niech ktoś ją zatrzyma! Pewnie jest niebezpieczna! Czy jest na sali policjant?! – jazgotała.

Róża już prawie była ukryta. Już niemal witała się z gąską. Zabrakło jej jednak paru centymetrów. Wsunęła się między frytkownicę a podgrzewacz, w którym lądowały wszystkie przygotowane buły, zanim wydano je klientom. Źle jednak wymierzyła na zakręcie. Trzeba też oddać Różę sprawiedliwość, że przejście było dość wąskie. W rezultacie tych niesprzyjających wielkiej ucieczce okoliczności Róża zaklinowała się pomiędzy urządzeniami. A ściślej – utknął w potrzasku

Różany tyłek, jako największa z części ciała Kwiatkowskiej.

A potem wszystko potoczyło się już szybko. Jeden gadał przez drugiego. Łapano się za głowę. Chciano wzywać karetkę pogotowia, koniecznie tę specjalistyczną, dla pacjentów rozchwianych emocjonalnie.

Gardy nie trzeba było zawiadamiać, bo jedyny pracujący na Inishmore funkcjonariusz w osobie Liama Murphy'ego stał właśnie przed ladą i wpatrywał się w monstrualne cztery litery, które jako żywo przypominały mu te należące do jego nowej dziewczyny. Czemu jednak Róża postanowiła czołgać się po podłodze w miejscu swojej pracy, tego nie potrafił odgadnąć. A skoro nie potrafił, uznał, że najprościej będzie ją o to zapytać. Pewnie miała swój powód. Nie zamierzał jej więc z góry oceniać.

– Kochanie, czemu leżysz na podłodze? – zapytał z troską w głosie.

Róża to wszystko słyszała, ale nie widziała, bo była do publiczności odwrócona tyłem. Ale temu *faux pas* w tej akurat sekundzie nie potrafiła zaradzić. Dotarło też do niej drugie zdanie, wypowiedziane zupełnie innym głosem, równie jednak znajomym.

– Róża? – zająknął się Solański. – Kochanie?! – W drugim pytaniu zabrzmiało bezbrzeżne zdziwienie. I oburzenie, które Róży nie umknęło.

Wywołało w niej ambiwalentne uczucia. Z jednej strony się ucieszyła, że Solański może jest zazdrosny. Z drugiej jednak... Czemu tak bardzo zdziwił go fakt, że ktoś zwraca się do Róży per „kochanie”? Kwiatkowska nie zdołała uzewnętrznic targających jej jestestwem uczuć, ponieważ w centrum wydarzeń pojawiły się kolejne *dramatis personae*.

– Rose! – wydarł się Mejsiur, który od samego początku odmawiał używania polskiej wersji imienia Róży. Nie potrafił go poprawnie wymówić, a niczego nie bał się bardziej niż ośmieszenia. – Co ty tam robisz? Czy ty *make sure*, czy podłoga jest czysta? – zaciekał się. – Wstawaj! Bo cię zwolnię! – Zatupał małymi stópkami tuż przy

wypiętym tyłku Kwiatkowskiej.

– Nie mogę. – Róża dała wreszcie głos. Już jej się nawet płakać odechciało. I tak była skończona. Na wszystkich frontach. – Utknęłam – wyjaśniła temu jełopowi, bo z kumanem cza-czy bywało u niego różnie.

Mejksiur zatupał jeszcze energiczniej. Wydał z siebie serię nieartykułowanych dźwięków.

– Zabiję cię! – wrzasnął i skierował czubek stopy w sam środek Różanego zadka.



– Zabiję cię! – rozszczękałem się na widok mrozących krew w żyłach poczynań jakiegoś wypierdka, który chciał skrzywdzić Różę.

Moją Różyczkę! Moją ukochaną przyjaciółkę! Nie zastanawiając się, co też ona tutaj, na tym zapomnianym nawet przez diabła końcu świata, robi, przystąpiłem do działania. Porzuciłem Solańskiego, który prezentował wyjątkowo głupawą minę. Wślizgnąłem się za ladę. Zignorowałem kotlety, które jakiejś łamadze spadły z tacki na podłogę. Sfokusowałem się na celu. A ten był tuż-tuż.

Karakan już się zamachnął i wymierzył. Już prawie dosięgnął krótką nóżką, odzianą w galotki z działu dziecięcego i takiż bucik, tyłka Róży. Ale wtedy do akcji wkroczyłem ja! Chapnąłem go w tę girę, zanim zdążył się zorientować, co się dzieje. Okazała się wyjątkowo niestrawna, swoją drogą. Zacisnąłem szczęki tak tylko trochę, żeby znowu jakiegoś aj-waj nie było, że uwaga, zły pies, że nie gryzie, tylko w całości połyka.

Chłop poślizgnął się na pozostałej mu do dyspozycji kończynie i fiknął koziołka. Wylądował u mych stóp niczym rozczłapana żaba. Stałem nad nim i rzuciłem zezem na jego zalaną łzami twarz. Menedżer chlapał, próbując chwytac się za łydkę, w którą go ledwo przecież drasnąłem swoimi zdezelowanymi kłami. Zrezygnował jednak

z gwałtownych ruchów na widok mojego ziejącego mu nad kinolem pyska. A może go zagazowałem wyziewami, które dobywały się z mej paszczy? Mogło być i tak, bo gdy chuchałem Solańskiemu prosto w nos, ten zawsze się krzywił i mamrotał coś o konieczności nabycia maski gazowej i zapasu tic taców.

Zostawiłem małego samemu sobie i dopadłem do Róży, która pocąc się i stękając, wreszcie zdołała wydostać się z potrzasku. Skoczyłem na nią, przytuliłem się do jej matczynego biustu i oblizałem jej twarz, starając się nie pominąć ani milimetra.

– Guciuniu! – powiedziała tylko Różyczka i rozbeczała się jak dziecko, któremu jakaś świnią zabrała cukierka.



Ale była heca! Aż z tej radości, która rozpierała mnie po akcji w Super Burgerze, postanowiłem dogonić własny ogon. Ten jednak zawsze był o ułamek sekundy ode mnie szybszy. Naprawdę nie wiem, jak on to robił. Jestem z tych twardzieli, którzy nie odpuszczają. Kręciłem się więc w kółko do momentu, aż Solański bez pardonu wsadził mnie sobie pod pachę i wpakował do radiowozu.

Chciałem się dowiedzieć, czy jestem aresztowany, i zgłosić zastrzeżenie, że nikt mi nawet nie odczytał moich praw. No i wyjaśnić, że moim skromnym zdaniem to do paki powinno się zamiast mnie wsadzić raczej tego małego złośliwego, co teraz siedział na stołeczku w swoim fast foodzie i kazał jakiejś wystraszonej Filipince przykładać kompresy do rzekomo pogryzionej nogi. Że też nasza matka ziemia wydaje na świat takich mięczaków!

Usadoviłem się wygodnie na tylnym siedzeniu i obserwowałem, co też się dzieje przed wejściem do Super Burgera. Czerwona na twarzy Róża stała jak ten słup, nie zwracając uwagi na deszcz ani na wiatr, które chyba sprzysięgły się, żeby ją unicestwić. Zresztą nie tylko Różę.

Grzmociły równo w każdego, kto tylko odważył się wychylić nos spod dachu.

Jakieś trzy metry od Róży w równym osłupieniu stał Solański i gapił się na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. Pomiedzy nimi krążył sierżant Murphy i gestykulował zamasyście. Uznałem, że on to dopiero nie ma pojęcia, co się tu w rzeczy samej wyrabia. Jeśli to była prawda, co ten cały O'Connor mówił o problemach z prądem na Inishmore, to ja bym radził tutejszym mieszkańcom skrzyknąć się szybko i zaczerpnąć nieco energii z iskier, które strzelały między Kwiatkowską a Szymonem. Nie zdążyłem do końca sprecyzować tej świątłej myśli, a znów zaczęło się dziać.

Było słuchać ludowych przysłów, co to przestrzegają przed wywoływaniem wilka z lasu, a nie bawić się we wróżbitę Macieja albo innego Kaszpirowskiego. *Adin, dwa, tri* i pstryk! Jak na zawołanie ciągnący się wzdłuż nabrzeża rząd słupów wysokiego napięcia przewrócił się niczym domino. Zmiażdżył kilka parkujących nieopodal samochodów. Zawyły alarmy. Odłamki posypały się na chodnik. Jeden z pali trafił w witrynę sklepu oferującego swetry z arańskiej wełny. Szkło rozprysnęło się w drobny mak. A potem wewnątrz Super Burgera spowiła ciemność.

Róża i Szymon zdawali się nie zauważać tego armagedonu. Murphy przystanął na chwilę i z niepokojem spojrział w niebo. Mejsiur, jak podobno nazywała się ta lebioda menedżer, poderwał się ze swojego taborecika. Chyba zapomniał o tym, że go noga boli, bo żwawym krokiem podyrdał na zaplecze. Pewnie po to, by sprawdzić, czy mu się kotlety nie rozmrożą.

Sierżant Murphy tylko wzruszył ramionami i dalej skutecznie wędrowkę między Różą a Szymonem. Głędził coś podniesionym głosem, by przekrzyczeć wicherę.

Całego tego przedstawienia nie zdzierzył wreszcie stojący dotąd



z boku Pat O'Connor. Wlazł między towarzystwo, rzucił jakąś uwagę i zniknął pośród domów. Święta trójca pokapowała się wreszcie, że niepotrzebnie sterczy i moknie. Zebrała się i upakowała w radiowozie. Za kierownicą zasiadł Liam. Na przednie siedzenie pasażera wgramoliła się Róża. Obok mnie władował się obrażony Solański. Siedzieliśmy tak jeszcze przez chwilę w zupełnej ciszy (nie licząc odgłosów sztormu zza okna).

– Dokąd cię podwieźć? – odezwał się wreszcie Liam, któremu procenty we krwi – tak jak O'Connorowi – nie przeszkadzały w prowadzeniu samochodu.

„O wilku mowa” – pomyślałem, bo zza zakrętu wyjechał właśnie obtłuczony rzech w postaci minibusa. Zbliżał się do nas z zatrważającą prędkością. Ledwo wykręcił. Milimetry dzieliły go od naszego zderzaka. Za kierownicą klekota siedział nie kto inny jak Pat O'Connor. Minął nas i pognął w głąb wyspy.

– Kelly's B&B w Meenabool – wyrecytował martwym głosem Solański.

– Ja chcę do domu! – wkurzyła się Róża. – Jestem przemoczona. I dzięki wam być może bez pracy! Nie zamierzam jeździć po jakichś zadupiach! – Etap skamienienia najwyraźniej miała za sobą.

– Skoczmy najpierw do B&B, a potem cię odwiozę. Dobrze, kochanie? – negocjował Murphy, który chciał się pozbyć Solańskiego i zostać ze swoją dziewczyną sam na sam.

Obłaskawił Różę tym „kochaniem.” Nic już nie powiedziała, tylko zapięła pas. Ruszyliśmy wąską drogą pośród niezmiernie krajobrazu, na który składały się zielone pola, kamienne murki i małe białe domki rozsiane to tu, to tam.

A to się porobiło! Nie mogłem uspokoić rozszalałych myśli. Co ma znaczyć to „kochanie”? Co to za gliniarz? Czyżby sprzątnął nam Różyczkę sprzed nosa? Chciałbym się tego wszystkiego dowiedzieć, ale nie

miałem kogo zapytać. Mój pan prezentował minę świadcząca jak najgorzej o jego inteligencji. Róża zaś popadła w stupor. A mój angielski nie był na tyle dobry, żebym mógł wdać się w dyskusję z obcokrajowcem.

Zamarzyło mi się, żebyśmy u tych Kellych znaleźli Kasię Walasek. I żebyśmy wszyscy razem, łącznie z Różą (ale bez Murphy'ego), wrócili do domu. Psia intuicja podpowiadała mi jednak, że to się tak szybko i pięknie nie skończy.

## Rozdział 3

*Is minic a bhris beal duine a shron.*

*Powodem złamanego nosa często bywa umieszczona poniżej buzia.*

– Stój! – wrzasnął Solański.

Szarpnął sierżanta Murphy’ego za rękaw przemoczonej koszuli. Liam przydepnął hamulec. Auto wpadło w poślizg. Zarzuciło nimi.

– Odbiło ci?! – wrzasnęła Róża, zapierając się dłońmi o samochodowy schowek.

Solański chwycił za plecak i smycz. Otworzył drzwi i wyskoczył na deszcz. Pociągnął za przednie drzwiczki.

– Powaliło cię?! – krzyczała Róża. Próbowwała wyszarpnąć Szymonowi z ręki swój pas bezpieczeństwa, który Solański starał się odpiąć.

– Musimy pogadać! – Detektyw wywlókł Różę z samochodu.

– Odczep się! – Kwiatkowska była bliska łez. Chciała uwolnić się z uścisku Solańskiego, jednak ten trzymał ją nadspodziewanie mocno.

– Porozmawiaj ze mną. – Solański spojrzał Róży prosto w oczy. – A dam ci spokój. Na zawsze.

– Puść ją! – Do kłótni wtrącił się sierżant Murphy, mierząc do Solańskiego pojemnikiem gazu pieprzowego.

Policjant stanął w szerokim rozkroku w bezpiecznej odległości od szamoczącej się pary. W wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymał oburącz jedyną broń (oprócz teleskopowych pałek), w jaką

wedle prawa mógł być wyposażony funkcjonariusz Gardy. Służbowa czapka przekrzywiła się na głowie Liama, wypuszczając na światło dzienne rozczochrane kłaki w kolorze marchewki.

– Albo cię zagazuję! – zagroził.

Na takie ultimatum tak Solański, jak i Róża nie wytrzymali. Ryknęli zgodnym śmiechem. Zginali się w pół i zachłystywali spazmatycznie. Murphy'emu zrzęła mina. Opuścił ramiona. Przyjrzał się podejrzliwie zasobnikowi z bronią masowego rażenia.

– No! – rzekł dobitnie, uznając, że udało mu się polubownie załatwić sprawę.

– Proszę. Jedna rozmowa. – Solański wgapiał się w Różę stalowymi ślepiami.

Kwiatkowska nie potrafiła mu odmówić. Rozejrzała się i oznajmiła, że są już niedaleko Kelly's B&B. Odprawiła sierżanta Murphy'ego, nakazując mu, by przyjechał po nią do hotelu za godzinę lub dwie.

Ruszyli ramię w ramię środkiem opustoszałej jezdni, nie zważając na deszcz. Za nimi człapał trzynogi pies. Nie odzywali się do siebie. Wyszli z za zakrętu i ujrzeli samotny dom wybudowany pośród falujących zielonych połaci. Trzy lukarny wyglądały od frontu z siwego, pokrytego betonowym poszyciem dachu. W przydomowym ogródku rosły – zupełnie niestosownie, zważywszy na pogodę – palmy, uginające się pod naporem wichury. W zasięgu wzroku nie było tu żadnych innych drzew. Pomalowane na czerwono drzwi wejściowe na tle białej elewacji wyglądały jak krwawa plama. Szare okiennice, prócz jednej na parterze, objadającej się z trzaskiem o mur, były pozamykane.

Weszli na szutrową drogę prowadzącą do drzwi wejściowych. Brodzili w kałużach sięgających im po kostki. Gucio podnosił wysoko łapy, spoglądając z wyrzutem na właściciela.

– To jakieś pieprzone pustkowie – odezwał się Solański.

Róża przyśpieszyła. Pierwsza znalazła się przy drzwiach. Zadzwo niła.

Prąd musiał jednak wysiąść na całej wyspie, ponieważ nie dotarł do nich żaden dźwięk. Po chwili zapukała staromodną metalową kołatką. Wreszcie nacisnęła klamkę. Było otwarte.

Weszli do wąskiego, wyłożonego przetartą wykładziną w kolorze buraczków przedpokoju. Solański musiał uważać, by nie uderzyć głową w znaczony drewnianymi belkami sufit. W powietrzu unosił się lekko wyczuwalny swąd spalenizny.

– Halo! – zawołała Róża. Głos jej zadrżał. Odchrząknęła. – Jest tu kto?

Odpowiedziała jej cisza. Przy wejściu zobaczyli ozdobny drewniany kierunkowskaz, ustawiony strzałką w lewą stronę.

– Do pubu – odczytała Róża. – Prowadzą go na tyłach domu. To najlepszy bar na wyspie – wyjaśniła Solańskiemu.

Skręciła w korytarz. Szymon podążył za nią.

– Metropolia – mamrotał.

– A czego się spodziewałeś? Opery w Sydney? – zadrwiła Kwiatkowska. – Zresztą nie jest tak źle. Mają tu jeszcze bank, który otwierają raz na tydzień, i po jednym policjancie, radiowozie, sklepie oraz księdzu.

– Po jaką cholere? – Solański stanął przy ladzie opustoszałego pubu. Zagapił się na pokrywające całą ścianę drewniane półki, na których mieniły się kolorowe etykiety alkoholi z całego świata.

– Księdza? Pewnie lubią się pomodlić. – Róża wgramoliła się na wysoki stołek i brzdęknęła ustawionym na barze dzwonkiem do przywoływania obsługi.

– Po jaką cholere tu przyjechałaś? – Solański patrzył na Kwiatkowską szeroko otwartymi oczami.

Gucio bezbłędnie namierzył żarzący się dogasającym już ogniem kominek i rozłożył się przed nim, udając dywanik.

– A co, nie wolno mi? – Róża buńczucznie uniosła podbródek. – Lepiej powiedz, co ty, u diabła, tu robisz? – Wkurzyła się. – Śledzisz mnie?

– Dostałem zlecenie – odparł Solański. – Przypadek. – Wzruszył ramionami. – Zniknęłaś bez słowa. Nie mogłaś chociaż powiedzieć, dokąd jedziesz?

– Widocznie nie mogłam. – Kwiatkowska nadeła policzki.

– No i po jakiego grzyba pracujesz w tej hamburgerowni? – Solański, nie wiedząc czemu, był coraz bardziej wkurzony. – I kto to jest ten policjant?

– Nie interesuj się, bo dostaniesz kociej mordy! – warknęła Róża.

– Jesteś pewna, że można mu ufać? – Szymon zignorował obelgę. – To jakiś pijak!

– To mój chłopak! – przerwała mu Kwiatkowska. – I nie wydaje mi się, żebym musiała tłumaczyć się ze swoich życiowych wyborów akurat tobie. Wystarczy już, że muszę się użerać z własną matką. – Róża uderzała rytmicznie w dzwonek. – Żadna praca nie hańbi! Mógłbyś sam spróbować! – Dzwonek ześlizgnął się z blatu i spadł na podłogę. – Gdzie jest ten pieprzony barman?! – wydarła się Kwiatkowska.

– Myślałem, że się przyjaźnimy – rzekł cicho Solański.

– No to nie myśl więcej! – poradziła mu Róża i kryjąc wzbierający potok łez, wybiegła z B&B.

– Zostań! – nakazał Solański Guciovi i ruszył za Kwiatkowską.

Róża stała w strugach deszczu przed hotelikiem i udawała, że nie zauważa Solańskiego.

– Wejź do środka, bo przemokniesz! – zawołał za nią od progu Szymon.

– Nie! – upierała się Róża.

– Nie wydurniaj się! Przeziębisz się!

– Poczekam tu na Liama!

Róża konsekwentnie odwracała się plecami do Solańskiego, by ten nie widział łez spływających jej ciurkiem po zaczerwienionych policzkach. Zdawała sobie sprawę z tego, że wygląda żałośnie. Nie

zdążyła nawet przebrać się z roboczych ciuchów. Wiatr chłostał ją po gołych, odsłoniętych za sprawą przykrótkich spodni kostkach. Kurtka zrolowała jej się w pasie, a to jeszcze dodawało kilogramów. I, co zauważyła dopiero teraz, wciąż miała na głowie siateczkę ochronną, dzięki której do „wykwintnych” potraw serwowanych w Super Burgerze miały się nie przedostawać jej włosy.

– A to stój! – wrzasnął Solański. Już naprawdę miał dosyć tych babskich fochów. – I smaż kotlety w tej pipidowie! – Dосkoczył do Kwiatkowskiej i począł bezładnie wymachiwać rękami przed jej nosem. – Miej w dupie przyjaciół! I umawiaj się z tym pajacem!

Wiedział, że tym ostatnim zdaniem przegiął, ale takiej reakcji nie przewidział. Róża zrobiła krok w tył, zamachnęła się i przywaliła prawym sierpowym prosto w nos Solańskiego. Aż plasnęło. Nagły ból obezwładnił detektywa. Chwycił się oburącz za twarz i rozcierając sobie ciekącą z nosa krew po brodzie, ruszył truchtem przed siebie.



Biegł na oślep. Chciał tylko znaleźć się jak najdalej od tej zdrajczyni.

Solańskiemu nie przychodziło łatwo zjednywanie sobie przyjaciół. W zasadzie odkąd umarła jego żona, mógł się poszczycić tylko dwojgiem. Teraz pozostał mu jedynie pies.

Nie rozumiał zachowania Róży. Szczerze mówiąc, w tej chwili miał gdzieś jej motywacje. Najpierw uciekła bez słowa, a gdy ją przypadkiem odnalazł, znokautowała go. Kobieta go pobiła! I jeszcze się okazało, że przygruchała sobie jakiegoś ryżawego fagasa. Tego już było, jak na gust Solańskiego, za wiele!

Brnął pod wiatr. Krople deszczu siekały niczym opiłki szkła. Patrzył pod nogi, by nie potknąć się o wystające z ziemi kamienie. Drobnny żwir, który ktoś wysypał w tym miejscu, pewnie po to, by wygładzić nawierzchnię drogi, przyklejał mu się do obuwia. Stąpał po koleinach

wydrążonych przez opony. Zatapiał się w śladach butów. W pozostawionych w ziemi odciskach wielkich podeszew, należących do kogoś, kto szedł tędy przed Szymonem, wyróżniały się małe kształty rombów. Detektyw pomyślał, że właśnie musiał się z kimś minąć, bo przy takiej ulewie ślady szybko się zacierały.

Solański mamrotał pod nosem przekleństwa. Kątem oka dostrzegł jakieś domostwa. Zatrzymał się i wyjrzał spod kaptura. Po obu stronach drogi stały niziutkie, bielone wapnem chaty pokryte strzechą. U zwieńczenia dachu dyndały, smagane wiatrem, puste metalowe kosze na donice. W oknach o pomalowanych na żółto, zielono i niebiesko framugach wisiały sztywno wykrochmalone firanki. „Gdy dopisuje pogoda, musi tu być całkiem malowniczo” – pomyślał.

Błądził jeszcze długo, nim wreszcie ruszył pod górę, szlakiem, który wedle ustawionych wzdłuż ścieżki drogowskazów miał go doprowadzić do prehistorycznego fortu Dún Aengus. Im wyżej piął się po kamiennym trakcie wyznaczonym pośród trawiastych połąci, tym głośniej ryczał ocean. Szymon minął miniaturową, typową arańską chatkę w rozmiarze domu dla lalek, przy której postawiono znak wskazujący kierunek z jednej strony do Kelly's B&B, z drugiej zaś do Nowego Jorku, Tokio i Mediolanu. Solański pomyślał, że szczególnie wymowny był ten Nowy Jork. Irlandczyków od zawsze przecież ciągnęło do Ameryki. Mimo że niegdyś w tamtejszych pubach czy hotelach wywieszano na drzwiach tabliczki z ostrzeżeniem: „Psom i Irlandczykom wstęp wzbroniony”. Szymon uznał, że Guciovi by się to nie spodobało.

Solański przystanął, by zaczerpnąć tchu. Pachniało glonami. Deszczówka mieszała się ze słoną bryzą ciągnącą od Atlantyku. Ten szaleńczy bieg uspokoił Solańskiego. Musiał się zastanowić, jak przemówić Kwiatkowskiej do rozumu. Najlepiej dopiero jutro, gdy emocje już opadną, jak po wielkiej bitwie kurz, czy jak to tam leciało.



Miał nadzieję, że po powrocie do B&B nie zostanie tam już ani Róży, ani tym bardziej tego cholernego sierżanta.

Ruszył dalej wolnym krokiem. Ścieżka się skończyła. Stał na płaskim terenie. Kilkaset metrów przed nim ziemia się urywała, opadając skalistym klifem do oceanu. Solański wiedział, że nie powinno go tu być. Nie przy takiej pogodzie. Ledwo trzymał się na nogach. Zawierucha chciała go pozbawić równowagi. Był jednak ciekawy, jak wygląda z wysokości rozszalały Atlantykt. Poruszał się ostrożnie, krok po kroku sunąc w stronę krawędzi. Siła żywiołu była zaskakująca. Powstające sto metrów pod nim fale z łatwością dosięgały go tutaj, na górze. Ich języki lizały jego trampki. Bryza moczyła mu ubranie, choć owinął się szczelnie peleryną.

Zaledwie na kilka sekund wyrzął ponad brzeg klifu. Ale i tak zdołał to dostrzec. Ciąg skojarzeń i złe przeczucie pojawiły się w jego głowie niczym niechciani goście. Z nieubłaganą pewnością zrozumiał, że ma rację. Musiał się jednak upewnić. Podpełzł do skraju urwiska, by jeszcze raz przyjrzeć się czerwonej kurtce zwisającej ze skalnej szczeliny.

Wciąż tam była.



Żeby tak psa zostawiać na pastwę losu, trzeba serca nie mieć. Wprawdzie całkiem dobrze mi się spało przed kominkiem w tym miłym pubie i obudziłem się dopiero, gdy usłyszałem od wejścia podniesiony głos mojego pana, ale co by to było, gdyby sprawy potoczyły się inaczej? Gdybym zbudził się sam jak ten palec w tym wielkim obcym domu? Solański nawet mi liściku nie zostawił z informacją, dokąd poszedł i kiedy wraca. Tak się nie godzi psa traktować!

Wstałem, przeciągnąłem się, zagruchotałem kośćmi i ruszyłem do holu, żeby mu to wszystko wygarnąć. Poczłapałem długim

korytarzem, wyłożonym z deczka śmierdzącym dywanem, aż znalazłem się we wnęce, która musiała u Kellych udawać recepcję.

Za drewnianą ladą siedziała jakaś tęga osobniczka z doczepioną do bluzki opinającej jej bujny biust plakietką, na której ktoś wypisał tajemniczy ciąg liter. Układały się one w słowo: „SIOBHAN”

Owa Siobhan malowała sobie paznokcie u stóp na różowo. Opierała pulchną girę o ladę recepcji i przygryzając koniuszek języka, próbowała nie wychodzić poza kontury swoich krogulców. Muszę z przykrością przyznać, że nie udało jej się to w ani jednym z dziesięciu przypadków. Ręce jej się trzęsły, jakby miała delirium. Lakier chlapał na prawo i lewo. Ona jednak nie ustawała w trudach. Dopiero gdy skończyła z ostatnim, najmniejszym palcem lewej stopy, wzniosła oczy ku górze. Jej wzrok trafił wprost na Solańskiego, wokół którego tworzyła się kałuża ze spływającej mu z peleryny wody.

– Masz rezerwację, koteczku? – zapytała flegmatycznie i oblizała swoje wydatne wargi. – Biłeś się o dziewczynę? – Wskazała na przetrącony nos Solańskiego.

Też chciałem wiedzieć, kto tak urządził mojego pana, ale szósty zmysł mówił mi, że nie pora to ani miejsce na zadawanie tego typu pytań. – Szukam Katarzyny Walasek – wyjaśnił Szymon, wciąż nie interesując się mą osobą.

Na tak bezczelne zachowanie musiałem zareagować. Podkradłem się nieco bliżej. Zaczaiłem się za plecami Solańskiego. Dосkoczyłem do Szymonka i podniosłem mój kikut. Zrobiłem, co swoje, i zameldowałem prezesowi krótkim szczeknięciem wykonanie zadania.

– Gucio, ty świnió!

Solański odskoczył. Było już jednak za późno. Myślę, że dobitnie dałem mu do zrozumienia, że trzeba zwracać uwagę na psa, a nie szlajać się gdzieś samopas. Zrobiłem obrażoną minę i odwróciłem się do tego judasza tyłem.

– Uuu, ale to trzeba będzie posprzątać – odezwało się jakieś skrzekliwe babsko zza pleców Solańskiego. Woniało od nowo przybyłej ciężkimi, duszącymi perfumami oraz lakierem do włosów. – I zapłacić za szkody.

Raszpla była zasuszona. Ubrała się w kostiumik, który miał udawać elegancki. Może i był drogi, ale jak dla mnie, załatywał kiczem i tandetą. Usztywnione sprejem i ufarbowane na burgund włosy sterczały jej na wszystkie strony. Z szyi zwisał sznur pereł, a na przegubach dłoni pobrzękiwały złote bransolety. Poorana zmarszczkami twarz była w jakiś dziwny sposób podobna do facjaty pedikiurzystki.

– Mamo, daj spokój – rzekła różanopalca. No to jedna tajemnica się wyjaśniła. Mieliśmy tu dwie przedstawicielki klanu Kellych, jak przypuszczałem. – Ten przystojniak szuka Kaśki – wyjaśniła młodsza z kobiet.

– Więc ją znacie? – Solańskiego odblokowało. – Kasię Walasek?

– A co mamy nie znać? – zageęła seniorka. – Sprząta u nas. Niezbyt dokładnie, jeśli mam być szczerą. A płacić jej muszę minimum krajowe. Nie uważam, żeby to było sprawiedliwe. – Nie wiedziałem, czy babsko chwali się, czy żali. – Ale zlitowałam się nad dziewczuchą. Trzeba jej przyznać, że dobrze mówi po angielsku. Podobno miała jakieś praktyki w Londynie. Albo tylko tak powiedziała. W każdym razie gdyby nie ja, musiałaby wracać do tej swojej Polski.

– Doprawdy? – wtrącił Solański.

– W agencji pośrednictwa pracy obiecali biednej dziewczynie posadę pokojówki w Kilronan. A kiedy tu przyjechała, to się okazało, że ktoś jej zwinął robotę sprzed nosa. To już nie jest dwa tysiące siódmy, kiedy prosiliśmy się, żeby tania siła robocza ze Wschodu wykonywała te wszystkie gówniane zajęcia za nas. My tu teraz z ochotą każdy kibel wysprzątamy. Byleby nam za to zapłacili! – Solański marszczył czoło i unosił wysoko brwi. Kobieta zorientowała się, że nie trafiła

na podatny grunt ze swą przemową. – Gdzie ona w ogóle jest? – wróciła do meritum.

– Właśnie tego usiłuję się dowiedzieć! – wyjaśnił Szymon.

– Może wzięła się wreszcie do roboty i sprząta na górze? – zastanawiała się baba. – Kasia! – wrzasnęła, wspierając się o poręcz prowadzących na piętro wąskich schodów. – Kasia, do jasnej cholery!

Z góry dało się słyszeć jakieś szmery. Szuranie kapci, skrzywienie drzwi.

– Aoife, kochanie, nie ma jej tu – powiedział jakiś starszy pan, wychylając się przez barierkę.

– Och, John, wracaj do siebie! – warknęła kobieta. – Bo cię jeszcze przewieje – dodała nagle przesłodzonym tonem, jakby w porę zorientowała się, że gra nie tę rolę, którą akurat powinna.

– Kim pan właściwie jest? – To pytanie skierowała do Solańskiego, którego znowu замуrowało. Stał w miejscu, gdzie korytarz skręcał w stronę pubu, i wpatrywał się w wieszak na kurtki ustawiony tuż przy drzwiach. – Pana nazwisko! – ponagliła detektywa. – I najlepiej numer karty kredytowej, żebym miała z czego zapłacić za zdewastowany chodnik.

Szymon jednak zdawał się nie słyszeć jej ujadania. Jak zahipnotyzowany ruszył ku wieszakowi, z którego zwisała mokra jeszcze od deszczu czerwona kurtka. Opadł na stojący w rogu fotel z przeciągłym jękiem. Odetchnął głęboko.

– Nic nie rozumiem – wymamrotał do siebie.

Podbiegłem do Solańskiego i władowałem mu się na kolana. Zaczynałem obawiać się o stan jego umysłu. Liznąłem go w pokiereszowany nos i pobladły policzek. Znowu zastanawiałem się, kto mu tak przemeblował facjatę. I czy teraz to na moich barkach spoczywała konieczność wzięcia odwetu na nieznanym mi napastniku. A jeśli okaże się, że to jakiś Adamek albo inny Gołota? Co ja wtedy

poczną? Już się cały zestrachałem, ale nie dane mi było poużalać się nad sobą.

Od strony pubu zdążyła ku nam jakaś drobna postać. Trudno mi było przy mojej zaćmie stwierdzić, czy to chłopak, czy dziewczyna. Ostrzyżone to było na pazia, ubrane w džinsy, sylwetkę miało nie nazbyt wysoką, za to chudą. Człowieczyzna trzymał ręce w kieszeniach spodni, głowę zwieszał smutno. Minął nas bez słowa i sięgnął po kurtkę, która tak bardzo zainteresowała Solańskiego. Narzucił ją sobie na grzbiet.

Szymon poderwał się z fotela, zrzucając mnie brutalnie ze swych kolan. Nie zważył nawet na to, że już zacząłem zapadać w drzemkę. Postanowiłem, że gdy tylko wrócimy do Polski, niezwłocznie naskarzę na niego w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami.

Tymczasem Solański stał z rozdziawioną gębą i gapił się na tego w czerwonej katanie.

– Pani Kelly, skoczę do Spara, bo herbata się skończyła! – zawołał obserwowany przez nas osobnik, który – sądząc po głębokim, niskim głosie – musiał być jednak mężczyzną.

No i znowu, tak jak to ostatnio było w zwyczaju, wszystko zaczęło dziać się naraz. Po pierwsze, Solański dopadł do chudzielca. Szarpnął go za rękaw i z szaleństwem w oczach począł się dopytywać, czy ta kurtka należy do niego. Koleś odskoczył od Szymona, za to wpadł w macki Aoife, która perorowała po swojemu.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś w hurtowni robił większe zakupy? Przecież wiesz, że ci zdiercy w Sparze korzystają z monopolu, jaki mają na wyspie, i windują ceny pod niebiosa – zrzędziła. – Poza tym przy tej pogodzie nie dojedziesz do Kilronan!

Tyradę mamusi Kelly przerwała jej córka, spadając z krzesła pod ladę recepcji. Majtała w górze serdelkowatymi nogami, a lakier do paznokci wypływał z buteleczki różowym strumieniem na już przeze mnie

ochrzczonego dywan. Chciałem zauważyć głośno i dobitnie, że skoro tak, to się teraz będziemy z panią młodszą Kelly musieli podzielić fifty-fifty kosztami czyszczenia chodnika. Sprawiedliwość przede wszystkim. Nikt się już jednak nie zamartwiał dywanem, bo Solański rozdarł się jak stare gacie.

– Milczeć! – wrzasnął raz a dobrze.

Wszyscy stanęliśmy jak te trusie i patrzyliśmy na niego z obawą, że postradał zmysły. Do naszej czeredy dołączyło jeszcze trzech gapiów. Z piętra spoglądał starszy pan, którego już wcześniej widzieliśmy. Obok niego pojawił się jakiś jaskiniowiec. Przynajmniej na takiego mi wyglądał z tą swoją brodą do pasa i długimi kłakami.

Od strony pubu przybył nasz rodak. Jakim cudem od pierwszego kopa rozszyfrowałem pochodzenie mężczyzny, spytałem. Prosta sprawa. Facet przejawiał wszystkie olfaktologiczne cechy świadczące o tym, że urodził się pod flagą biało-czerwoną. Zalaatywał mianowicie: potem, noszonymi trzeci dzień z rzędu skarpetami, piwem, kiełbasą śląską i wylanym na to wszystko hojnie old spice'em. Do tego koleś prezentował się, jakby dopiero teraz załapał, że druga wojna światowa dobiegła już końca, i postanowił wyjść z lasu, w którym od tamtej pory się ukrywał. Miał na sobie spodnie i kurtkę moro. Na głowie, jako tę wisienkę na torcie, nosił kapelusik, z którego wystawało piórko. Generalnie wyglądał mi na czubka, jak to się niezbyt poprawnie politycznie mawia.

– Czy ktoś z was widział dzisiaj Kasię? – dał wreszcie głos mój pan.

Choć nie miałem pojęcia, dlaczego Solański jest aż tak przejęty, zdawałem sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś strasznego.

– Te, koleś, co tak wrzeszczysz? – dopytywał się po polsku nasz aromatyczny krajan.

Solański obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i przyjrzał się łachmycie.

– Widział pan Kasię? – Tym razem zadał pytanie po polsku, bo wersji angielskiej facet najwyraźniej nie rozumiał.

– No. A co? – zainteresował się mężczyzna.

– Kiedy i gdzie? – Solański aż się gotował ze zniecierpliwienia. Pomyślałem, że jakby mu rozbić jajko na głowie, to można by liczyć na sadzone.

– Jakiś czas temu – oznajmił ze wschodnim akcentem Polak. – Poszła na pole. Aż się dziwiłem, że w taką pogodę chce jej się wychodzić – rozgadał się.

– W co była ubrana? – Solańskiemu krew odpłynęła z twarzy.

– A, o w to! – Kiełbasiany smakosz wskazał na kurtkę mikrusa.

Irlandzka część naszych rozmówców zniecierpliwiała się niezrozumiałą dla nich długą wymianą zdań, Solański musiał więc wszystko przetłumaczyć. Gdy wreszcie dotarło do nich, o co chodzi, posiadacz czerwonej kurtki pobladł tak samo jak Szymon. W tym kolorystycznym zestawieniu przywodził mi na myśl nasze barwy narodowe.

– Mamy prawie takie same kurtki. Dlaczego pytasz? – Udzieliło mu się zdenerwowanie Solańskiego.

– Dlatego, że identyczna wiatrówka zwisa z klifu na Dún Aengus – odparł detektyw.

Mężczyzna zacisnął dłoń na ramieniu detektywa. I osunął się na zapaskudzony dywan.



Jedynе światło w salonie padało od rozpalonego kominka. Solański najchętniej by go zagasił, ale wiedział, że to nie czas ani miejsce na uleganie swoim fobiom. Na wszelki wypadek spytał jednak Siobhan, gdzie znajdzie gaśnicę. I poszedł sprawdzić, czy nie jest aby przeterminowana.

Okiennice były pozamykane w obawie przed zniszczeniami, jakich

mogłaby dokonać sztormowa pogoda. Sean Gallagher leżał na pluszowej czerwonej kanapie i trzął się pod kocem, którym otuliła go Siobhan. Wokół zgromadzili się wszyscy mieszkańcy Kelly's B&B.

W rogu pokoju na pufie siedział jedyny turysta, który zawędrował poza sezonem na to odludzie. Pierre Dupy skubał się po bujnej brodzie odzianą w skórzaną rękawiczkę dłonią.

Obok niego spoczął Władek Król. Ten uchodził w pensjonacie za złotą rączkę, ale i tak większość czasu spędzał w pubie.

Za nakrytym haftowanym obrusem stołem usadowiła się Aoife Kelly. Ze zniecierpliwienia kopała miarowo w nogę ławy. Siobhan krążyła między salonem a kuchnią, wciąż donosząc kawę i herbatę.

– Ale jej nie widziałeś? – Sean dopytywał Solańskiego.

Detektyw usadowił się w miękkim fotelu i ukrył twarz w dłoniach. Na dworze powoli zapadał zmrok. W wieczornej szarówce, zintensyfikowanej dodatkowo przez zasnuwające niebo chmury, widoczność sięgała kilku metrów. Dotąd też nie przywrócono prądu na wyspie. Telefony nie działały. Poruszania się po drogach nie ułatwiały, jak zazwyczaj, smugi światła padające z okien mijanych domów. Lampy naftowe, w które była zaopatrzona tutejsza ludność, od zawsze przygotowana na kaprysy atlantyckiej aury, wytwarzały jedynie słaby, przydymiony blask.

Solański wyprostował się i spojrzął na zegarek. Miał nadzieję, że sierżant Murphy wkrótce się zjawi. Mąż Aoife, John, pojechał po niego, gdy tylko detektyw wyjawiał swoje podejrzenia.

Słaniającego się na nogach Seana musieli wspólnymi siłami zawlec do salonu. Pilnowali, by nie wymknął się na dwór w poszukiwaniu Kasi.

– To moja dziewczyna! Muszę wiedzieć! – Gallagher ponaglił Solańskiego.

– Jej nie. Tylko kurtkę – powtórzył detektyw.

Gucio wgramolił się na kanapę i położył Seanowi na nogach. Siobhan



podawała barmanowi parującą herbatę z mlekiem.

– To na pewno nie Kasia! Tylko jakiś skrawek materiału! – Sean trzęsącymi się rękami próbował utrzymać kubek. Gorący płyn chlapnął mu na ubranie.

– W takim razie gdzie ona jest? – zapytał cicho Solański.

Obydwaj wiedzieli, że Kasia nie miała sposobności, by wydostać się z wyspy przy tej pogodzie. A gdyby poszła kogoś odwiedzić albo na zakupy, dawno by już wróciła. Żaden z nich nie odważył się jednak wypowiedzieć ponurych myśli na głos. Przedłużającą się ciszę, znaczoną jedynie stukotem deszczu o okiennice, przerwał odgłos kroków w korytarzu. W progu stanął Pat O'Connor, ocierając wodę z twarzy.

– A ty tu czego? – zdziwił się Solański.

– Podwiózł nas swoim bussem. – Za plecami O'Connora stanął sierżant Murphy. – W radiowozie skończyła mi się benzyna. A Johnowi znów nawalił silnik. – Klepnął w ramię starszego pana, który pokręcił tylko głową i bez słowa ruszył wolnym krokiem na piętro. – Nas? – Solański pełen był najgorszych przeczuć.

– A bo co? – Zza drugiego ramienia Pata wychyliła się Róża. Gucio zeskoczył z kanapy i podbiegł do niej, merdając ogonem. – Masz niepowtarzalną okazję złożyć na mnie skargę organom ścigania – dodała po polsku.

– A co zrobiłaś?

Róża nie zdawała sobie sprawy z tego, że w salonie znajduje się też Władek Król. Stary pijus ucieszył się, że wreszcie ktoś przemawia w jego ojczystym języku.

– Nie twój interes – uciął Solański. I spąsował.

Na rekonesans do fortu mieli się wybrać tylko sierżant Murphy i Solański. O'Connor pożyczył im busa, by podjechali pod Dún Aengus. Ubrali się w przeciwdeszczową odzież. Wzięli ze sobą latarki.

– Idę z wami! – Róża miała naturalnie swój własny pogląd na sprawę.

- Nie ma mowy – odpowiedzieli chóralnie Solański i Murphy.
- Przynajmniej w jednym się zgadzamy – mruknął Szymon.

Znał jednak Kwiatkowską dobrze i wiedział, że gdy tylko wbije sobie coś do głowy, nie ma siły, by jej to wyperswadować. Wyszli więc przed B&B w trójkę.

Bus O’Connora pochodził mniej więcej z tej samej epoki co jego Łódź. A prezentował się, jeśli to możliwe, jeszcze gorzej. Przerdzewiała karoseria, porozpruwane skajowe siedzenia, charczący ostatnim tchnieniem silnik i wyliniały miś zwisający z lusterka. Obraz nędzy i rozpacz.

– Choinkę by sobie kupił – mruknął Solański, przetrącając maskotkę. – O zapachu kokosowym.

– Do malucha – mimowolnie dodała Róża i zaraz zacisnęła usta, karcąc się w myślach. Filmowe skojarzenie było jednak silniejsze od urażonej dumy.

Solański łypnął na Kwiatkowską i uśmiechnął się pod przekrzywionym przez nią nosem.

– Co ci się stało w nos? – zagadnął Szymona Murphy, pakując się za kierownicę.

Solański udał, że nie słyszy. Spoglądał w mrok przez zapaćkaną szybę. Zgrzytał zębami, znajdując w tym odrobinę ukojenia.

Podróż nie trwała zbyt długo. Zatrzymali się przy jednym z krytych strzechą domków, które już wcześniej mijał Solański. W milczeniu wspięli się na klify. Okoliczności nie sprzyjały rozmowom. Przy swojej poprzedniej wizycie na Dún Aengus Szymon sądził, że pogoda jest fatalna. Teraz zweryfikował wyobrażenia o nieprzychylniej aurze. Róża, Szymon i Liam musieli chwycić się za ręce, by uchronić się przed upadkiem. Zgięci wespół przesuwali się powoli w stronę krawędzi klifu. Róża szła w środku, miała więc obie ręce zajęte. Mężczyźni trzymali w dłoniach zapalone latarki. W przecinających ciemność łunach

migotały strugi deszczu.

Wreszcie znaleźli się na tyle blisko, że mogli przykucnąć i na czworakach podczołgać się na skraj urwiska. Solański wskazał im, w którym mniej więcej miejscu widział kurtkę. Róża i Szymon usiedli na kamieniach. Murphy położył się na brzuchu. Jego towarzysze chwycili go za nogi, a on wyjrzał za skraj klifu.

Solański pomyślał, że bardzo chciałby się mylić. Po chwili Murphy zakończył obserwację. Jego twarz była śmiertelnie blada.

– I co? – Róża próbowała przekrzyknąć wicher.

– Jest też... – odparł policjant – ...ciało. Na półce skalnej – rzekł, a potem bez ostrzeżenia zwymiotował sobie na kolana.

To był pierwszy trup, jakiego w swojej policyjnej karierze ujrzał sierżant Liam Murphy.



Solański znowu zostawił mnie z obcymi, gadającymi w nieznanym mi narzeczu ludźmi. Amerykański angielski to ja jeszcze rozumiałem. W końcu niejeden serial się z Różyczką obejrzało na streamingu. Ale tej tutejszej bałaki ni w ząb nie potrafiłem skumać. Zamiast „trzydzieści jeden” mówili *torti łon*. Torty to ja lubiałem, ale który to ten łon, tego akurat nie wiedziałem. Słowo „dużo” brzmiało w irlandzkich ustach jak, nie przymierzając, „mocz”. A do tego wtrącali całą masę gaelickich słówek, o których nawet najstarsi górale nie słyszeli, a co dopiero ja.

Próbował się ze mną zakolegować wielbiciel militariów, Władek, ale chyba jednak prędzej dogadałbym się z tymi Irolami.

– I co, psiajucha? – przemówił do mnie Król, szczerząc się w uśmiechu przypominającym klawiaturę fortepianu. Z tym że więcej było czarnych klawiszy niż białych. – Przerobiłbym cię na kiełbaski! – rzekł i poklepał mnie po zaokrąglonym boczku.

Na takie wyznanie dałem nura pod fotel i nie zamierzałem opuszczać

kryjówki do czasu, aż mój jaśnie pan pojawi się na horyzoncie.

Nie pierwszy raz obserwowałem u siebie zdolności telepatyczne. Ledwo pomyślałem o Solańskim, a on cały mokry i zziębnięty wszedł do salonu. Za nim człapali ociekający wodą Róża i sierżant Murphy. Ten ostatni wyglądał najgorzej z całej trójki. Bładziutki był jak jakie niebożę, a do tego upaprał sobie mundur dzisiejszym jadłospisem, zwróconym światu w nieco naruszonym stanie.

Na ich widok z kanapy poderwał się Sean Gallagher. Stał na środku pokoju w niemym pytaniu. Nasi wywiadowcy nie musieli jednak nic mówić. Ich miny świadczyły o tym, że nie przynoszą dobrych wieści. Sean padł na kolana i rozplakał się jak dziecko. Siobhan kucnęła przy nim, wzięła go w objęcia, a on łkał w jej obfity biust. Reszta towarzystwa spuściła nosy na kwintę.

Murphy zniknął w korytarzu z komórką przy uchu. Po chwili wrócił, międląc pod nosem przekleństwa.

– Nie ma zasięgu. – Odkrył Amerykę. – Nic nie poradzę. – Podrapał się po czuprynie. – Trzeba będzie poczekać, aż się pogoda poprawi. Wtedy wezwę posiłki. Sami też już nie będziemy chodzić do fortu. To zbyt niebezpieczne, a i tak nic tam nie wskóramy.

– I co ja teraz zrobię?! – zastanowiła się Aoife Kelly.

– Kasia była pani bliska? – zapytał ten rozczochraniec, Pierre Dupy, który do tej pory nie puszczał pary z pyska.

– Nie! – rzekła Aoife z obrzydzeniem. – Kto mi tu teraz będzie sprzątał? – wyjawiała clou swych zmartwień.

– Mamo! – upomniała ją córka, bo Sean znów uderzył w szloch.

– Może pójdziemy się rozejrzeć chociaż wkoło domu – zaproponował Solański temu policjantowi z bożej łaski, który zamiast przystąpić do akcji, wlepił maślany wzrok w Różę.

– Rozejrzeć za czym? – zdziwił się stróż prawa.

– Za śladami.

– Śladami? – dopytywała dalej ta niemota. – Chyba nie myślisz... – Urwał i wybałuszył gały w wyrazie przerażenia. – To był nieszczęśliwy wypadek! – podniósł głos.

– Był albo nie był – odparł Solański w duchu szekspirowskim.

Nie czekając na policjanta, sam ruszył do wyjścia.

Dosyć już miałem tego odstawiania mnie na boczny tor. Skoczyłem więc na równe łapy (na ile zezwalały mi na to moje chore stawy oraz wrodzony wstręt do wysiłku fizycznego) i pogałem za panem. W nasze ślady polazł sierżant Murphy, a za nim Róża.

Człowieki znów poubierały się w ciuchy, które już zdążyły rozwiesić po kaloryferach. Z góry uznałem to za manewr skazany na porażkę. Z tego, co dojrzałem przez szparę w okiennicach, prowokowany przez wichurę deszcz padał jakoś tak poziomo. Byłem pewny, że dostanie im się nawet pod kalesony.

Solański otworzył drzwi wejściowe. Wiatr z miejsca wyrwał mu je z rąk i trzasnął nimi o ścianę, rzeźbiąc na wysokości klamki wgłębienie w elewacji. Obejrzałem się, by sprawdzić, czy nie stoi za nami ta heksa Aoife. Zaraz dopisałaby nam ten uszczerbek do rachunku. Na szczęście zniknęła gdzieś w czeluściach swoich włości.

Ruszyliśmy gęsiego wzdłuż domu. Teren wokół B&B przypominał wielkie mokradła. Na upartego Kelly mogła dopisać te bagna do atrakcji oferowanych przez hotel i ukryć je pod hasłem: „Kąpiele błotne w arańskim spa”

Jedynie wąski pas ziemi tuż przy domu, który skrył się pod przedłużoną połacią dachu, był jako tako utwardzony. W każdym razie można było po nim stapać, nie zapadając się po kokardę w brei.

Przyśpieszyłem, by znaleźć się tuż za Solańskim. Ten zatrzymał się jednak gwałtownie, przez co zaryłem czołem w jego łydkę. Na plecy Szymona wpadł Murphy, a na Murphy’ego Różyczka. Nasz korowód jedynie cudem uniknął zbiorowego lądowania w grzędawisku. Z trudem

utrzymaliśmy równowagę, wygrywając walkę z podstępą grawitacją. I powiedzieliśmy Solańskiemu do słuchu.

– Chcesz mnie zabić? – zapytałem swego pana.

– O co chodzi? – dopytywał się Murphy.

– Jak leziesz? – warknęła Róża.

Znajdowaliśmy się z tyłu domu. Od tej strony do głównego budynku przyrastała dobudówka, zwana tutaj podobno *granny's flat*. „Mieszkanie babci” stanowiło w rzeczywistości coś na kształt działkowej altanki z osobnym wejściem, zapewniającej protoplastom rodu odrobinę prywatności. Choć, gdybyście mnie spytali o zdanie, tobym wam powiedział, że ta buda, w której teraz pomieszkiwał nieszczęsny Władek Król, miała raczej odseparowywać dziadka z babcią od reszty domowników. Zastanawiałem się, czy trzymali ich tam na łańcuchach.

Tymczasem Solański stał jak ten słup wysokiego napięcia i gapił się pod nogi. Przykucnął i ślepił dalej. Przepchnąłem się obok niego i też się zapatrzyłem, choć nie za bardzo wiedziałem, na co filujemy. Jedyne, co udało mi się dostrzec, to odcisk w ziemi, jaki mógłby pozostawić słoń, względnie wielkostope yeti.

Pośrodku śladu wyryty był kształt rombu.



Solański zatęsknił za nudą życia prywatnego detektywa z deficytem zleceń. Wydawało mu się, że w podróż do Irlandii wyruszył wieki temu. A przecież odkąd wsiadł do swojej skody zaparkowanej pod kamienicą na 11 Listopada, minęło zaledwie kilka dni.

Przed kwadransem wrócił z obchodu okolicy. Nie podzielił się swymi spostrzeżeniami z tą parą działających mu, nie wiedzieć czemu, na nerwy gołąbków. Zadekował się w pokoju, który wynajął w Kelly's B&B.

Lokum przypominało mu mieszkanie jego babci. Podwójne łóżko, którego nie miał z kim dzielić, było nakryte kwiecistą kapą. Poszewki na poduszki obszyto falbanami, a w oknach zawieszono długie, ciężkie zasłony. Ściany obito boazerią. W kącie stał fotel w kwiatki pasujące do narzuty. Nad nim zawieszono małą półeczkę, na której stały: czajnik, kubek i opakowanie herbaty ekspresowej Loyd.

Solański pstryknął włącznikiem, ale przypomniał sobie, że nie ma prądu. Z plecaka wyciągnął butelkę dżinu. Uznał, że będzie musiał obejść się bez toniku. Ustawił na stoliku nocnym talerz z kanapkami, które wydedbił od obrażonej na cały świat Aoife.

Jego zdaniem Kelly powinna się cieszyć. Przez sztorm, który za oknem szalał w najlepsze, miała w B&B pełne obłożenie. A na to zazwyczaj nie mogła liczyć o tej porze roku. Solański, O'Connor, a także Róża z sierżantem Murphym nie mieli wyjścia, musieli przenocować w hotelu. Wychodzenie na dwór byłoby w tej chwili szaleństwem. Szymon przypuszczał zresztą, że zanosilo się na dłuższy pobyt.

Solański z premedytacją i cichą a złośliwą satysfakcją zarezerwował, skoro już miał taką możliwość, ostatni pokój z podwójnym łóżkiem. Zakochanej parze pozostało ulokować się na dwóch pojedynczych i wąskich, niedających się zsunąć, pryczach. Liam nieśmiało proponował nawet Solańskiemu zamianę, jednak ten zatrzaskał policjantowi drzwi przed nosem.

Zadowolony z siebie położył się na skraju łóżka. W poprzek uwalił się Gucio i nie zamierzał ustąpić panu miejsca nawet o milimetr. Solański chciał jeszcze przed snem poczytać listy, które dał mu Czesław Koszycki, jednak było zbyt ciemno, by rozróżnić litery wypisane atramentem na pożółkłym papierze. Siobhan wręczyła mu wprawdzie metalowy lichtarzyk z trzema świecami, ale Szymon nie zamierzał z niego korzystać.

Dla pewności zerknął jeszcze na komórkę. Nie zobaczył kreski

z zasięgiem. Tak po prawdzie było mu to chwilowo na rękę. Nie wiedział, jak miałby poinformować Koszyckiego o tym, że jego wnuczka nie żyje. I że najpewniej ktoś ją zamordował.

Solański nie wierzył w nieszczęśliwy wypadek. Dziewczyna nie była głupia. Nie miała powodu, żeby w taką pogodę urządzać sobie spacery skrajem klifu. Szymon musiał dowiedzieć się prawdy. Tyle był winien dziadkowi.

Usnął, kołysany do snu pohukiwaniem wiatru i dudnieniem zacinającej ulewy.



Obudził się z uczuciem, jakby nie przespał nawet minuty. Gucio stał przy drzwiach i drapał we framugę. Solański zerknął na zegarek, którego wieczorem nie zdążył nawet ściągnąć z przegubu lewej dłoni.

– Stary, litości! – przemówił do psa, obracając się na drugi bok.

Wiedział jednak, że nie ma sensu odwlekać nieuniknionego. Gucio był jak terrorysta. Z nim się nie negocjowało. A poprzedniego dnia Aoife zdążyła zagrozić Szymonowi, że jeśli pies nabrudzi bądź, nie daj Boże, zniszczy coś w jej hoteliku, Solański będzie narażony na koszty porównywalne z tymi, które musiałby ponieść przy budowie B&B od fundamentów.

Zwłóknął się więc z łóżka. Wziął trwający bite dwie minuty prysznic. Podczas mycia zębów poparzył się wrzącą wodą buchającą z jednego kurka. Ten drugi, z zimną, przymocowano pół metra dalej. W rezultacie takiej myśli architektonicznej w żaden sposób nie można było uzyskać wody letniej. Wóz albo przewóz.

Solański naciągnął na grzbiet wyszarpaną z plecaka odzież, zapiął Guciovi smycz i zeszedł razem na parter.

Zdawało mu się, że po wczorajszych wydarzeniach o tej porze dom będzie pogrążony w ciszy. Tymczasem najwyraźniej morderstwo



odebrało całemu towarzystwu sen. Z kuchni dochodziły smakowite zapachy smażonego śniadania. Od strony pubu można było dosłyszeć pobrząkiwanie szklanek.

Solański nasunął kaptur na głowę i wyszedł na zewnątrz. Pogodzie ani trochę nie znudziło się dokuczanie mieszkańcom Inishmore. Wciąż lało i wiało. Kałuże pokrywające teren wokół B&B zrobiły się jeszcze większe. Guccio cofnął się na ten widok.

– Nie ma zmiłuj – poinformował go Solański, za co został obdarzony obrażonym spojrzeniem.

Wyskoczyli na deszcz. Pies zakręcił się wokół własnej osi. Zrobił, co miał zrobić, i już stał pod drzwiami, żądając natychmiastowego powrotu w ciepło domowego ogniska. Solański stał jeszcze przez chwilę i wpatrywał się w horyzont. Daleko przed sobą widział szalejący ocean. Poprzetykane kamiennymi murkami pola były zupełnie puste. Krowy i owce pochowały się w oborach. Stalowe, nisko zawieszone niebo przypominało kolorem oczy Solańskiego.

Szymon usłyszał za sobą zniecierpliwione szczenięcie. Zawrócił.

– Jakim cudem działa ogrzewanie? – zagadnął Aoife, która rozstawiała talerze na stołach w pubie. W porze posiłków zamieniano go w stołówkę.

– Agregat prądotwórczy – wysyczała przez zęby Kelly. – Nawet nie wiesz, ile to kosztuje! – dodała oskarżycielsko, jakby to Solański był winny załamania pogody.

Na wysokim stołku barowym już siedział Władek Król i wcielał w życie starą prawdę, że piwo z rana jak śmietana. Sącył guinnessa, którego polał mu Sean. Gallagher stał za barem i przecierał białą ścierką do naczyń zaczerwienione oczy.

– No, nareszcie ktoś z naszych! – Król ucieszył się na widok detektywa. – Jeszcze chwila i bym nie zdzierzył tego ich całego: *hałjuduyn, hałarfinks*.

Solański zmarszczył brwi.

– Śniadanie gotowe – oznajmiła Siobhan.

Na stołach pojawiły się półmiski pełne parującej jeszcze jajecznicy, sadzonych jaj, skwierczącego boczku, kiełbasek, fasolki, pomidorów i tostów. Solański powoli zaczynał dochodzić do wniosku, że jeśli nie można czegoś usmażyć, w pojęciu Irlandczyków nie zasługuje to na miano jedzenia. Brakowało jeszcze tylko, żeby zaczęli – wzorem Szkotów – opiekać w głębokim tłuszczu batoniki Mars.

Wcześniej nęcące zapachy teraz przyprawiły Solańskiego o mdłości. Choć być może na pogorszenie jego samopoczucia miał wpływ widok, jaki wyrzył się żywym ogniem na jego siatkówce.

W progu prowadzących do pubu drzwi stali Róża i Liam. Uwieszony na Kwiatkowskiej sierżant Murphy obcałowywał ją namiętnie i zapamiętale. Róża poddawała się tym zabiegom bez oporu. Solańskiemu musiało się tylko wydawać, że zamiast skupiać się na pieszczotach, Kwiatkowska co rusz łypała w jego stronę.

Mdławą scenę przerwał Władek Król.

– Bo się porzygam! – wyraził nie tylko swoją opinię. – Człowiek całe życie ciężko pracuje. I co mu z tego? Zero szacunku dla starszych. Tę dzisiejszą młodzież to tylko na odstrzał – głądził.

Róża oderwała się od kochasia. Spojrzała triumfalnie na Solańskiego. Dopiero wtedy obróciła się w stronę Króla.

– Taka ze mnie młodzież jak ty ciężko pracujący, nierobie jeden! – oświadczyła.

– Nierobie, nierobie – gulgotał Władek. – Przecież robię. A że na czarno, to już inksza inkszość. To вина tego babona, że mnie nie zarejestrował. – Wskazał na Aoife, która właśnie weszła z parującym dzbankiem kawy.

– Dach nad głową masz. Na drobne wydatki też. A do tego na benefitach jedziesz – punktowała go Kwiatkowska, która słyszała

o Władku już niejedno. Inishmore była stosunkowo niewielką wyspą. – W Polsce już dawno byś skończył pod mostem. – Zakończyła przemowę.

– Wszystkie jesteście takie wyszczekane – rozgniewał się Król. – Smarkule, rozумы pozżerały.

– Wszystkie? – wtrącił się Solański. – To kto jeszcze?

– No – zająknął się Król. – Ona. – Wskazał na Różę. – I ta cała Kasia też. – Siorbnął resztkę kremowej pianki z kufła i beknął.

– A co mówiła? – drażył Solański.

– Głupoty. Czepiała się, że niby ja tylko siedzę i piję. I że kuroniówka mi się nie należy. Straszyla, że mnie zgłosi temu policyjnemu wypłoszowi – pożalił się, pokazując tym razem na Murphy'ego.

– A należy się? – Solański zmarszczył czoło, aż wyżyłoby mu się w nim trzy głębokie poziome kreski. W duchu pogratulował Królowi trafnego podsumowania sierżanta Murphy'ego.

– A ty co, z urzędu skarbowego? – zniecierpliwiał się Władek. – Każdy orze jak może, jak to mówią. Nie jesteś uchodźcą, to nie wiesz. – Naburmuszył się.

– Emigrantem chyba – poprawił go Szymon. – Gdzie byłeś wczoraj po południu? – spytał.

– To tu, to tam. A co? – zaciekawiał się Władek.

Solański pozostawił go bez odpowiedzi. Usiadł samotnie przy stoliku pod oknem. Gucio skrył się pod serwetą i począł szturchać pana w pizczel w nadziei na łakome kąski. Szymon usadowił się plecami do Róży i Liama, by nie patrzeć na ich umizgi. Słyszał, że sierżant peroruje z tym swoim prowincjonalnym akcentem. Detektyw był święcie przekonany, że Kwiatkowska nie rozumie przynajmniej połowy z wyводу swojego chłopaka. Złapał ją nawet na tym, jak odpowiada Murphy'emu neutralnym *yes, yes*, gdy ten pytał, czy woli, by nalał jej soku pomarańczowego czy jabłkowego. Przyszła mu do głowy myśl, że tym dwojgu nie jest potrzebne porozumienie lingwistyczne.

Wystarczy im język miłości. Wzdrygnął się i od razu przestał podsłuchiwać.

Władek Król spojrział złowrogo w kierunku policjanta i Róży. Splunął pod nogi, za nic sobie mając wyglancowaną przez Aoife podłogę. Podkraść z talerza kiełbaskę, parząc się w palce i używając słów, które jako pierwsze poznają obcokrajowcy pragnący nauczyć się języka polskiego. Wkrótce zatrzasnęły się za nim drzwi wejściowe. Solański zobaczył za oknem jego przygarbioną sylwetkę, przemykającą w deszczu ku dobudówce.

– *Are you love me?* – Mimo woli postyszał zza pleców podniesiony głos Róży. Wstał gwałtownie, przewracając krzesło. Marszowym krokiem podszedł do Kwiatkowskiej i Murphy’ego. Nachylił się nad Różą.

– *Do you* – wysyczał. – *Do! You!* – wrzasnął dla pewności.

I wyszedł z jadalni, nie oglądając się nawet za Guciem.



W naszych śląskich stronach mówi się na takiego, że „piere mu na dekiel”. A Solańskiemu ewidentnie prało na ów dekiel. Chodził nastroszony jak jeżozwierz i bardzo mu się nie podobało, że Róża przytula się do sierżanta.

Szymon nawrzeszczał na Kwiatkowską i wybiegł z jadalni, jakby mu piętę rozżarzone węglem przypalali. Poczłapałem za nim w obawie, że jeszcze sobie krzywdę zrobi. Bardzo się nie pomyliłem. Zaślepiiony wściekłością, nie zauważył Aoife, która wychynęła zza rogu z tacą zastawioną filiżankami. No i było wielkie bęc!

Solański wleciał na Kelly z całej pety. Wyrznął w tacę i klapnął na zad. Porcelanowe naczynia poszybowały w górę i chlasnęły z brzękiem o podłogę. Na szczęście leżał na niej dywanik, do którego degradacji się przyczyniłem, więc nie wszystkie podróby Rosenthala

zdążył szlag trafić. Fakt jednak faktem, że z części zostały jeno marne skorupy. Na ten widok Aoife wczepiła pazury w wyfiokowaną czuprynę i zawyła uszminkowanymi na karminowo ustami.

– Ty idioto! – krzyknęła do gramolącego się z klęczek i macającego po kości ogonowej Solańskiego. – Wy, Polacy, wszyscy tak macie! – zawyrokowała. – Bandziory! Zgrabiacie irlandzkie ziemie! Niszczycie nasze dziedzictwo narodowe! I jeszcze musimy wam płacić!

– Odkupię pani to dziedzictwo narodowe – rzekł Solański, obracając w ręce kawałek rozbitej filiżanki. – Oryginalną porcelanę. *Made in China*. – Przyjrzał się spodowi pojemniczka, na którym wypisano miejsce produkcji. – A tymczasem może opowie mi pani o Kasi?

Aoife strzeliła obrażoną minę i zebrała skorupy z podłogi. Zawróciła w stronę kuchni, a my podążyliśmy za nią. Skoro pani Kelly była tak niemiła dla Solańskiego, uznałem się z automatu rozgrzeszony z tego, że w chwili jej nieuwagi zwędziłem z uchylonego piekarnika trzy kiełbaski. Schowałem się z łupem pod stołem i przeżuwając nieśpiesznie, podsłuchiwałem.

– A co tu jest do gadania? – mówiła Aoife. – Pokojówka jak pokojówka. Zgłosiła się do pracy, przedstawiła CV, z którego wynikało, że ma doświadczenie. Nie patrz tak na mnie. – Przerwała. – Domyślałem się, że zmyślane. Skończyła studia, więc nie podejrzewałam jej o to, że przez pięć ostatnich lat pracowała jako sprzątaczką w warszawskim Hiltonie.

– To czemu ją pani przyjęła?

– A bo te irlandzkie dziewczuchy są strasznie zachłanne. Mniej niż piętnaście euro za godzinę ich nie interesuje. A Kaśce wystarczyło minimum. I tak wysokie – zachnęła się, widząc minę Solańskiego – dziewięć piętnaście od tego miesiąca. Pogłupieli całkiem w tym rządzie.

– Czyli była z niej pani zadowolona? – spytał detektyw.

– A kto tak powiedział? – obruszyła się Kelly. – Nie dość, że sprzątała

po łebkach, pyskowała, jak jej uwagę zwróciłam, to jeszcze kradła! Jak wy wszyscy. – Machnęła Szymonowi upierścienioną ręką przed nosem. – Powinnam ją dawno wywalić na zбитy pysk. Ale człowiek ma dobre serce. – Urwała, zauważywszy, że się zagalopowała.

– Co ukradła? – spytał Solański.

– Pieniądze.

– Zawiadomiła pani Gardę?

– Za rękę jej nie złapałam, to po co miałam policję tu ściągać? Żeby turystów odstraszyć?

– To skąd pani wie, że to ona?

– Znam się na ludziach. I na Polakach też. – Zakończyła Aoife.

Zakrztusiłem się ostatnią kiełbaską i zwróciłem ją na podłogę. „To będzie miała cholera niespodziankę, jak zajrzy pod stolik” – ucieszyłem się.

– Jeszcze jedno – rzucił na odchodne Solański. – Gdzie pani była wczoraj po południu?

– A co to jest, przesłuchanie? – oburzyła się Aoife. – W domu byłam – dodała. – Nie mam nic do ukrycia!

Wycofaliśmy się z Szymonem ze strefy rażenia. Wyszliśmy na korytarz. Drzwi do salonu ktoś zostawił uchylone. Nie byłibyśmy detektywami, gdybyśmy nie wściubili nosów w tę szparę. Na ustawionym tyłem do nas fotelu siedziała jakaś drobna postać. Pochlipywała cicho. Przysunęliśmy się nieco bliżej, by zobaczyć, kto zacz.

Sean Gallagher gapił się nieobecny wzrokiem w wygaszony kominek. Jego splecione w koszyczek ręce drżały na piersi. Broda podrygiwała w rytm niemego szlochu. Byłbym gotów się założyć, że nawet gdybyśmy przeparadowali w pełnej krasie tuż przed jego nosem, i tak by nas nie zauważył. Był pochłonięty własnymi myślami. Coś mi jednak w jego sylwetce nie pasowało. Jakiś drobny szczegół, który umknął mi zaraz po tym, gdy go zauważyłem.

Kiedy pięliśmy się stromymi schodami na piętro, nagle mnie olśniło. Sean nie płakał z rozpaczy. On się najzwyczajniej w świecie trząsł ze strachu.



Solański miał nadzieję, że uda mu się wreszcie połączyć z Czesławem Koszyckim. Wprawdzie jeszcze wczoraj wzdrygał się przed telefonem do starszego pana, ale uznał, że to do dziadka należy decyzja, czy Szymon ma szukać mordercy Kasi, czy po prostu wrócić do domu. W grę wchodziły nie tak znowu małe koszty pobytu na Inishmore. Wszystko, począwszy od kawy, a skończywszy na cenie noclegu, wydawało się Solańskiemu tutaj cztery razy droższe niż w Polsce.

Choć z drugiej strony detektyw miał marne porównanie. Ostatnimi czasy głównie siedział zamknięty w swojej kawalerce, w dzielnicy Chorzowa, w której raczej nie uświadczylby Starbucksa czy też wspomnianych Hiltonów. Z ekstrawaganckich miejscówek co najwyżej można tam było natrafić na zakamuflowany pod szyldem studia masażu najstarszy przybytek świata.

Staął przed swoim pokojem. Już miał wejść, gdy zauważył, że drzwi obok są uchylone. Podglądanie powoli wchodziło mu w nawyk. Sam nie wiedział, dlaczego się skrada. Zamiast zapukać i poczekać na odpowiedź, wsunął się ostrożnie do środka. Pomieszczenie było bliźniaczo podobne do tego, w którym sam nocował. Zastłony zaciągnięto. Mrok rozświetlał jedynie blask komputerowego ekranu, przed którym siedział Pierre Dupy. Solański zrobił krok naprzód. Zdążył jeszcze tylko zobaczyć w rogu monitora biało-niebiesko-czerwoną flagę, zanim grzmotnął jak długi na podłogę. W utrzymaniu tajemnicy, jak i równowagi przeszkodziła mu monstrualnych rozmiarów walizka na kółkach, którą Dupy postawił pod drzwiami.

Pierre ze słuchawkami na uszach dotąd nie był świadomy tego,

że jest szpiegowany. Jednak rumor, którego narobił Solański swoim nadspodziewanie długim cielskiem, nie mógł umknąć jego uwagi. Francuz podskoczył na równe nogi.

– Kurrwa! – rzucił, a Szymon ze złością pomyślał, że to kolejny mądraliński, który postanowił zacząć naukę jego ojczystego języka od najistotniejszych zwrotów. Pewnie go ten cały Król wyszkolił, uznał detektyw. – Co tu rrobisz? – Dupy zapytał po angielsku z przeraźliwym akcentem i chrapliwym francuskim „r” – Nic ci nie jest?

Solański wstał. Zabrał się do ustawiania w pionie przewróconej torby. Dupy odepchnął go jednak i sam zajął się bagażem.

– Nie trzeba – wyjaśnił. – To ciężkie. Dam sobie rradę. – Uśmiechnął się, z trudem przeciągając walizkę pod ścianę. – To strrraszne, co stało się z Kasią – zagadnął i rozsiadł się na łóżku.

Solański zajął jedyny fotel, jaki znajdował się w pokoju. U jego stóp ułożył się Guccio. Pies szybko jednak znudził się bezczynnością i zaczął obwąchiwać kąty.

– Co o niej sądzisz? – zainteresował się detektyw.

– To miła dziewczyna – powiedział. – Była miła – poprawił się. – Myślisz, że ktoś ją... – zająknął się – ...zamorrrodował?

Solański, choć uczył się francuskiego w liceum, teraz miałby problemy z poprawnym przedstawieniem się w tym języku. Jednak odnosił wrażenie, że łatwiej by mu było zrozumieć Dupy’ego w jego ojczystej mowie niż w tej koszarnej wersji angielskiego.

– Po co miałyby się szwendać po klifach? – odpowiedział wymijająco Solański. – W czasie sztormu?

– Więc sądzisz, że ktoś ją tam specjalnie zwabił? I zepchnął?

Solański nie zdążył potwierdzić, że tak właśnie sądzi, ponieważ Francuz poderwał się z miejsca. Drgnął, jakby chciał ruszyć w pogoń, ale po chwili usiadł bez słowa. Szymon podążył wzrokiem w kierunku, w którym spoglądał Dupy. Ujrzał wciśniętego w szparę między łóżkiem



a podłogą Gucia. Na światło dzienne wychynął tylko wielki kudłaty zadek.

– Czy mógłbyś go stamtąd wziąć? – zapytał słabym głosem Pierre.

Solański uniósł brwi. Przykucnął przy swoim podopiecznym.

– Co właściwie tutaj robisz? – zapytał.

– Podrrróżuję po Eurrrropie. W celach naukowych – uzupełnił Dupy.

– A jaka to nauka? – zainteresował się Solański, jednocześnie próbując wyciągnąć opierającego się Gucia spod łóżka.

– Dendrrrologia – odparł. – Co z tym psem? – zniecierpliwił się.

Solański uniósł zwisającą z materaca narzutę i wsunął się pod łóżko obok Gucia. Pies leżał na brzuchu i na zmianę to drapał, to obwąchiwał walizkę identyczną z tą, o którą przy wejściu potknął się Szymon. Detektyw pomyślał, że Francuz musiał w nich trzymać pomoce naukowe. Nie znał się na przyrodzie, więc nawet nie próbował wnikać w szczegóły działalności Dupy’ego. Szymon wreszcie siłą wyciągnął psa z kryjówki. I zastanawiał się, dlaczego Pierre jest taki zdenerwowany.

## Rozdział 4

*Sula predicts an doras a innkeeper dteach aréir rain.*

*Przed drzwiami swego szynku oberżysta przepowiada deszcz.*

Sztormowi wszystko było jedno, czy to dzień, czy noc, i o każdej porze naparzał z taką samą intensywnością. Zdawało mi się, że nikt oprócz Solańskiego i Seana nie przejął się specjalnie śmiercią Kasi. No może trochę Siobhan, która snuła się po B&B z nosem na kwintę.

Kolejne próby dodzwonienia się do komendy Gardy w Galway spełzły na niczym. Nie było sygnału. Wyglądało na to, że Solański musiał sam wyjaśnić upadek Kasi Walasek z fortu Dún Aengus. Sierżant Murphy na nic się tu zdawał. Rzeczywiście nic nie mógł zrobić, dopóki pogoda choć w miarę się nie uspokoi. Poza tym wiedziałem, że Szymon wolał nie mieć z nim do czynienia, o ile nie musiał. Czuł do faceta antypatię, choć pewnie sam nie zdawał sobie sprawy z powodów takiego stanu rzeczy.

Ja go tam rozumiałem. Też nie kochałem wszystkich jednakowo. Na przykład nie znosiłem, co następuje: listonoszy – bo budzili mnie z przedpołudniowej drzemki, dzwoniąc jak do pożaru, hasiomaszkienników (to po naszymu ci, co grzebią w śmieciach) – bo się nie chcieli ze mną nigdy dzielić swoimi znaleziskami, urzędników – bo kto by ich tam lubił, hycli – chyba nie muszę wyjaśniać dlaczego, strażników miejskich – jak wyżej, no i przede wszystkim weterynarzy.

A w szczególności tego konowała Dłutki.

No a Solański nie lubił sierżanta Murphy'ego. *De gustibus non est disputandum*, sami rozumiecie.

Tkwiliśmy więc w Kelly's B&B i aż pożałowałem sardynek w puszcze, bo zrozumiałem ich męki i niedolę klaustrofobika. Po naszych porannych – trzeba przyznać, nieco nieudolnych – działaniach śledczych skubnęliśmy obiadu i zamknęliśmy się w swoich czterech ścianach. Wciąż nie mogliśmy dodzwonić się do Koszyckiego. Wleźliśmy więc na łóżko i umościliśmy się na podusiach. Solański wyjął wojenne listy. Pojąłem więc, że przysłała pora na naszą murzyńską pierwszą czytanekę.



*Kołubanka, 6 grudnia 1941 roku*

*Kochany Braciszku!*

*Pamiętasz te czasy, gdy chodziliśmy na sanki pod Sokoła? Mama wkładała nam idiotyczne spodnie z klapą na pupie. Wdrapywaliśmy się na szczyt góry, kładliśmy się na brzuchach na przytwierdzonych do metalowych płyt nieoheblowanych deskach i pędziliśmy co sił prosto w budynek kina. Te klapy nam się otwierały, ukazując światu nasze odmarznięte czerwone tyłki. Potem jeszcze za byle przewinę Matka dokładała swoje ojcowskim pasem i już w ogóle wyglądaliśmy jak pawiany. Przypominam sobie, że po całym dniu tych śnieżnych zabaw wracaliśmy do domu przemarznięci do szpiku kości. Ledwo utrzymywaliśmy w zeszywniałych palcach sznurek, za który ciągnęliśmy sanki. Wydawało mi się wtedy, że już bardziej ziębnąć nie sposób.*

*No to teraz wyobraź sobie minus pięćdziesiąt stopni. Wody Samary zamarznęte na kamień. To potężna rzeka, a jednak bezbronna w obliczu tak niehumanicznych temperatur. A te w grudniu*

stanowią tutaj codzienność. Żeby się jakoś rozruszać, nie zamienić się w lodowe pomniki, chodzimy na Samarę, by się poślizgać. Odnaleźć w sobie radość czasów dzieciństwa. Oczywiście żadnych łyżew nie mamy. Ale zelówki w zupełności wystarczają.

Zadbano o nas. Dostaliśmy nowe mundury. Ciepłejsze, pikowane spodnie i także kurtki z szerokimi skórzanymi pasami. Wysokie buty, rękawice i czapy z kozucha. Całkiem podobne do tej, którą miał nasz Tato. Galanci z nas teraz chłopcy. Jednak wierz mi, orenburska zima nie z takimi fatałaszkami sobie radziła. Co ja bym dał, żeby znowu „marznąć” w naszym dębickim parku. Pusty śmiech mnie ogarnia, gdy pomyślę, jakie kiedyś miewałem problemy.

Tęsknię za domem. Nie tylko za Rodziną, ale nawet za samym budynkiem. A przecież ta nasza chałupa to wcale nie były żadne luksusy. Jednak w porównaniu z warunkami, jakie mamy w obozie, mogłaby uchodzić za królewską rezydencję.

Nasze namiotowisko jest otoczone ze wszystkich stron gęstym lasem. Na ogrodzony teren wchodzi się przez okazałą bramę. Środkiem obozowiska biegnie droga. Po każdej jej stronie rozciąga się obszerny plac. Na jednym z nich wbiliśmy w ziemię maszt z polską flagą.

Generał utworzył w ramach naszej armii Pułk Lotniczy. Chciałbym do niego przystąpić. Wyszkolić się na obserwatora. Skoro mam już walczyć, to niech to będzie spektakularna walka. Z nieba. Pragnę poczuć ten wiatr we włosach, łaskotanie w brzuchu, sprzeciwić się sile grawitacji. Spełnić swój sen o Ikarze. Czyż nie byłoby pięknie?

Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że nasza eskadra, choć przepiękna bojowym duchem, w porównaniu z profesjonalnie przygotowaną armią wroga może jedynie budzić śmiech

*politowania. Niby Rosjanie i Brytyjczycy mają nas zaopatrywać w najpotrzebniejsze rzeczy, ale cała ta pomoc okazuje się niewystarczająca. Mróz i niedobory żywności robią swoje. Codziennie stajemy w kolejce po prowiant. I każdego dnia jest go coraz mniej, coraz marniejszej jakości. Do tego do niektórych żołnierzy dołączyły ich rodziny. Siłą rzeczy musimy utrzymywać cywilów. Kto by odmówił matkom, dzieciom i starcom?*

*Ta dobroczynność ma jednak swoją cenę. Kolejni żołnierze padają z wycieńczenia. Wczoraj umarł mój kolega. Stasiek był przez kilka dni w szpitalu ewakuacyjnym, ale nie zdołali go wyratować. W sumie do końca nie wiadomo, jaka była bezpośrednia przyczyna śmierci. Pochowaliśmy go na tutejszym cmentarzu razem z dwunastoma innymi wojakami. Chłopaki nie mają nawet porządných grobów. Nie znajdziesz tu lśniących tablic z wrytymi na złoto napisami typu: „Porucznik Stanisław Czyżewski. Poległ ku chwale Ojczyzny”. Nic z tego. Kopczyk z ziemi i wbity w nią prosty drewniany krzyż. Tylko na tyle możemy liczyć.*

*Na szczęście już niedługo ruszamy. Oby jak najdalej od tych nieprzystępnych ziem. Byle bliżej domu.*

*Całuję.*

*Wasz nieustająco  
Milek*

Zdażyłem doczytać list do końca, a nawet i zdrzemnąć się przez chwilę, gdy błogi spokój zakłóciły nam jakieś ryki dobiegające spod podłogi. Skoczyłem na równe nogi, ale szybko straciłem równowagę na miękkim materacu. Klapnąłem więc na tyłek i zawyłem w przestworza. A przynajmniej w wymagający (tak na marginesie) odmalowania sufit.

Za oknem było już zupełnie ciemno. Wieczór przylazł, choć nikt go

nie zapraszał. Niebo wciąż wyplakiwało się za wszystkie czasy.

Solański zwłóknął się z wyra, a ja za nim. Wybyliśmy z pokoju, by sprawdzić, skąd ten hałas. Dudniło jakoś tak rytmicznie, coraz głośniej, w miarę jak schodziliśmy w dół. Zaserwowany nam jazgot przypominał mieszankę odgłosów: tłuczone podczas małżeńskiej kłótni talerze z dźwiękiem paznokci skrobiących po tablicy. Możecie sobie wyobrazić, że resztki zębów mi drętwiały. Dobrze, że Dłutko wykrył u mnie postępującą głuchotę, bobym raczej nie zdzierzył tej kakofonii w wersji *full*. Solański zatkał sobie uszy dłońmi i krzywiąc swoją porośniętą już więcej niż trzydniowym zarostem twarz, otworzył kopniakiem drzwi do salonu.

Kociokwik przybrał na sile. Odnaleźliśmy wreszcie jego źródło.

Na kanapie, przyodziana w piżamę z owcami na pełnej serduszek łące, leżała Siobhan Kelly. Głowę miała odchyloną do tyłu. Prezentowała gardziel, z której wystawało coś na kształt jabłka Adama. A może był to tylko drugi podbródek? Nogi przypominające doryckie kolumny rozłożyła na stoliku kawowym. Aż się zestruchałem, czy się toto nie zawali pod tym nadspodziewanym ciężarem. Obleczonymi w jakieś onuce stopami zasłaniała stojący po drugiej stronie ławy telewizor włączony na cały regulator. To właśnie on darł ryja. Na ekranie migąła na niebiesko scena z wielką literą X, a dalej było napisane coś o jakimś Factorze. Nie wiedziałem, kto zacz i czy to on ponosi odpowiedzialność za te pienia zarzynanej zwierzyny. Ale gdybym się z nim spotkał kufa w kufę, wierzcie mi, biada panu Factorowi!

Siobhan dzierżyła w dłoni do połowy pustą (wersja dla sceptyków) butelkę wody ognistej i szklanym wzrokiem wgapiała się w ekran, na którym pewna roznegliżowana niedojda wyła wniebogłosy. Gdy tylko przestała, oznajmiła światu, że zamierza zrobić karierę muzyczną w Japonii, Chinach, Australii i jeszcze w paru innych miejscach, których nazwy nic jej nie mówią, ale wydają się wystarczająco odległe od jej

rodzinnej miejscowości Kirkbymoorside w hrabstwie North Yorkshire, w dystrykcie Ryedale.

Na to wyznanie siedzący za stołem jurorów poddziały lowelas – w obcisłej białej koszulce, z farbowanym na czarno puklem włosów i śnieżnobiałym uśmiechem rodem z reklamy pasty do zębów lub leku na hemoroidy – wybuchnął gorzkim śmiechem. Po czym kazał lebidzie zabrać się ze sceny i nigdy, pod żadnym pozorem, na nią nie wracać.

Siobhan golnęła sobie zdrowo z butelczyny i wydała odgłos świadczący o aprobachie zapadłego wyroku.

– Siobhan – powiedział cicho Solański, o mało nie doprowadzając panny Kelly do zawału.

Poderwała się jak oparzona. Alkohol chlapnął na jej pozbawiony stanika, a przykryty jedynie wążką koszulką, potężny biust. Twarz miała umazaną rozpuszczonym przez łyżę tuszem do rzęs i jakąś breją, która – jak przypuszczałem – była wspomnieniem po kremie z czekoladowych donutów, które podano na podwieczorek. Oczy jej błyszczały. Niby wyglądała na smutną, ale w kącikach jej ust czał się uśmiech. Jak u wariata.

Szybko złożyłem jednak tę anomalię na karb irlandzkiego charakteru. Jestem przekonany, że te wesołki, nawet jakby im spalić chałupę, pozabijać wszystkich członków rodziny (aż mi się żal zrobiło potencjalnego zabójcy, bo musiałby się nieźle narobić, gdyż familie mieszkańcy Zielonej Wyspy mieli liczne, niczym nasza rodzima patologia), wylać ich z roboty i powiedzieć prosto w oczy prawdę na temat ich wyglądu (w większości prezentowali się na podobieństwo Corky’ego Thatchera z serialu, w którym śpiewano ob-la-di, ob-la-da), dalej znajdowałyby powody do radości.

– Nie powinnam tego oglądać – oznajmiła nieco bełkotliwie Siobhan i pstryknęła pilotem, by wyłączyć telewizor.

– A co? – zainteresował się Solański. – Spodziewasz się wizyty

telewizyjnego inspektora?

Zrozumiałem ten żółtawy dowcip, bo dzisiaj podczas obiadu Róża opowiedziała zgromadzonemu przy stolikach towarzystwu, jak to jej szef, Mejksiuś, przyszedł pewnego dnia do Super Burgera, choć wcale nie przypadała jego zmiana. W przypływie szczerości wyjaśnił, że ukrywa się w miejscu pracy przed telewizyjnym inspektorem. Do Mejksiura doszły słuchy, że tenże osobnik miał tego dnia przeprowadzać kontrolę w dzielnicy menedżera i sprawdzać, czy jej lokatorzy opłacili tak zwaną licencję, czyli irlandzki odpowiednik naszego abonamentu telewizyjnego.

Każdy, kto miał odbiornik, był zobowiązany płacić. Nie było żadnego „ja nie oglądam, bo przecież nic ciekawego nie leci, to pudło tak tylko tutaj stoi”. Skoro jednak wysłannik telewizji nie zastał lokatora i nie mógł przekonać się, czy jest on posiadaczem buczonego grzmota, nie miał też prawa wlepić mu mandatu. A Mejksiurovi szkoda było nie tak znowu ciężko zarobionych na gnębieniu polskich i litewskich pracowników smażalni pieniędzy zarówno na mandat, jak i na licencję.

Dlatego też zamknął się na pół dnia w burgerowej toalecie i ignorując walące do drzwi matki z dziećmi i opitych colą turystów w potrzebie, przesiedział tam do czasu, gdy uznał, że jest już bezpieczny.

– Agregat trzeba oszczędzać – wyjaśniła nam teraz Siobhan i czknęła sobie zdrowo. – Myślisz, że ją to bolało? – zmieniła temat. – Ten upadek na skały? – Wzdrygnęła się.

– Przyjaźniłyście się? – chciał wiedzieć Solański, udając, że nie dosłyszał pytania.

– Tak – powiedziała po krótkiej przerwie Siobhan. – Wciąż nie mogę uwierzyć, jak do tego doszło. – Głos jej się załamał.

– Dowiem się tego – zapewnił ją Szymon.

A ja mu uwierzyłem. Kiedy mój pan mówił, że coś zrobi, to – o ile nie była to obietnica poczęstowania mnie w terminie późniejszym



spożywanym właśnie czekoladowym ciastkiem – dotrzymał słowa.

Miałem tylko nadzieję, że Solański dopadnie mordercę Katarzyny Walasek szybciej niż morderca, niezadowolony z tego, że wężymy wokół, dopadnie nas.



Solański chciał zapytać Aoife, który pokój zajmowała Kasia. Miał nadzieję, że pośród rzeczy dziewczyny znajdzie wskazówkę prowadzącą do mordercy.

Skierował się do kuchni, sądząc, iż Kelly jest w trakcie przygotowywania posiłków na następny dzień. Jednak zamiast na gospodynię natknął się na Różę. A raczej na jej wypięty, obleczony w dresowe spodnie tyłek. Kwiatkowska trwała w niewygodnej pozycji, która jednak pozwalała jej dosięgnąć zdobyczy. Bułeczki z rodzynkami, zwane tutaj *scones*, były ukryte w kuchennej spiżarce. Róża wyjadała je, rozsiewając okruchy po podłodze.

– Smacznego! – huknął jej nad uchem Solański.

Różę poderwało. Zakrztusiła się. Bezskutecznie próbowała zaczerpnąć powietrza. Jej twarz zrobiła się czerwona, oczy wyszły na wierzch. Usta miała otwarte jak u bożonarodzeniowego karpia zabranego od kolegów z supermarketowej wanny.

Spanikowany detektyw naprędce próbował sobie przypomnieć technikę udzielania pierwszej pomocy. Informacje na ten temat (jak i większość innych) czerpał głównie z fikcji literackiej. Mgliście przypominał sobie pewien opis z *Christine* Stephena Kinga. Coś tam było o zakrztuszeniu się hamburgerem spowodowanym przez wredny samochód o morderczych zapędach. Podrapał się w i tak już rozczochraną fryzurę, jakby miało mu to pomóc w odtworzeniu szczegółów dramatycznej sceny.

Szymon zaszedł wreszcie Różę od tyłu, objął ją w pasie i z całej siły

przyciągnął do siebie. Zatoczyli się. Kwiatkowska charknęła. Zdradziecki kawałek bułeczki wyleciał jej z ust i poszybował wprost do stojącego na kuchence gazowej garnka z zawieszistą breją, która tylko przy dużej dozie dobrej woli mogła przypominać gulasz. Kelly podała go zresztą na dzisiejszy obiad, ale danie nie cieszyło się specjalnym powodzeniem. Jedynie sierżant Murphy wydawał się zadowolony i aż trzy razy prosił o dokładkę.

Róża wyrwała się z objęć Solańskiego. Oparła się o blat stołu i próbowała uspokoić oddech.

– Chciałeś mnie zabić? – spytała, wycierając rękawem łzy.

– Weź – rzekł tylko Solański i podał Róży chusteczkę.

Kwiatkowska odrzuciła dar i obsłużyła się papierowym ręcznikiem.

– Chciałem zajrzeć do pokoju Kasi – wytłumaczył się Solański.

– Przez spiżarnię? – Róża powoli dochodziła do siebie.

– Poszłabyś ze mną?

– Zostaw sprawę policji – oznajmiła Róża. – Oni wiedzą, co robić.

– *À propos* – zagadnął Szymon. – Gdzie podziła się policja? – Zaakcentował ostatnie słowo. Rozejrzał się po kuchni, jak gdyby podejrzewał, że sierżant Murphy ukrył się przed nim pod zlewozmywakiem.

– To informacja poufna – odparła Róża i ruszyła ku wyjściu.

Solański z depczącym mu po piętach Guciem podążył za nią. Wspięli się na piętro. Róża stanęła przed drzwiami prowadzącymi do pokoju, który dzieliła z Liamem.

– Chcesz jeszcze czegoś? – Zerknęła na Solańskiego.

– Przecież wiem, że aż cię rozrywa z ciekawości – rzucił Solański.

– Nic o mnie nie wiesz! – Kwiatkowska podniosła głos. Już zamierzała rozwinąć temat i nawtykać Solańskiemu za wszystkie czasy, ale dalsze wypadki potoczyły się nie do końca po jej myśli.

– Kochanie, to ty? – Z wnętrza pokoju dobiegał słaby głos sierżanta

Murphy'ego. – Czy mogłabyś mi przynieść jeszcze kilka rolek?

– Rolek czego? – zainteresował się Solański.

– Do pokoju Kasi, mówisz? – Róża pociągnęła Szymona za ramię. – Chętnie go obejrzę! – przemawiała podniesionym tonem, ale i tak nie zdołała zagłuszyć zawodzącego policjanta.

– Róża! Papieru! – domagał się Murphy.

– Twój chłopak chyba potrzebuje pomocy. – Detektyw wyszczerzył zęby w uśmiechu Gargamela, który właśnie umieścił stado Smerfów we wrzącym kotle.

– Wydaje mi się, że wiem, który to pokój! – Róża udawała głuchą, wlekąc za sobą Szymona.

Tym sposobem dotarli na koniec korytarza. Kwiatkowska desperacko szarpnęła klamkę. Drzwi jednak nie ustąpiły.

– Masz wytrychy? – Spojrzała na Solańskiego z nadzieją.

Szymon milczał, lecz wypisanego na twarzy zadowolenia nie był w stanie (i wcale nie chciał) ukryć. Pogmerał w kieszeni spodni, skąd wyciągnął portfel, a z niego zestaw metalowych pręcików. Dopasował kilka z nich do zamka. Już po chwili weszli do ciasnego, zaciemnionego pokoju.

Lokum było jeszcze mniejsze niż to, które zajmował Solański. Przypominało schowek na miotły. Ściany wymagały odmalowania. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Solański zobaczył w rogu sufitu ciemną plamę. Pod nią stało pojedyncze łóżko. Zajmowało trzy czwarte powierzchni pokoju. Obok materaca ustawiono szafę, a pod oknem biurko, na którym tkwił laptop. Nad łóżkiem wisiała półka z paroma książkami. Przekrzywiając głowę, detektyw zdołał odczytać z ich grzbietów kilka nazwisk. Też lubił Czubaja, Grzegorzewską i Chmielarza. *Ślebodę* Małgorzaty i Michała Kuźmińskich częściowo zasłaniała ramka ze zdjęciem. Solański przyjrzał się fotografii.

– Zakochani. – Róża westchnęła. Solański zerknął na nią z ukosa.

– Co on w niej widział? – zastanowił się Szymon, taksując wzrokiem objętą parę.

Sean i Kasia pozowali na tle kolorowych domków w Kilronan i uśmiechali się do fotografa. Za nimi promienie słońca odbijały się w połyskujących wodach zatoki. Solański pomyślał, że fotograf musiał się śpieszyć, by utrwalić ten niecodzienny widok. Odkąd Szymon tu przyjechał, za oknem panoszyła się koszmarna pogoda, więc bezchmurne niebo musiało pojawiać się na Inishmore z rzadka.

– Co ci się nie podoba? – Róża nadymała się, jakby Solański wyraził wątpliwości co do jej urody.

– Nie wiem – marudził detektyw. – Jakiś z niej taki... babochłop – wydał opinię. – Nawet do niego całkiem podobna. Krótkie włosy, koścista jakaś, żadnych kształtów. Aua! – Dostał kuksańca między żebra. – Za co? – zdenerwował się.

– Za męski szowinistyczny świnizm! – wyjaśniła Róża i zamaszystym gestem zaczesła do tyłu opadające na ramiona włosy. Gdy już wczepiła palce w skołtunionie strąki, trudno było wydostać rękę z tego gniazda. Szarpnęła za kudły, aż jej odrzuciło głowę w tył. Podczas tego skomplikowanego manewru Kwiatkowska straciła równowagę i zahaczyła drugą ręką o biurko. Z impetem padła na jego blat, poruszając przez przypadek myszką laptopa. Czarny dotąd monitor komputera niespodziewanie rozbłysnął. – Nie wyłączyła go – szepnęła Róża.

Oboje z Solańskim nachylili się nad ekranem. Szymon, który z obrzydzeniem spoglądał na wszelkie wynalazki technologiczne, odsunął się, by Kwiatkowska mogła zasiąść na taborecie wysuniętym spod mebla.

– Co to, u diabła, ma być? – zdziwiła się Róża, przeglądając stronę internetową, którą zapewne jako ostatnią w swoim życiu oglądała Kasia Walasek.

Solański nie zdążył się jednak dowiedzieć, co tak Różę wzburzyło, ponieważ po pierwsze, nagle zgasło światło, a po drugie, w progu pokoju, niczym zjawa, stanęła Aoife.

– Jak śmiecie?! – wrzasnęła. – Szacunku nie macie! Precz stąd!

Róża obróciła się powoli na stołeczku i wbiła przenikliwy wzrok w gospodynię. Solański założył ręce na piersi i wzniosł brwi po samą grzywkę.

– Ogłuchliście? – Kelly straciła nieco rezon.

Solański ponownie wyjął portfel z kieszeni spodni. Ślamazarnym ruchem wygrzebał z niego jakąś plakietkę i podetknął ją Aoife pod nos.

– Co mi tu?! – Kelly odebrała od Szymona dokument. Trzymając go w wyciągniętej ręce, próbowała odczytać treść. – Po jakiemu to? – zirytowała się.

– Oj, no tak. – Uśmiechnął się, niby to przepraszająco, Solański. – Licencja detektywa – przetłumaczył z polskiego – tu jest napisane. A to jest prywatne dochodzenie – dodał matowym głosem. – W sprawie śmierci wnuczki mojego klienta, Czesława Koszyckiego.

Aoife patrzyła ze złością na parę intruzów. Przystąpiła z nogi na nogę.

– A policja? – zapytała zaczepnie.

– Policję chwilowo reprezentuję ja – odezwała się Róża.

Na jej szczęście słowo „policja” w większości języków brzmiało podobnie. Kwiatkowska mogła więc zrozumieć esencję dialogu i trafić z komentarzem w samo sedno.



Przyznaję się bez bicia, że na fizyce i innych wynalazkach szatana to ja się nie znam. Pewnie jakbym musiał chodzić do szkoły, to z tytułu tego przedmiotu powtarzałbym klasę nie raz i nie dwa. Zgłaszałbym nieprzygotowanie, podkładał gotowce na sprawdzianach, zrzynał od kolegów, udawał Greka, a i tak koniec końców jedyne, co by mi

po tym wszystkim zostało, to świadomość tego, że u to się równa s przez t. Czy jakoś tak.

Ale mimo mojej ignorancji i tak zauważyłem, że coś tu było nie halo. Skoro, jak zdołałem dojrzeć przez uchyloną okiennicę, w położonym kilkaset metrów od Kelly's B&B domu sąsiadów paliło się już światło, to z jakiej przyczyny u nas miałoby nie? Wichura wprawdzie pozrywała kable, ale najwyraźniej pierwsze szkody już naprawiono. Tymczasem w hotelu panowały egipskie ciemności (choć temperatura bynajmniej na miano afrykańskiej nie zasługiwała). Agregat, który uruchomiła Aoife, zrywami, w zupełnie nieoczekiwanych momentach, pozwalał światłu rozbłysnąć. Ale po chwili znów nastawał mrok na długie godziny. Jak na mój gust, coś tu ktoś sknocił.

Długo nie musiałem węszyć za winnymi. Kelly wywaliła nas z pokoju Kasi, więc pomaszerowaliśmy do pubu, by przedyskutować różne palące kwestie. Z głośników sączyła się jakaś spóźniona o dobry miesiąc świąteczna irlandzka piosenka, w której para śpiewających wyzywała się wzajemnie od najgorszych. Pomyślałem, że nie ma się co dziwić, bo to pewnie taki *ajrisz stajl*.

Przysiadłem na zadzie i sapnąłem, bom się umęczył tym łażeniem po schodach w tę i nazad. I aż mnie zatkało ruskie kakao. W torfowych zapachach whiskey i chmielowych aromatach piwa mój niezawodny kinol wyczuł – wprawdzie też alkoholową, jednak o wiele bardziej ordynarną – woń zwykłego polskiego pijaczyny. Powiecie, że się czepiam. Że wrażliwy się znalazł. Tymczasem nic nie było w stanie przebić tej mieszanki potu, brudu, popsutych zębów, starych skarpet i przetrawionych napojów wysokoprocentowych niskiej jakości.

Gdy me zaćmione ślepie dostosowały się do panującego w pubie mroku, ujrzałem źródło okołowódczanych odorów w pełnej krasie. Władek Król siedział na wysokim stołku i opierał się łokciami o blat baru. Głowę wspierał na dłoniach. Gdyby go tak szturchnąć w bok,

najpewniej przybiłby przysłowiowego gwoźdźca.

Z mieszaniną odrazy i fascynacji obwąchałem mu nogawkę. Spojrzałem w górę. Nasz rodak wyglądał inaczej niż zwykle. Na pierwszy rzut oka nie potrafiłem ustalić, co jest nie tak. Wprawdzie od razu zauważyłem, że porzucił swoje pseudowojskowe łachy na rzecz przyodziewku w stylu podsklepowego lumpa (miał mianowicie na sobie dzinsową kurteczkę niepraną od czasów Kazimierza Wielkiego, także złachane spodnie i koszulę, którą musiał podpieprzyć z rozwieszzonego w ogródku prania jakiegoś zaopatrującemu się w charytatywnym sklepie z odzieżą farmerowi), jednak nie o ubranie się rozchodziło.

– A ty co? – zaczęła Władka Róża. – Zainwestowałeś we fryzjera?

Faktycznie, Król miał coś nie tak z czerepem. Jego liche, zazwyczaj przylizane, siwawe włoski stały dęba, wskazując wszystkie strony świata. Panosząca się pośrodku głacy łysina świeciła na czerwono, dotrzymując towarzystwa w tej pijackiej kolorystyce nochalowi, uszom *à la* Urban i nadymanym polikom.

– Kopnął mnie – poskarżył się bełkotliwie Władek.

– Fryzjer? – Róża wybałuszyła oczy.

– Prąd! – uściślił Król. – Jak jego naprawiałem.

Wyciągnął zza pazuchy piersiówkę. Odkręcił korek i wydudlił do dna wysoce, jak na mój nos, trującą zawartość.

No to już wiedziałem, co się święci. Ten baran mało nas tu wszystkich, ze sobą na czele, nie pozabijał. Z niego nie była żadna złota rączka, tylko paździerzowa łapa. Chyba że zrobił to specjalnie, by wprowadzić zamieszanie. Pomyślałem, że skoro taki z niego zabijaka, to może miał też na sumieniu Kasię. I wcale nie wydało mi się to takie głupie.

– Bo zgasnął – ciągnął Król. – Ten prąd. To ja go śrubokrętem w dziurkę od gniazdka dziabnąłem – powiedział. – A on mi oddał.

– Bezczelny – przyznała Róża.

– Nie mądruj się, smarkulo – zezłościł się Władek.

Przechylił piersiówkę tylko po to, by obejrzeć jej dno. Pustka we flasce zagrała mu na nerwach. Zagulgotał wściekle. Zachwiał się na stołku. I fiknął do tyłu salto, jakiego nie powstydziliby się najzacieklej walczący o piłkę reprezentanci futbolowej drużyny narodowej San Marino.

Ten właśnie moment wybrała sobie Aoife, by pojawić się w pubie. Zobaczywszy swojego pracownika – zatrudnionego wprawdzie na lewo, ale jednak – który wcale to a wcale nie wypełniał w sposób należyty obowiązków zawodowych, wygłosiła tyradę.

Biorąc poprawkę na jej prowincjonalny akcent, całkiem sporo pojąłem z tej tryskającej przesączoną jadem śliną przemowy. Znalazł się w niej fragment o nieudaczniku z Europy Wschodniej zatrudnionym przez litość, która teraz kopała Aoife w tyłek. Było też coś o kretynie, który nie jest żadnym rzemieślnikiem ze sfalszowanego CV, tylko co najwyżej anti-Midasem, bo czego dotknie, zamienia się w gówno.

Z przedstawionych przez panią Kelly argumentów wywnioskowałem, że swoją działalnością Władek zepsuł instalację elektryczną w B&B na amen. I cud jeden, że nie sfajczyliśmy się tu wszyscy żywcem.

Na wzmiankę o płomieniach Solański zaczął strzelać stalowymi ślepiami po kątach w poszukiwaniu zarzewi ognia. Węszył za ulatniającym się dymem. Nasłuchiwał trzasku palących się belek stropowych. Zorientowawszy się jednak, że nic mu nie grozi, spoczął ponownie na swoim miejscu i słuchał dalszego wyводу Aoife, który w skrócie dotyczył świętej naiwności, braku wdzięczności, konieczności oszczędzania i jasnego szlagu, co to zaraz trafi, nie zrozumiałem tylko kogo. Miałem jedynie nadzieję, że nie mnie.

– I tak niedługo się stąd zwijam – rzekł niewzruszony Władek, gdy tylko Aoife opuściła lokal. – Bo mi się zasiłek kończy – zwierzył się



Solańskiemu, zupełnie ignorując mnie i Różyczkę.

– Niby dokąd?

– Ha! Stary! – Król rozdziawił się w szczerbatym uśmiechu. – Do Hiszpanii! Gorące słońce! *Aloha! Welcome to!* – oznajmił i wreszcie podniósł się z podłogi.

A mnie przysłała do głowy złowroga myśl. Czy przypadkiem ten menel nie jest mordercą, który chce uciec irlandzkiemu wymiarowi sprawiedliwości?!



Od nieszczęlnych okien ciągnęło tak, że nawet jeśli ktoś nie cierpiało dotąd na reumatyzm, to właśnie mógł zacząć. Solański wsadził psa na łóżko. Nie zdejmując ubrania, zawinął się w koc i naciągnął go sobie na głowę. Poczucił się jak za czasów dzieciństwa, kiedy mówił mamie dobranoc, udawał, że zasypia, a potem do rana pod kołdrą, przyświecając sobie latarką, zaczytywał się w przygodach Tomka Wilmowskiego.

W sumie bez większych nadziei pstryknął włącznikiem nocnej lampki. Ta rozbłysnęła na kilka sekund, wydała z siebie ciche rżenie, po czym odmówiła posłuszeństwa. Solański wygrzebał więc z plecaka latarkę wraz ze stertą listów Koszyckiego i ponownie ulokował się w pościeli.

Ostre światło przeświecało cienkie jak pergamin kartki na wylot. Szymon z trudem odczytywał pełne zawijasów, kierujące się nieco ku górze pismo. Był ciekawy, co na te bazgroły powiedziałyby grafolog.

*Jangijul, 13 stycznia 1942 roku*

*Kochany Bracie!*

*Wyruszyliśmy w wielką podróż ku domowi. Im dalej znajdujemy się na południe, tym jest cieplej. Choć tak naprawdę to niewłaściwe słowo. Jest wciąż przeraźliwie mroźno, jednak*

*w porównaniu z rosyjską zimą ta tutaj wypada blado. Z każdym stopniem Celsjusza nadzieja przybiera w nas na sile. Że jednak się stąd wydostaniemy. Że przeżyjemy. Że wrócimy do Polski.*

*Dotarliśmy do Uzbekistanu, do miejscowości Jangijul. Generał założył tutaj sztab. Lokalna społeczność to muzułmanie. Na moje oko wyglądają wszyscy jak jedna kopia jakiegoś mongolskiego dziecka. Wyobrażasz sobie, że dla nich to my wyglądamy identycznie? Białe twarze zlewają im się w jedną facjatę polskiego zabiedzonego chłopca pańszczyźnianego.*

*W każdym razie przyjmują nas – niewiernych przecież – jak swoich. W większości zajmują się pasterstwem. Pomagają nam, jak mogą, choć sami cierpią biedę. Często jednak na jakąkolwiek pomoc jest już za późno. Wielu z nas choruje na tyfus. Kolejni moi koledzy zabierani są do szpitala wojskowego w Guzarze. Rzadko którego jest mi dane zobaczyć ponownie. Jeszcze trochę, a nie będę miał z kim grać w karty. Bo wieczorami, kiedy nie ma już nic do roboty w sztabie, zasiadamy we wspólnym namiocie i otwieramy kasyno.*

*Chyba przyszła właściwa pora na to, żebym podziękował Tobie, Cześku (bo Tacie już nie zdążyłem), za to, jak się ze mnie naigrywaliście w dzieciństwie. Braliście mnie, młodego, jako trzeciego do tysiąca, bo we dwóch grać było bez sensu, choć Matka krzywo patrzyła na hazard. A potem dawaliście sobie znaki, żeby koniec końców mnie orznąć i doprowadzić do spazmów rozpaczki. Z czasem wreszcie się zorientowałem, że te Wasze przyśpiewki: dzwonią dzwoneczki, dzyń, dzyń, dzyń, dzwonią saneczki, dzyń, dzyń, dzyń, nie mają nic wspólnego z amerykańskimi kolędami, tylko świadczą o tym, że karo jest w grze. Nauczyliście mnie cwaniactwa, dzięki któremu teraz uchodzę za niezłego szulera.*

*Zapowiadam Ci – jeszcze pokonam Cię w tysiąca. Wspomnisz moje słowa. Szykuj już pieniądze, bo za darmo grał nie będę. Do zobaczenia zatem.*

*Wasz Milek*

Solański odłożył poźółkłą kartkę na nocny stolik i przetarł zmęczone oczy. Spojrzał na zegarek. Było za późno, by próbować połączyć się z Czesławem. Dziadek już pewnie spał. Szymon obiecał sobie jednak, że z samego rana postara się porozmawiać z Koszyckim. Skoro prąd częściowo już przywrócono, może także sieć telefoniczna zechce zadziałać.

Przewrócił się na drugi bok. Oparł się plecami o grzbiet Gucia, który – ze swoją puszystą sierścią i coraz grubszą warstwą tłuszczu porastającą wychudzone w schronisku kości – mógłby zostać zatrudniony jako przenośny kaloryfer.

Solański sięgnął po kolejny list.

*Bandar Pahlavi, 17 marca 1942 roku*

*Kochany Czesiu!*

*Gruchnęła wiadomość, że idą polskie transporty na Turkmenistan. Ucieszyłem się bardzo, bo już naprawdę nie mogłem usiedzieć w miejscu. Całe dni spędzałem na szkoleniach. Jednak kiedy wiesz, że tkwisz w stanie przejściowym, że to wszystko to tylko prowizorka, to gna cię do przodu. Niecierpliwość wygrywa ze zdrowym rozsądkiem.*

*W każdym razie nareszcie pojawił się pociąg, do którego i ja mogłem wsiąść. Dostałem paszport z wpisem: wyjazd za granicę i wepchnąłem się do przedziału, który bardziej nadawał się przewozu bydła niż oficerów Wojska Polskiego. Ale nie był to czas na grymaszenie.*

*Cywile także zabrali się z nami. Nie pozwalano im jednak wziąć*

ze sobą waliz, by oszczędzić miejsce, które przecież mogli zająć kolejni ludzie, chcący wydostać się z tych dzikich stron. Każdy mógł zabrać ze sobą tylko kubek, talerz i łyżkę. Podstawę egzystencji, jak się okazuje. O całym życiowym dobytku musieli zapomnieć. Bez słowa protestu.

Obok mnie w przedziale znalazła się polska rodzina: ojciec, matka i dwie córki. Jedna z nich, nie wiedząc czemu, nie dostała paszportu. Pojechała więc z dokumentem wystawionym na pewną Ukrainkę, która zrezygnowała z podróży, bo z kolei jej matka nie zdobyła paszportu.

W piekielnym ścisku, smrodzie niemytych ciał, z drętwiejącymi kończynami, o niewyobrażalnym głodzie przejechaliśmy przez Czemkent, Taszkent, Leninabad, Samarkandę, Bucharę i Aszchabad, docierając wreszcie nad Morze Kaspijskie. Tu, w porcie w Krasnowodzku, przesiedliśmy się na tankowce. Odbiliśmy od brzegu, głośno, zgodnym chórem śpiewając Boże, coś Polskę. Na wspomnienie tego wspólnego, silnego, mimo wszystko, głosu, wciąż wzruszenie ścisła mnie za gardło. A Mazurka Dąbrowskiego zmodyfikowaliśmy, śpiewając: z ziemi ruskiej do Polski. I oby nigdy z powrotem!

Do tej pory widzę spóźnionych na statek ludzi wskakujących w morskie odmęty. Próbuje dopłynąć do burt tankowców, ale fale wciągają ich w głębiny. My na pokładzie staliśmy jeden obok drugiego. Łajba była tak przepiętna, że miałem wręcz pewność, iż pójdziemy na dno. Jeden z marynarzy powiedział mi, że statek jest dopuszczony do przewozu dwustu pięćdziesięciu osób. A nas było na nim ze dwa tysiące.

Morska bryza wcale nie pomagała zaczerpnąć oddechu. Choroba morska powalała kolejne swoje ofiary. Chorzy na tyfus i inne niezidentyfikowane dolegliwości padali jak muchy. Trupy

wyrzucaliśmy do morza, nie owijając ich nawet w prześcieradła. Bo skąd mielibyśmy je wziąć?

My – żołnierze – swoją mizerotę kryliśmy pod mundurami. Cywile wyglądali jak duchy. Odziani w łachmany, ogoleni na łyso, wychudzeni, bladzi i przerażeni. Chwalić Generała, że mimo protestów Stalina zdecydował się zabrać ich wraz z nami. Uratował życie niejednemu. Ta koszmarna podróż trwała trzy doby. Teraz jesteśmy w Bandar Pahlavi.

Na nabrzeżu przywitali nas Brytyjczycy. Mają tak inne od zakazanych mord enkawudzistów twarze... Takie miłe i, czy ja wiem, cywilizowane? Czy to kwestia genów?

By zapobiec rozprzestrzenianiu się chorób, których nawieźliśmy z Rosji, musimy odbyć dwutygodniową kwarantannę. Na samym początku Anglicy kazali nam zdjąć obłazłe przez wszy ubrania i spalili je na wielkich stosach. Wykąpaliśmy się i dostaliśmy nowe mundury. Pierwszy raz od wielu miesięcy poczułem się jak Człowiek. Taki wielką literą właśnie. Teraz przeczekujemy pod słomianymi daszkami ustawionymi na piasku, aż minie czas kwarantanny. Karmią nas bardzo dobrze. Nie pamiętam już, kiedy wcześniej jadłem ciepły posiłek. Powoli odzyskuję siły po morderczej wędrówce.

Aż boję się myśleć, co tam u Ciebie. Z nas dwóch to zawsze ja byłem tym, któremu udawało się wyjść z opresji bez najmniejszego nawet zadrapania. Ty zbierałeś cięgi za nas dwóch. Mam nadzieję, że tym razem szczęśliwa gwiazda przyświeciła nam obu.

Całuję i ściskam  
Wasz Milek



Solański nie był dobry w przekazywaniu złych wieści. Zapomniał jednak, że Koszycki to ekszołnier. I nigdy tak naprawdę nie zrzucił wojskowego kokonu, składającego się z dyscypliny, stanowczości, porządku i opanowania.

Czesław przyjął tragiczną informację z przedłużającym się milczeniem. Początkowo Szymon myślał nawet, że połączenie znów zostało przerwane.

– Halo?! – wrzasnął do aparatu, przypominając sobie problemy Koszyckiego ze słuchem. Solański stał w miejscu, które w wolnym tłumaczeniu można by nazwać robaczą dziurą. Wydrążonemu w skale przez siły natury idealnemu prostokątowi, przez który przelewały się wody oceanu, bliżej chyba jednak było do innego przekładu angielskiego *The Worm Hole*: tunel czasoprzestrzeni.

Szymon wpatrywał się w granatową powierzchnię basenu, którego podstawę stanowiło położone nie wiadomo jak głęboko dno Atlantyku. Fale przedostawały się górą do perfekcyjnie wymierzonego otworu, burząc jego gładką taflę. Detektyw miał wrażenie, że gdyby odważył się na skok do *Poll na bPeist*, jak mawiano na ten wybryk natury w języku gaelickim, przedostałby się do innego świata. Jakiejś podwodnej krainy, gdzie nie ma cholernego sztormu, gdzie nigdy nie pada i gdzie z pewnością nikt nie morduje niewinnych kobiet.

Solański nie ufał porywom wiatru ani swojemu błędnikowi. Cofnął się w głąb lądu, gdzie w bezpiecznej odległości od skraju klifu czekał jego pies. Zwierzę miało więcej rozsądku niż pan.

Detektyw dotarł w to dziwne miejsce w poszukiwaniu zasięgu. Wdrapał się ponownie w pobliże Dún Aengus, wciąż na nowo próbując połączyć się z Koszyckim. Po jakichś piętnastu minutach wędrówki na wschód od fortu trafił na wypisane czerwoną farbą na mijanych

kamieniach kierunkowskazy w językach angielskim i gaelickim. Prowadziły one do „robaczej dziury”. Tuż nad jej brzegiem Solański złapał wreszcie sygnał.

Najpierw zadzwonił pod numer alarmowy. Próbował wytłumaczyć dyżurnemu policjantowi, że na Inishmore doszło do morderstwa, jednak stacjonujący w Galway funkcjonariusz najwyraźniej uznał, że Szymon stroi sobie z niego żarty. Galway było miasteczkiem studenckim, a irlandzcy żacy, tak jak ich koledzy pod każdą inną szerokością geograficzną, lubili sobie wypić i pod wpływem uskutecznić podobne numery. Szczególnie w trakcie *Rag Week*, czyli ichniejszych juwenaliów, które miały się rozpocząć lada dzień. Solański nie zdziwił się więc zbytnio pierwszą reakcją stróża prawa. Nie miał jednak szans przekonać go, że się myli, bo sygnał połączenia się urwał. Szymon wykręcił więc numer Czesława Koszyckiego i o dziwo usłyszał głos starca w słuchawce. Mógł przekazać hiobowe wieści swojemu klientowi.

– Jestem – powiedział Koszycki. – Tak, jestem – powtórzył. – Znajdzie pan tego zwyrodnialca. – Koszycki stwierdzał, nie pytał. – Zapłacę, ile trzeba. Proszę mnie informować na bieżąco.

Połączenie zostało przerwane.



Byłem święcie przekonany, że tę wyspę musiał stworzyć sam diabeł. Moje obawy zostały potwierdzone po spacerze, jaki zafundował mi ukochany pan. Wciąż lało i wiało, a ten się uparł, żeby łązić gdzieś po kamiennych połączeniach, w których nawet porządnej dziury nie sposób wykopać na przechowanie przez zimę kości podwędzonych z kuchni. Nie to, żebym miał złodziejskie zapędy, ale lubiłem być przygotowany na każdą ewentualność. A tu wszędzie tylko skały, kamienie, głazy, skorupy i co tam jeszcze słownik synonimów podaje w tym względzie. Sprowadzało się to do jednego wielkiego królestwa Flinstone'ów. Już

się rozpędzałem, żeby wołać Wilmę, ale się potknąłem o niemrawo wystającą z tego skalnego świństwa kępkę trawy i o mały włos nie musiałbym inwestować w gibis. Znaczący – ze śląskiego na polski – sztuczną szczękę, gdyby ktoś miał wątpliwości.

Z trudem doleźliśmy w dwóch kawałkach z powrotem do domu. Przejrzałem się w lustrze ustawionym w przedpokoju na wprost klatki schodowej. Niby wiedziałem, o co chodzi z tym odbijaniem postaci w tafli zwierciadła, ale tym razem byłem skłonny uwierzyć, że to jednak nie ja jestem, tylko jakiś inny zwierz niewiadomej proweniencji ukrył się za posrebrzaną powierzchnią. Strzelał na mnie przymglonym zezem. Kłaki miał przemoczone i rozczochrane, jakby to jego prąd popieścił, a nie Władka Króla. Stał na krzywych i dygoczących girach, a ślina z na wpół otwartego pyska kapała mu na wykładzinę.

Za nim było widać pnące się na piętro schody. Na ich szczycie ujrzałem w lustrze jakąś pokurczoną sylwetkę. Postać chwyciła się poręczy i poczęła sunąć za plecami tego biednego kudłatego gamonia. Chwiejnym krokiem zbliżała się do nieświadomego czworonoga. Nachyliła się nad nim. Już się wyrwałem, by ostrzec niedojdę, jednak nie zdążyłem zaprezentować swojego nieprzystającego do niepozornej postury barytonu, bo podejrzany dorwał rozczochrańca. A jednocześnie ktoś mnie poklepał po grzbiecie. Podskoczyłem jak ten ping-pong. Wykonałem obrót o sto osiemdziesiąt stopni. I stanąłem pysk w pysk z tym złączającym ze schodów typkiem.

Zbaraniałem.

– John! – Solański przywitał się z przybyszem. Gdy mu się teraz z bliska na spokojnie przyjrzałem, to od razu skumałem, że to przecież mąż Aoife.

– Simon – odpowiedział imieniem na imię starszy pan.

Już zdążyłem zauważyć, że tubylcy witali się właśnie w ten sposób. Zamiast po bożemu mamrotać: „dzień dobry, dzień dobry”, chwalili się,



że wiedzą, jak kto ma na imię.

Byłem ciekawy, jak sobie z tym zwyczajem radziła Róża. Nieraz opowiadała przecież Solańskiemu, że przychodził ktoś do redakcji, nawijał do niej przez pół godziny, jakby spotkał starą, dobrą znajomą, a Kwiatkowska niby znała twarz, niby skądś kojarzyła, ale nawet gdyby jej zagrożono rychłą śmiercią na madejowym łożu, ni cholery nie przypomniaby sobie, jak się jej rozmówca nazywa. Taka przypadłość.

– Jak ci się u nas podoba? – Dziadek zagadnął Solańskiego z kluchowatym brytyjskim akcentem.

John popatrywał na nas dobrotliwie, jednak jego wzrok wydawał się zupełnie nieobecny. Pomyślałem sobie, że Angol musi mieć drobnego świra albo demencję starczą, skoro sądzi, że komuś mogłyby przypaść do gustu ta naparzanka za oknem i morderstwo na dokładkę.

– Na obiad będzie *shepherd's pie* – kontynuował niezrażony brakiem odpowiedzi. – Taka zapiekanka. Macie na Białorusi zapiekanki? – zaciekał się.

– W Polsce – poprawił go Szymon.

– Co mówisz, synu? – John nadstawił ucha, z którego wyłaziły długie siwe kłaki.

– Opowie mi pan o Kasi? – Solański zmienił temat.

– Co mówisz, synu?

– Kasi! – wydarł się Solański. – Waszej pokojówce. Ktoś ją zepchnął z klifu – brnął mój pan, choć ja wiedziałem, że jego wysiłki są z góry skazane na porażkę.

– Co mówisz, synu?

Uznałem, że zamiast „w koło Macieju” powinno się od dzisiaj mawiać „w koło Johnie”

– Na litość boską! – dobiegło nas od strony kuchni.

W korytarzu stanęła Aoife. Wsparła się pod boki, uniosła brew i wykrzywiła się niczym Joker z filmowej opowieści o człowieku

nietoperzu. John odwrócił się w zwolnionym tempie. Gdy jego wzrok spoczął na żonie, jej twarz rozpromieniał już kojący uśmiech. Pomyślałem sobie, że muszę uważać na tę fałszywą flądrę.

– John, skarbie, nie męcz pana – przemówiła do męża jak do niedorozwiniętego dziecka. Pochwyliła ślubnego za łokieć i odprowadziła go na piętro.

John próbował się opierać, jednak nie miał najmniejszych szans w starciu z panią Kelly. Była od niego sporo młodsza i zdeterminowana. Dosłyszałem jeszcze, jak Aoife mami męża termoforem i ciasteczkami *brownie*. Byłem ciekawy, czy John jest na tyle głuchy, by nie słyszeć zniecierpliwienia w jej głosie.



Róża była głodna jak wilczyca. Odkąd postawiła stopę w rozmiarze czterdzieści jeden na irlandzkiej ziemi, zupełnie przestała przejmować się dietą. Jadła wszystko, czego pragnęły oczęta, i tylko miała nadzieję, że pójdzie jej to w cycki, a nie w ogumienie brzuszne. Ale nawet gdyby, to i tak nie miała się co martwić. Przecież tutejsi mężczyźni preferowali kobiety o pełnych, ponętnych kształtach, a nie niedożywione wieszaki, jak te polskie chłopki-roztropki.

Skoro już o menu mowa, Róża preferowała czekoladowe brioszki ze sklepu Dunnes Stores, karmelowe jogurty z SuperValu (po które to wiktuały musiała udawać się specjalnie do Galway, bo na Inishmore był tylko Spar) i frytki z sosem curry. Po tygodniu takiego żywienia jej żołądek rozepchał się na dobre i wciąż żądał więcej. Róża nie zamierzała z nim polemizować. Dostarczała paliwa i oblizywała się ze smakiem.

Na śniadanie zeszła jako pierwsza. Liam wciąż nie czuł się zbyt dobrze po spożyciu wiadra podejrzanego pochodzenia gulaszu. Marudził, zamknięty w łazience. Rozważał, czy kiedykolwiek w życiu weźmie

jeszcze coś do ust.

Kwiatkowska zajęła więc w pojedynkę stolik przy oknie i wciągnęła powietrze. Pachniało smażeniną. Róży zaburczało w brzuchu. Kątem oka zobaczyła jakiś ruch na korytarzu. Wychyliła się, by mieć lepszy widok. Przy drzwiach stał Solański i wgapiony w lustro Gucio. Po chwili pojawił się przy nich starszy pan i zagadnął detektywa. Szybko jednak rozgoniła to towarzystwo Aoife.

Solański skręcił w stronę pubu. Ściągnął przemoczoną kurtkę i przewiesił ją przez krzesło stojące przy stoliku okupowanym przez Różę.

– Zajęte – powiedziała Kwiatkowska.

– Teraz już tak – przyznał Szymon i rozsiadł się wygodnie.

Nalał sobie do szklanki soku pomarańczowego i wlepił stalowy wzrok w Różę. Oj, nie podobało się to wszystko Kwiatkowskiej ani trochę. Już sama nie wiedziała, jak ma sobie poradzić tak z Solańskim, jak i z własnymi uczuciami.

Wmawiała sobie, że rozmawia z detektywem tylko dlatego, że ciągnie ją do śledztwa. Wiedziała, że Szymon jest dobry w swoim fachu. Lepszy od Murphy’ego. Choć wolałaby sama skoczyć z klifu, niż mu to powiedzieć.

– Jak się czuje narzeczony? – zagadnął Solański z miną niewiniątka.

– To nie jest mój... – Róża ugryzła się w język, wściekła na samą siebie, że tak łatwo dała się sprowokować temu nadętemu bubkowi.

– Bo wiesz – zaczął Szymon i nabił na widelec kiełbasę, którą właśnie podała im na półmisku przepasana białym fartuchem Siobhan – teraz jest rok przestępny. – Spojrzał na Kwiatkowską wymownie.

– I co z tego?

Różę denerwowała ta rozmowa. Najchętniej przesiadłaby się do innego stolika, ale do pubu zdążyli już przyjść Pat O’Connor, Sean Gallagher, cała rodzina Kellych i nawet Władek Król. A ostatni wolny

stolik został właśnie zajęty przez Pierre'a Dupy'ego.

– Zgodnie z irlandzką tradycją dwudziestego dziewiątego lutego możesz oświadczyć się swojemu chłopakowi. Raz na cztery lata dziewczynom tutaj wypada. – Szymon wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu, jednak jego oczy się nie uśmiechały.

– Wiesz co? – Kwiatkowska nabrała rumieńców, choć zagryzała policzki aż do krwi, by zaradzić kompromitującym barwom. – Wiesz ty co? – Walnęła pięścią w stół, a w oczach stanęły jej łzy.

– Weź, Róża, wyluzuj. – Solański się wycofał. – Ja ci tylko próbuję powiedzieć, że to nie jest facet dla ciebie. Troszczę się o ciebie. Jak o siostrę!

– Nie dla mnie? – Kwiatkowska zadławiła się łzami spływającymi jej do gardła. – To niby kto jest, twoim zdaniem, dla mnie?! – Podniosła głos, aż pozostali goście hotelowi poczęli obracać się w ich stronę. Już nawet przestali udawać, że nie zwracają na nich uwagi. Ale jedyną osobą, która mogła w pełni cieszyć się zorganizowanym naprędce przedstawieniem, był Władek Król. Gdyby tylko umiał, z pewnością przetłumaczyłby reszcie ten niezwykle interesujący dialog, który świszczał między Różą i Szymonem. – Proszę bardzo. Oświeć mnie! – drażyła Kwiatkowska.

– No, nie wiem... – Solański się jękał. – Tak tylko powiedziałem. W każdym razie nie ten gliniarz – upierał się.

Tego już Róża znieść nie mogła. Żeby ten cholerny pies ogrodnika przyjeżdżał za nią na koniec świata i truł jej cztery litery, to było ponad siły Kwiatkowskiej Róży, lat trzydzieści dwa, prawie starej panny. Sam nie, bo nie, żaden inny też absolutnie nie, bo nie i już! I jeszcze z tą siostrą wyjechał! Miarka się przebrała. Róża wzięła pełny talerz z przydzieloną jej smaženiną. Uniosła go nad głowę. I z całej siły rąbnęła nim o blat stołu. Porcelana chińska z dziada pradziada to nie była, raczej trafiona okazja z wyprzedaży w Dunnes Stores, *always*

przecież, jak głosiła reklama, *better value*, rozprysnęła się więc w drobny mak, a jej tłusta zawartość poszybowała w cztery kąty i Solański piąty.

– Odbiło ci? – wkurzył się detektyw, próbując ściągnąć sobie z twarzy kawałek sadzonego jajka. Cholerstwo przykleiło mu się jednak do czoła na dobre.

– Aua! – wydarła się Róża, bo odłamek talerza wbił się jej złośliwie w przedramię. Krew trysnęła z eksdziennikarki fontanną.

Szymon zapatrzył się na okaleczoną rękę Kwiatkowskiej i zbladł. Jeszcze tego Róży brakowało, żeby ten macho z Koziej Wólki jej tu zemdłał. Może sądził, że ona się nim zajmie, będzie cucić biedaczka i polewać mu whiskey na wzmocnienie? Jeśli ktoś tu był pokrzywdzony, to z pewnością Róża. I nie zamierzała pozwolić sobie odebrać tego przywileju.

Solański już się chwycił za gardło, już zieleniał na twarzy, już zginał się w pół. Na szczęście sytuację uratował Pierre. Podszedł do Róży i bez zbędnych słów swoimi odzianymi w rękawiczki zgrabnymi palcami jednym szybkim ruchem wyciągnął ostrze z ręki Kwiatkowskiej. Serwetką zatamował krwawienie. Przyniósł też dla Róży z baru kieliszek czegoś mocniejszego. Po namyśle to samo postawił przed Solańskim.

Kwiatkowska zdrową ręką przytrzymała prowizoryczny opatrunek. Poszkodowaną kończyną sięgnęła po kieliszek i patrząc Szymonowi prosto w oczy, łyknęła do dna. Szybko zorientowała się, że nie był to najlepszy z jej pomysłów. Nie żeby Róża brzydziła się wysokoprocentowymi alkoholami. Wręcz, można powiedzieć, przeciwnie. Jednak to, co właśnie zaproponowano jej do degustacji, biło na łeb nawet wódkę z czerwoną kartką. Różę zatkało. Zakrztusiła się. Do oczu ponownie napłynęły jej łzy. Twarz przybrała barwę krwi pstrzącej się na przedramieniu. Kwiatkowska łapczywie nabrała

powietrza w płuca.

– Co to? – zdołała wycharczeć.

– *Poitín* – odczytał Pierre z ręcznie wypisanej etykiety, którą przyklejono do butelki. – Miejscowy bimberrr – dodał. – A co? – zainteresował się. – Niedobrrre?

Rzężąc jak stara lokomotywa, Róża wstała od stolika. Cokolwiek by mówić o szkodliwych skutkach stosowania etanolu, ten pomógł Kwiatkowskiej wrócić do jako takiej równowagi psychicznej. Zdrową ręką oparła się o stolik i nachyliła nad oniemiałym Solańskim.

– Jesteś – zamilkła na chwilę, by wzmocnić efekt wypowiedzianych słów – typowym facetem – wysyczała przez zęby.

Oddaliła się z poczuciem trafnie wymierzonej inwektywy.



Śniadanie było pierwsza klasa! Dzięki rzucającej talerzami Różyczce nażarłem się do syta. Solański nie był aż tak zadowolony jak ja. Nie przypadły mu do gustu okładki z jajka. A przecież słyszało się to i owo o jego zbawiennych dla włosów i cery właściwościach. Niektórym nie dogodzisz. Szymon pognął do naszego pokoju, nie czekając, aż dokuśtykam za nim. Kiedy wdrapałem się na piętro, zobaczyłem już tylko trzaskające mi przed nosem drzwi. Drapnąłem niemrawo we framugę, żeby się nie wygłupiał i mi otworzył. Nie doczekałem się jednak reakcji.

Skoro tak się sprawy miały, postanowiłem strzelić focha i udałem się pod pokój Róży. Stuknąłem trzy razy łapą w drzwi.

– Idź w cholere! – usłyszałem głos Kwiatkowskiej.

Uznałem, że musiała mnie wziąć za kogoś innego. Miałem nawet pewne przypuszczenia za kogo. Dlatego ponowiłem pukanie, wspomagając się tym razem cichym, acz chwytającym za serce zawodzeniem.

– Guciuńcio? – Twarz Róży pojawiła się w szparze uchylonych drzwi. – Co ty tu robisz, biedaczku? – uzalała się nade mną.

Zrobiłem maślane oczy i zawyłem rozdzierająco. Uniosłem się chwiejnie na swojej jedynej tylnej łapie i wskazałem pyskiem w stronę wyjścia.

– Idziemy na spacer? – Kwiatkowskiej nie trzeba było dwa razy powtarzać. – Zaraz wracam! – ryknęła w stronę toalety, do której najwyraźniej sierżant Murphy przeprowadził się na stałe.

Zbiegliśmy ze schodów. Róża okutała się swoją kurtką w kolorze wielkanocnego kurczaczka i wyszliśmy na ziąb. Obawiałem się, że niedługo zarówno Inishmore, jak i pozostałe wyspy Aran znikną z mapy świata na dobre, zatopione przez uparty jak osioł deszcz. Albo wiatr je zdmuchnie na cacy, w wyniku czego podryfują gdzieś do wybrzeży Ameryki.

W wyżej wymienionych okolicznościach przyrody poszedłem załatwiać niecierpiące zwłoki sprawy, a Róża ruszyła za mną w charakterze mojego bodyguarda. Poczułem się niemal jak Whitney Houston, choć Kevinowi Costnerowi daleko było do Różyczki.

Przez te rozmyślania nad meandrami dziesiątej muzy o mało nie przeoczyłbym kłótni, która rozgorzała tuż za rogiem. Przy rozklekotanym minibusie należącym do Pata O’Connora stał jego właściciel i wydzierał się na Johna.

Podkradłem się bliżej, by mieć lepszy wgląd w sytuację. Obwąchałem oponę gruchota. Zajeżdżała mokrą ziemią, wodorostami i gumą. Do jej łysej powierzchni poprzyklejał się drobny żwirek.

Wgapiłem się w mężczyzn i nadstawiłem ucha. Oczywiście nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Wszak byłem tylko psem. Nie żebym narzekał. Dzięki ludzkiej ignorancji mogłem podsłuchiwać do woli. Wątpiłem, by zaczajona za winklem Róża słyszała rozmowę tak dokładnie jak ja.

– Ani się waż! – krzyczał Pat, wymachując łapami przed nosem starszego pana. – Właśnie że to ja będę woził wycieczki!

– Och, zamknij się! – John z uśmiechem przerwał O’Connorowi. – Lepiej oddaj busa na złom. Jeszcze komuś krzywdę zrobisz i tylko nam napytasz biedy.

– Nie możesz wynająć kogoś innego! – upierał się Pat. – Przecież jeździ! – Klepnął w karoserię minibusa. Drzwiczki otworzyły się z jękiem i zawisły na przerdzewiających zawiasach.

John roześmiał się w głos. O’Connor trzasnął wściekle drzwiczkami. Te odbiły się i palnęły go w bok. Pat odskoczył. Rzucił jakimś wyzwiskiem, którego nie zrozumiałem, ale zabrzmiało, jakby mówił coś o kącie. Starszy pan popukał się znacząco w czoło. Irlandczyk wkurzył się jeszcze bardziej i puścił tyradę, z której wywnioskowałem, że jego krążownik szos, może stary i zużyty, ale i tak jest za dobry na wożenie po wyspie bandy obcokrajowców, która w większości nie potrafi nawet poprawnie wymówić nazwy kraju, w którym się znalazła. A jeżeli w skład podróżującej grupy wchodzi Amerykanie, perorował O’Connor, zwyczajnie nie wiedzą, gdzie są, poza tym, że prawdopodobnie w Europie. Zdaniem Pata wszelka turystyczna swołocz powinna wracać, skąd przyszła.

– A szczególnie te pieprzone Polaczki! – kontynuował przemowę do pleców Johna, gdyż ten zawrócił już w stronę domu. – Tylko przyjeżdżają nam robotę zabierać! – głądził dalej, choć nikt prócz mnie go nie słuchał. – Przynajmniej jest o jedną mniej – wymamrotał już sam do siebie.

Kopnął w obsiuraną właśnie przeze mnie oponę i ruszył ku B&B. Co i ja uczyniłem.



Solański zorientował się, że gdzieś zapodział się jego pies. Uznał,



że wszystko przez Kwiatkowską. Nie pojmował, dlaczego Róża aż tak wyprowadzała go z równowagi. Musiał skończyć przejmować się humorami koleżanki. Przecież miał na głowie śledztwo. Sierżant Murphy wciąż był słabego zdrowia. A na posiłki z zewnątrz nadal nie mogli liczyć.

Szymon poderwał się z łóżka i wyszedł na korytarz. Zbiegł po schodach, na których minął się z powoli sunącym w przeciwnym kierunku Johnem. Starszy pan znaczył stopnie zabłoconymi butami. Wspierał się na poręczy i posapywał ciężko.

Solański sięgnął po klamkę drzwi wejściowych. Te jednak otworzyły się bez jego udziału. W progu stanął Pat O'Connor. Zerknął nieprzychylnie na detektywa i mamrocząc coś pod nosem, skierował się do pubu.

Szymon ponowił próbę otwarcia drzwi, lecz te znów pchnął ktoś z zewnątrz. Solański stanął twarzą w twarz z przemoczoną Różą. U jej stóp pałętał się Guccio, który zobaczywszy pana, przystąpił do zostawiania odcisków łap na jego dżinsach i obśliniania mu dłoni.

– Tu jesteś – ucieszył się Solański.

– Nawet o psa nie dbasz – stwierdziła Kwiatkowska.

Szymon, gdyby dysponował jakąś ciętą ripostą (a nie dysponował), nie zdążyłby jej zaprezentować, ponieważ dobiegły do niego odgłosy dyskusji prowadzonej w otwartych drzwiach kuchni.

– Znowu uświnił cały przedpokój – oznajmiła Siobhan. – Nie mógłby ściągać butów? Nie nadażam ze sprzątaniami tego błota. To jest, na miłość boską, Irlandia. A nie jakieś Kanary! – perorowała.

– Daj spokój. – Szymon rozpoznał głos Aoife. Róża także zamarła w nasłuchiowaniu. – Jest stary.

– On to robi złośliwie! – upierała się Siobhan. – Ostatnio podczas śniadania specjalnie wylał na obrus mleko, gdy zobaczył mnie w progu jadalni.

– Przesadzasz – tonowała córkę Aoife.

– A potem gapił się, jak sprzątam. I klepał mnie po ramieniu. Mam go dość! – Siobhan przeszła w płaczliwy ton.

– Nie zapominaj, co mu zawdzięczamy! – przypomniała Aoife.

Solański chętnie by posłuchał co, ale właśnie ten moment wybrała sobie Róża, by kichnąć z mocą syreny okrętowej. Przyczajonemu Szymonowi mało serce nie stanęło. Gucio podskoczył ze strachu i szcęknął ostrzegawczo. Kwiatkowska zatkała usta dłonią i zrobiła skruszoną minę. Rozmowa w kuchni ucichła. Aoife wychynęła na korytarz ze sztucznym uśmiechem zdobiącym jej wymalowaną twarz. Zabrzęczała złotymi bransoletkami.

– *Cheers, big ears!* – rzuciła sucharem do Róży.

Wróciła do kuchni. I zamknęła za sobą drzwi, uniemożliwiając spiskowcom dalszą inwigilację.

– *All the best flat chest* – odparła z opóźnieniem Róża i z zadartym nosem pomaszrowała na piętro.

Detektyw uznał, że może i z wielu powodów sierżant Murphy nie jest odpowiednim kandydatem na chłopaka Róży, ale przynajmniej nadawał się jako korepetytor z angielskiego.



Szymon otworzył na oścież okno w opustoszałym pubie, z którego przed chwilą wyszedł wzmocniony kolejnym drinkiem Pat. Na dworze deszcz szumiał równomiernie, zagłuszany jedynie przez grzmiący w oddali ocean. Dzwony w trzech kościołach, które wybudowano dla około ośmiuset czterdziestu mieszkańców wyspy, w tę niedzielę nie biły na sumę. Pogoda nie pozwalała na wizytę w świątyni. Ludzie tkwili pozamykani w domach z zasuniętymi okiennicami. Niektórzy nie mieli jednak zbyt wielu okien do zasłaniania. Im starsza była budowla, do im biedniejszej rodziny należała, tym mniej miała otworów okiennych,

za które niegdyś trzeba było płacić podatek. Solański przypomniał sobie te rewelacje, z którymi zapoznał się w przewodniku zakupionym w ostatniej chwili przed wyjazdem do Irlandii.

Zamknął okno. Zamieszał łyżeczką herbatę, którą zamówił sobie w barze u Seana. Z obrzydzeniem odkrył, że barman dolał do niej mleka. Odsunął szklankę jak najdalej od siebie. Zasiadł za stołem z plikiem starych listów. U jego stóp chrapał Gucio. Musiały mu się śnić koszmary, bo przebierał łapami, jakby przed kimś uciekał.

Solański otworzył kopertę z listem od Kamila.

Londyn, 22 lipca 1942 roku

My Dear Brother!

*Oto jestem! Dotarliśmy do Anglii z początkiem miesiąca. Wciąż nie mogę się nadziwić, gdzie też los mnie rzucił. To jest zupełnie inny świat! Na ulicach porządek. Większość ludzi mieszka w schludnych domkach jednorodzinnych z ogródkami. Architektonicznie wszystko tu do siebie pasuje. Po tych długich miesiącach wygnania nawet to ich dziwne jedzenie, hojnie zakrapiane octem, mi smakuje. A i piwo mają niegorsze. Mimo wojny Anglicy noszą się elegancko. Trochę zbyt sztywno być może. A po ulicach jeżdżą samochody jak z filmów.*

*Przyjmują nas tu z pozoru życzliwie. Choć czasami wydaje mi się, że tak naprawdę herbaciarze widzą w nas – Polakach – kogoś na kształt ubogich krewnych, w dodatku ograniczonych umysłowo. Ale staram się wypierać z pamięci złe chwile i skupiać się na tym, co niesie ze sobą przyszłość. Gdy już się wszystko uspokoi, musisz koniecznie do mnie przyjechać, Cześku! Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe, ale postanowiłem na razie nie wracać do Polski. Póki wojna trwa, zostanę w Anglii. Zagwarantowali mi tu szkolenie na obserwatora w RAF-ie! Będę walczył w Polskich Siłach Powietrznych, choć operacyjnie*

podlegamy brytyjskiej armii. Uczęszczam na kurs angielskiego. Na razie średnio mi idzie. Jestem trochę przerażony, bo otaczają mnie praktycznie sami Anglicy, więc żeby kupić chleb, muszę poprosić o niego po angielsku, aby trafić pod poszukiwany adres, jestem zmuszony zapytać o drogę po angielsku... Nie mam innego wyjścia, jak tylko nauczyć się języka. A to cholernie trudne. Kłopoty sprawia mi też akcent. Brzmię jak ruska baba z targu.

Wszystko pięknie, tylko Angielki takie brzydkie... Nie to co nasze piękne polskie dziewczyny. Gdybym miał być niegrzeczny – ale przy tym i najbliższy prawdy – to powiedziałbym, że Brytyjki przypominają z wyglądu konie. No cóż, przeczekał do końca wojny (ile to jeszcze?) i wrócę do domu. W Dębicy na pewno znajdę jakąś ładną młodą pannę na wydaniu. A i Ty o tym pomyśl, Cześku. Szanse mamy spore, w końcu za mundurem panny sznurem.

Ucałowania dla Ciebie i Mamy. Jakże ona się czuje?

Wasz  
Milek

PS Teraz dopiero przesyłam Ci wszystkie listy, które napisałem w trakcie naszej wędrówki z Generałem. Myślę, że brytyjskiej poczcie mogę bardziej zawierzyć niż tej stalinowskiej. Pewnie w swym pragmatyzmie już sądziłeś, że zginąłem. Tyle miesięcy milczenia. A może nigdy nie straciłeś nadziei? Jak widzisz, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Jeszcze się ze mną pomęczysz, Braciszku.

Uściski  
M.

Solański przerwał lekturę na dźwięk zbliżających się kroków. Powoli, szurając nogami, do pubu wczłapał John. Z twarzy nie schodził mu

przyjazny, choć trochę nieobecny uśmiech. Oparł się o blat baru, ledwo sięgając do niego łokciami. Sean odłożył „Galway Advertiser”, którego strony przerzucał bezmyślnie, wgapiając się w reklamy lokalnych restauracji i zakładów fryzjerskich. To one w większości zajmowały szpalty tygodnika.

John kazał sobie nalać podwójnego Jamesona. Sięgnął po napełnioną szklankę, odwracając się przy tym nerwowo w stronę drzwi. Solański pomyślał, że dziadek pewnie obawia się nadejścia żony. John przytrzymał palący płyn w ustach. Przełknął. Skrzywił się i podszedł do Szymona. Z wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki wyciągnął okulary w grubych oprawkach. Nasadził je sobie na nos i nachylił się nad stolikiem.

– W twoim wieku nie powinieneś już pić! – Solański usłyszał od progu gromki głos Cerbera. Johnowi zadrżała ręka. Whiskey chlapnęła na listy Koszyckiego. Guccio warknął przez sen.

– Bardzo przepraszam – kajał się starszy pan. Z butonierki wyciągnął elegancką chusteczkę z monogramem i począł wycierać plamę. – Żona mnie wystraszyła. Ciekawe znaczki. – Wskazał na stos kopert i uśmiechnął się do Solańskiego porozumiewawczo.

– Czas na drzemkę, kochanie! – oznajmiła Aoife nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Władczym gestem odebrała mężowi szklankę z niedopitym alkoholem. Pogroziła Seanowi palcem i wyprowadziła niepokieszonego starszego pana z pubu. Solański wziął w ręce zachlapany list, do którego lektury właśnie miał się zabrać. Alkohol rozmazał tusz w kilku miejscach, tworząc na papeterii niebieską poświatę. Jameson dosięgnął też wypisanej w prawym górnym rogu daty, dlatego Szymon nie był pewny, czy rzeczywiście przerwa między kolejnymi listami wynosiła prawie dwa lata.

*Londyn, 16 marca 1944 roku*

*Braciszku!*

*Wczoraj przeżyłem niezwykle emocjonujące chwile! Razem z Ryśkiem odbyliśmy lot bojowy na Mosquito XIII HK530. Mówię ci, what a machine! Załączyłbym Ci photo, ale jest zakaz robienia zdjęć akurat tego tajnego modelu.*

*Tak po prawdzie to był wyjątek. Anglicy robią wszystko, żebyśmy my – Polacy – nie brali czynnego udziału w walce, i dają nam do dyspozycji same stare samoloty. Mówimy na nie latające trumny. W sumie nie wiadomo, co lepsze – ryzykować życie w tych gratach czy całymi dniami siedzieć w jednostce i się nudzić. Przez tę beczynność i monotonię doszło już do niejednej bójkii pomiędzy nami a Brytolami. Oni uważają, że my jesteśmy szaleni i niezdyscyplinowani. Ale to pewnie zazdrość przez nich przemawia, bo im wszystkie panny sprzed nosa podbierają polscy oficerowie.*

*Przez ostatnie dwa miesiące pogoda była fatalna, więc i tak tylko sporadycznie wylatywaliśmy z bazy. Ale od początku marca jest już trochę lepiej. Służę w 307 Dywizjonie Myśliwskim Nocnym „Lwowskich Puchaczy”. Mamy już na swoim koncie kilka sukcesów. W styczniu na przykład zniszczyliśmy dwa niemieckie wodnosamoloty w ich norweskiej bazie w Stavanger.*

*Z dumą noszę odznakę naszego Dywizjonu. To puchacz z zielonymi oczami, który siedzi na kadłubie samolotu, a do tego nasz numer – 307.*

*Ale, ale, to Ci się spodoba, Cześku. Otóż mamy też szaliki – jedwabne, turkusowe, z wyhaftowaną odznaką. Jednak w tej szalikowej wersji puchacz nie siedzi na samolocie, tylko trzyma w szponach... butelkę koniaku. Dopisano też nasze motto – semper fidelis.*

*Wiadomo, że zawsze pozostaniemy wierni. Czasem tylko*

*zastanawiam się: wobec kogo? Czy my walczymy o Polskę, czy nadstawiamy karku za UK? Czuję się, jakbym miał dwie ojczyzny. Albo nie miał żadnej.*

*Pewnie zabrzmiało to bluźnierczo, ale coraz bardziej obawiam się końca wojny. And then what? Czy mam wracać do Polski? Choć jestem tu dopiero od dwóch lat, zadomowiłem się na dobre. Mógłbym pójść na studia. Praca też pewnie by się znalazła. Tak sobie myślałem, może Wy z Mamą przyjechalibyście do mnie? Zapłaciłbym za bilety. Tylko czy chcielibyście rzucić wszystko i wyjechać do obcego kraju? Czy macie jeszcze co rzucać?*

*Tęsknię za Wami chyba bardziej niż kiedykolwiek.*

Big kisses  
Milek

## Rozdział 5

*Ní raibh grá mór nach bhfuil ach amháin tar éis fuath mór.*

*Nigdy nie było wielkiej miłości, która by nie poprzedzała wielkiej nienawiści.*

W przeliczeniu na ludzkie, jeśli wierzyć tabelce, którą jakieś konowały zamieściły w mojej książeczce zdrowia, liczę sobie najmniej pięćdziesiąt sześć wiosen. A pewnie jest ich więcej, bo żaden kronikarz nie pokusił się o zapisanie dokładnej daty moich urodzin. W każdym razie już od dobrej dekady chodzę po tym świecie. Co wcale nie znaczy, że nie chciałbym do mamusi. Mam wprawdzie Solańskiego i zawsze mogę przytulić się do jego wychudzonej klaty, ale to jest taka bardziej męska miłość.

Ckni mi się czasem za ciepłem matczynego łona, choć moją rodzicielkę pamiętam już jak przez mgłę. Mnie wraz z moim niezliczonym rodzeństwem zabrano od niej przedwcześnie, a potem próbowano nas utopić w związonym worze wrzuconym do stawu w chorzowskim Parku Róż. Tylko dzięki jakiemuś bezdomnemu panu, który wyłowił nas ze zbiornika, mogę teraz do was nawijać. Nie wszyscy moi bracia i siostry mieli tyle szczęścia co ja. Z dwunastu została nas połowa. Nie o tym jednak chciałem.

Ckliwe wspomnienia dopadły mnie, gdy z perspektywy fotela, który zaanektowałem w salonie, przysłuchiwałem się rozmowie Aoife z Siobhan. Kobiety z grobowymi minami zasiadły na kanapie i tylko



dlatego mnie nie przegoniły, że nie dostrzegły mej skromnej osoby pod stertą poduszek i koców, w których się zakopałem.

Zaczynało mi się już robić duszno i musiałem rozewrzeć paszczę, żeby przewentylować wnętrzności. O mało przez to nie zostałem wykryty. Nagle posłyszałem skrzekliwy głos Aoife.

– Co tu tak śmierdzi? – zastanawiała się ta pozbawiona taktu istota. – Jakby zgnilizną? Albo śmieciami? Wyniosłaś śmieci? – dopytywała, a ja najchętniej doradziłbym jej, żeby najpierw zajęła się własnym, nie tak znowu nieskalanym wizerunkiem, a dopiero potem dokuczała innym.

Nie twierdzę, że mój oddech to Chanel 5, ale znowu bez przesady. Nic jednak nie powiedziałem, bo konspiracja była ważniejsza. Krzywdy postanowiłem wyrównać w późniejszym terminie. Co się odwlecze, to nie uciecze, pocieszałem się. Znajomość ludowych przysłów już nieraz niosła otuchę mej umęczonej duszy.

– O co chodzi, mamó? – Siobhan się zniecierpliwiła.

Dostrzegałem ją jednym okiem w szparze między poduszką a poręczą fotela. Siedziała jak na szpilkach i to robiła się na twarzy czerwona, to znowu biała. Najchętniej bym ją zapytał, czy ćwiczy kibicowanie w meczach polskiej reprezentacji.

– Córeczko – oznajmiła Aoife, załamując ręce i głos. – Jak ty się czujesz? Po tym, co się stało z Kasią?

– A jak się mam czuć? – zapiszczała Siobhan, a z jej oczu potoczyły się grochy łez.

– Naprawdę? – zadziwiła się pani Kelly. – Mnie tam jej nie jest aż tak bardzo żal – przyznała. – Znaczą żal – poprawiła się, widząc minę córki – jak człowieka. Ale przecież z drugiej strony to tylko Polka – wyjaśniła uczciwie.

– Mamó! – podniosła głos Siobhan. – Czy ty się zastanawiałaś, jak... – urwała i ukryła twarz w dłoniach.

– Przecież to oczywiste. – Aoife pogładziła córkę po spiętych w kitkę

włosach.

Siobhan ukazała światu swą zasmarkaną twarz. Niezbyt piękny widok, gdybyście spytali mnie o zdanie.

– Mordercą jest pewnie Król. – Aoife Kelly rozwikłała sprawę zabójstwa. – Oni już tak mają. Ta dzicz z Europy Wschodniej. Że się wzajemnie wyżynają. Nie należy im w tym przeszkadzać. Taka naturalna eliminacja.

No i na co nam policja, Garda, prywatni detektywi, ja się pytam? Skoro mieliśmy do dyspozycji Aoife Kelly, genialną śledczą i znawczynię ludzkiej natury? Tak się zezłościłem tą jej wypowiedzią, że aż w patriotycznym zrywie wygrzebałem się częściowo z pieleszy i rzuciłem w przestworza, by walczyć w obronie honoru mego narodu.

– *Semper fidelis!* – zakrzyknąłem za dziadko-wujkiem Kasi Walasek. Jednak to tak tylko pro forma było, bo nie sądziłem, by ta ksenofobka wyznawała się na łacinie.

Zrobiłem swoim wystąpieniem wrażenie. Niewiasty nie spodziewały się, że ich fotel ożyje i rzuci się na nie z zębiskami. Na mój widok Aoife i Siobhan skoczyły na równe nogi, wydobyły z gardeł dzikie wrzaski i potracając się wzajemnie, uciekły w siną dal.

Wylądowałem na dywanie. Wygrzebałem się do końca z koca. Parsknąłem. I udałem się do swojego pokoju z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.



Solański wpatrywał się w zapłakane deszczem podwórze. Wydawało mu się, że ulewa minimalnie zelżała. Zasnuwające niebo chmury przybrały nieco jaśniejszą barwę. Choć mogły to być tylko jego pobożne życzenia.

Czas nie był sprzymierzeńcem. Szymon wiedział, że jeżeli ma złapać mordercę Kasi Walasek, potrzebuje pomocy z zewnątrz. Na miejscu

zdarzenia powinna pojawić się Garda i technicy kryminalistyczni. Choć sztorm pewnie już dawno zatarł wszelkie ślady, które mógł zostawić zabójca. Służby ratunkowe musiały przynajmniej spróbować wydostać ciało Kasi z załamów skalnych. Jednak bardziej prawdopodobne wydawało się, że zwłoki zostały porwane przez ocean.

Solański czekał na poprawę pogody. I robił to, w czym był najlepszy. Węszył, wypytywał, podsłuchiwał, obserwował i wnioskował. Był pewny, że mordercę ma pod ręką. To musiał być ktoś z mieszkańców B&B. Nikt inny przy takiej pogodzie nie miał szans dostać się w okolice Dún Aengus. Jedyni sąsiedzi, jak dowiedział się od Aoife, którzy mieszkali w domku położonym kilkaset metrów od hotelu, byli po osiemdziesiątce i nawet nie dysponowali samochodem, który ewentualnie mógłby im pomóc w przemieszczaniu się po wyspie.

Próbował znów nakłonić sierżanta Murphy'ego, by ten zadzwonił do swoich przełożonych, jednak Liam siedział zamknięty w łazience i słabym głosem odmawiał współpracy. Solański uznał, że skoro funkcjonariusze Gardy wykazują nieufność w rozmowach telefonicznych, należy ich sprowadzić na wyspę.

Szymon zostawił psa w pokoju. Wyszedł na korytarz i zapukał do apartamentu Johna. Minęła dłuższa chwila, zanim starszy pan otworzył drzwi. Przyglądał się Solańskiemu w milczeniu.

Detektyw ciekawsko rozejrzał się po części pokoju, którą był w stanie dojrzeć z progu. Przy jednej ze ścian stał wysoki po sufit regał zastawiony starymi, przykurzonymi woluminami. Widział też skrawek wiekowego drewnianego biurka, na którym tyłem do wejścia ustawiono ramki ze zdjęciami. Obok nich tkwił włączony komputer z otwartą stroną internetową z logo, jak się Szymonowi wydawało, w postaci jakichś gałęzi. Widać John nie zamierzał oszczędzać agregatu prądotwórczego. Przeciwległą do wejścia ścianę zdobiła rycina ukazująca brodatego mężczyznę i młodą kobietę z długimi warkoczami. Niewiasta

przypominała Szymonowi jakąś postać z bajki. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, a w oknach zawieszono ciężkie zielone zasłony.

– Tak się zastanawiałem – zagaił Solański – czy jednak nie dałoby się jakoś wydostać z wyspy. – Starszy pan patrzył na Szymona z zainteresowaniem. Detektyw zastanawiał się, czy mężczyzna rozumie, co się do niego mówi. – Żeby wezwać Gardę – kontynuował. – Statkiem wolałbym już nie... – zawiesił głos.

– Samolotem – odezwał się wreszcie John.

– W taką pogodę? – Szymon zmarszczył nos. – Kto się zgodzi lecieć?

– Znam pilota – oznajmił gospodarz.

Cofnął się do pokoju i zatrzasnął Solańskiemu drzwi przed nosem. Detektyw oniemiał. Wahał się, czy zapukać ponownie, czy po prostu sobie pójść. Po chwili jednak drzwi otworzyły się znowu. Stał w nich ubrany w szstormówkę John.

– Jedziemy – ponaglił Solańskiego i zszedł ze schodów.

Wzięli kluczyki od O’Connora, bo auto Johna wciąż stało w Kilronan. Pat był tak zalany, że chyba w ogóle nie dotarła do niego treść pytania, jakie zadał mu Solański. Wręczył detektywowi kluczyki, oznajmiając, że reszty nie trzeba.

Wsiedli do busa. Solański uparł się, że to on będzie prowadzić. I tak już z duszą na ramieniu korzystał z pożyczonego klekota, nie chciał przyprawiać się jeszcze o kolejne siwe włosy, zdając się na umiejętności jazdy starszego pana.

John pokierował detektywa drogą prowadzącą od południa wyspy. Trasa zajęła im dobre pół godziny. Solański jechał ostrożnie, w tempie niedzielnego kierowcy. Brakowało mu tylko kapelusza z rondem. Busem zarzucało na zakrętach. Wiatr wziął sobie za punkt honoru zepchnięcie pojazdu do rowu. Przez przednią szybę było widać jedynie szarobure mazy, bo deszcz zalewał jej powierzchnię. Szymon odkrył z przerażeniem, że wycieraczki nie tyle nie działały, ile ich w ogóle nie

było.

Solański odetchnął z ulgą, gdy zaparkowali wreszcie pod hangarem z samolotami. Plac przed budynkiem był opustoszały. Fale oceanu dosięgały pasa startowego.

– Przecież tu nikogo nie ma. – Szymon był zdezorientowany.

John tylko uśmiechnął się pod nosem i bez słowa wysiadł z samochodu. Kryjąc się pod kapturami i opierając wiatrowi, dotarli do bramy. John z trudem pchnął jej skrzydło. Rozległ się przeciągły pisk nienaoliwionych zawiasów. W powstałej szparze Solański zauważył jakiś jasny kształt w głębi pomieszczenia. Weszli do środka.

Samolot wyglądał Solańskiemu na dużą zabawkę. Na białym kadłubie wypisano granatowymi literami nazwę linii: Aer Arann. Brzuch samolotu też był granatowy. Pojazd wspierał się na dziwnie mikroskopijnych, jak na oko detektywa, kółkach.

– Ładny model do sklejania – skomentował.

Za maszyny wyłonił się niski, drobny mężczyzna, który z kimś się Szymonowi kojarzył. Już gdzieś widział tę twarz zdobną w mały wąsik, nie mógł sobie tylko przypomnieć gdzie. Facecik był ubrany w robocze ogrodniczki. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Ubrudzone smarem ręce wycierał w szmatę.

– To maleństwo jeszcze by cię zawstydziło. – Poklepał samolot po skrzydle. – John! – Przywitał się ze starszym panem.

– Gary! – Nastąpiła zwyczajowa wymiana imion.

– Co was do mnie sprowadza w taką cholerną pogodę? – chciał wiedzieć pilot.

Solański został przedstawiony. Mężczyźni wymienili uściski dłoni. Szymon wspiął się na palce, by zajrzeć przez niewielkie okienko do wnętrza samolotu. Zastanawiał się, czy przypadkiem w tym oryginalnym kraju nie produkuje się aeroplanów gabarytami dopasowanych do wielkości pilotów, którzy mieliby nimi sterować.

Gary przyglądał się detektywowi z ironicznym uśmiechem, jakby czytał w jego myślach. Szymon poczuł, że się czerwieni.

– Chciałbyś wejść do kokpitu? – zaproponował pilot.

– A mógłbym? – Solański sam usłyszał w swoim głosie entuzjazm pięciolatka. I nawet niespecjalnie było mu wstyd.

Podczas gdy Szymon gramolił się do kabiny pilota, dotykał licznych guzików na desce rozdzielczej (mógł sobie pofolgować, bo Gary zapewnił go, że nawet gdyby się bardzo starał, to nie zdoła niczego zepsuć) i zakładał ciemne okulary *à la* Tom Cruise w *Top Gun*, John i jego znajomy udali się na rundkę po hangarze. Solański był tak zafascynowany samolotem, że rozmowę z Garym pozostawił Johnowi. Miał nadzieję, że starszy pan zdoła przekonać pilota, by ten poleciał z nimi na stały ląd. Szybko jednak tę nadzieję stracił.

Pilot marszowym krokiem podszedł do samolotu i otworzył drzwiczki kokpitu.

– Wysiadka! – zakomenderował.

Solański rozejrzał się za Johnem. Ten właśnie wychodził z budynku. Trzasnął skrzydłem bramy, aż odskoczyła, dając się porwać wicherze i uderzając z brzękiem o zewnętrzną ścianę hangaru. Szymon niezgrabnie wy dostał się z samolotu. Zeskoczył na betonową posadzkę.

– Co się stało? – Ze zdziwieniem patrzył w wykrzywioną twarz Gary’ego.

Skoro chciał, to się dowiedział, że próba lotu przy takiej pogodzie była pomysłem tak głupim, że głupszego z pewnością świat nie słyszał i nie usłyszy. I że jeżeli on, Szymon, pragnąłby przedwcześnie pożegnać się z tym światem, to Gary nie widzi ku temu przeszkód. Jednak, pytał, dlaczego Solański chciałby pociągnąć za sobą także Bogu ducha winnego pilota?

Nie czekając na odpowiedź stojącego z otwartą idiotycznie gębą detektywa, pilot kontynuował wywód, informując Szymona, że rozumie

durne wymysły, w końcu każdemu wolno je mieć. Jednak z pewnością nie pozwoli sobie na szarganie dobrej opinii i niszczenie zdobywanych latami doświadczeń przez jakiegoś nawiedzonego starucha, któremu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozумы. To powiedziawszy, wyciągniętym ramieniem wskazał Solańskiemu kierunek wyjścia.

– Coś ty mu powiedział? – Szymon usadowił się w busie na siedzeniu pasażera, bo za kierownicą ulokował się już John.

Starszy pan w odpowiedzi prychnął tylko pogardliwie i odpalił silnik. Ruszył z piskiem łysych opon. Poturlał się z powrotem tą samą drogą, którą tu przyjechali. Osiągał jednak znacznie większe prędkości niż detektyw. Solański, przytrzymując się naderwanej rączki nad drzwiami, przyglądał się pooranej zmarszczkami i upstrzonej plamami wątrobowymi twarzy Johna. Zastanawiał się, czy dziadek w ogóle widzi znaki drogowe. I ile on tak w zasadzie może mieć lat.

– Obraziłeś go? – zapytał.

– Amator – rzekł tylko John i stulił usta w ciup.

Solańskiego olśniło. Już wiedział, z kim skojarzył mu się Gary. Z pilota był po prostu wykapany Adam Małysz.



„Amator” – pomyślałem o swoim panu, wychodząc z pokoju na korytarz po wcześniejszym wyłamaniu drzwi.

Jak tego dokonałem? Prosta sprawa. Wskoczyłem na łóżko. Stałem na jego oddalonej od drzwi krawędzi. Rozpędziłem się. Wybiłem się z moich trzech łap (plus pól). Przednimi kopytami wylądowałem na klamce. Ta pod moim ciężarem ustąpiła. Spocząłem miękko na wykładzinie i z satysfakcją pomyślałem, że z Szymona jest niezła fujara. Nawet nie zamknął drzwi na klucz. Drogę miałem wolną. Udałem się więc na przeszpiegi.

Śledztwo szło Solańskiemu opornie, musiałem więc, jak zwykle, wziąć

sprawy w swoje łapy. Zahaczyłem o pokój Róży, by zaprosić ją do współpracy. Zawsze jednak jakiś człekokształt przydawał się przy prowadzeniu dochodzenia, bo moje wymowne spojrzenia, zastępujące zwyczajowe przesłuchanie, rozumieli tylko najinteligentniejsi. A wiadomo, jak to jest z bystrością w narodzie, wnioskując z ostatnich wyników badań czytelnictwa.

Róża musiała się nieźle nudzić z tą policyjną niedojdą zabarykadowaną w ustępie, bo ledwo zobaczyła mnie w progu, cała się rozpromieniła i oznajmiła, że idziemy do kuchni na ciasteczka domowej roboty. Takiej propozycji nigdy bym nie odrzucił, zapomniałem więc chwilowo o detektywistycznych planach. Zaspokojenie łakomstwa to podstawa.

W kuchni na zydlu siedziała Aoife i obierała ziemniaki. Garnek trzymała między rozchylonymi nogami. Drobinki czerwonego lakieru z jej paznokci lądowały w naszym obiedzie. Trochę mnie zemdliło.

By przegonić złe myśli, skierowałem się, wiedziony swoją niezawodną kluką, wprost do spizarni. Przypuszczałem, że to właśnie tam Kelly przechowuje ciastka, które mi zaproponowano. Wślizgnąłem się do ciasnego pomieszczenia. Obwąchując zawartość półek i wyżerając co smaczniejsze łupy, jednym uchem podsłuchiwałem rozmowę toczącą się nad garnkiem z ziemniakami.

– A pani zdaniem kto kropnął tę Kaśkę? – zagadała Róża z akcentem godnym rosyjskiej matrioszki.

– Ktoś z was – palnęła Aoife i nawet się tym nie zawstydziła.

– Nas, czyli...? – Róża spochmurniała.

– Pewnie ten Król – sprecyzowała ugodowo Kelly. – Przecież to szumowina.

– Po co miałyby ją zabijać? – zastanawiała się Kwiatkowska.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – zdenerwowała się gospodyni. – Zresztą to mógł być ktokolwiek. Ten jej chłopak na przykład.



Róża nadstawiła ucha. Założyła za nie kosmyk swoich mysich włosów i dawać przepytować Aoife. Dojrzała w starej przykładną plotkarę i nie pomyliła się ani odrobinę. Kelly, podpuszczona, wyśpiewała wszystko, jak przekupa na targowisku.

Kiedy Solański wrócił z bezowocnej wycieczki z Johnem, ja i Róża czekaliśmy już na niego z podwójnym dzinem z tonikiem i przełomowymi informacjami.

– Kasia rzuciła Seana? – po raz trzeci z rzędu powtórzył z niedowierzaniem Solański, moszcząc się w fotelu w salonie. Kwiatkowska rozpląszczyła się na kanapie, a ja dotrzymywałem jej towarzysztwa. Szymon łyknął sobie swojego ulubionego napoju i spojrzął baranim wzrokiem za okno. Jeszcze by ktoś pomyślał, że detektyw duma nad meandrami śledztwa. Ja tymczasem dobrze wiedziałem, że mój pan kmieni intensywnie, jak by tu zdobyć dolewkę. – A skąd Aoife o tym wie? – Spojrzał na Różę podejrzliwie.

– To jest wścibska baba. Podśłuchuje.

– Powtórz mi jeszcze raz, co powiedziała – domagał się Solański.

Róża spełniła prośbę, a ja potwierdzałem jej słowa, zamasyżując kiwając pyskiem. Aż się z rozpędu rąbnąłem szczęką o kant stolika. Solański oczywiście nie przejął się mą niedolą, tylko słuchał opowieści, jak to Aoife, niby przypadkiem, usłyszała rozmowę Kasi z Seanem (a mogłem się założyć, że tak po prawdzie kucąca pod drzwiami i nie tylko nadstawiała radary, ale i podglądała przez dziurkę od klucza).

Kelly relacjonowała nam z wypiekami na twarzy, a my teraz przekazywaliśmy Solańskiemu, że początkowo Sean nie chciał przyjąć do wiadomości tego, że Kasia z nim zrywa. Dziewczyna podobno uznała, że barman zbyt zaangażował się w ich związek. A jej nie zależało na poważnych relacjach. Wedle słów Aoife chłopak padł przed Polką na kolana i błagał ją, by zmieniła zdanie. Walasek jednak podjęła już decyzję. Sean na widok niewzruszonej miny Kasi zerwał się z klęczek.

Zaczął krzyczeć, że on tak tego nie zostawi, że jeszcze się porachują. W każdym razie coś w ten deseń. Róża nie była w stanie zacytować dokładnie słów Aoife, bo rozumiała jedynie ogólny sens jej wypowiedzi. Czego jednak nie pojęła, teraz uzupełniła, posiłkując się własną wyobraźnią.

Solański, wyposażony w takie dramatyczne nowiny oraz w pustą już niestety szklankę po dżinie, uznał za stosowne skierować się w stronę baru. Poczłapaliśmy za nim z Różą jak te grzeczne pieski. Moi pomocnicy wgramolili się na stołki barowe, a ja pozostałem na poziomie podłogowym.

– Kasia cię rzuciła? – Solański zaczął bez ogródek.

Dyplomacja nigdy nie była jego mocną stroną.

Sean zamarł ze ściereczką w ręce, bo właśnie przecierał kufle na błysk. Zaciśnął palce na szklance, aż pobiełały mu kostki.

– Od razu rzuciła – powiedział tonem udającym obojętność. – Raczej mieliśmy sobie zrobić przerwę. A tak w ogóle to nie wasza sprawa – zreflektował się.

– Nasza, nasza – zapewnił go Solański. – Tobie chyba też zależy na wykryciu mordercy?

– Co to ma wspólnego z naszym związkiem?! – wzburzył się.

– Ma albo nie ma – oznajmił filozoficznie detektyw. – Groziłeś jej?

– Kochałem ją – odparł hardo Sean, wypinając wątlą pierś.

Nie byłem do końca przekonany, czy mamy wierzyć w takie zapewnienia. Poza tym nie od dzisiaj wiadomo, że miłość od nienawiści dzieli bardzo cienka linia.



Róża zaczynała podejrzewać, że padła ofiarą mistyfikacji. Męskiej, szowinistycznej blagi. Jej zdaniem nie było prawdopodobne, by ktoś tak długo i tak dotkliwie cierpiał po spożyciu głupiego gulaszu. Słyszała

wprawdzie o *man flu*, kiedy to zwykłe przeziębienie stawało się co najmniej morową zarazą. Jeżeli jednak Liam sądził, że ona się na te sztuczki nabierze, będzie go niańczyć i użalać się nad nim, to był w dużym błędzie. Większym niż opona na brzuchu Róży. Kwiatkowska postanowiła postawić swojego chłopaka do pionu.

– Dosyć tego! – zakrzyknęła, wkraczając bez pytania do łazienki, w której zaszywał się sierżant Murphy.

I tu go miała. Irlandczyk nie przewidział, że jego dziewczyna będzie na tyle bezczelna, by bez pardonu, bez poszanowania dla prywatności wedrzeć się w tak intymne miejsce i zastać go na... leżeniu w wannie i graniu w węża na komórce.

– Zwijaj manele i jazda do roboty! – oznajmiła Róża w swym ojczystym języku.

Liamowi niczego nie trzeba było tłumaczyć. Dobrze wiedział, że narozrabiał. Został przyłapany na gorącym uczynku. Wyszedł więc grzecznie z wanny, w której wylegiwał się w ubraniu na sucho, umościwszy sobie legowisko z poduszek. Otrzepał pomięty mundur. Spomiędzy sterty brudnych ręczników wygrzebał służbową czapkę i nasadził ją sobie na skudłone rude kłaki. Nachylił się nad Różą, by w ramach przeprosin pocałować ją w policzek, jednak trafił w próżnię.

– Ryży kudła, wara od źródła! – zasadziła Kwiatkowska klasykiem i przeszła do pokoju.

Tam rozsiadła się na wyrze i obmyśliła plan działania.

– *You*. – Wskazała na Liama, który nieśmiało stanął w progu pokoju. – *Call friends* – wydukała. Ponieważ ukochany spoglądał na nią tępo, poczuła się w obowiązku uściślić dyspozycję. – No, *call friends*. Jak Rachel, Monica, Phoebe, Chandler, Ross i Joey! Tylko *from* policja. No – ponagliła jego wolno działające zwoje mózgowo – telefon do przyjaciela! – Straciła cierpliwość.

– A! – Murphy pacnął się w czoło. – Mam zadzwonić po wsparcie? – Zrozumiał, o co chodzi Róży. – Jak tylko będzie zasięg, kotku – wyjaśnił.

Kwiatkowska miała już jednak po dziurki w nosie tych wszystkich kotków i innych kochań. Ona chciała działać! Wytropić mordercę. I wsadzić go za kratki. Solański miał rację. Potrzebowali pomocy z zewnątrz. A jedyną osobą, której wezwanie mogło zostać potraktowane poważnie, był sierżant Murphy. Ten jednak nie wyglądał na zainteresowanego rozwikłaniem sprawy.

Liam zaczynał Róży działać na nerwy. Kwiatkowska zastanawiała się, czyby nie wrócić do swojego wynajmowanego w kamieniczce pokoju. Z trudem, bo z trudem, ale można było przynajmniej spróbować poruszać się po wyspie. Odpadłyby jej koszty noclegu w Kelly's B&B. Teraz, kiedy z powodu pogody zamknięto na kilka dni Super Burgera i Róża nie zarabiała, musiała liczyć się z każdym centem. Poza tym wcale nie było pewne, czy po jej ostatnich występach Mejsiur przyjmie ją z powrotem do pracy.

Dziennikarka szybko jednak odrzuciła ten plan. Po pierwsze, nie zamierzała dać się odstawić na boczny tor śledztwa. A po drugie, liczyła na to, że dzięki osobie sierżanta Murphy'ego rzuci wszelkie wydatki na irlandzką policję.

Chwytiła zszokowanego sierżanta za ucho i w takt jego bolesnego: „aia, aia, aia” wytargała go na dwór, gdzie spodziewała się polepszenia jakości usług operatora komórkowego. Zaciągnęła opierającego się Liama na tyły domu. Wyszarpnęła mu z ręki telefon. Wyłączyła węża i własnoręcznie wybrała numer 112. Po czym przytknęła policjantowi słuchawkę do ucha.

Nie chciała się narazić na konieczność rozmowy przez telefon z jakimś sepleniącym Irlandczykiem. Już ona tu przeżyła swoje w tym względzie. Już się naodpowiadała *yes, yes*, nie mając zielonkawego pojęcia, na co tak ochoczo się zgadza. Rozmowa twarzą w twarz w obcym języku

była dla Róży niezwykle trudna. Ale dyskusja za pośrednictwem łącza telefonicznego po prostu przekraczała jej możliwości.

Po pierwsze, nic przez tę słuchawkę nie było słycać. A nawet gdyby, to głoski dochodziły do Kwiatkowskiej jakieś zniekształcone. Dodatkowo nie można było niczego wywnioskować z mimiki rozmówcy, bo parcha zwyczajnie nie widać. Róża więc przez telefon nie rozumiała nic i zazwyczaj, gdy ktoś naiwnie próbował się z nią połączyć i przemawiać do niej po obcemu, przerywała rozmówcy w pół zdania.

– *I don't understand* – mówiła. – *OK?* – upewniała się jeszcze i rozłączała czym prędzej.

Teraz więc przymusiła do rozmowy sierżanta Murphy'ego. Jednak i jemu się upiekło, ponieważ sygnału nie było, mimo że Kwiatkowska, nie zważając na atakujący ją deszcz, chodziła po podwórku z komórką w wyciągniętej ku niebu ręce.

– Jeszcze piorun ściągniesz! – wrzasnął Solański, wychylając się przez okno mansardowe.

– W Irlandii nie ma piorunów – pouczyła go Róża.

W odpowiedzi posłyszwała złowrogi grzmot.



Solański przemierzał korytarz w tę i w ową i wydawał z siebie nieartykułowane pomruki. Szlag go trafiał z bezsilności. Krok w krok za panem człapał pies.

Z dołu dobiegły odgłosy grającego telewizora. Szymon zszedł do salonu. Chciał obejrzeć prognozę pogody. Przed ekranem z przymkniętymi oczami siedział Pierre Dupy. Spikerka mówiła, zdaje się po czesku, coś o napadzie na bank.

Pilot leżał na stoliku kawowym. Szymon przesunął się cicho w jego stronę. Nie chciał zbudzić Francuza. Wychylił się. Poślizgnął. Z łomotem oparł się o szklany blat.

– Cholerrra! – Pierre się ocknął. – Aleś mnie wystrrrraszył! – poskarżył się.

Dupy chwycił pilota i począł przerzucać kanały. Na ekranie migały wypacykowane twarze prezenterek, poczerwieniałe gęby polityków, wystudiowane miny aktorek z oper mydlanych i spocone facjaty przerażonych uczestników wszelkiej maści talent show.

– Stop! – wrzasnął Solański, znów strasząc Pierre’a. – Prognoza pogody – usprawiedliwił się.

Irlandzki odpowiednik Jarosława Kreta nie miał dla Solańskiego dobrych wieści. Sztorm nie odpuszczał. Przewidywano wręcz, że pokaże jeszcze okrutniejsze oblicze. Poza tym, jak zapewnił prezenter, można się było szykować na więcej deszczu, silniejszy wiatr, powodzie i temperaturę powietrza oscylującą wokół zera. Takiego zestawu nawet huraoptymistyczny Irlandczyk nie mógłby nazwać *gorgeous weather*.



Przepowiednie sprawdziły się co do joty. Tuż po obiedzie niebo przybrało barwę skalistego pokrycia wyspy. Wydało z siebie głuchy pomruk i chlusnęło potokiem deszczu. Ten wkrótce przemienił się w grad. Ostre odłamki lodu waliły w dach hotelu.

Solański w swoim pokoju czuł się jak żołnierz w okopie podczas bombardowania. Kierując się tym wojennym skojarzeniem, sięgnął po listy.

Do pomieszczenia bez pukania wparowała Róża. Usiadła na brzegu łóżka. Sprężyny jęknęły.

– Co to? – Wskazała na poźótkłe kartki.

Szymon wyjaśnił Róży, jak wszedł w posiadanie korespondencji.

– A co to niby może mieć wspólnego z morderstwem? – Kwiatkowska wydeła usta.

– Nic – przyznał Solański. – Ale Koszycki się upierał, więc czytam.

Sama zobacz. – Detektyw podetknął Róży już przeczytane listy.

Kwiatkowska wgramoliła się na wyro Szymona. Umościła się na poduszkach i zagłębiła w lekturze.

Solański poszedł jej śladem.

*Dębica, 1 września 1944 roku*

*Milku!*

*Więc żyjesz! To najważniejsze. Jestem szczęśliwy. Masz rację. Myślałem, że stało się najgorsze. Że będę musiał jechać do Rosji. Szukać Twojej mogiły. A tymczasem Ty zostałeś obserwatorem w lotnictwie. Na razie nie możemy do Ciebie z Matką przyjechać. Pięć lat dziś mija od początku wojny. A końca nie widać.*

*Służę w Armii Krajowej w drugim zgrupowaniu naszego dębickiego oddziału. Zostałem dowódcą drużyny saperów. Ty atakujesz Niemców z powietrza, ja spod ziemi.*

*W zeszłym tygodniu pokonaliśmy ich na polanie Kałużówka. To była bitwa w ramach akcji Burza. Dowodził nami major Adam Lazarowicz, nauczyciel ze szkoły w Gumniskach. Nie było łatwo. Niemcy przedzierali się przez zarośla i parowy. Byli coraz bliżej. Baliśmy się, że okrążą kompanię „Pęka”, złożoną z chłopaków ze wsi Głobikowej, Gębiczyny i Siedlisk. Wermacht walił do naszych z moździerzy.*

*Razem z nami bronili się Sowieci. Ci jednak, jak to Ruskie, szybko wycofali się na bezpieczną odległość. Wstyd przyznać, ale też niektórzy z naszych okazali tchórzostwo. Major Lazarowicz odnalazł jednego oficera, który przerażony natarciem, ukrył się, wciskając głowę w dołek strzelecki. Wyglądał jak struś. Kompania „Pęka” wreszcie też musiała się wycofać na drugą linię obrony.*

*Ale na szwabów czekałem ja wraz ze swoimi chłopakami. Na mój rozkaz odpaliliśmy broń maszynową. Na całkiem długo udało nam się powstrzymać napór Niemców. Pojedyncze szkopy*

*próbowały przedzierać się w naszym kierunku. Strzelali do nas niczym snajperzy. Rozkład sił był rażąco nierówny. Musieliśmy zrobić odwrót.*

*Niemcy wdarli się na polanę. Puścili z dymem zabudowania Gawlika i Niedzieli, w których wcześniej mieściło się nasze kwatermistrzostwo. Leciał na nas grad kul. Także granaty. Przybywało rannych. Transportowaliśmy ich na noszach wykonanych z koców i dwóch drągów. Nie dalibyśmy sobie rady, gdyby nie sanitariuszki. Miały więcej siły, wytrwałości i odwagi niż niejeden mężczyzna. Coraz bardziej doskwierał nam głód. Mijane wsie były opustoszałe, ograbione z wszystkiego, co nadawałoby się do zjedzenia. Wreszcie jeden z wysłanych patroli przytargał worek zboża i ubitego prosiaka, którym pożywił się cały czterystuosobowy oddział! Żuliśmy paski surowego mięsa. Smakowały jak guma z majtek. Kapelan garnuszką wsypywał nam zboże do żołnierskich czapek. Przetrwaliliśmy.*

*Nie odnieśliśmy pełnego sukcesu. Ale to była wielka bitwa. Podobno dotąd jedna z największych w południowo-wschodniej Polsce w trakcie akcji Burza. Będziemy walczyć dalej. Aż odzyskamy wolność.*

*Bądź zdrow!  
ppor. Migdał*

– Migdał? – zadziwiła się Róża, zaglądając Solańskiemu przez ramię. Zdażyła już pobieżnie przejrzeć stos, który wręczył jej detektyw, i była ciekawa dalszych losów braci. – Może miał migdałowe oczy? – rozmarzyła się.

Szymon najchętniej rzuciłby jakąś szyderczą uwagę. Wolał już jednak z Różą niepotrzebnie nie zadzierać.

– Dawaj następny! – Kwiatkowska odebrała mu listy.

Rozłożyła na kołdrze papier z porządnej, eleganckiej papeterii.



Obydwoje nachylili się nad tekstem.

*Londyn, 20 grudnia 1946 roku*

*Czesiulku!*

*Wygląda na to, że świat wreszcie zmierza ku lepszemu. Przynajmniej mnie żyje się tak dobrze, jak jeszcze nigdy. Robię college. Będę structure engineer. Już mam obiecaną robotę w London County Council. Zamieszkałem też w pięknym wiktoriańskim dwupiętrowym domku. Stoi on przy Palace Road, obok całego szeregu sobie podobnych. Bardzo przyjemna okolica. Mam mnóstwo bedroomów. Jeden z nich przerobiłem nawet na gabinet. Postawiłem w nim wielkie biurko, ściany okleiłem mapami przedstawiającymi kolonialne imperium Wielkiej Brytanii i czuję się już Angolem pełną gębą.*

*Sorry za mój język, ale czasem mam problemy z dobraniem odpowiednich słów po polsku. No i nie pasuje mi też moje nazwisko. Nie myśl o mnie źle, nie ma w nim niczego niestosownego. Tylko nikt tu nie potrafi poprawnie wymówić tego nieszczęsnego Koszyckiego. Może powinienem je sobie zmienić na jakiegoś Basketę?*

*Jeżeli na razie nie zdecydujecie się z Mamą na przyjazd, chyba zacznę wynajmować pokoje. Na co to wszystko mnie jednemu?*

*Dom z zewnątrz jest pokryty czerwonym klinkierem. Ma wysokie okna, które otwiera się do góry, a nie na bok, jak w Polsce. Z tyłu jest ogród. Nie mam jednak ręki do roślin, więc posiałem wszędzie trawę. Spodobałoby Ci się tutaj. Okolice jest dobrze skomunikowana z city center. Gdy przyjedziesz, w każdej chwili będziemy mogli wyskoczyć na przykład w odwiedzinę do kinga George'a. A przynajmniej pod Buckingham Palace. George to jest twardy gość. Podczas nalotów niemieckich nie zwiął z Londynu. Mimo że szkopy dziewięć razy spuszczały mu bomby*

*na pałac.*

*Jak Tobie żyje się w powojennej Polsce? Znalazłeś pracę? Co u Mamy? Razem z listem przesyłam Ci kilka drobiazgów. Słyszałem, że macie kłopoty z dostaniem podstawowej żywności i lekarstw, więc załączam trochę coffee, English Breakfast Tea, ciastka i prawdziwą whiskey. Ta ostatnia działa lepiej niż wszystkie medykamenty świata razem wzięte. Funty schowaj, przydadzą Ci się na czarną godzinę.*

*Wszystko pięknie, Cześku, tylko angielskie kobiety wciąż brzydkie. Nic im się nie poprawiło od ostatniego czasu, gdy do Ciebie pisałem. Zostanę więc chyba starym kawalerem. A jak tam u Ciebie w tej kwestii? Czy może Mama nie chce Cię wypuścić spod swoich skrzydeł, skoro ja jej się wyrwałem?*

*Przyjedźcie do mnie, proszę! Wyślę pieniądze na podróż!*

With love  
Milek



Rozumiem, że w czasach zdominowanych przez półanalfabetów, którzy nie widzą świata poza swoimi smartfonami, trzeba wspierać czytelnictwo. Ale żeby wybierać lekturę zamiast głaskania psa? Tego nie potrafiłem pojąć. Dlatego też wreszcie nie zdzierzyłem i wlałem Szymonowi i Róży w sam środek tych śmierdzących szcurzymi ogonami kartek. Rozwaliłem się na wyrze jak długi i zażądałem należytej mi uwagi. Odkąd Solański zabrał mnie ze schroniska, zdążyłem sobie wychować moich ludzi, więc teraz wiedzieli, co robić. Odłożyli papieryska w kąt i poczęli ciumkać nade mną niczym nad nowo narodzonym dzieciąciem. Aż mnie samemu niedobrze się od tego zrobiło i odwróciłem się do nich zadem. Frontem usadowiłem się

do drzwi, bo stamtąd spodziewałem się ewentualnego zagrożenia. Moje bojowe nastawienie należało chyba złożyć na karb tych wojennych historii, którymi mnie karmiono ostatnimi czasy. Zamiast szyneczki.

I rację miałem, jak się szybko okazało, że zachowałem czujność. Ktoś (albo coś) załomotał (o) w drzwi. Rozszczękałem się na całe gardło, gdyż byłem psem zaczepno-obronnym. Miałem z Solańskim taki *deal*: ja zaczepiałem, a on bronił. Darłem się więc, ile wlezie.

– Proszę! – powiedziała Róża.

Drzwi uchyliły się, a w progu stanął ten stary pryk, na którego wołali John. Przeszł z nogi na nogę, obie obute w zalatujące stęchlizną kapcie rodem z szafki w kwaterze prywatnej U Marioli w Ciechocinku.

– Nie przeszkadzam? – zapytał i rozejrzał się po pokoju.

Solański wskazał starszemu panu wolny fotel i gestem zaprosił go do środka. Dziadek, szurając po wykładzinie, doczłapał do siedziska. Przydepnął sobie kapeć i się potknął. Oparł się o łóżko, zapobiegając upadkowi. Pomyślałem sobie, że jeszcze tego by brakowało, żeby ta łamaga połamala sobie giczoły akurat w naszym kwadracie.

John rozsiadł się w fotelu, okrywając się szczelnie swoim zapinanym na guziczki babcinym swetrem. Dłonie skrył pod jego połami. Żal mi się zrobiło dziadulca. Nie dysponował takim tłuszczkiem jak ja, idealnym do grzania starych kości.

– Myślałem, że Gary polecą – zagadnął John – mimo pogody.

– To dobry pilot? – zacięła się Róża, którą ostatnio niezwykle interesowali faceci w mundurach.

Zastanawiałem się, czy za śmieciarzami też się tak oglądała. W końcu przecież mieli uniformy, a i pachnieli całkiem, całkiem. Ja bym w każdym razie brał.

– Najwyraźniej niewystarczająco. – Dziadek się zachmurzył. – Nie chciałbym zabrzmieć jak stary pierdziel, ale sami widzicie – tłumaczył się John. Krzywy uśmiech przecinał jego twarz przypominającą

zostawione na słońcu jabłko. – Dzisiejsza młodzież nie wróży najlepiej temu krajowi.

Róża i Solański mieli nietęgę minę. Szymon to nawet wyglądał na obrażonego. Nie wiem dlaczego, wszak już od dawna do żadnej młodzieży się nie zaliczał. Kwiatkowska za to pewnie nic nie rozumiała z przemowy starszego pana.

– Nie będę wam już przeszkadzał. – John podniósł się z fotela.

– Dobranoc, panie Kelly – pożegnała się grzecznie Róża.

– Smith – poprawił ją John. – Mam na nazwisko Smith, gołąbeczki – uściślił i w żółtym tempie poszurał do swoich apartamentów.

Przyjrzałem się uważnie Solańskiemu i Róży. Z szeroko rozdziawionymi ustami prezentowali właśnie światu swoje uzębienie. Doszedłem do wniosku, że John musi mieć już poważny problem ze wzrokiem. Ta dwójka za żadne skarby świata nie przypominała gołębi. Prędkiej kuropatwy.

Niekumate diamdziaki, którym morderca tańczy przed nosem. A one nie mają pojęcia, kto zacz.



Solański uznał, że jest idiotą. Nawet porządnie nie sprawdził tożsamości mieszkańców B&B. Niezgodność nazwisk Johna oraz Aoife i Siobhan mogła o niczym nie świadczyć. Ale mogła też świadczyć o wszystkim.

W salonie zapalono świece. Lichtarze poustawiano na parapetach.

– Jak na pogrzebie – skomentowała Róża.

Siobhan siedziała w fotelu i bawiła się komórką. Aoife robiła na drutach sweter z arańskiej wełny, który w sezonie zapewne zamierzała opchnąć turystom za jakąś bająną sumę. W kominku skwierczał ogień. Solański przysunął sobie krzesło i usiadł tyłem do paleniska. Róża usadowiła się na kanapie. Gucio warował przy jej nodze.

– John jest pani mężem – zagaił Solański.

– Aha – mruknęła Aoife.

– Ale nie nazywa się Kelly – drażył detektyw. Gospodyni oderwała oczy od robótki i przyjrzała się Solańskiemu. – Tylko Smith – mówił dalej.

– Zostałam przy swoim nazwisku – wyjaśniła Aoife.

– Panińskim? – dociekał detektyw. Nigdy nie był dobry w tym całym okołorodzinnym nazewnictwie. Nie miał pojęcia, czym się różni szwagier od zięcia.

– Z domu nazywam się MacConaughey – zirytowała się Kelly. – Jak ten aktor. Tylko że z „a” w „Mac”

– Aktor?

Solański poczuł się dezorientowany. To Róża oglądała mnóstwo pirackich filmów, więc miała pojęcie o tych wszystkich hollywoodzkich gwiazdeczkach. Filmowa wiedza Solańskiego zatrzymała się gdzieś na poziomie nadawanego w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku serialu *Na wariackich papierach*, w którym występowali Bruce Willis i Cybill Shepherd w poprzednich, niezbotoksowanych jeszcze wcieleniach.

– Ten z *True Detective* – wyjaśniła Kwiatkowska, jakby to miało w czymś pomóc Solańskiemu.

– Hm – chrząknął. – A Kelly to... – Szymon nic już nie rozumiał.

– Mój pierwszy mąż nazywał się Kelly – wyjaśniła Aoife. – Ale umarł – dodała. – Powiesił się w dobudówce. W tej, w której teraz mieszka Król. Zostawił mnie z długami. I z małym dzieckiem! – podniosła głos. – Miałyśmy życie jak w Madrycie! – Upuściła druty na podłogę. Bordowa włóczka potoczyła się pod kanapę. – Gdyby nie John – podjęła Aoife – pewnie mieszkaliśmy teraz pod mostem Łososiowym w Galway.

Solański wątpił w słuszność tej wypowiedzi. Szczególnie mając na względzie hojne irlandzkie zasiłki. Poza tym, uściślił w myślach, pod

wspomnianym mostem płynęła rzeka, nie było więc miejsca dla bezdomnych. Nie zamierzał jednak wyklócać się o detale.

– John zakochał się we mnie. Siobhan przyjął jak własną córkę. Spłacił nasze długi. Odbudował ten piękny dom. – Aoife zatoczyła ręką wokół siebie. Tu znów Solański mógłby dyskutować, czy należy upatrywać piękna w niedogrzanych, zagrzybionych, klaustrofobicznych wnętrzach. Zmilczał jednak. – Więc co za różnica, jak się kto nazywa? – Aoife zakończyła przemowę.

Wygrzebała spod sofy wełnę oraz druty i wyszła z salonu.

– Przepraszam za mamę. – Siobhan się zarumieniła. – To morderstwo wszystkich nas wytrąciło z równowagi. I jeszcze ta pogoda.

Solański machnął tylko ręką. Spojrzał na podejrzenie cicho siedzącą Różę. Miała minę psa gończego.



Następnego ranka zerwaliśmy się o świcie. Do tak heroicznego czynu namówiła nas Róża, która twierdziła, że kto rano wstaje, temu kuchnia dużo daje.

– Kto pierwszy, ten lepszy – przekonywała. – Potem wszystko jest wyżarte.

Posłuchaliśmy jej i teraz kwitliśmy w pustym pubie, w którym nie było jeszcze nawet personelu, a co dopiero mówić o jedzeniu. Sierżant Murphy także się nie pofatygował. Spał w najlepsze. Pozazdrościłem mu asertywności, gdy powieki po raz kolejny mimowolnie opadły mi na piękne oczęta, a zapach smażeniny wciąż nie dolatywał do mojego nosa.

– No może faktycznie trochę za wcześnie – bąknęła Róża, spoglądając ukradkiem na zegarek.

Po wlekących się niemiłosiernie minutach wreszcie do pubu wkroczyła Siobhan. Wyglądała jakoś inaczej.

– O! – zdziwiła się oryginalnie na nasz widok. – Już podaję! – oznajmiła i pobiegła do kuchni.

– Włosy obcięła? – zastanowiła się Róża.

Nie ma to jednak jak kobiece oko. Choćby miało należeć do tak niewrażliwej na niuanse modowe Kwiatkowskiej. Od razu, skubana, wypatrzyła to, co trzeba. Gdy Siobhan nalewała nam kawy, z mieszanymi uczuciami zerkałem na jej nowe uczesanie. Wyglądało toto, jakby przechyliła głowę do przodu, pochwyciła wszystkie pukle w jednym miejscu i oberznęła wystającą część ogrodowym sekatorem. Czyli zastosowała fryzjerskie techniki godne samej Róży. Żeby zobrazować wam sytuację, przyrównałbym nowy image Siobhan do nasadzonego na głowę mopa. Używanego.

Solański nie zwracał uwagi na niczyje włosy. Gapił się za to na co innego.

– Fajna kurtka – zagadnął podającą tosty Siobhan.

– Prawda? – ucieszyła się Kelly. – Znalazłam w swoich starych rzeczach – paplała. – Ten czerwony kolor jest taki ożywczy przy tej burej pogodzie, co nie? Aż się cieplej na duszy człowiekowi robi. Nie sądzicie? Ja to ostatnio wszystkie ciuchy ciemne, więc postanowiłam coś zmienić. – Obracała się wokół własnej osi. – Może sądzicie, że to niestosowne tak się zajmować wyglądem, podczas gdy Kasia nie żyje, tak? – Zakończyła zdanie na warszawską nutę. – Ale ja uważam, że jest wręcz przeciwnie. Powinniśmy żyć! I cieszyć się życiem! Póki możemy. Kasia by tego chciała!

– Kasia miała bardzo podobną kurtkę – zauważył Solański.

– Och! – Siobhan zasłoniła usta dłonią. – Nie pomyślałam – wybąkała i wybiegła z pubu.

Zerknąłem na stół z pustą zastawą. I postanowiłem nigdy więcej nie dawać wiary przysłowiom ludowym! Szczególnie tym wygłaszanym przez Różę.



Solański zjadł śniadanie, ale równie dobrze mógłby pożywić się styropianem. Nie czuł smaku. Róża w zamyśleniu stuknęła widelcem o filiżankę. Milczeli.

Kiedy reszta mieszkańców B&B zaczęła schodzić się na posiłek, Szymon i Kwiatkowska właśnie wstawali od stołu. Detektyw skierował się do kuchni w poszukiwaniu Siobhan. Zastanawiał się, czy nie potraktował jej zbyt ostro. Przecież dopiero co straciła przyjaciółkę. A ten wyjechał dziewczynie z jakimiś pretensjami.

Początkowo go nie zauważył. Od progu było widać tylko stojącą tyłem Siobhan. Solański zagapił się na jej wyjątkowo wielki tyłek. Dopiero po chwili dojrzał, że pod długim swetrem, który narzuciła na siebie Kelly, tkwiła dłoń. Dłoń mężczyzny ukrytego za potężną sylwetką dziewczyny.

Szymon wychylił się i zobaczył Seana. Nie wiadomo było, kto tu kogo próbuje odepchnąć, a kto wręcz przeciwnie.

Solański chrząknął. Para odskoczyła od siebie. Siobhan wybiegła z kuchni. Sean poszedł w jej ślady, mijając Szymona bez słowa.



Solański mawia na mnie Gucio Security. Szczególnie wtedy, gdy uderzam w ryk na widok listonosza albo naszej sąsiadki Buchtowej. Moim zdaniem Szymon zwyczajnie skąpi na wykupieniu profesjonalnych usług ochroniarskich, zasłaniając się mną. Myśli pewnie, że skoro ma psa, to niepotrzebna mu jakaś Fosa albo inna Delta. Duży błąd!

No bo cóż ja mogę? Sądzicie, że gdybym wyszczerzył swe żółte i krzywe zębiska, ktoś by dał się nabrać i pomyślał, że ma przed sobą



rottweilera?

Prawda była taka, że kiedy moi psubracia stali w kolejce po odwagę, ja tkwiłem w ogonku po obżarstwo. Skóra mi cierpnie na samą myśl o całym szeregu śmiertelnie niebezpiecznych zjawisk, takich jak większe ode mnie psiajuchy, konie (bo te przypominają większe ode mnie psy), koty, które nie znajdują się na gałęzi drzewa (te pazury!), pijacy, chętne do zabawy dzieci, dezodoranty w aerozolu, kartonowe tubki po papierze toaletowym, mokre końcówki mopa i wariaci. Najbardziej boję się tych ostatnich, bo są nieprzewidywalni.

W myśl tej zasady podkuliłem ogon i schowałem się za nogą Solańskiego. Ani chybi zetknęliśmy się właśnie z pomyleńcem pierwszej wody. A raczej wypatrzyliśmy go z okna naszego pokoju.

Król Władysław (Czwarty Waza) czołgał się wkoło B&B. Nie zważał na błoto, zacinający deszcz i ogólny absurd sytuacji. Przebrał się na powrót w swoje ciuchy moro, zapewne po to, by stać się niewidzialnym na tle trawnika opasującego hotelik. Na domiar złego pod pachą targał giwerę. Co jakiś czas zatrzymywał się, unosił głowę, rozglądał się na wszystkie strony, po czym znów zaczynał się czołgać.

Wyszliśmy na podwórze, by przyjrzeć się temu z bliska. Solański stanął Królowi na drodze. Założył ramiona na piersi. Uniósł prawą brew. Władek podpełzł pod buty detektywa. Skoczył na równe nogi. Stanął wyprostowany, jakby połknął kij od miotły.

– Baaaczność! – wydarł się. – Spocznij! – Wykonał komendę, uginając lekko nogi w kolanach. – Kolejno odlicz! Na wszelki wypadek wycofałem się pod dach budynku, żeby z dystansu oglądać to przedstawienie.

– Zdurniałeś? – rzucił Solański. – Po co ci to? – Wyrwał mężczyźnie broń. Wyglądała jak straszak na kapiszony, aczkolwiek lepiej dmuchać na zimne.

– Czuj duch! – oznajmił Król. – Jestem gotowy na atak wroga.

– Czyli? – chciał wiedzieć mój pan.  
– Mordercy – wyjaśnił oczywistą oczywistość Władek.  
– Tym to raczej nikogo nie pokonasz. – Solański przekładał pukawkę z ręki do ręki. – To nie strzela.  
– Może i nie – zgodził się Król. – Ale w łeb dać tym mogę. – Uniósł buńczucznie podbródek. Odebrał swoją własność. Zarzucił sobie strzelbę na ramię i marszowym krokiem oddalił się do przybudówki.  
Podbiegłem do Szymona, by wesprzeć jego łydkę ciepłem mego futra. Patrzyliśmy za szajbusem i chyba obaj zastanawialiśmy się, czy przypadkiem ten świrus nie przyłożył ręki (albo swojej giwery) do upadku Kasi Walasek z klifu.



– Król? – Róża wytrzeszczyła oczy, co w połączeniu z ciasno związanymi w kitkę włosami sprawiło, że przypominała Solańskiemu żabę. Nie żeby Szymon miał coś przeciwko płazom. Obawiał się tylko, że tak już zostanie Kwiatkowskiej na stałe.  
– On ma fioła – powiedział detektyw. – I sam się przyznał, że, delikatnie rzecz ujmując, nie przepadał za Kaśką.  
Solański sięgnął po chipsa. Róża przyniosła opakowanie, otworzyła je i położyła na łóżku.  
– Jezu! – Szymon napluł sobie w dłoń. – Co to?  
– Niedobre? – zdziwiła się Kwiatkowska. Sama garściami upychała chipsy w buzi i połykała bez specjalnego zamartwiania się o przeżuwanie. – O smaku octowym – wyjaśniła. – Tutejszy przysmak. Nie żeby jakieś cudo, ale daje radę. – Zamlaskała.  
Solański odsunął od siebie niebieskie opakowanie chipsów Tayto. Wstał, by uchylić okno i przewietrzyć pomieszczenie. Róża przechyliła torebkę i wysypała sobie jej zawartość prosto do ust.  
– Chodź, poczytamy sobie – zaproponowała.

Wygrzebała z szuflady stolika nocnego stertę listów.

Solański stanowczym gestem podał Róży opakowanie gum miętowych. Począł, aż skorzysta. Dopiero wtedy ulokował się obok niej.

*Chorzów, 12 grudnia 1948 roku*

*Drogi Bracie!*

*Od jesieni nie mieszkam już w Dębicy. Przeniosłem się na Śląsk. Tutaj są większe perspektywy zdobycia wykształcenia i znalezienia pracy.*

*Krajobrazy rozciągają się tu zupełnie inne niż w naszych stronach. Hutnicze kominy. Dym osiadający tłustą sadzą na parapetach. Kopalniane szyby. To są stałe elementy horyzontu. Region oddycha ciężkim przemysłem. Węgiel i stal płyną we krwi Ślązaków. To twardzi ludzie. Jednak powiem Ci, gdy poznasz ich bliżej, gdy udowodnisz im, że mogą Ci zaufać, stają się dla Ciebie bliżsi niż własna rodzina. Szybko się o tym przekonałem.*

*Namawiałem Mamę, by pojechała ze mną. Uparta się jednak, że nie opuści rodzinnego domu. Powiedziała, że woli umrzeć w samotności na własnych śmieciach, niż tułać się na stare lata. Bardzo starała się wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Jednak ja się zaparłem. Jeśli teraz nie zawalczę o własną przyszłość, na zawsze już zostanę maminsynkiem bez żony, dzieci i przyjaciół.*

*W sierpniu spotkał mnie wielki zaszczyt. Zostałem odznaczony Medalem Wojska przez Ministerstwo Obrony Narodowej Rządu RP na uchodźstwie za udział w akcji Burza. Szkoda, że władza ludowa nie ma poszanowania dla żołnierzy, którzy walczyli o wolność Polski. Słyszysz się za to o aresztowaniach. Nawet o wyrokach śmierci.*

*Zresztą co to teraz za wolność? W sklepach nie ma niczego. Nie ma co jeść, w co się ubrać. Kraj pogrąża się w powojennej ruinie,*

w brzydocie. A wysokie stołki zajmują poplecznicy Ruskich. Jednych się pozbyliśmy, to od razu drudzy przyszli szarogęsić się na naszych ziemiach.

Zacząłem studia w Państwowej Wyższej Szkole Gospodarczej w Katowicach. Dostałem też przydział na pokój w kamienicy w Chorzowie. Moimi gospodarzami są bardzo mili ludzie, państwo Kozakowie. Odnoszą się do mnie uprzejmie, nie zważając na to, że przecież siłą dokwaterowano mnie do mieszkania, które niegdyś mieli tylko dla siebie.

Lokal jest duży. Ma ze sto metrów kwadratowych. Znajduje się na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Sobieskiego, czyli właściwie w samym centrum miasta. Okno mojego pokoju wychodzi na podwórko-studnię. Mimo wysokich ceglanych ścian zasłaniających horyzont o świcie wpada tu sporo słońca. Dzielę z właścicielami łazienkę i kuchnię. Przynoszę węgla do pieców, za pomocą których ogrzewamy mieszkanie. Nie ma chyba nic miłszego od przytulenia się plecami do nagrzaných kafli po całym dniu pracy.

No i jest jeszcze Gertruda. Córka państwa Kozaków. Śliczna dziewczyna. Pozwoliła mi się już nawet zaprosić parę razy na spacer. Nadałaby się na żonę.

Znalazłem pracę jako księgowy w Przedsiębiorstwie Budowlanym Przemysłu Węglowego w Katowicach. Życie się toczy. Może odwiedzisz nas w Polsce?

Bądź zdrow!  
Czesław



Róża przysnęła na siedząco. Przebudziła się, bo miała wrażenie,

że słyszy warkot zbliżającego się traktora. Przetarła zapuchnięte oczy. W pokoju było ciemno. Jedyne źródło światła stanowiła porzucona na podłodze latarka, którą wraz z Solańskim wspomagali się podczas lektury. Górne światło nie działało. Kwiatkowska spojrzała na telefon. Było już grubo po północy. Zastanowiła się, co w B&B miałby robić traktor. Wreszcie jednak zrozumiała, że rzeczony dźwięk wydała sama. Róża chrapała.

W duszy Kwiatkowskiej zagnieździł się lęk. Dotąd zdawało jej się, że padanie w objęcia Morfeusza w najmniej oczekiwanych momentach jest domeną starszych pań. Owe damy, zazwyczaj w środkach komunikacji publicznej, chrapały z rozdziawionymi, wyszminkowanymi na pomarańczowo ustami. Tymczasem Róża może i miała już trójkę z przodu, ale bynajmniej nie uważała się za starszą (ani za damę, jeśli już o tym mowa). Szybko pocieszyła się jednak, że może zrzucić winę na nieprzespane noce – efekt miłosnych uniesień, którym ochoczo oddawała się wespół z sierżantem Murphym.

Ktoś zastukał w drzwi. Gucio zawył, protestując przeciwko przerywaniu mu drzemki. Solański zarządził przez sen. Raz i drugi. Róża przebiegła przez głowę myśl, by wyciągnąć telefon i nagrać Szymona. A potem uciec się do szantażu. Z pewnością nie zawahałaby się przed zrealizowaniem pomysłu, gdyby Solańskiego wreszcie nie obudziło łomotanie do drzwi.

Zamroczony snem detektyw zwłóknął się z łóżka i otworzył. Od razu też padł na ziemię, trafiony policyjną pałką w czubek głowy. Róża doskoczyła do Solańskiego. Gucio za to dopadł do spodni napastnika i zatopił w nich zęby. Detektyw trzymał się za głowę i jęczał. Z czoła ciekła mu krew. Kwiatkowska stanęła w szyku bojowym z zamiarem powalenia agresora. Ręce jej jednak opadły, gdy zobaczyła, kto tkwi w progu i próbuje pozbyć się wczepionego w nogawkę psa.

– Porąbało cię?! – wydarła się Róża.

– Co tu robicie?! – zapiszczał Murphy. – Weź tego kundla! – zażądał.

– Gzimy się! – odparła Róża, która wyjątkowo rozumiała wystosowany po angielsku zarzut. – Po co pytasz, skoro najwyraźniej sam wiesz lepiej?! – Kwiatkowska wspięła się na wyżyny swojej angielszczyzny. I nawet jej się *Present Simple* z *Present Continuous* nie pomyliły. Adrenalina uwalniała w Różę ukryte moce. – A on – wskazała na Gucia – może i nie ma rodowodu. Ale jak jeszcze raz nazwiesz go kundlem, sama cię ugryzę! – Obróciła się w stronę Solańskiego. – Coś ty mu zrobił?! – biadoliła, pomagając Szymonowi pozbierać się z podłogi. – Nic ci nie jest? – Usadziła detektywa w fotelu.

Solański w wyborach miss wystąpić by raczej nie mógł. Twarz miał ubabraną krwią. Gołym okiem widać było, jak na czole rośnie mu guz gigant. Wzrok miał zamglony. Bełkotał coś niezrozumiale.

Żarówka w przywieszonym na środku sufitu żyrandolu zasyczała, po czym rozbłysnęła światłem energooszczędnym, przywodzącym na myśl wnętrze kostnicy. Liam rozejrzał się po pokoju. Zlustrował ubranych od stóp do głów Różę i Solańskiego. Popatrzył na ich zaspane twarze. Przyjrzał się łóżku, wprawdzie wygniecionemu, jednak załanemu. Zwiesił ramiona. Pałka wypadła mu z ręki i uderzyła głucho o wykładzinę.

– Ja myślałem... – W oczach Murphy’ego załśniły łzy.

– To nigdy więcej nie myśl! – wydarła się Róża.

– Ty debilu! – Solański się ocknął.

– Też znowu nie przesadzaj. – Kwiatkowska stanęła w obronie chłopaka. Bo to wciąż był jej chłopak. I do tego o nią zazdrosny. – Wielkie mi aj-waj. – Machnęła ręką.

Drzwi skrzypnęły. W progu stanął odziany w pasiastą piżamę Pierre Dupy.

Róża podśmiewała się z nazwiska Francuza, mamrocząc je pod nosem fonetycznie. Uznała, że w polskiej szkole byłoby dla Pierre’a

jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Teraz znów zaczęła powtarzać niecenzuralne słowo. Musiała jednak zrobić to zbyt głośno.

– Co? – zainteresował się Pierre.

– Ja? Co? – Dziennikarka się spieszyła.

– Trzeba doktorrra? – Dupy wskazał na zmaltretowanego Solańskiego.

– Obejdzcie się. – Szymon pogładził się po zakrwawionym podkoszulku. Na rękawie zauważył paprochy, które musiały się poprzyklejać, gdy leżał na podłodze. Strzepnął je i przyjrzał się niebyt czystej wykładzinie.

– Ha! – oznajmił triumfalnie Pierre, widząc poczynania Solańskiego. – Brrrudno, co?

– Czysto nie jest – przyznał detektyw.

– Aoife ma rrację – oznajmił Francuz. – Kasia nie najlepiej sprzątała.

– Sam byś po sobie pozamiatał – oświadczyła z feministycznym zacięciem Róża.

– Tak rrobieę – rzekł Pierre. – Zakazałem jej wstępu do mojego pokoju. Przecież nawet ten starrry piernik John na nią narzekał. Szczoteczkę do zębów mu zgubiła. Tak powiedział – paplał Francuz. – A ja sam potrrrafię o siebie zadbać.

– Patrzcie, jaki zarradny – przedrzeźnił go Solański.

Detektyw wziął się do zbierania porozrzucanych po podłodze listów Koszyckiego. Sprawdzał daty i układał koperty chronologicznie.

Róża głaskała sierżanta czule po policzku. Rozanielony Murphy był wpatrzony w Kwiatkowską jak w obrazek. Gucio nie spuszczał z oka policjanta. Pierre przesunął obutą w kapeć stopą po dywanie i mamrotał coś o syfie i malarii razem wziętych.

– Róża! – ryknął Solański, przerywając względną ciszę. – Gdzie są listy?!

– Masz je w ręku. – Kwiatkowska popatrzyła na kolegę z pobłażaniem. Najwyraźniej doszła do wniosku, że oto nadeszły z opóźnieniem skutki

uboczne uderzenia pałką.

– Nie! – upierał się Szymon, wymachując stertą kopert. – Te są nieprzeczytane. Gdzie te wcześniejsze? Leżały na osobnej kupce – wyjaśnił.

Nikt nie potrafił mu jednak udzielić odpowiedzi. Z salonu na parterze dobiegł ich odgłos zegara oznajmiającego nadejście pełnej godziny.

Wybiła pierwsza w nocy.



## Rozdział 6

*Here's to women's kisses, and to whiskey, amber clear.  
Not as sweet as a woman's kiss, but a darn sight more sincere!*

*Wypijmy za kobiece pocałunki i bursztynową whiskey.  
Nie tak słodką jak pocałunek kobiety, ale dużo bardziej  
szczerą.*

Solański uważał, że zemsta jest jak wódka. Lepiej smakuje na zimno. Dlatego musiał ochłonać. A dopiero wtedy, gdy rewanż będzie najmniej spodziewany, odpłacić Murphy'emu pięknym za nadobne. Szymon nie sądził jednak, że okazja do wyrównania rachunków pojawi się już następnego ranka. I że on sam nie będzie musiał kiwnąć nawet palcem, by życie ugryzło sierżanta w tyłek.

Solańskiemu łupało w skroniach. Ostrożnie uniósł głowę. Na poszewce poduszki odkrył czerwone smugi. W łazience unikał lustra.

Dla odwrócenia uwagi od swojej rozkwaszonej gęby zastanawiał się, gdzie mogły się podziać listy Koszyckiego. Ktoś je ukraść czy po prostu się zapodziały?

Solański wciągnął na grzbiet czysty podkoszulek. Chwytał komórkę i spróbował połączyć się z Czesławem Koszyckim. W słuchawce usłyszał przerywany sygnał.

Udało mu się za to sprawdzić stan konta w banku. Kolejna transza od Koszyckiego wpłynęła o czasie. Solańskiemu przeszło przez myśl, że jeszcze nigdy nie był w posiadaniu tylu pieniędzy naraz. Jego

rówieśnicy budowali domy, wysyłali dzieci do prywatnych szkół, jeździli na egzotyczne wczasy parę razy do roku. A on gapił się na sumę z kilkoma zerami na końcu i nie mógł się nadziwić, że to wszystko jego.

Zszedł na parter. Wypuścił Gucia na podwórko. Po chwili przeszedł do pubu. Przyjrzał się zebranych przy śniadaniu mieszkańcom B&B. Róża niemrawo nalewała sobie kawy, trafiając bardziej w spodek niż do filiżanki. Pierre tkwił w kącie, odwrócony do sali plecami. Jego rozczochrane włosy były w jeszcze większym nieładzie niż zazwyczaj. Sean uwijał się za barem, odkurzając butelki drogich i w związku z tym rzadko zamawianych trunków, ustawionych na półce z tyłu. Władek Król zajął miejsce przy oknie i mieszał herbatę, brzęcząc łyżeczką o ścianki kubka. Od wczoraj nie zbłądził jeszcze w rejony prysznic. Plamy błota znaczyły jego szyję, a pośród resztek włosów prześwitywały żdźbła zaplątanej w nie trawy. Król mamrotał pod nosem jakąś sobie tylko zrozumiałą litanie. Od czasu do czasu rzucał wokoło podejrziwe spojrzenia. Pat O'Connor zamierzał przysiąc się do Władka, jednak zauważywszy jego rozbiegany wzrok, zawrócił i wybrał stolik tuż przy drzwiach. Johna nie było. Aoife i Siobhan podawały do stołu.

Względny spokój poranka przerwało nagłe pojawienie się sierżanta Murphy'ego. Na jego widok Róża poderwała się zza stołu.

– Gdzieś był całą noc?! – wyrwało jej się.

Liam przecesał dłonią mokre, przyklejone do czoła włosy. Powąchał się pod uniesioną ręką. Strzepnął niewidzialne pyłki z ubabranej jak u ogra koszuli. Wężowym ruchem przemieścił się w stronę baru. Pierwsza próba umoszczenia się na wysokim stołku nie zakończyła się sukcesem. Murphy z godnością podniósł się z podłogi. Potarł się po obtłuczonej kości ogonowej. Wreszcie wspiął się na wyżyny.

– Włączaj *telly*! – zwrócił się do Seana.

Nie doczekawszy się reakcji barmana, machnął ręką w stronę

przywieszzonego przy suficie ekranu, by – jak podczas gry w kalambury – wyjaśnić, o co mu chodzi. Ten gwałtowny ruch ponownie pozbawił go równowagi. Znowu wgramolił się na swoje miejsce.

– Dawaj wyścigi! – sprecyzował żądanie. – Oho! – Machnął Seanowi plikiem kartek przed nosem. – Będę tryliarderem! – zwierzył się.

– Byłeś w Paddy Power? – Róża nie mogła uwierzyć w to, co widzi. – Jak tam doszedłeś? Oni mają otwarte? W taką pogodę? – Zasypała chłopaka gradem pytań.

Liam wyglądał na skołowanego.

– Yhy – powiedział tylko. I z triumfalną miną znowu machnął papierami.

Solański początkowo myślał, że to jego zaginione listy. Kiedy jednak przyjrzał się makulaturze z bliska, zrozumiał, że Murphy dzierży w dłoni kupony z lokalnego totalizatora.

– Na co postawiłeś? – zainteresował się.

– Na konia! – odparł sierżant.

– Którego?

– Na Dziką Strzałę! – wrzasnął Murphy.

Sean podskoczył. Z ręki wypadł mu kufel i roztrzaskał się o podłogę.

– Włączaj! – domagał się sierżant. – Będzie powtórka. Muszę zobaczyć, ile wygrałem.

– A ile postawiłeś? – zapytał tonem towarzyskiej pogawędki Solański.

– A tyle! – pochwalił się Liam, podtykając Solańskiemu pod nos swój kupon. Z wyrazu twarzy detektywa nie sposób było odgadnąć, jakie wrażenie zrobiła na nim przedstawiona suma.

– No to włącz, Sean, włącz – zachęcił barmana Solański.

Szymon w żadnej mierze nie znał się na zakładach sportowych. Wiedział jednak, że jeśli ktoś stawia na jednego konia kwotę równą swoim półrocznym zarobkom, to albo jest pijany w sztok (jak sierżant Murphy), albo nienormalny (jak w poprzednim nawiasie).

Szymon zasiadł obok Róży. Na ekranie telewizora pojawił się wyłożony zieloną murawą tor. Biegały po nim oznaczone numerami konie. Chuderlawi dżokeje ledwo utrzymywali się na grzbietach rozszalałych wierzchowców.

– Hej, Liam! – zawołał Solański, dolewając sobie kawy. – Jaki numer ma ta twoja strzała?

– Trzynaście – oznajmił Murphy, trzymając się brzegu barowego blatu, by nie zaliczyć gleby.

– On powiedział trzynaście? – upewniła się Róża, która od swojej pierwszej na Zielonej Wyspie przejażdżki taksówką nie ufała irlandzkiej numerologii.

– Szczęśliwa liczba – zaśmiał się Solański. Żałował tylko, że nie ma popcornu.

Wyścig ruszył na dobre. Komentator relacjonował wydarzenia na torze z taką prędkością, że Solański ledwo rozumiał sens jego słów. Detektyw wypatrzył wreszcie konia z trzynastką. Dzika Strzała rzeczywiście była dzika. I miała niezłe, co trzeba było przyznać, tempo. Jednak grot strzały wskazał kłaczy nie ten kierunek. Solański sam nie wierzył, że widzi to, co widzi. Podczas gdy wszystkie konie w wyścigu biegły równo naprzód, Dzika Strzała stanęła dęba, zrzuciła z grzbietu dżokeja i pognała w przeciwną stronę.

Razem z dżokejem upadek zaliczył także sierżant Murphy. Tym jednak razem już się nie podniósł. Róża, która o hazardzie wiedziała jeszcze mniej niż Solański, wyczuła, że coś tu się dzieje nie po myśli ukochanego.

– Co jest?! – ryknęła na Szymona, który przeżuwał gumę niczym krowa koniczynę.

– Plajta – poinformował ją Solański. – Krach – dodał. – Bankrut – referował dalej, wstając od stołu. – Golec orkiestra! – Walnął pięścią w blat baru. – Czystą raz! – Złożył zamówienie u Seana. – Tylko

zmrożoną.

Gallagher wyciągnął z lodówki butelkę wódki, polskiej zresztą, i polał Solańskiemu. Ten wziął kieliszek, nachylił się nad wciąż spoczywającym na ziemi Liamem i podetknął mu go pod nos.

– *Sláinte?* – zaproponował. W odpowiedzi usłyszał głuchy jęk.

Solański golnął do dna.

Wódka była zimna. I smakowała wybornie.



Róża zrozumiała, że nie ma co liczyć na to, by sierżant Murphy poprowadził jakiegokolwiek śledztwo. Aż dziw ją brał, że przy takiej jakości policyjnej służby wyspy Aran nie zostały jeszcze zmiecione z powierzchni ziemi. Już dawno, jej zdaniem, powinny zostać rozkradzione, spalone lub wysadzone w powietrze przez któregoś z wszelkiej maści przestępców pałętających się po tym świecie.

Mający strzec arańskiej społeczności Liam Murphy, cierpiąc po porażce w obstawianiu konnych wyścigów, nadawał się co najwyżej do przeprowadzania przedszkolaków przez pasy. Choć raczej i tego nie byłby w stanie wykonać jak należy.

Kwiatkowskiej udało się dodzwonić do Mejksiura i upewnić, że Super Burger jest wciąż zamknięty. Pomyślała, że jak tak dalej pójdzie, będzie musiała poszukać innej roboty. Albo wrócić do Polski z podkulonym ogonem. Matka byłaby wniebowzięta. Róża poprzysięgła sobie, że prędzej padnie trupem, niż da rodzicielce satysfakcję.

Teraz zostawiła narąbanego jak meserszmit Murphy'ego w pokoju, by mógł sam stawić czoło kacowi gigantowi, który już czyhał na niego, przytupując ze zniecierpliwienia.

Wyszła z B&B i okrążyła budynek. Zaintrygowała ją opowieść Solańskiego o poczynaniach Władka Króla. Chciała się przekonać na własne oczy, czy facet rzeczywiście ma fioła, czy też za jego

zachowaniem kryje się jakaś tajemnica.

Zastukała do drzwi przybudówki. Odczekała chwilę. Zrobiła z dłoni daszek nad oczami, by przez upaprane szyby zajrzeć do wnętrza. Zobaczyła fragment odwróconej tyłem do okna kanapy. Chuchnęła na szkło i przetrzała je rękawem.

Na podłodze między łóżkiem a regałem, na którym ustawiono kilka opasyłych tomisk, coś dojrzała. Jeśli wzrok jej nie mylił, był to kawałek nogi. Kwiatkowska doskoczyła do drzwi i szarpnęła klamkę. Otwarte. O mało nie powaliło jej na ziemię uderzenie zatęchłego smrodu. Do tego niewietrzonego, zagrzybionego pomieszczenia żadne detergenty z pewnością nie miały nigdy prawa wstępu. Róża zatkała sobie nos i dzielnie weszła do środka.

– Władek! – zawołała.

Król leżał koło kanapy i pochrapywał. Róża szturchnęła go w żebra czubkiem buta. Mężczyzna jęknął, zamlaskał, przewrócił się na drugi bok i znów zachrapał.

– Czekaj, cholero! – zagroziła mu Róża.

Przeszła do wnęki kuchennej. W szafce znalazła miskę. Nalała do niej zimnej wody. Stała nad Władkiem i chlusnęła mu kranówką w twarz.

Król zerwał się na równe nogi, bucząc niczym stara lodówka.

Róża miała dosyć ochlapusów. Najpierw jej godny pożałowania wybranek, spoczywający w podobnej konfiguracji piętro wyżej, a teraz jeszcze ten tutaj.

Władek przetrzał twarz zabłoconym rękawem kurtki. Jego umazane oblicze miało barwy ochronne – wprost idealne na obóz przetrwania.

Król zasiadł na brzegu kanapy. Spod tyłka wyciągnął sobie książkę, na okładce której widniało zdjęcie jakiegoś przedpotopowego samolotu.

– Czego chcesz? – wychrypiał.

– Psychola to możesz sobie strugać przed innymi – poinformowała go Kwiatkowska. – Ja tam w te twoje spektakle nie wierzę.

– Nie mam pojęcia, o czym... – Król nie zdążył dokończyć, bo Róża zmalowała go w pysk, aż huknęło.

– Za co? – Władek chwycił się za twarz.

– Nie kumasz, baranie, że tu chodzi o morderstwo? – Róża podniosła głos. – Chcesz skończyć w ciupie?

– Ja? – Zdumienie Króla było bezbrzeżne.

– Gdy tylko warunki polepszą się na tyle, że będzie można uruchomić promy, zaraz się tu zjawią zastępy Gardy – tłumaczyła Róża. – I myślisz, że komu przypiszą zabójstwo?

– Zabójcy? – zapytał Władek.

Róża najchętniej chlusnęłaby w tego półgłówka jeszcze raz, tyle że dla odmiany wrzątkiem. Zamiast tego jednak uświadomiła mu, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują go jako potencjalnego mordercę. Po pierwsze, jest Polakiem. A wiadomo, że lepiej, kiedy zabójcą okaże się obcokrajowiec, a nie rdzenny mieszkaniec wyspy. Po drugie, ma na swoim koncie przedłużające się bezrobocie, wyłudzenia zasiłków i pracę na czarno. W żadnej więc mierze nie można go nazwać wzorowym obywatelem.

– I jeszcze chcesz uchodzić za szajbusa? – dopytywała się Róża. – To się idealnie składa! – Zaczęła bić mu bezgłośnie brawo. – Walnięty w dekiel, zdemoralizowany Polaczek ubił swoją krajanekę. Jaki miał motyw, Wysoki Sądzie? – Róża odgrywała scenkę na użytek Władka. – Żadnego nie miał! Po co mu motyw, skoro jest walniętym w dekiel, zdemoralizowanym Polaczkiem? Czaisz bazę?! – wydarła się.

– Ale ja nikogo nie zabiłem – przestraszył się Król.

Róża zauważyła z satysfakcją, że Władek pobladł. Jego wschodni akcent *à la* Kargul z Pawlakiem przybrał na sile.

– Więzienia są przepełnione niewinnymi! – rozwiąła jego złudzenia Róża. – Mów! – zażądała.

– Mów co? – Władek podrapał się w łusy czubek głowy.

– Po cholere ę ta cała szopka?

Król zwiesił głowę. Skrył twarz w dłoniach.

– Tak sobie pomyślałem – wydukał – że kończy mi się zasiłek.

– *Dżizas* – sapnęła Kwiatkowska, która już wszystko zrozumiała. I załamała się; nie tylko nad tym konkretnym, beznadziejnym przypadkiem, ale nad kondycją ludzkości w ogóle.

– No co? – zdenerwował się Król. – Muszą tu mieć jakieś dodatkowe benefity dla niestabilnych emocjonalnie. Więc pomyślałem, że mi dadzą. I jednak nie będę musiał jechać do tej całej Hiszpanii. Nigdy nie lubiłem gorąca – usprawiedliwiał się.

Róża patrzyła na Władka tępo i nie wiedziała, co powiedzieć. Zastanawiała się, czy tu w ogóle było coś do powiedzenia.

– A poza tym to wina tej krowy, Kelly – wzburzył się Król. – Gdyby mi płaciła jak człowiekowi i odprowadzała składki, to już dawno mógłbym przejść na tę ich emeryturę. Miałbym jak w raju. A tak to dupa biała – poskarżył się. – Zresztą – kontynuował, zachęcony milczeniem Róży – dziwię się, że w ogóle jeszcze ktoś u niej pracuje.

No i się Róża dowiedziała, na czym stał interes rodziny Kellych. Wedle słów Króla Aoife zaniżała stawki, jak mogła. Nie tylko Władek był pokrzywdzony. Tak Siobhan za pracę w recepcji i w kuchni, jak i pokojówka Kasia, barman Sean czy wynajmowany do obwożenia gości po wyspie Pat dostawali, zdaniem Króla, ochłapy, a nie wypłatę. Buntowali się, jednak na protestach sprawa się kończyła. Zielona Wyspa nie zdążyła jeszcze w pełni podnieść się po wielkim kryzysie, jaki nawiedził Irlandię kilka lat temu. Wciąż brakowało miejsc pracy. Trzeba więc było brać, co dawali, i nie wybrzydzać.

– Walasek odkryła, że Aoife nie zgłosiła nas nawet do *Revenue* – dodał Król.

– Czego?

Róża wprawdzie wypełniła stos podetkniętych jej pod nos druczków,



gdy przyjmowano ją do pracy w Super Burgerze, ale nie poświęciła ani chwili, by zastanowić się nad tym, do czego owe świstki są potrzebne. Po prostu przydybała jednego dobrze mówiącego po angielsku Polaka i kazała sobie przetłumaczyć, co ma wpisać w każdej linijce. I więcej się tym nie interesowała. Póki wypłata wpływała na konto, nie zamierzała ingerować w papierologiczne rejony, które były dla niej tak odrzucające jak zupa mleczna z rana.

– Ichniejszego urzędu skarbowego – oświecił Różę Król. – Gdyby Kasia poszła z tym na policję, Aoife mogłaby już zacząć zwijać manatki.

– A Aoife wiedziała, że Walasek wiedziała? – zapytała inteligentnie Róża.

– Bo ja wiem?

– To coś taki niedoinformowany? – wkurzyła się Kwiatkowska. Wyszła z przybudówki. Łomot zatrzaskiwanych za Różą drzwi zbiegł się z hukem pioruna. Kwiatkowska uznała, że zbliża się koniec świata. Przecież w Irlandii miało nie być żadnych burz. Tak przynajmniej czytała w kłamliwym, jak widać, przewodniku.

Róża szarpnęła klamkę. Weszła do pokoju Solańskiego. Gucio przeciągnął się i nieśpiesznie podszedł do niej, by się przywitać. Do uszu Kwiatkowskiej doszły z łazienki odgłosy puszczonej z prysznicą wody.

Róża nie chciała czekać. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na łóżku leżały wymięte dzinsy Szymona. Podniosła je. W tylnej kieszeni, tak jak się spodziewała, znalazła portfel. Wygrzebała z niego zestaw wytrychów. Odłożyła portmonetkę na miejsce. Już miała zrobić to samo z dzinsami, gdy coś ją podkusiło (najpewniej zło w czystej postaci, do czego doszła później).

Postanowiła je przymierzyć. Była ubrana w spódnicę i rajstopy (odkąd miała chłopaka, starała się wyglądać kobieco, co dotąd zdarzyło jej się tylko raz, podczas studniówki, i nie skończyło się dobrze).

Strzepnęła spodnie. Wsunęła prawą nogę w nogawkę. Chwiejąc się na wszystkie strony, zrobiła to samo z lewą. Naciągnęła gacie do wysokości kolan. Dotąd szło jej całkiem nieźle.

Wraz z udami nadszedł jednak moment prawdy. Róża chwyciła mocno za brzeg spodni i z całej siły pociągnęła w górę. Nogawki doszły tuż za kolana, po czym zaklinowały się na dobre. Jednak napięte dłonie Kwiatkowskiej nie. Róża mimowolnie puściła dżinsy, a jej własne ręce siłą rozpędu pacnęły ją prosto w twarz. Straciła równowagę i runęła na podłogę.

Międłąc pod nosem przekleństwa, rozpoczęła zmuszony proces wypłatywania się z tych cholernych portek. Nie było to jednak takie proste. Solański nosił jakieś chore rurki, które może dobrze leżały na niedożywionych patyczakach, ale na byłych dziennikarkach o kobiecych kształtach z pewnością nie.

Ku swemu przerażeniu Róża zorientowała się, że Szymon zakręcił wodę w łazience. Dotarło do niej pogwizdywanie, które – gdyby się dobrze wsłuchać – przypominało melodię piosenki o kryzysowej narzeczonej. Kwiatkowska nie miała jednak czasu skupiać się na kwestiach muzycznych. Jej tu paliło się pod tyłkiem na całego. Musiała się śpieszyć. Nie wyobrażała sobie, jak wytłumaczy to wszystko Szymonowi.

Z wielkim wysiłkiem oswobodziła lewą nogę. Podskakując na niej, użerała się z drugą kończyną. Z toalety dochodziły odgłosy puszczonej w zlewie raz po raz wody i gulgotanie towarzyszące przepłukiwaniu gardła. Róża zdobyła się na jeszcze większy wysiłek i szarpnęła. Sukces odniosła połowiczny. Wprawdzie wreszcie zdjęła dżinsy, jednak one złośliwie podarły się na szwach. Trzymała teraz w ręce poszatowaną szmatę.

Kwiatkowska zamarła. Do czynu pchnęły ją dopiero hałasy świadczące o tym, że Solański zaraz opuści łazienkę. Rzuciła spodnie

na łóżko i ułożyła mniej więcej tak, jak je tu zastała.

– Mnie tu nie było – rzuciła szeptem do Gucia, który przyglądał się jej poczynaniom spod na wpół przymkniętych powiek.

Po cichu opuściła pokój Solańskiego.

Róża wielokrotnie już przyglądała się, jak Szymon otwiera wytrychem drzwi. Cała operacja wyglądała jej na bułkę z masłem. Jednak gdy musiała wziąć sprawy w swoje ręce, nie przypominało to już żadnej bułki. Raczej szcerstwiały chleb żytni, na którym można sobie połamać zęby.

Wtykała do dziurki od klucza wszystkie wytrychy po kolei. Kręciła nimi to w lewo, to w prawo. Wieszała się na drucikach, by mieć jak największą siłę rażenia. Upociła się przy tym niczym podczas ćwiczeń z Chodakowską. I cały czas umierała ze strachu, że zaraz ktoś pojawi się na korytarzu (nie daj Boże Solański w podartych gaciach).

Wreszcie po, jak się Róży wydawało, kilku stuleciach, w zamku zgrzytnęło. Drzwi do pokoju Kasi Walasek ustąpiły. Kwiatkowska wślizgnęła się do środka, przymykając je za sobą.

Pokój pozornie wyglądał tak samo jak wtedy, gdy wygoniła ich stąd Aoife. Róży wydawało się jednak, że coś się tu nie zgadza. W zasadzie Kwiatkowska nie potrafiła konkretnie wskazać, co się zmieniło. Była jednak pewna, że ktoś grzebał w rzeczach Kasi.

Laptop wciąż leżał na biurku. Róża nacisnęła włączający go przycisk, lecz nie doczekała się żadnej reakcji. Bateria musiała się rozładować.

Kwiatkowska usiadła na wąskim łóżku. Gapiła się w ścianę. Zastanawiała się, kim tak w zasadzie była Kasia Walasek. Po co zupełnie sama przyjechała na tę nieprzyjazną wyspę? Czy kierował nią, tak jak Różą, przypadek? Czy nie czuła się samotna? Czego tu szukała? I czy to znalazła? Co doprowadziło ją na skraj klifu? Kwiatkowska obiecała sobie, że znajdzie odpowiedzi na te wszystkie pytania. Dowie się, dlaczego dziewczyna musiała zginąć.

Róża podeszła do szafy i otworzyła ją na oścież. Wisiały w niej tanie ubrania, w większości zakupione w sieciowym sklepie Penneys, gdzie Kwiatkowska sama uzupełniała swoją garderobę, nabywając za parę euro całe siaty modnych ciuchów.

Wysunęła szufladę biurka, jednak ta okazała się zupełnie pusta, nie licząc tandetnego łańcuszka z połówką metalowego serca w charakterze zawieszki. Róża pomyślała, że Walasek nie miała prawie nic. W każdej chwili mogłaby spakować cały swój dobytek do jednej walizki i wyruszyć w świat. Dziennikarka uznała, że taki stan rzeczy chyba można by nazwać wolnością.

Róża doszła do wniosku, że mimo szczyrych chęci niewiele tu może zdziałać. Stojąc przy drzwiach, jeszcze raz zerknęła w stronę pokoju. Jej wzrok padł na podłogę przy łóżku. Albo się Różę wydawało, albo jedna z klepek parkietu wystawała ponad inne. Kwiatkowska zawróciła. Przyklękła i obmacała deseczkę. Zahaczyła o jej skraj palcami i szarpnęła. Klepka ustąpiła. Takie rzeczy Róża знаła dotąd tylko z książek i z filmów. A teraz Kwiatkowska naprawdę miała przed oczami skrytkę w podłodze. Wsadziła głęboko rękę i wyciągnęła na światło dzienne rulon spiętych papierów. Nawet ich nie przeglądając, umieściła je za pazuchą. Sprawdziła, czy niczego nie pominęła. Na dnie wnęki natrafiła na kopertę. Nie była zaklejona. Róża rozchyliła ją i ujrzała stos banknotów dwustueurowych.

Usłyszała kroki na korytarzu. Wiedziona jakimś pierwotnym instynktem, z zupełnie nieoczekiwaną jak na swoją tuszę gibkością, wskoczyła do szafy i zamknęła za sobą drzwiczki. Kroki były coraz donośniejsze. Wreszcie ustały. Ktoś tkwił pod drzwiami pokoju Walasek i gmerał kluczem w zamku.

Róża starała się nie oddychać. Intruz zorientował się, że drzwi są otwarte. Zawiasy zaskrzypiały.

W szafie unosił się drażniący ciężki zapach, który przywodził Różę

na myśl, nie wiedzieć czemu, wieńce pogrzebowe. Kwiatkowska poczuła, że zaraz kichnie. Jedną dłonią zatkała sobie nos, drugą usta. Przez chwilę z zewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Wreszcie drzwi trzasnęły. W zamku zachrobotał klucz. Kroki się oddaliły. Róża z sykiem wypuściła powietrze z płuc. Wygramoliła się z szafy.

Dopiero po dobrym kwadransie udało jej się uporać z drzwiami. Wymknęła się na korytarz.

Przechodząc obok pokoju Solańskiego, dosłyszała ze środka oburzony głos kolegi:

– Gucio, ty dziadygo, to na pewno twoja sprawka!

Róża, jak gdyby nigdy nic, zapukała do drzwi.



Solański nic z tego nie pojmował. W łazience spędził raptem kilka minut, podczas których ktoś (lub coś) zdążył zniszczyć jego ulubione spodnie.

Wyszedł spod prysznic. Stojąc nago, przepasany jedynie ręcznikiem, zadzwonił do Czesława i zrelacjonował mu sytuację. Połączenie zostało jednak przerwane.

Dopiero wtedy Szymon postanowił się ubrać. Trochę więc potrwało, zanim odkrył ogrom zniszczeń.

Podejrzenia z miejsca padły na Gucia. No bo mało prawdopodobne wydawało się detektywowi, by ktoś zakradł się do jego pokoju tylko po to, żeby podrzeć mu ubranie. Chociaż, jak się ostatnio przekonał, pod dachem tego piekielnego Bed and Breakfast mieszkała cała zgraja nie zrównoważonych osobników, zdolnych do najdziwniejszych wyczynów. Rodzaj zniszczeń również kazał wątpić, by to psie kły i pazury dokonały spustoszenia. Szymon zamknął się dla pewności w pokoju na klucz, usiadł na łóżku i jeszcze raz przyjrzał się džinsom.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Moment! – zawołał Solański i zanurkował w plecaku w poszukiwaniu drugiej pary spodni.

Wciągnął na siebie koszulkę, którą – jeśli go pamięć nie myliła – nosił jeszcze w czasach licealnych, i otworzył.

– Szybciej! – W progu stała Róża. Wepchnęła się do środka. – Ta cholera nadciąga. – Uznała, że już wyjaśniła swoje dziwne zachowanie. – Aoife – dodała, widząc zbaraniałą minę Solańskiego. – A ja mam to. – Wyciągnęła jakieś kartki spod swetra.

Solański zamknął za Różą drzwi.

– Znalazłam to w pokoju Kasi – wyjaśniła Kwiatkowska. – W skrytce pod podłogą.

Zrelacjonowała Solańskiemu swoją wizytę u Władka Króla. I to, co mówił na temat niepłacenia przez Aoife podatków. Oraz podejrzeń, jakich nabrała wobec szefowej Kasia. Na deser Róża podała historię o chowaniu się w szafie przed intruzem oraz o znaleziskach w pokoju Walasek.

– To musiała być Aoife – zaopiniowała.

– Jak ty tam weszłaś?

– Ja? Yyy. – Twarz Róży przybrała barwę buraka. – Było otwarte.

– I myślisz, że to jest to? – zapytał Solański, wskazując na zdobyczą Róży. – Te dowody przeciwko Kelly, które zdobyła Kasia?

– Sam sprawdź. – Kwiatkowska podała mu rulon.

Przejrzenie papierów i dokładne przeanalizowanie ich z włączoną funkcją kalkulatora w telefonie zajęło Solańskiemu dobrą godzinę. W tym czasie Róża ukradkiem schowała wytrychy z powrotem do leżącego na nocnym stoliku portfela Szymona.

Detektyw odłożył papiery. Nie miał już wątpliwości, że Kasia Walasek była w posiadaniu bomby, której lont w każdej chwili mogła odpalić.

W schowku pod podłogą Walasek ukryła kserokopie dokumentów,

które Aoife przedstawiła irlandzkiemu urzędowi skarbowemu, a także te z zapisem faktycznych wypłat otrzymywanych przez jej pracowników. Porównanie kwot na dokumentach niezaprzeczalnie wskazywało na potężne rozbieżności, oczywiście na niekorzyść zatrudnionych oraz budżetu irlandzkiego państwa. Na całych tych machlojach zyskiwała Kelly, która płaciła niższy podatek.

– No to mamy motyw – ucieszyła się Róża. – I jest jeszcze to. – Rzuciła na łóżko kopertę z pieniędzmi.

Solański przeliczył banknoty. Było ich tyle, że dwa razy pomylił się w rachunkach.

– Skąd to? – Podrapał się po czuprynie. – Ukradła?

– Może ktoś jej dał – zasugerowała Róża.

Solański nie wyglądał na przekonanego.

– Ktoś mi podarł spodnie – pożalił się nagle.

– Och, naprawdę? – Róża odwróciła się do niego tyłem. – Jesteś pewny? – zapytała. – Może sam je sobie potargałeś?

– I o tym zapomniałem? – Solański świdrował spojrzeniem plecy Kwiatkowskiej. Wydawało mu się, że Róża jakoś dziwnie się zachowuje.

– Do tego zginęła część listów – poruszył temat, który najbardziej go niepokoił. Koniec końców musiał przecież oddać korespondencję Czesławowi Koszyckiemu. To była rodzinna pamiątka. Solański nie mógł jej zgubić.

– Jesteś pewny? – powtórzyła Róża, ożywiona, jakby poczuła ulgę z powodu zmiany tematu. – Może sprawdzimy jeszcze raz – zaproponowała.

– Przeglądałem je ze sto razy – marudził Szymon, ale Kwiatkowska już grzebała w kopertach.

Rozłożyli wszystkie listy na łóżku w kolejności chronologicznej. Nie było wątpliwości, że brakuje tych, które już zdążyli przeczytać.

– Ten jest następny. – Róża wskazała na zielonkawą kopertę

z przyklejonym na niej polskim znaczkiem.

Wyjęła ze środka wyrwaną najpewniej ze szkolnego zeszytu kartkę w szeroką linię. I zaczęła czytać.

*Chorzów, 10 lutego 1952 roku*

*Kamilu!*

*Moja kochana Gertruda nie żyje. Pogrzeb już był. Nie zawiadamiłem Cię, bo nie miałem na nic siły. A szczególnie na zmierzenie się z tym koszmarem. Trudka zmarła przy porodzie. Straciła zbyt dużo krwi. Nie było szans, by ją wyratować. Ale dziecko wyszło z tego bez szwanku. Mam córkę. Dałem jej na imię Kamila. Na Twoją cześć.*

*Mama nie przyjechała na pogrzeb. Ani żeby zobaczyć wnuczkę. Zżera ją zgorzknienie. Nie wiem, jak jej pomóc. I nie mam na to ochoty. Zbyt dużo własnych problemów zaprzęta mi głowę. Kozakowie wspierają mnie, jak mogą, ale mają już swoje lata.*

*Wciąż wspominam wspólne z Trudką chwile. Te najpiękniejsze. Rozdrapuję rany. Naszym ślubem. Ustrojonym kwiatami kościołem. Obrazem Trudki w białej sukni. Muzyką organową.*

*I po co było to wszystko? Pozwól, Kamilu, że jako starszy brat udzielę Ci rady. Nigdy nie należy porzucać bezpieczeństwa rutyny. Niepotrzebne mi były te ekscesy z żeniączką. Tylko z tego cierpienie.*

*Na nowo odnaleziony wojskowy dryg pozwala mi w miarę normalnie funkcjonować. Na szczęście w pracy dobrze mi się wiedzie. Awansowałem na starszego księgowego. Radzę sobie.*

*I tylko Kamila nigdy nie pozna swojej Matki. Ma jedynie mnie. Nocą nawiedzają mnie koszmary. Zastanawiam się, co się stanie, jeżeli mnie zabraknie. Co wtedy z moją córką? Kamilu, musisz przysiąc, że będzie mogła liczyć na Ciebie. Wiem, że proszę o wiele, ale nie mam nikogo innego.*



*Przepraszam. Taki ton listu, jakie czasy. A te mroczne.*

*Z pozdrowieniami  
Czesław*

*PS Załączam zdjęcie Kamilki. Sam zobacz. Odstające uszy ma po nas obu.*

*Cz.*



Kłamliwe przysłowie powiada, że dzieci i ryby głosu nie mają. A psy to niby mogą mówić, co im ślina na język przyniesie? Gdybym tylko, choć na godzinę, zyskał zdolność rozprawiania po ludzku, toby się dopiero wszyscy dowiedzieli! Szczególnie Solańskiemu i Róży bym nagadał. Ta dwójka przesadzała, wykorzystując moje łaskawe milczenie. Chcecie przykładu? Proszę bardzo.

Wyobraźcie sobie spotkanie towarzyskie w wąskim gronie rodziny i przyjaciół. Siedzimy wszyscy przy stole. Człowieki jedzą kotleciki usmażone przez Łodzię Solańską, a ja patrzę. „Karmić psa przy stole nie wolno” – powiada matka Szymona. A że jest heterą, nikt nie śmie się sprzeciwić zakazowi. Śledzę więc każdy ruch widelca z kawałkiem przysmaku, od talerza do umazanych tłuszczem ust. A ślina cieknie mi na podłogę.

Wtem czuję, że pan Wilczyński zjadł stanowczo za dużo wyżej wspomnianych kotlecików. Ów sąsiad, w przypływie dobrej woli Solańskiej (której Leokadia pożałowała zaraz po tym, gdy gość przekroczył jej próg z butelczyną mamrota w dłoni, każąc ją postawić na stół i polewać do posiłku), został zaproszony na przyjęcie. Zachować się jednak nie umiał. Nie ma sposobu, by przekazać wam przebieg wypadków w sposób elegancki, ale sami rozumiecie, co zrobił. I co się

dzieje dalej? A to. „Pani Solańska, ale to kundlisko śmierdzi” – stwierdza winowajca, próbując (jak się szybko okazuje, całkiem skutecznie) zwalić wszystko na mnie.

W tym czasie Lodzia i reszta towarzystwa, na czele z Solańskim i Różą, już poczuła, co jest grane. Już się krzywią i zatykają nosy. I oczywiście nikt nie zamierza się stosować do podstawowej zasady w państwach prawa, wedle której jest się niewinnym do chwili udowodnienia winy.

Oni już wydali wyrok, pozwalając się zmanipulować facetowi, który nosi białe skarpetki do gumowych kłapek i rozlazłe gacie z targowiska na Barskiej. Popatrują na mnie złowrogo, palcem wskazującym zaznają mi kierunek wyjścia. Już diamdziolą: „Gucio, ty świni, no jak mogłeś, coś ty zeżarł?” A ja stoję i wskazuję pyskiem na Wilczyńskiego, który lamentuje najgłośniej z całej gromady. Nikt jednak nie pojmuje mojej pantomimy i koniec końców ląduję w przedpokoju.

Historia lubi się powtarzać. Tym razem to Różyczka wpakowała mnie w kabałę. Na jakiego czorta chciała nasadzać sobie na tyłek spodnie Solańskiego, pojąć nie potrafiłem. Trachnęły w szwach, aż miło. Ucieszyłem się, bo wcale mi się nie podobały te wąskie nogawki, które oblepiały łydki Szymona niczym rajtuzy nóżki jakiegoś przedszkolaka. Moja radość była jednak przedwczesna. Róża spanikowała i zamiast wziąć na klatę ogrom zniszczeń, których dokonała, po prostu uciekła. No a Solański pokłócił się z własnym intelektem i zrobił to, co było najprostsze do zrobienia. Całą winę zwałił na mnie. Myślę jednak, że jakiś cień podejrzeń załagał się w jego głowie. Tylko nie czas był ani miejsce, by należycie rozwikłać zagadkę.

Postanowiłem udowodnić tej zaczytującej się w jakichś starych papierzykach dwójce, że może i nie umiem się porządnie wypowiedzieć ani obronić swoich racji, ale detektyw ze mnie nie w kij

dmuchał. Lepszy niż oni oboje razem wzięci.

Moja podstawowa przewaga zasadzała się na posiadaniu nosa. Potrafiłbym za jego pomocą, gdybym tylko zechciał, wyniuchać igłę w stogu siana. A że dotarły do mnie skargi Solańskiego na temat zaginionej partii tych cholernych listów, postanowiłem je odnaleźć. I przynieść Szymonowi w zębach. Splunąć mu nimi pod nogi. I powiedzieć: „a-ha!”

Wskoczyłem na łóżko. Podpełzłem do Solańskiego. Położyłem mu mordę na kolanie. Przytknąłem nos do koperty. I się sztachnąłem. Kurz połaskotał mnie w dziurki. Kichnąłem niczym otwarty hydrant, zdmuchując im ten antykwariat na dywan. Zostałem przegoniony. Szymon i Róża powrócili do lektury, a ja cichaczem wymknąłem się z pokoju. Próbkę zapachu miałem w nochal. Teraz należało tylko złapać trop. Przywarłem do podłogi i obwąchałem wykładzinę. Znów zapach kurzu, a także ziemi, rozlanej dawno kawy, gumowych podeszew butów. To wszystko na nic. Przecież ktokolwiek ukradł te listy, nie włókł ich za sobą po posadzce.

Uniosłem swój radar i powtórzyłem procedurę. W powietrzu wyczułem smród przypalonego puddingu, zapach ciasteczek czekoladowych, które Siobhan upiekła na podwieczorek, oraz deszczu i mokrej trawy, które dostały się do środka przez uchylone drzwi wejściowe.

I nagle trafiłem w sedno! Woń zleżącego papieru, kurzu, który przez lata wsiąkł w kartki, wilgoci, zapach starego człowieka i szczątkowe ślady aromatu wydzielanego przez Szymona. Ten korzenny, cierpki, odurzający zapach kojarzył mi się z domem i z bezpieczeństwem. Rozpoznałbym go wszędzie.

Niuchnąłem i ruszyłem przed siebie. Byłem na tropie! Sunąłem korytarzem, przemieszczając się w głąb posiadłości. Skręciłem nieco w lewo. I wtedy bach! Zderzyłem się z drzwiami jednego z pokoi. Przez

tę całą zaćmę, którą wykrył u mnie doktor Dłutko, czasem z bliska nie za dobrze widzę. Za to nigdy nie mam problemu z wypatrzeniem daleko na horyzoncie zbliżającego się inkasenta gazowego.

Teraz w każdym razie łupnąłem czołem w drewniane skrzydło drzwi. Po chwili uchyliły się, a w powstałej szparze zauważyłem pomarszczoną twarz Johna.

– Gucio – przywitał się, wymawiając moje imię jak nazwisko tego modowego giganta.

Swoją drogą to, co wyprawiał w tej kwestii Solański, domagało się pomsty w postaci pozwu o zniesławienie. No bo kto to widział, żeby takiego zucha jak ja przezywać od Guziczków, Guciuniuniów i innych Guciosławów?

Na wypadek gdyby Smith chciał mi zatrzasać wrota przed nosem, wsadziłem łapę w szparę i wepchnąłem się do środka.

Milutko miał tutaj. O wiele przyjemniej niż w naszej norze. Mięciutka wykładzina była tak kusząca, że od razu się w niej wytarzałem, wznosząc łapy ku górze i prezentując światu brzuszysko.

John wczłapał za mną do wnętrza i zasiadł w skórzanym fotelu. Nasadził sobie na nos okulary i pochylił się nad blatem biurka. Okazało się, że przerwałem mu złodziejski proceder! Dziadek dzierżył w ręku pęsetę, za pomocą której odklejał znaczki z kopert skradzionych listów. Filatelista się znalazł! Z mojej przyziemnej pozycji nie widziałem wszystkiego dokładnie, ale w nozdrzach czułem zapach, który tłumaczył wiele.

Smith przestał zwracać na mnie uwagę. Ślęczał nad klaserem i bezgłośnie poruszał ustami. Taki brak gościnności był mi nawet na rękę. Zacząłem się zastanawiać, jak by tu niepostrzeżenie wyszarpnąć Johnowi fanty.

Rozejrzałem się po jego włościach. Wszystko tu było jakieś lepsze, droższe i wykwintniejsze niż w pozostałej części domu. Biurko, szafa

i regały wyglądały mi na antyki. Obicia kanapy i foteli w niczym nie przypominały przecierających się tanich szmat, jakimi pokrywało się składane meble z wiadomego sklepu. Na ścianie wisiały oprawione w złote ramy obrazki przedstawiające jakieś ptactwo.

Na powrót obróciłem się w stronę Johna. Niebiosa mi sprzyjały. Smith opuścił głowę. Dotykał brodą wątlęj klatki piersiowej i chrapał w najlepsze.

Musiałem teraz tylko dostać się na blat i nie dać się na tym przyłapać. Biurko było zbyt wysokie, bym wskoczył na nie z rozpędu. Potrzebowałem jakiegoś stopnia. Skórzany puf, stojący pod regałem, nadawał się idealnie.

Podszedłem do niego i zapałem się na nim przednimi łapami. Przesunął się z pufnięciem (jak to puf) o jakiś metr, a ja wylądowałem na trzech łapach (plus pół). Obierając odpowiedni kierunek i korygując go na bieżąco, zdołałem przesunąć siedzisko pod samo biurko. Zawróciłem pod ścianę z regałem. Rozpędziłem się i dwoma susami najpierw wskoczyłem na skórzany taboret, a potem z niego poszybowałem na biurko.

Łypnąłem na Smitha. Z kącika ust ciekła mu ślina wprost na wełniany sweter. Pod powiekami było widać poruszające się gałki oczne. Nadal spał. „Dobra nasza” – pomyślałem.

Tak jak umiałem, pozgarniałem listy na kupkę. Trochę mi podczas tej operacji szeleściły, więc zacząłem się denerwować, czy nie zbudzę złodziejzka. Ten na szczęście (moje, nie swoje) musiał mieć już problemy ze słuchem, bo w ogóle go nie obeszło zamieszanie, jakie wywołałem tuż pod jego nosem.

Udało mi się wreszcie pochwycić wszystkie papiery w pysk. Zrobiłem odwrót i zgrabnie zeskoczyłem na podłogę. Łapą pociągnąłem za drzwi. Skrzydło otworzyło się z jękiem. Byłem wolny.

No i wszystko poszłoby jak z płatka, gdyby nie te dwa gamonie, czyli

Solański i Kwiatkowska. Nagle zauważyli, że mnie nie ma. Raptem zmartwili się moją nieobecnością. I przystąpili do hałaśliwych poszukiwań.

Kątem oka zobaczyłem, że wyłażą z pokoju Pierre'a i kierują się prosto na mnie. Znów pożałowałem, że nie potrafię po ludzku, a oni nie rozumieją po psiemu. Zamiast zachować ciszę i spokój – elementy kluczowe w konspiracji – Róża i Szymon jak te trąby jerychońskie poczęli lamentować na mój widok. Wciąż stałem w progu apartamentu Johna z listami w pysku. A oni swoje, że „Guciunieczku, Guziczeczku” (a nie mówiłem?), „gdzie ty byłeś, co tu robisz, co tam masz” – i wszystko na poziomie decybeli, które obudziłyby Tutenchamona, a co dopiero całkiem żywego, tyle że drzemiącego, dziadka.

Smith poderwał się z fotela. Przetarł zapluta brodę. Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem przez szparę w drzwiach. Łypnął na mnie i zawartość mojej twarzoczaszki. Zbladł nieco, ale tylko ja to zauważyłem.

– Czy coś się stało? – zapytał Solańskiego, który właśnie odbierał ode mnie zdobycz.

– Skąd pan to ma? – Detektyw odpowiedział pytaniem na pytanie i pomachał oślinioną przeze mnie papeterią.

– Co? – Smith rznął głupa.

– Listy – wyjaśnił Szymon.

– Jakie listy?

Doszedłem do wniosku, że oni mogą tak jeszcze długo. Położyłem się więc Różyczce na stopach i ze spokojem słuchałem, jak John upiera się, iż widzi koperty po raz pierwszy w życiu, a potem bezczelnie insynuuje, że musiałem je gdzieś znaleźć i przywlec pod jego drzwi. „Ciekawe, po co miałbym to robić” – zastanowiłem się, ale nic nie powiedziałem. I tak nikt by nie wziął mojego zdania pod uwagę.

Solański słuchał tych tłumaczeń i rozglądał się po pomieszczeniu.

Popatrzył na mnie, jakby żądał przedstawienia mojej wersji zdarzeń. „A figę!” – pomyślałem sobie i polizałem Różę po gołej kostce. Wreszcie wróciliśmy do siebie.

– Wścibski dziad – skomentowała zajście Kwiatkowska. – Musiał je podkraść, jak tu był ostatnio. – Zobacz! – Wskazała na koperty. – Poodklejał część znaczków. Myślisz, że one są coś warte?

Solański wzruszył ramionami. Marszczył czoło w taki sposób, jak gdyby się nad czymś usilnie zastanawiał.

Jakby wpadł na coś, tylko sam jeszcze nie wiedział na co.



Solański miał wrażenie, że nikt tu nie mówi mu o sobie prawdy. Miał jednak swoje sposoby zdobywania informacji. Na przykład szperanie w cudzych rzeczach.

Szymon stał pośrodku pokoju Siobhan. Sam był bałaganiarzem, ale to, co ujrzał w tych czterech ścianach, nawet na nim zrobiło wrażenie.

Pomieszczenie znajdowało się w tylnej części domu. Solański wszedł do niego bez problemu. Zamknięte na klucz drzwi nie stanowiły dla jego zestawu wytrychów żadnej przeszkody. W progu, jak i na każdym kolejnym centymetrze kwadratowym powierzchni tego lokum, walały się ciuchy. Wielka sterta ogromnych szmat. Gołym okiem widać było, że te wszystkie sukienki, spodnie, swetry, bluzki, majtki, staniki, rajstopy, buty, torebki, paski, płaszcze są gigantycznych rozmiarów. Solański pomyślał, że nawet Róża musiałaby w nich wyglądać jak w ubraniu zdjętym ze starszej siostry. Cały ten dobrobyt poniewierał się po podłodze, zalegał na parapecie, kotłował się w meblach, kaskadami wypływał z otwartych szuflad, zwisał nawet z żyrandola.

Kawał fioletowej firanki, który przy bliższym poznaniu okazał się stringami, dyndał z ramki ze zdjęciem przywieszzonej nad łóżkiem. Z fotografii wpatrywały się w Solańskiego dwie pary oczu. Roześmiane

i błyszczące należały do Siobhan, która obejmowała drobną postać Kasi. Walasek zdawała się patrzeć przez Solańskiego. Przewiercała go na wyłot twardym spojrzeniem.

Detektyw się wzdygnął. Rozejrzył się po pokoju. To tu, to tam walały się też książki. Szymon podniósł jedną z nich. Na wymiętej okładce widniało nazwisko rozpoznawane nawet przez tych, którzy w życiu nie zhańbili się składaniem literek dla rozrywki. Solański położył powieść na komodzie. Tytuł *And Then There Were None* był wypukły i pozłacany.

Szymon przedarł się przez stosy ubrań w głąb pokoju. Przysiadł na skraju zawalonego asortymentem odzieżowym łóżka. I momentalnie odskoczył. Sterta ciuchów się poruszyła. Zafalowała. Spomiędzy kupki biustonoszy wychynęła na światło dzienne głowa. Solański znał tę zapijaczoną gębę z czerwonym kinolem i marnym owłosieniem wokół glacy. Bynajmniej nie należała ona do Siobhan.

– No co? – zapytał Władek Król, przyciskając sobie do nosa wielkie koronkowe majty w kolorze karmazynowym. – Przyszedłem tylko popatrzeć – wytłumaczył.

– Na ten burdel? – Solański uniósł brwi.

– Na te seksowne fatałaszki. – Król wepchnął dłonie w bieliźniany stos. – Siobhan to kobietka z krwi i kości. – Rozmarzył się i jeszcze bardziej poczerwieniał na pysku. – Nie to co ten babochłop, Walasek – sarknął. – Niby o zmarłych się źle nie mówi, ale po co toto żyło? Kto by taką, w gaciach i bluzie od dresu, chciał? – zapytał. – Gdyby nasi żołnierze w czasie wojny wiedzieli, że w domu czekają na nich takie maszkarony, to już by woleli zginąć od kuli szwaba, niż wracać – perorował Władek, a Solański krok po kroku wycofywał się w stronę drzwi. – A tu patrz, jak pięknie! – Król począł zgarniać ubrania Siobhan, wyrzucać je nad głowę i tarzać się w powstałym barłogu.

Solański wypadł na korytarz. Uszczypnął się w przedramię. Zabolało.



Wciąż jednak nie był przekonany, czy to nie sen.



Zapadał zmierzch. Deszcz walił w okiennice, burząc ciszę w opustoszałym pubie. Chwilę przedtem Róża kazała Seanowi wyłączyć irlandzkie przyśpiewki ludowe, którymi katowało ich radio Galway Bay FM.

Zresztą nawet gdyby śpiewał sam Luciano Pavarotti, Kwiatkowska uznałaby to za hałas. Powiedzieć, że muzyka nie była jej hobby, to nic nie powiedzieć. Jedyny wyjątek, potwierdzający regułę, stanowili chłopcy jak malowani z zespołu The Baseballs, których Róża oglądała na YouTube.

W narożnym boksie John ślęczał nad rozłożonymi papierami. Z okularami na nosie i z lupą w ręku. Róża zerknęła na niego i zamówiła sobie guinnessa. Rozsiadła się przy barze. Gucio leżał u jej stóp.

Spokój wieczoru zakłócił Solański. Wparował do pubu. Zahaczył o róg stołu, potem potknął się o własne sznurówki, wreszcie zasiadł obok Róży.

– Jezu! – Przetarł czoło dłonią i bez pytania wyduldał Kwiatkowskiej pół kufla piwa.

– Miło mi. Róża jestem – rzekła dziennikarka, spoglądając tęsknie za znikającym w gardle Solańskiego trunkiem. – Dawaj! – Odebrała mu szklankę. – Jeszcze jedno, Sean – złożyła zamówienie. – Albo dwa. Dla tej baby z sokiem. – Wskazała na Szymona.

Tuż za Solańskim do pubu wtoczył się Władek Król. Powiódł rozmarzonym wzrokiem po zebranych. Zatrzymał spojrzenie na pogrążonym w pracy Johnie. Zerknął ze zdziwieniem na Szymona, po czym znów wgapił się w Smitha. Powtórzył ten manewr jeszcze kilkukrotnie.

– My się znamy? – zapytał.

John nie zareagował, uznając zapewne, że skoro mówi się po polsku, pytanie nie może być skierowane do niego.

– My się znamy?! – powtórzył głośniej Król.

Smith podniósł na Władka zamglony wzrok.

– Co on mówi, złotko? – zwrócił się do Róży.

Róża stuliła buzię w ciup. W ten sposób starała się zamaskować fakt, iż nic nie rozumiała z wypowiedzi Johna. Winiła jego akcent. Kwiatkowska jako tako przyswajała amerykański angielski. Czasem oglądała na laptopie seriale bez lektora, więc się przyzwyczaiła. Powoli zaczynała się też uodparniać na irlandzką wymowę. Jeżeli jednak ktoś zaciągał kluchami jak rasowy Brytyjczyk, szeleścił na szkocką modłę albo bełkotał niczym przybysze z Irlandii Północnej, wtedy Kwiatkowska udawała głuchą. Bo w sumie na jedno wychodziło.

– Pyta, czy się znacie – odpowiedział Solański.

Smith popatrzył na Władka ze zdumieniem.

– Powiedz mu, że on u mnie pracuje – poprosił Solańskiego. – Więc tak, znamy się. Siłą rzeczy.

Szymon przełożył, co mu kazano. Róża z coraz większym zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie.

– Nie o to chodzi! – zdenerwował się Władek. – Jak teraz tak z bliska na niego patrzę, to się zastanawiam, czy my się nie znamy... skądinąd. – Pogroził Johnowi palcem wskazującym i wyszedł z pubu.

Róża zrobiła znaczące kółko na skroni. Wyjrzała przez okno.

Było już zupełnie ciemno.



Awantur bałem się bardziej niż Łodzi Solańskiej. Zostało mi to jeszcze z zamierzchłych czasów, gdy odsiadywałem karę za niewinność za kratami schroniska. Razem ze mną w jednym boksie gniło kilkunastu mnie podobnych delikwentów. Nawet wyglądem się bardzo nie

różniliśmy. Wszak należę do dość popularnego rodu rudo-czarnych niewywrotnych. Mieliśmy do spóły ze dwie budy i tyleż misek. Wyobraźcie więc sobie, co się działo, gdy przychodził czas posiłku albo spania. Żeby dostać, co swoje, nie można było owijać w bawełnę. A że ja naturę mam melancholijną, zazwyczaj wolałem się wycofać, niż wdawać w przepychanki.

Gdy tylko wzmagął się jazgot, pielęgniarze Jarek i Marek przesadzali płot i robili z nami porządek za pomocą dzikich wrzasków oraz mopa. Choć ja siedziałem cicho, i tak obrywałem przy okazji. Odpowiedzialność zbiorowa to częste narzędzie tortur w zakładach karnych.

Pewnie więc teraz zrozumiecie, jakie początkowo męki przechodziła moja subtelna dusza, gdy bladym świtem udałem się na samotny rekonesans korytarza. Solański do skowronków nie należał, więc przed szóstą nawet nie było co namawiać go na spacer. Postanowiłem zatem tylko troszeczkę podlać dywan w holu. Nie zamierzałem jednak ściągać na siebie podejrzeń. Poszedłem załatwić sprawę pod drzwi Johna. Tę lokalizację wybrałem nieprzypadkowo. Wszak Smith był stary, mógł mu się więc przydarzyć wstydlivy wypadek. Jakby co, byłoby na niego.

Przyjąłem pozycję wyjściową. Uniosłem w znaczącym geście kikut. A tu z pokoju dobiegły mnie wrzaski! Aż mi się odechciało tego, po com przykuśtykał. Odczuwałem dysonans. Z jednej strony najchętniej wzięłbym nogi za pas. Z drugiej jednak odezwał się mój instynkt śledczy.

Nadstawiłem więc ucha i przywarłem do drzwi. Wzdrygnąłem się. Ten piskliwy, skrzeczący głos kazałby stanąć na baczność nawet oddziałowi umarłaków.

– Przez te wszystkie lata! – darła się Aoife. – Ty kłamco! – Między wrzaskami Kelly zanosila się świńskim charkotem, który w jej

wykonaniu miał chyba oznaczać rzewny szloch.

– Och, no przecież jakoś sobie z tym poradzimy – próbował łagodzić sytuację John. – Nie takie rzeczy razem przeżyliśmy. Przecież to już nie ma znaczenia.

Mało z ciekawości trupem nie padłem, tak bardzo chciałem wiedzieć, o co chodzi. Zupełnie zapomniałem o strachu. I nawet kusiło mnie, aby złożyć formalny wniosek o nieco głośniejsze wrzaski. Tak, bym mógł dosłyszeć każde słowo.

– Co ludzie powiedzą?! – Aoife zwerbalizowała chyba najczęstszy problem współczesnych cywilizacji.

Wielu homo sapiens sądzi, że opinia innych o nich samych jest kluczowa. Tymczasem nazwijcie mnie Paulo Coelho, ale byłem zdania, że nie można się przejmować tym, co ludzie o nas mówią, bo ludzi jest na świecie jakieś siedem miliardów i każdy papla co innego.

– Czy to istotne? – zapytał John.

– Czy istotne?! – Kelly się zapowietrzyła. – Ciebie to nie obchodzi! Ty się tu nie urodziłeś! Anglia daleko! – Uważałem, że to całkiem miłe z jej strony, że przemawia w wersji dla słabosłyszających. – A mnie tu wszyscy znają od dziecka! Moja opinia legnie w gruzach! – histeryzowała.

– Jaka opinia? – John zadał jedno z tych pytań, które wymykają się człowiekowi (czy też psu) z ust (czy też z pyska), a potem się tylko żałuje.

Usłyszałem huk. Później szuranie i szybkie kroki. Zdążyłem odskoczyć w ostatniej chwili. Zalana łzami Aoife wypadła z pokoju. O mnie się nie potknęła, gdyż miałem refleks. Za to otumaniony z rana Solański, który przyczłapał tu za mną, został staranowany. Aoife i Szymon runęli na ziemię.

Pierwszy podniósł się detektyw. Wyciągnął rękę do pani Kelly, by pomóc jej wstać. Ta jednak odepchnęła jego kościstą, znaczoną siatką błękitnych żyłek dłoń. Wyprostowała się i pociągając nosem, pognęła

na parter niczym chmura gradowa.

Zajrzałem przez otwarte drzwi do pokoju Smitha. John, schylając się z trudem, zbierał z podłogi potłuczony znicz.

Nie wytrzymałem już tych wszystkich emocji i zrobiłem to, co pierwotnie zamierzałem.



Solański przewracał się z boku na bok w rozgrzanej jeszcze po nocy pościeli. Patrzył w zachodzący pleśnią sufit i przywoływał w pamięci kłótnię Aoife i Johna, której stał się mimowolnym świadkiem.

Jego myśli zeszyły na boczne tory. W zakazane rewiry, do których sam sobie bronił wstępu. Dla własnego dobra. Ból ścisnął mu serce. Zadławił się, nie mogąc złapać tchu. Wspomnienie Joanny było takie żywe. W przeciwieństwie do niej samej.

Solański wiedział, że jego przydział szczęścia się wyczerpał. Mogło być już tylko gorzej. Mimo to trwał. Choć w sumie sam nie wiedział po co.

Wstał i rozsunał zasłony. Usiadł na łóżku. Wyciągnął listy. Te, które Gucio przyniósł w pysku, wyglądały żałośnie. Nie miał pomysłu, jak wytłumaczyć się Koszyckiemu. Przejrzał resztę korespondencji.

Z biegiem lat bracia pisali do siebie coraz rzadziej. Między kolejnymi listami upływały całe dekady. Albo po prostu Koszycki nie zachował wszystkiego.

Solański sięgnął po następną w kolejności kopertę. Wziął się do czytania.

*Chorzów, 12 lipca 1970 roku*

*Bracie!*

*Dzięki za odwiedziny. Kamila jest oczarowana Twoimi opowieściami o Londynie. Snuje plany na przyszłość. Trochę*

*jestem na Ciebie zły, że tak zamąciłeś dziewczynie w głowie. Studia za granicą? Podróże po Europie? A tu jest przecież Polska Ludowa.*

*Dziękuję za prezenty. To wielka pomoc. Samotne utrzymywanie panny z pretensjami do świata nie jest łatwe. Teraz, kiedy Kozaków już nie ma, a my zamieszkaliśmy na Sobieskiego, mamy przyzwoite warunki. Własnymi siłami odmalowałem mieszkanie. Zobaczysz, jak przyjedziesz następnym razem. Kamila wybrała kolory. Aż zęby bolą.*

*W maju zdała maturę. Idzie na studia. Odetchnąłem, bo zdobycie świadectwa dojrzałości wcale nie było takie pewne. Przez ostatnie miesiące, zamiast siedzieć nad książkami, prowadziła się z kolegą z klasy. Nazywa się Zenon Walasek. Nawet porządny z niego chłopak. Ale wiadomo, że niewystarczająco dobry dla mojej jedynaczki. Próbowałem przytrzymać ją w domu, ale spróbuj odmówić tym jej wielkim załzawionym oczom. Odziedziczyła je po swojej Matce.*

*Zastanawiałem się, czyby się ponownie nie ożenić. Była taka jedna miła kobieta u mnie w pracy. Kadrowa. Jej mąż nie żyje, nie mieli dzieci. Spotykaliśmy się głównie u niej. Bo u mnie wiadomo, Kamila.*

*Zofia, bo tak jej na imię, ma ciasne i duszne mieszkanie na poddaszu kamienicy przy ulicy Ligonii w Katowicach. Dobrze się z nią czułem. Mieliśmy o czym rozmawiać. Czytaliśmy te same książki. Chodziliśmy do kina. No i przez to kino wszystko się posypało.*

*Nie mówiłem Kamili o naszym związku, bo i co też smarkuli do tego. Poza tym bałem się, jak zareaguje. Tłumaczyłem sobie, że powiem jej o wszystkim, gdy już będę pewny, że to coś poważnego. Jeszcze tydzień. Jeszcze dwa. Zwlekałem zbyt długo.*

*Jednego popołudnia umówiłem się z Zosią do Panoramy*

*na seans. W tym czasie Kamila miała uczyć się u koleżanki do egzaminów. Spóźniliśmy się kilka minut. Usiedliśmy w ostatnim rzędzie. Nic, przyznam Ci się, z tego filmu nie pamiętam. Tylko tyle, że kiedy pojawił się na ekranie napis KONIEC i zapaliły się światła, oderwałem usta od warg Zosi. W rzędzie przed nami ujrzałem Kamilę. Stała tam ramię w ramię z tym całym Zenkiem i przewiercała mnie wzrokiem.*

*No to żeśmy się wzajemnie pookłamywali. Musiałbyś na własnej skórze doświadczyć hysterii nastolatki. Tych całonocnych szlochów, dąsów, wojenek podjazdowych i szantaży emocjonalnych, żebyś mógł zrozumieć, dlaczego zerwałem w końcu z Zosią. Oddziały wojsk desantowych to przy takiej małolacie nic. Zrobiłem więc to dla świętego spokoju. Mam już swoje lata. Niepotrzebny mi ten cały teatr.*

*Nieraz tak sobie myślę, że całkiem mądrze zrobiłeś, nie zakładając rodziny. Mam nadzieję, że nie jesteś na tyle samotny, by nie móc poczuć się wolnym. I że cieszysz się z tej swobody.*

*Często Ci zazdroszczę.*

*Czesław*



Na Zielonej Wyspie Róża przeszła metamorfozę. Zaczęła ubierać się w sukienki i podkreślać swoje kobiece kształty. Zapuściła też włosy i, ku przerażeniu otoczenia, zadbała o makijaż. Do tej pory nie zwracała sobie głowy takimi głupstwami. Ale teraz, gdy miała u boku mężczyznę, sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Kwiatkowska podeszła do kwestii metodycznie. Specjalnie popłynęła do Galway, gdzie najpierw zrobiła zakupy odzieżowe w sklepie Penneys, którego nazwa wiadomo, z czym się Róży kojarzyła. Potem weszła

do drogerii Boots i nakupowała sobie kosmetyków za wszystkie czasy. Nie za bardzo wiedziała, do czego miałyby jej posłużyć, nie zamierzała jednak sobie żałować. Wieczorem zamknęła się w pokoju na klucz i ze słownikiem w ręku próbowała odszyfrować, co jest napisane na załączonych do produktów etykietkach.

Teraz Róża w pantoflach na wysokich obcasach chwiała się przed pokojowym lustrem i czuła jak cyrkowiec na szrudłach. Wpatrywała się w swoją twarz. W te zbyt różowe policzki, które postronnemu obserwatorowi kazałyby przypuszczać, iż ktoś tu ma właśnie wylew, ewentualnie cierpi na tropikalną gorączkę. Z kolei rozmazany eyeliner powodował, że Kwiatkowska wyglądała jak ofiara przemocy domowej. A źle dobrany podkład skłaniał do przekonania, że Róża zatrzasnęła się w kabinie solarium.

Kwiatkowska nie przejmowała się jednak drobiazgami. Gorąca noc spędzona w ramionach Liama oddaliła od niej wszelkie wątpliwości, które po pojawieniu się na wyspie Solańskiego podstępem załęgły się w podświadomości Róży.

Dzisiejszego poranka czuła się kobieco i seksownie. Po chwili wahania nałożyła jeszcze jedną warstwę tuszu na rzęsy i zapakowała cały swój kosmetyczny arsenał do torebki. Zamierzała zejść na śniadanie i tam w pełnym rynsztunku poczekać na ukochanego, który właśnie brał prysznic po porannym seksie.

Róża nigdy nie była pewna, czy jej się któryś element makijażu nie rozmaże. Wciąż nie nawykła do noszenia tapety. Często ładowała sobie palce do oczu, by dopiero po dłuższym czasie odkryć przypadkiem w odbiciu mijanej witryny, że wygląda jak zombie. Dlatego też teraz była przygotowana. W razie czego mogła sięgnąć do torebki i zaspachlować, co trzeba. Wyszła na korytarz i od razu zahaczyła obcasem zdradzieckiego buta o łączenie między kawałkami wykładziny. Runęła jak długa wprost w ramiona wychodzącego z pokoju Pierre'a



Dupy'ego. Kudłaty Francuz do chucherek nie należał, jednak Róży rady nie dał. Przewrócili się oboje na podłogę. Wpadli przez wciąż otwarte drzwi do pokoju Pierre'a. Po drodze zahaczyli o kant stolika nocnego, zrzucając to, co na nim stało. Wyładowana po brzegi torebka Róży zerwała się z tombakowego łańcuszka, wystrzeliła w powietrze i poszybowała wprost pod łóżko Dupy'ego. Zapięcie okazało się niegodne zaufania. Kosmetyki, z trudem zgromadzone w wyściełanym różową podszeawką wnętrzu, rozsypały się teraz po podłodze.

– Nie! – zawyła Róża.

Oswobodziła się z objęć wciąż leżącego obok niej Pierre'a. Na czworakach ruszyła w stronę łóżka. Wbiła się kolanem w ramkę ze zdjęciem, która musiała wcześniej stać na stoliku nocnym. Zerknęła na nieznaną kobietę trzymającą w objęciach kilkuletnią dziewczynkę. Wreszcie wetknęła głowę pod materac, wypinając tyłek niczym dorodny struś.

– Jest szmineczka. – Dało się posłyszeć przytłumiony głos Róży. – I puder! – Kwiatkowska grzebała zawzięcie. – I to coś, co nie wiem, do czego służy. O! – zadziwiła się. – A tego to nie kojarzę.

Pierre wreszcie pozbierał się po kolizji. Jego pełna dezaprobaty mina mówiła, że raczej wolałby już zderzyć się z tirem na autostradzie niż ponownie nadziać się na rozpędzoną Różę. Ta ostatnia usiadła właśnie na podłodze. Wyciągnęła nogi przed siebie, nie zważając na to, że zbyt kusa jak na nią spódniczka podwinęła jej się prawie do pasa. Oparła się plecami o łóżko. W dłoni obracała puzderko.

– Na cholerę ci korektor pod oczy? – zapytała Pierre'a.

Róża dobrze się wyuczyła angielskich nazw mazideł, więc teraz wiedziała doskonale, co ma w ręce.

– To nie moje – odparł. – Pewnie leży tu od wieków. Mówiłem ci, że Kasia słabo sprzątała.

Róża jednak wiedziała swoje. Kiedy wsunęła się pod łóżko, jej uwagę

przykuła wielka waliza.

Być może było więc tak, że Kwiatkowska uchyliła jej wieko i pogrzebała w środku na tyle, na ile pozwoliły jej ograniczony czas i niesprzyjające warunki.

Ale jak było naprawdę, nie zamierzała się przyznawać nikomu prócz Solańskiego.



– Niby skąd wiesz? – Szymon patrzył na Różę z niedowierzaniem.

– To była peruka – upierała się. – Do tego korektor pod oczy, puder i pojemnik na szkła kontaktowe. A przecież przeglądałam to na szybko – emocjonowała się.

– Może lubi się przebierać? – powiedział Solański.

– Może jest mordercą! – Róża obstawała przy swoim.

– Bo zamalowuje sobie pryszcze?

Szymon przypatrywał się Kwiatkowskiej. Wyglądała jakoś inaczej. Jakby była chora. Albo jakby ktoś jej podbił oczy. „Czyżby to sprawka Murphy’ego?” – zastanowił się detektyw i aż się w nim zagotowało.

– Zmalował coś, a teraz musi się kamuflować!

Solański był zdania, że Róża naoglądała się zbyt dużo amerykańskich seriali. Nie zamierzał jednak dzielić się z koleżanką swoimi przemyśleniami i jej niepotrzebnie denerwować. Cieszył się tym towarzystwem, niezakłóconym obecnością Murphy’ego.

Sierżant ubrał się właśnie w sztormiak i wyszedł na deszcz oraz wichurę szukać szczęścia w postaci zasięgu. Uznał wreszcie za zasadne poinformować swojego bezpośredniego przełożonego, inspektora Jacka Taylora, o wydarzeniach na wyspie.

Solański dopił kawę i rozejrzał się po pubie. Oprócz nich nikogo już nie było. Z zaplecza dochodziły pobrzękiwania mytych po śniadaniu naczyń.

– Co oni tam tak hałasują? – zniecierpliwiła się Róża.

Solański zagapił się na przyjaciółkę i w końcu dotarło do niego, że barwy wojenne, jakie przybrała Kwiatkowska, nie były niczym innym jak tylko nieudolnym makijażem. Parsknął. Ni to z ulgi, że jednak nikt Róży nie pobił, ni to z rozbawienia.

Gucio postawił uszy sztorcem i wpatrywał się w bar. Kiedy kolejne szkło roztrzaskało się w sąsiednim pomieszczeniu, Solański wstał z za stołu. Podniósł ruchomą część barowego blatu i przeszedł na zaplecze. Za nim podążyła Róża. Starali się nie potrącić żadnej z butelek z wysokoprocentowymi trunkami ustawionych na regale pod ścianą. Ani wieży z wymytych kufli.

– Padnij! – wrzasnął nagle i sam wykonał komendę.

Róża pacnęła cielskiem tuż obok Szymona. Nad ich głowami przeleciała szklanka. Roztrzaskała się na ścianie w części jadalnej. Ostre, błyszczące odłamki posypały się na obrusy i podłogę.

Jak się szybko okazało, w miotacza kul bawił się Sean. Stał na szeroko rozstawionych nogach. W uniesionej ręce trzymał kolejne naczynie i celował w kulącą się koło zmywarki Siobhan.

– Nienawidzę cię! – wrzasnął Gallagher. I się rozpłakał.

Strzelił szkłem pod swoje nogi i wybiegł tylnymi drzwiami na podwórko.

– Nic ci nie jest? – Solański podszedł do Siobhan.

Twarz Kelly była purpurowa. W kącikach jej oczu błyskały łzy.

– A temu co? – zainteresowała się Róża.

Kwiatkowska czuła się nieswojo w towarzystwie męskich histeryków. Zdecydowanie preferowała typ mężczyzn twardych z zewnątrz, a wrażliwych w środku. Najchętniej mundurowych.

– Biedaczek – powiedziała Siobhan. – Najpierw ja go rzuciłam. A kolejna dziewczyna mu umarła. Nic dziwnego, że jest taki niestabilny emocjonalnie.

– Ty z nim chodziłaś? – zadziwił się Solański. – Ty? Z nim? – Szymon pokazywał to na Siobhan, to na drzwi, za którymi zniknął Sean. W życiu nie widział mniej dopasowanej pary (oprócz Róży i Liama). Uparcie pchało mu się na usta porównanie do czołgu randkującego z nimfą wodną. I nimfa wcale nie była tu kobietą.

– Też się sama sobie dziwię – przyznała Siobhan. – Nie zrozumcie mnie źle. Miły z niego chłopak. Ale zupełnie nie dla mnie.

– Niektórzy nie potrafią pogodzić się z odrzuceniem – rzekła Róża, łypiąc w stronę Solańskiego.

Szymonowi nie spodobał się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Czym prędzej więc opuścił zaplecze pubu.



Na modzie znam się o tyle o ile. Sam wprawdzie jestem elegancik i zawsze chodzę pod krawatką, jednak kwestia tego, w co ubierają się moi ludzie, lata mi koło ogona. Jak dla mnie, Solański mógłby paradować i w worku po ziemniakach. Kochałbym go z równą mocą. Odkryłem jednak, że dwunożni są wrażliwsi niż psy na punkcie stylu.

Na przykład kiedyś Lodzia Solańska udała się do teatru na premierę najnowszej sztuki naszego krajana, Grzegorza Jarzyny (nie mylić z Krzysiem Jarzyną ze Szczecina). W toalecie natknęła się na swoją dawno niewidzianą psiapsiółkę, która miała na sobie czarny kostium w drobne białe kwiatki – identyczny z kostiumem Łodzi. Solańska nie mogła przejść nad tym zbiegiem okoliczności do porządku dziennego. Podstępem więc zatrzasnęła koleżankę w toalecie. Przyszła ją odblokować dopiero, gdy wszyscy widzowie opuścili już teatr po spektaklu.

– To by była kompromitacja! – wyjaśniła Szymonowi motywy swojego postępowania, puszczając mimo uszu potępiające uwagi syna.

Ponieważ jestem laikiem w wyżej wymienionych kwestiach,

początkowo nie rozumiałem, w czym ten cały ambaras, który narobił się między Siobhan i Johnem. Przyuważyłem ich, gdy wybrałem się na samotną wyprawę w kierunku kuchni, z której miałem nadzieję podkraść kiełbasę. Albo i dwie. Albo i siedem. Przechodząc korytarzem, zauważyłem, że drzwi do salonu są uchylone. Wetknąłem więc nos w szparę.

Na kanapie rozsiadła się Siobhan. Wokół zgromadziła kłębowisko szmat. Na stoliku przed panną Kelly stał otwarty laptop. Siobhan naciągnęła na gołe ciało wdzianko podobne do rybackiej sieci. Ponaciskała coś w komputerze. Zrobiła minę, która pewnie miała uchodzić za uwodzicielską. I rozpoczęła przemowę tonem prezenterki telewizji erotycznej.

– Cześć, dziewczyny! – zaszczebiotała. – I chłopaki też! – poprawiła się.  
– Dzisiaj chciałam wam zaprezentować nową kolekcję wiosennych ciuchów od Dolce and Grubana – oznajmiła.

Wstała z kanapy. Odchyliła ekran laptopa tak, by wmontowana w niego kamera obejmowała całą jej sylwetkę, i poczęła wyginać się na prawo i lewo. Ja tam świątobliwy nie jestem, ale muszę wam donieść, że przez to sznurkowe coś było jej widać cały tyłek. I żeby tylko! Zasłoniłem łapą oczy, bo nie mogłem patrzeć, jak ta dziewczucha marznie. Wreszcie zaprzestała aerobiku i znów usadowiła się przed monitorem.

– Jeśli wam się podoba – kontynuowała przemowę – kciuki w górę! Odwiedzajcie mnie na Facebooku, Twitterze, Instagramie, Snapchacie, GooglePlus, YouTubie i na moim modowym blogasku! – perorowało to dziecko Internetu.

– Siobhan! Na Boga! – ryknął ktoś od drzwi.

Wystraszyłem się tak samo jak indagowana. Tuż za moimi plecami stanął John. Patrzył na dziewczynę szeroko otwartymi oczami. Buzię też rozwarł w niemym zdziwieniu.

– No co?! – wkurzyła się Siobhan i naciągnęła na grzbiet różowy sweterek. – Jestem szafiarką! – oznajmiła, unosząc dumnie brodę. – Z tego są pieniądze! – zaznaczyła. – A tych, jak słyszałam, potrzebujemy!

– Ale tutaj? – John powiódł dłonią po salonie. – W miejscu publicznym? Przecież wyglądasz jak... – Tu przerwał.

– Nie znasz się na stylówkach! – powiedziała Kelly. – Ani na mediach społecznościowych!

– No nie – przyznał jej rację John. – Ale jednak – upierał się. – To jest hotel. A nie dom publiczny.

– Nie jesteś moim ojcem! – rozdarła się Siobhan jak rozwydrzony bachor.

Puściła fontannę łez, rozmazując sobie tapetę, której pozazdrościć mogłaby jej teraz nawet Róża. A potem zanurkowała w hańdzie swoich ciuchów.

Ciekawy byłem tylko, czy to się wszystko dalej nagrywa. Bo jeśli tak, Siobhan, moim zdaniem, gdy już zdoła złapać sygnał sieci internetowej, będzie mogła liczyć na lawinowy przyrost polubień swojego fan page'a.



Wielogodzinne przesiadywanie w zamknięciu doprowadzało Solańskiego do rozpacz. Ściana deszczu wciąż nie pozwalała wyściubić nosa z hotelu. Szymon musiał się jednak ruszyć.

Sam nie wiedząc, dokąd zmierza, ubrał się w pelerynę. Gucia zostawił pod opieką Róży i wyszedł przed budynek B&B. Ruszył ścieżką prowadzącą wkoło domu. Przyglądał się własnym butom zapadającym się w błocie.

Posłyszał znajomy głos. Rozejrzył się. Okno kuchenne, wychodzące na podwórze, było uchylone. Tyłem do niego stała Aoife. Przez filtr firanki Solański widział niewyraźnie jej sylwetkę.

– Wiem, jaka jest pogoda! – podniesionym głosem mówiła

do telefonu. – Halo! Panie Fahy! Jest pan tam?! – Obróciła się w stronę okna.

Solański przywarł plecami do elewacji. Zdążył się schować w ostatniej chwili. Stał na tyle blisko, że wciąż docierała do niego treść rozmowy.

– Dzisiaj jest czwartek, więc powinien pan mieć otwarte! – upierała się. – Nic mnie to nie obchodzi! Chce pan, żebym złożyła na pana skargę w centrali Bank of Ireland? – Groźba najwyraźniej podziałała, bo już po chwili Aoife zmieniła ton na łagodniejszy. – Dobrze. Będę za pół godziny.

Solański okrążył dom. Szybkim krokiem ruszył drogą prowadzącą w stronę Kilronan. Deszcz zalewał mu oczy. Nogawki spodni w mig przemokły. Zmrożony materiał dżinsów przyklejał mu się do łydek. Wiatr wdzierał się pod pelerynę, chłoszcząc go po żebrach.

Nie zdążył ujść zbyt daleko, gdy zza zakrętu wyjechał z hurgotem należący do O’Connora bus. Za kierownicą siedział Pat, a na fotelu obok niego Aoife. Irlandczyk dał po hamulcach. Zdołał się zatrzymać dopiero na metr przed Solańskim. Szymon podszedł do samochodu. Przesuwane drzwi się otworzyły. W szparze ukazała się głowa Pata.

– Już chcesz do piekła, do kolegów? – zapytał z krzywym uśmiechem.

Solański wgramolił się na jedno ze zdewastowanych siedzonek. Wyjaśnił Patowi i Aoife, że postanowił dostać się do Kilronan, by sprawdzić w porcie, czy któryś ze statków nie wybiera się mimo wszystko w rejs na stały ląd.

Sierżantowi Murphy’emu wciąż nie udało się dodzwonić do Taylora. Wprawdzie połączył się z komendą, ale zanim inspektor podszedł do telefonu, sygnał został przerwany. Solański twierdził więc, że chce sam skontaktować się z Gardą.

– Pieszko się wybrałeś? – Spojrzenie Pata spotkało się ze wzrokiem Solańskiego we wstecznym lusterku.

– Nie wydaje mi się, żeby do miasta było aż tak daleko. – Detektyw

postanowił rznąć głupa. – Poza tym musiałem się przewietrzyć. Ile można siedzieć w jednym miejscu?

– A co? – odezwała się Aoife. – Nie odpowiada ci atmosfera w naszym Bed and Breakfast?

Solański na swe szczęście został zwolniony z odpowiedzi. Bus wpadł w poślizg. Opony zapiszczały, trąc o mokrą nawierzchnię. Pasażerami zarzuciło. Szymon uderzył głową o oparcie przedniego fotela.

– Dużo piłeś? – zapytał Pata.

– *Póg mo thóin* – usłyszał w odpowiedzi.

Nie rozumiał tego irlandzkiego, jak sądził, powiedzenia. Ale przypuszczał, że właśnie go obrażono. Nie wiedział tylko, jak bardzo.

– A wy dokąd? – zagadnął.

– Do banku – powiedziała Aoife.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Zresztą prowadzenie rozmowy we wnętrzu busa stanowiło duże wyzwanie. Hałas, na który składały się zawodzący silnik, trzeszcząca karoseria, co jakiś czas włączający się samoczynnie klakson oraz szalejące na dworze ulewa i wichry, skutecznie uniemożliwiał wymianę zdań.

Wreszcie zatrzymali się przed chatką, która zdaniem Solańskiego bardziej przypominała budkę parkingowego niż siedzibę instytucji finansowej. Parterowa budowla miała od frontu dwa okna i przeszklone drzwi. Na jej bocznej kremowej ścianie widniał zielonkawy napis: „Banc na hÉireann”



– To jest najmniejszy bank w całej Irlandii. – Pat rozpoczął opowiastkę tonem przewodnika. – Otwierany tylko raz w tygodniu – wyjaśnił.

– Daruj sobie – zgasiła go Aoife.

A że i Solański nie wyglądał na zainteresowanego, O'Connor zrezygnował. Aoife wyskoczyła z auta i skryła się pod rozpostartą



parasolką, którą wiatr od razu porwał w tany i wyrócił kolorowy materiał na lewą stronę. Kobieta pobiegła do drzwi i zniknęła we wnętrzu.

– Podwieźć cię na nabrzeże? – spytał Pat.

– Dam sobie radę – odparł Solański i również wyszedł z busa.

– Bądź tu za pół godziny! – zawołał Pat za Szymonem. – Chyba że chcesz wracać spacerkiem!

Solański, nie odwracając się nawet do O’Connora, machnął mu tylko uniesioną nad głową ręką. Zniknął za najbliższym rogiem.

Zatrzymał się i przywarł do ściany budynku. Ostrożnie wyjrzał ze swej kryjówki. Bus O’Connora jeszcze przez chwilę stał przed bankiem. Wreszcie silnik kaszlnął i auto potoczyło się w uliczkę prowadzącą w stronę pubu. Na to właśnie liczył Solański. O’Connor z pewnością wolne pół godziny zamierzał spożytkować na uzupełnienie wysokoprocentowych płynów w organizmie.

Bus zniknął detektywowi z oczu. Solański zawrócił. Obszedł mikroskopijny budynek banku i skradał się przy jego bocznej ścianie. Górna część wychodzącego na tę stronę okna była uchylona. Solański znów przywarł do elewacji.

Usłyszał dwa głosy. Mężczyzna tłumaczył coś cierpliwie, a kobieta odpowiadała mu poirytowanym tonem. Szymon nie mógł jednak zrozumieć znaczenia poszczególnych słów. Przeszedł więc szybko na przód budynku. Najciszej, jak potrafił, otworzył drzwi wejściowe. Wślizgnął się do środka.

W recepcji było pusto. Pracownik banku przyjechał do biura na specjalne życzenie Aoife, tak jak więc Szymon przypuszczał, nie było tu innego personelu.

Po lewej dojrzał drzwi prowadzące do gabinetu, w którym znajdowali się Aoife i Fahy. Solański zakradł się pod sam próg i nadstawił ucha. Pomyślał, że w razie gdyby został przyłapany, zawsze może się

wytłumaczyć, że już wrócił z portu i przyszedł tu poczekać na Pata.

– Jest pan pewny?! – posłyszał panikę w głosie Aoife. – Całkowicie – odparł Fahy. – To państwa wspólne konto. Nie wiedziała pani o tej wypłacie? Mąż dokonał jej parę dni temu – powiedział.

Solański był przekonany, że słyszy w głosie bankowca nutkę złośliwej satysfakcji.

– Aż tyle?! Znowu?! – lamentowała Kelly. – Co on zrobił z taką sumą?! Chyba wszystkiego nie oddał tej zdzirze?!

– O to musi pani spytać męża – odparł Fahy.

Jak na profesjonalistę przystało, nie dociekał, kogo Aoife uraczyła tym zacnym mianem.

Solański szybkim krokiem opuścił podwoje banku. Czekając w deszczu na O’Connora, zastanawiał się, czy pieniądze znalezione w schowku pod łóżkiem Kasi pochodziły z konta Smitha. Czy Aoife dowiedziała się o tym, że mąż obdarował Polkę? Dlatego ją zabiła? Żeby sytuacja się nie powtórzyła? No i za co John miałby zapłacić Kasi? Czyżby to była cena za milczenie w sprawie przekrętów finansowych, jakich dopuszczała się Aoife?

Solański naprawdę chciałby wiedzieć, o co, u diabła, tu szło.



Horrory są dla dzieci. Kto by tam wierzył w te wszystkie duchy, zombie i inne wampiry? Na pewno nie ja.

Musiałem sobie teraz przypomnieć o swych przekonaniach, ponieważ to pukanie, szuranie i pojękiwanie, które słyszałem, na pewno było przecież tylko odgłosem wiatru hulającego w rynnach.

Skłamię Różę. Zostawiła mnie pod nieobecność Solańskiego w moim pokoju. Sama poszła do swojego, tłumacząc, że to, co się tam teraz będzie wyprawiało, z pewnością nie jest przeznaczone dla oczu takich niewinnych małych kundelków jak ja. Tak jakbym życia nie znał. Jeśli

chciała baraszkować z tym swoim Murphym, to kto jej bronił? Ale żeby to się wiązało z porzucaniem psa na pastwę duchów, zombie i innych wampirów, to się nie godziło.

Leżałem pod łóżkiem i zakrywałem oczy łapami. Do uszu nie dosięgałem, więc mimo woli docierały do mnie te diabelskie odgłosy. Przeraziłem się, bo znów coś zarzęziło mi nad głową. A sądziłem, że mieszkamy na pierwszym i ostatnim piętrze budynku. Wyobraziłem sobie, że to morderca ciągnie po dachu swą przyszłą ofiarę. Ta ostatkiem sił czepia się pazurami dachówek i stąd ten wwiercający się w mózg odgłos.

W przyptywie szaleńczej odwagi wyskoczyłem spod łóżka. Swoim sprawdzonym sposobem poradziłem sobie z otwarciem drzwi wejściowych. Wyrząłem na korytarz. Przemaszerowałem tam i z powrotem. Jednak niczego podejrzanego nie zauważyłem.

Zaswędziało mnie coś na plecach. Uznałem więc, że to jest dobry moment, by wytarzać się w pokrywającej hol wykładzinie. Śmierdziała kusząco. Była szansa, że choć trochę owego smrodu przeniesie się na moje futro. Dobrymi perfumami nigdy nie gardziłem. Wykonałem komendę „turlaj się!” i wyrzuciłem łapy w górę. To było dla mnie jak wizyta w Sephorze.

Mój wzrok padł na sufit. Zobaczyłem w nim kwadratową dziurę, a nad nią jakieś dodatkowe pomieszczenie.

„Strych!” – oświeciło mnie. To musiał być strych! Ktoś tam właśnie buszował i stąd te wszystkie hałasy. Od początku mówiłem, że to nie żadne zjawiska nadprzyrodzone. Potworów nie ma! Zawsze przedkładałem kryminały nad fantastykę.

Usiadłem i wyciągnąłem pysk w kierunku dziury. Mój radar namierzył znajomy zapach starego człowieka. Pot, mocz i woda kolońska tworzyły charakterystyczny aromat, który rozsiewał wokół siebie każdy mężczyzna w pewnym wieku.

Po chwili moje przypuszczenia się potwierdziły. Dobrze, że stałem w oddali, bo już bym nie żył. Otóż palnięty bym został drabiną, która ze świstem wysunęła się z poddasza, a jej końce wbiły się w wykładzinę.

W otworze pojawiła się rozczochrana głowa Johna. Zauważył mnie, ale że jestem psem, nic sobie z mojej obecności nie robił. A powinien. Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika. Szczególnie tak podejrzliwego jak ja.

Smith zszedł z ostatniego stopnia. Pochwycił stojący w kącie pałąk zakończony metalowym hakiem i za jego pomocą wsunął drabinę na miejsce. A potem zatrasnął właz.



Solański wrócił do domu w stanie pozwalającym przypuszczać, że kąpał się w oceanie w ubraniu. Urządził się tak, bo bus O'Connora w połowie drogi powrotnej się rozkraczył. Musieli więc z Aoife iść pieszo.

Szymon wpadł do pokoju i rzucił pelerynę. Gucio kręcił się wokół jego nóg. Spoglądał na pana, jakby próbował mu coś powiedzieć.

Solański wyszedł na korytarz. Chciał podzielić się z Różą informacjami, które zdobył w Kilronan. Już podniósł rękę, by zapukać do drzwi jej pokoju, kiedy dotarły do niego dziwne odgłosy z wnętrza.

Detektyw zamarł w pół ruchu. Teraz, gdy się skupił, dźwięki były wyraźniejsze. Brzmiały jak standardowe powiedzonko amerykańskiej wersji Świętego Mikołaja, tyle że były wypowiedane w o wiele wyższych rejestrach.

Solański wepchnął sobie palce do uszu i uciekł do pokoju. Zatrasnął za sobą drzwi.

Wściekły, wyciągnął listy Koszyckiego. Miał nadzieję, że lektura ukoi jego zszargane nerwy.

Chorzów, 28 stycznia 1985 roku

Bracie!

Historia lubi zataczać koło. Nie tak przecież dawno sam brałem ślub. A teraz odprowadziłem własną córkę do ołtarza. Wyglądała jeszcze piękniej niż Trudka. Żałuję, że Gertruda nie widziała Kamilki takiej szczęśliwej i pełnej nadziei na przyszłość.

Kamila i Zenek planowali wesele już od dawna. Ale dopiero teraz mogli wszystko zorganizować, bo Zenek wyszedł niedawno z obozu dla internowanych. Zamknęli go za drukowanie i roznoszenie bibuły. Walczył o Polskę, jak i my. Tylko na inny sposób.

Przyjęcie ślubne odbyło się w restauracji Przystań w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku. To tam, gdzie byliśmy, gdy przyjechałeś na pogrzeb Mamy.

À propos, na spadek nie mamy co liczyć. Matka tak w zasadzie nie miała niczego. Oprócz długów. Dom zadłużony, ziemia zadłużona. Najlepiej, gdy zrzekniemy się wszystkiego, by nie musieć jej spłacać.

Nie miałem pojęcia o tej sytuacji! Często pytałem jej, czy nie potrzebuje pomocy. Ale sam wiesz, jaka była. Złamanego grosza by ode mnie nie wzięła. Nie dlatego, żeby mnie nie obciążać. To po prostu byłoby dla niej upokarzające, że akurat mnie musi prosić o pomoc.

Może to wstyd, ale po cichu liczyłem na to, że jednak będą po Mamie jakieś pieniądze. Zainwestowałbym swoją połowę w dom. Upatrzyłem już sobie nawet jeden. Z ogrodem, przy ulicy Roosevelta. To spokojna zielona dzielnica. Blisko centrum, a jednak na uboczu. Ale to tylko marzenia. Podobno jest taka chińska klątwa, która mówi: oby spełniły się wszystkie twoje marzenia. Więc może i dobrze.

Przeniósłem się do bloku. To piąte piętro bez windy, więc

*przynajmniej zachowam kondycję. Z kolei Kamila z Zenkiem zamieszkali na Sobieskiego. Będą mieli sporo miejsca. Przyda im się, szczególnie że córka w drodze. Bo to będzie dziewczynka. Już wiadomo. Chcą jej dać na imię Katarzyna.*

*Rodzina nam się rozrasta. To dobrze. Na starość ciężko być samemu. Może pewnego dnia zechcesz wrócić do kraju i zamieszkać ze mną? Miejsca nie jest dużo, ale na pewno jakoś byśmy dali sobie radę. Wiem, że masz w Londynie przyjaciół i swoje sprawy. Nie myśl, że mnie to oburza. Nic, co ludzkie, i tak dalej. Ale mimo wszystko – rodzina jest najważniejsza. Twoi koledzy nigdy Ci jej nie zastąpią.*

*Pozdrowienia  
Czesław*



– Gejem? – Róża patrzyła na Solańskiego, wykrzywiając usta, jakby jej ktoś kazał spożyć owsiankę na mleku. – Skąd ci się to wzięło?

Solański jeszcze raz wskazał Kwiatkowskiej palcem odpowiednie fragmenty listu Koszyckiego.

– To by wiele tłumaczyło – przyznała Róża. – Jeśli to prawda. Przez całe lata żadnej rodziny. Kochanek nawet nie miał. Świntuszek. – Róża zarechotała. Szymon milczał. – No ale co z tego? – zapytała, gdy zdołała opanować atakującą ją czkawkę.

– Pstro – przyznał Solański. – I tak nic z tych listów nie wynika. Dla naszej sprawy.

– Twojej – poprawiła go Róża. – Ja, jeśli już, to prędzej jestem z policji – oznajmiła i zaróżowiła się od dekoltu po czubek nosa.

– Chyba spod policji – mruknął Solański.

– A tak w ogóle – zmieniła temat Kwiatkowska – muszę oddać

Pierre'owi jego korektor pod oczy. – Wyszczrzyła zęby. – Przez pomyłkę mu go zabrałam. Może by się udało przy okazji poszperać w walizce – rozmarzyła się.

– Takie policyjne metody? – zaciekał się Solański.

– Och, zamknij się.

Róża obracała w ręku okrągły pojemniczek z beżowym mazidłem w środku. Po raz setny zastanawiała się, po co Francuzowi ten kosmetyk. Wyobrażenia podpowiadała jej historie godne oscarowych scenariuszy. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że rzeczywistość zwykle była o wiele bardziej banalna. Westchnęła i podniosła się z fotela. Zostawiła Solańskiego pochylonego nad listami i skręciła w kierunku pokoju Dupy'ego.

Po chwili znów pojawiła się u detektywa. Przysiadła na skraju łóżka z dziwną miną. W jednej ręce trzymała przedziurawioną kartkę. W drugiej wciąż dzierżyła korektor.

– No co? – ponaglił ją Solański.

– Pamiętasz francuski w liceum? – zagadnęła.

– Karbowska zawsze kazała mi robić przysiady, jak mi się jakaś „kurwa” wymasknęła – przypomniał sobie Solański. – Albo rzucała w nas kredą, żebyśmy byli cicho.

– Tak, tak – mruknęła Róża.

Kwiatkowska chodziła z Szymonem do jednej klasy tak w podstawówce, jak i w szkole średniej. Znała więc historię szkolnych ekscesów Solańskiego aż za dobrze.

– No a przypominasz sobie taką lekcję o podróżach? – drążyła. – Uczyliśmy się, jak zapytać o drogę, jak zamówić nocleg w hotelu...

– Może i było – rzucił Solański. – Kazała nam chyba wycinać zawieszki na klamkę z napisem „nie przeszkadzać” – przypomniał sobie. – A nam się to zaraz skojarzyło z seksem. – Detektyw przerwał, widząc potępieńczy wyraz twarzy swojej koleżanki. – Ale co to ma wspólnego...

Kwiatkowska rzuciła w kierunku Szymona kartką, którą zerwała z klamki pokoju Pierre'a.

– *Ne pa dèranger* – odczytał. – Akcent nad „e” jest w złą stronę – zauważył. – Karbowska truła nam o tym jak najęta.

– I brakuje „s” w „pas” – dodała Róża.

– Dyslektyk. – Solański się skrzywił.

– Albo oszust – dodała Róża.



Solańskiego obudził hałas. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. Gdzieś znad sufitu dobiegało szuranie. Przypominało świst wiatru w rynnach. Szymon odwrócił się na drugi bok i nakrył głowę kołdrą. W pokoju było jak w lodówce. Wilgoć przenikała przez mury i przez pierzynę. Oblepiała jego ciało.

Pies rozłożył się obok Szymona. Z wyciągniętymi przed siebie łapami nabierał sporej długości. Spał z zaciśniętymi powiekami, merdając przez sen ogonem.

Nad głową Solańskiego znów coś łupnęło. Detektyw usiadł na łożku. Przetarł zaspane oczy. Nasłuchiwał. Z podwórka dochodził szum deszczu, a z oddali pohukiwanie oceanu. Początkowo Szymon nie był pewny. Ale gdy zamknął oczy i wytężył słuch, zrozumiał, że słyszy odgłos kroków. Ostrożnych, powolnych kroków.

Solański nie miał pojęcia, że nad jego pokojem znajduje się jeszcze jakieś pomieszczenie. Starając się nie zbudzić psa, wyślizgnął się z łóżka. Sięgnął po leżącą na stoliku nocnym latarkę. W samych bokserkach i spranym T-shircie wyszedł na korytarz.

Z dołu dobiegało tykanie zegara. Hol był pogrążony w ciemności. Jedynie kwadratowa plama bladego światła kładła się na wykładzinie. Szymon dostrzegł zwieszoną z sufitu drabinę. Wspiął się po jej szczeblach. Ostre kanty nieheblowanych deszczułek wbijały się w jego



gołe stopy. Z góry dochodziły słabe odgłosy czyjejs działalności.

Solański znalazł się wreszcie na poziomie sufitu. Wychylił głowę ponad powierzchnię. Rozejrzył się. Strych był niskim, podłużnym zagraconym pomieszczeniem. Surową drewnianą podłogę, jak i sterty nagromadzonych tu rzeczy, o których istnieniu domownicy dawno już pewnie zapomnieli, pokrywała gruba warstwa kurzu. Od jego drobin zakręciło Solańskiego w nosie. Stłumił kichnięcie.

W głębi zauważył jakiś ruch. Ktoś podniósł się z kłeczek. Solański widział go od tyłu. Przygarbiony mężczyzna trzymał w rękach karton. Szymon szedł o jeden szczebel niżej, by nie zostać zauważonym. Z tej pozycji widział stare, znoszone buty intruza. Przypominały glany.

Mężczyzna się obrócił. W blasku księżyca padającym do wnętrza przez dachowy świetlik Solański dostrzegł znajomą twarz.



Czułem się jak młody bóg. Wreszcie wyspałem się, jak należy. Porozpychałem się na wyrze w prawo, w lewo i na ukos. Nikt (czytaj: Solański) mi też nie próbował tej nocy wyszarpywać kołdry.

Szymon za to wyglądał, jakby go z krzyża zdjęto. Wory pod oczami, pergaminowa cera, ślepia w odcieniu zmierzchu. Na powitanie trzepnąłem dziarsko łapą to niebożę i zażądałem spacerku. O dziwo, nie opierał się, jeno wdział te swoje jak kotu z gęby ciuchy i ruszyliśmy na dwór.

Padąło niby trochę mniej, pogałem więc przed siebie w nadziei na wydłużenie zwyczajowej trasy wkoło domu. Teren B&B dawno już zdążyłem zaminować. Znałem tu też wszystkie zapaszki, więc jak dla mnie, wiało nudą. Obrąłem azymut na Dún Aengus.

Solański kroczył za mną grzecznie, nie żądając odwrotu. Był zamyślony. Główkował i główkował, aż się bałem, że mu od tego czerep odpadnie.

Doszliśmy do krytych strzechą domków, w których znajdowały się sklep z pamiątkami i otwierana w sezonie restauracja. Szymon przywołał mnie gwizdnięciem. Nie dyskutowałem (choć mógłbym, bo gwizdać na kogokolwiek jest nieelegancko), tylko przyczłapałem do jego nogi.

Solański zбочzył ze zwirowej ścieżki. Skierował się za bieloną wapnem chałupkę. Wyglądała na opustoszałą. Obeszliśmy dom dookoła. Przyczailiśmy się za jego rogiem. Wychyliłem pysk i zobaczyłem, że jakieś trzy metry od nas stoi dwóch dobrze mi znanych gagatków.

– To na początek – oznajmił Władek Król.

Schował za pazuchą wypchaną po brzegi kopertę. Zapiął zamek swojej kurtki moro po samą brodę.

– Nie mam więcej – odparł John. Staruszek był przygarbiony. Drżał w lichej wiatrówce narzuconej niedbale na plecy. – Naprawdę.

– To zdobądź – powiedział swoim kulawym angielskim Król. – Zdobyłem dowody. Więc lepiej nie próbuj mnie wykiwać – zagroził.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w naszą stronę. Ukryliśmy się w okalających dom ostach. Jakiś rzep uczepił się mojego ogona i już wiedziałem, że czeka mnie najpierw szarpanie grzebieniem, a potem operacja na żywym organizmie przy użyciu nożyczek do papieru.

Przywarliśmy do ziemi jak placki ziemniaczane do patelni ze zdrapanym teflonem. Solański wciągał powietrze przez usta, a wypuszczał je przez nos z głośnym pufnięciem. Już się wystraszyłem, że przez to jego sapanie zostaniemy zdekonspirowani. Na szczęście Król minął nas obojętnie i pomknął w kierunku, z którego przyszliśmy. Ze swojej pozycji widziałem tylko, jak jego glany zostawiają na zabłoconej ścieżce spore wgłębienia.

Po chwili John podążył za Królem.

Nie pozostało nam nic innego, jak pójść w ich ślady.

Cali mokrzy wróciliśmy do domu prosto na śniadanie. Róża już siedziała przy swoim stoliku i opychała się rogalikami z marmoladą. Dosiedliśmy się do niej, uprzedzając sierżanta Murphy'ego, który powstał z martwych i objawił się nagle w jadalni. Chciał nie chciał, Liam musiał skosztować posiłek w towarzystwie już od samiotkiego rana naprutego Pata. O'Connor raczył się kawą po irlandzku. Można by ją nazwać bezkofeinową, bo w filiżance znajdowały się śladowe ilości kawy. Resztę naczyń wypełniała whiskey.

Tymczasem my opowiedzieliśmy Róży, co się tu święci.

A święcił się szantaż.



– Myślisz, że mu zapłacił, bo Król wykrył jego finansowe szachermacher? – zastanawiała się Róża, z nudów jedząc trzecie tego poranka śniadanie.

A nie minęła jeszcze dziesiąta.

– Widziałem Króla wczoraj w nocy, jak grzebał na strychu – powiedział Solański. – Mógł tam znaleźć jakieś papiery na Johna.

– To tu jest jakiś strych? – zdziwiła się Róża i wepchnęła sobie do ust resztę muffinki jagodowej. Popiła wystygłą herbatą.

Wszystko, o czym mówił Solański, mogło być prawdą. Najwyraźniej pracownicy B&B dużo wiedzieli o przekrętach swoich chlebobawców. I zamierzali z tej wiedzy wyciągnąć jak najwięcej dla siebie. Kwiatkowska zastanawiała się jednak, czy miało to jakiś związek ze śmiercią Kasi Walasek.

Róża wyciągnęła przed siebie nogi i ułożyła je na stoliku kawowym. Podziwiała wzór nowych rajstop, które kupiła sobie za ciężkie pieniądze w sklepie Brown Thomas podczas swojej ostatniej wizyty w Galway. Zaszalała, bo увидziało jej się nagle, że mogłaby zostać kobietą luksusową. Cokolwiek miałoby to oznaczać. Bajer polegał na tym,

że na całej długości rajtek zygzakiem biegł szew.

– Jak u jakiego kurwiszona – wyraziła opinię Róża, gdy sprzedawczyni podetknęła jej pod nos właśnie ten model.

Paniusia twierdziła, że będzie dla Kwiatkowskiej idealny. Na szczęście w języku angielskim słowo „kurwiszon” nie występowało. Ekspedientka pokiwała więc tylko grzecznie głową, prezentując postawę „klient nasz pan”, a myśląc swoje, i skasowała skołowaną Różę na okrągłą sumkę, za którą Kwiatkowska mogłaby się wyżywić przez tydzień.

Teraz Róża ze zgrozą odkryła, iż na owym obłądnym szwie powstała dziura wielkości muffinki, którą przed chwilą zjadła. Spod czarnych rajstop wyzierała biała i niezbyt dokładnie ogolona skóra. Róża zdjęła nogi ze stołu. Stanęła na baczność, by naciągnąć spódnicę na kompromitujące miejsce. Wzrok Kwiatkowskiej padł na podwórko, którego fragment było widać przez uchyloną okiennicę.

– A ten co?! – zdziwiła się.

Solański stanął obok koleżanki. Ujrzał Johna, który włókł za poły płaszcza swoją żonę. Aoife się wyrывała. Wreszcie padła tyłkiem na zabłocony podjazd i w niedosłyszalnych dla pary detektywów słowach dawała upust pretensjom wobec męża.

Róża podeszła do okna i uchyliła je nieznacznie. Usłyszała, że Kelly wykrzykuje coś, co zabrzmiało jak *cheap lousy faggot*, ale z anglojęzycznych przekleństw Kwiatkowska na razie nauczyła się tych podstawowych, którymi najczęściej obrzucali się jej współpracownicy z Super Burgera.

Wychyliła się, by zobaczyć podjazd. Przed budynkiem stał bus Pata O’Connora. Właściciel zdążył już własnoręcznie dopchać go na miejsce po ostatniej awarii.

– Nie wsiądziesz znów do tego rżęcha! – John spokojnym, acz stanowczym tonem przemawiał do Aoife. – To niebezpieczne! – upierał się.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić! – syczała Aoife, wstając.

Wytarła umazane ręce w płaszcz, nie przejmując się brązowymi plamami na beżowym materiale.

Nowa, dbająca o swój wygląd Róża aż zgrzytnęłaby zębami na ten widok. Jednak stara wersja Kwiatkowskiej, która wciąż zwyciężała w wewnętrznych walkach, miała to w nosie. Bardziej interesowała ją sama rozmowa.

– Z tym pijakiem! W taką pogodę! – John oskarżycielsko wskazał palcem na O’Connora, który oparł się wyciągniętą ręką o swój wóz. Gołym okiem widać było, że z trudem utrzymuje równowagę.

– Ja nie poprowadzę? – Pat czknął.

Aoife znów skierowała swe kroki w stronę busa. John zagroził jej drogę.

– Zabraniam! – rzekł.

Musiało być coś w jego wzroku, co powstrzymało Kelly przed dalszymi protestami. Nic już nie mówiąc, czerwona na twarzy, zawróciła do domu. John podszedł do O’Connora i we władczym geście wyciągnął w jego stronę otwartą dłoń. Pat pogrzebał w kieszeni spodni i położył kluczyki do samochodu na ręce Smitha.

– To się nazywa autorytet – stwierdziła Róża.

I postanowiła wypróbować podobny numer na sierżancie Murphym. Ona będzie wyciągać w pańskim geście rękę w jego kierunku, a on będzie na niej kładł wypłatę. Podział ról jak w tradycyjnym śląskim domu. Z tą różnicą, że Róża nie zamierzała myć co sobotę okien ani przyrządzać rolady z kluskami.

Uważała się wszakże za feministkę.



Myśli Solańskiego były równie czarne jak jego czupryna. Kiedy tylko zastanowił się głębiej nad losem Kasi Walasek, dostrzegł przeraźliwą

samotność dziewczyny. Nie miała rodziców ani przyjaciół, nie licząc jednej Siobhan. Zamieszkała na zupełnym odludziu. Wykonywała pracę dużo poniżej swoich kwalifikacji. A jej jedyną rodzinę stanowił dziadek. Szymon nie zdziwiłby się, gdyby Kasia cierpiała na depresję. I po prostu popełniła samobójstwo.

To było jednak zbyt łatwe rozwiązanie. Tak dla Solańskiego, jak i dla mordercy.

Detektyw wszedł do salonu. Rozejrzył się w obawie, czy nie zostanie przez kogoś dostrzeżony. Chlusnął zawczasu przygotowaną w wiadrze wodą w kominek. W palenisku zasyczało. Płomienie się zdusiły. Popiół prysnął na ułożony przed kominkiem dywanik.

Solański, z Guciem w charakterze termofora u swych stóp, usadowił się przy grzejniku pod oknem. Wyjął korespondencję Koszyckich i zagłębił się w lekturze.

*Londyn, 29 sierpnia 1986 roku*

*Cześku kochany!*

*Nie mogę przeżyć tego, że nie udało Ci się przyjechać do mnie razem z Kamilą, Zenkiem i Kasieńką! Naprawdę nie dostałeś paszportu? Robią Wam aż takie problemy? A to przecież Zenek siedział za działalność opozycyjną, nie Ty. Choć może dla komunistycznych władz, jako były akowiec, jesteś większym złem niż sam diabeł. Zenek śmiał się, że wypuścili go z kraju w nadziei, że już nie wróci.*

*Cudownie było ich wszystkich gościć tu na Wyspach. Choć powiem Ci, że teraz, po ich wyjeździe, wreszcie mogę wypocząć. Wakacje z rocznym dzieckiem to nie przelewki! Pewnie sami Ci opowiadali, że bardzo im się podobał Londyn. Obwiozłem ich też po innych częściach Wysp. Kamila i Kasieńka były zachwycone rejssem połączonym z obserwowaniem delfinów. Zenkowi za to zrobiło się niedobrze od niespokojnych fal oceanu. Miał jednak*

*frajdę, prowadząc mój samochód. Ledwo żeśmy się pomieścili do tego cholernego garbusa.*

*Dla nich to były wielkie atrakcje: zobaczyć na żywo Queen Elizabeth, pójść na spacer do Hyde Parku, odwiedzić Tower of London, odbyć rejs po Tamizie. Mnie to wszystko już spowszedniało. Kamila zachwyciła się też moim domem. Bardzo podobały jej się podróżnicze grafiki, które porozwieszałem tu i ówdzie.*

*Dla mnie największą przyjemnością było spędzić tych kilka tygodni z rodziną. Ich młodzieńcza energia naładowała moje akumulatory. Czuję, że to wcale nie jest jesień mojego życia, że jeszcze niejednego mogę dokonać.*

*Jak tam Twoja sytuacja mieszkaniowa? Nie masz szans na zmianę tego zapyziałego lokum? Brak windy nie ułatwia życia mężczyźnie w Twoim wieku, niczego nie wypominając.*

*Wśród moich lokatorów jest rodzeństwo Polaków, wnuki naszych powojennych emigrantów. Sądziłem, że będę miał okazję porozmawiać sobie z nimi po polsku. Żeby nie zapomnieć języka. Czasem brakuje mi słów. Ale no way! Młodzi mówią tylko cockneyem. Powiem Ci, że to nowe pokolenie nie przyznaje się do swoich korzeni. Udają Angoli pełną gębą. A nie rozumieją, że rodowici Anglicy i tak swoje o nich myślą, traktują jak kogoś gorszego. Obcy na zawsze pozostanie obcym.*

*Wybacz, na starość robię się zrzędlawy.*

Regards  
Milek

## Rozdział 7

*A man may live after losing his life but not after losing his honour.*

*Mężczyzna może być żywy po utracie życia, ale nie może żyć, gdy straci honor.*

Pewnie myślicie, że takiego kundla jak ja interesować mogą jedynie żarcie, kima i spacerki. A otóż tak się składa, że mam wiele innych hobby. Zalicza się do nich na ten przykład polityka.

Słyszeliście być może, że był kiedyś w naszym sejmie na Wiejskiej (nazwa nieprzypadkowa) taki pan, który głosił, że Polska dla Polaków. Organizował młodociane bojówki biegające po ulicach z pałami i próbujące zrównać z ziemią wszystko i wszystkich, co odbiegało od mojszo-mojszej normy. Potem się jednak okazało, że ten pan tańczy, jak mu wiatr zawieje. Bez zająknięcia zmienił opcję polityczną. Wszak to nawet świnię wiedzą, że pozycja przy korycie jest najważniejsza.

To już bardziej niż wspomnianego pana, którego nazwiska przez litość tu nie wymienię, szanowałem Pata O'Connora. On by swoich ksenofobicznych poglądów, jakkolwiek chore by były, tak łatwo nie zdradził.

Pat zasiadł w fotelu w rogu salonu, jakby zajął miejsce co najmniej w Speaker's Corner w Hyde Parku. Rozdziawił paszczę. I wziął się do referowania swoich refleksji nad światem. Kto tylko się napatoczył, musiał wysłuchiwać, że Irlandia dla Irlandczyków, że Polacy do domu,



tak samo jak Litwini, Filipińczycy, Pakistańczycy, Chorwaci, Hiszpanie, Włosi, Japończycy i wszyscy inni, którym przyszło do głowy przyjechać na Zieloną Wyspę, choćby tylko w celach turystycznych.

Pat rozwijał się z każdym wypowiedzianym słowem. Dowiedzieliśmy się, że wszystko, co irlandzkie, jest z gruntu lepsze. Żywność należy kupować tylko i wyłącznie produkcji tutejszej.

– Chcą nas otruć! – O'Connor wyjął z kieszeni załączki teorii spiskowej, wznosząc palec wskazujący.

A mnie przyszło do głowy, że akurat ten jego pogląd ma czysto ekonomiczne źródło. Wiadomo, że O'Connor, który uprawiał ziemniaki, wolałby, aby to jego kartofle zamawiano w sklepach, a nie tańsze odpowiedniki, pewnie z Chin.

Następnie Pat wygłosił tyradę na temat szkodliwości Unii Europejskiej, która wprawdzie dotacje mogłaby dalej wypłacać, ale stanowczo powinna zabronić przepływu taniej siły roboczej z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Bo ta emigrancka swołocz – dowodził – nie dość, że pracuje szybciej i wydajniej niż Irlandczycy (niech żyje wolność, wolność i swoboda), to jeszcze zaniża stawki. Nie wspominając o tym, że odbiera miejscowym pogardzane w dobie prosperity, a tak pożądane obecnie po krachu gospodarczym stanowiska, takie jak sprzątaczką, kelner czy sklejaczkę kotletów.

– Nie pierdol! – uciszyła Pata Róża i dosiadła się do Solańskiego, który trzymał w ręku dosyć krótki list.

*Londyn, 10 października 1986 roku*

My Little Pumpkins!

*Tym razem mam dla Was nietypową przesyłkę. Niegabarytową, można by powiedzieć. Chciałbym, aby Kamila i Zenek przyjęli ode mnie prezent w postaci mojego starego volkswagena garbusa. Tego, który tak bardzo podobał się Zenkowi. Proszę, nie miejcie skrupułów. For me it's nothing! I tak*

*kupiłem sobie nowe auto, bo to pochodzi jeszcze z lat sześćdziesiątych. Poza tym kabriolet przy gorgeous English weather naprawdę nie jest wskazany. Wam żuczek przyda się bardziej. Będziecie mogli pojechać nad morze całą rodziną, tak jak o tym marzyliście.*

*A jak Wam się nie spodoba, to po prostu go sprzedajcie.*

*Pozdrowienia*

*Your Uncle Milek*

– Miał gest – pochwaliła Róża.

Zabrałem się do obwąchiwania koperty. Pachniało mi coś ze środka. Wskoczyłem Solańskiemu na kolana i porwałem zdobycz.

– Odbiło ci? – spytał mój, co się zowie, pan.

– Tam jest jeszcze coś – zauważyła Róża.

Uchwyciłem zębami brzeg koperty i potrzepałem pyskiem w górę i w dół. Na dywan wypadło zdjęcie. Niewdzięcznicy porwali mi je sprzed nosa, ale i tak zdążyłem zauważyć, że fotografia przedstawiała żółte auto dość mikroskopijnych rozmiarów. Na dodatek bez dachu. I czym się tu zachwycać? Powiedźcie sami.

Przed samochodem stała uśmiechnięta para. Kobieta trzymała małe dziecko na ręku.

Nad Różą i Szymonem pochylił się O'Connor, któremu zaczęło się nudzić, odkąd zabroniono mu wygłaszania pseudopatriotycznych przemów.

– Pfff – wypowiedział się inteligentnie. – Mój wóz bije ten fajans na głowę – pochwalił się. – Nie wierzycie mi? Nie wierzycie?! – Począł podrygiwać wkoło kanapy, słusznie wnioskując ze spojrzeń Solańskiego i Kwiatkowskiej, iż jego wypowiedź nie została potraktowana z należytą powagą. – To chodźcie zobaczycie! – nalegał. – Pokażę wam bajery, jakich to żółte gówienko – tu wskazał na garbusa – nie widziało na oczy.

– No dobra – nieoczekiwanie zgodził się Solański.

Szymon pewnie zrozumiał, że jeśli nie ulegnie, w życiu nie pozbędzie się O'Connora. Wyszliśmy więc na deszcz i po gnojowisku, które utworzyło się na nieutwardzonym terenie przed B&B, potruchtaliśmy w stronę zaparkowanego dość pokracznie busa. O'Connor tylko trzy razy musiał szarpnąć za klamkę, by drzwi ustąpiły.

– Niestety, nie mam kluczyków – przyznał. – John mi zabrał. Nie chce, żeby Aoife ze mną jeździła – poskarżył się. – Ale co ten stary ramol może wiedzieć? – pocieszył się i wreszcie wpuścił nas do środka.

Nie wiem, w czym ten złom miał być lepszy od volkswagena Koszyckiego. Przetarta tapicerka zajeżdżała jak stare gacie. Niesprzątane tu było chyba od czasów fabrycznych. Że przez szyby można było cokolwiek dojrzeć, postanowiłem uznać za cud. Te wszystkie wihajstry, które tkwią zazwyczaj koło siedzenia kierowcy w każdym samochodzie, tutaj wyglądały na mocno zużyte. O'Connor wprawdzie próbował coś zagajać o spryskiwaczu do szyb, skrzyni biegów nie do zdarcia czy odświeżaczu powietrza o zapachu nowego samochodu, ale z góry wsadziłem to do worka z napisem: „farmazony”

Przespacerowałem się po tym wehikule czasu, który przybył tu do nas z połowy zeszłego wieku. I zgadnijcie, co odkryłem w schowku, który otworzyłem sobie, bezpardonowo waląc w niego łapą? Połowę metalowego serduszka. Bliźniaczo podobnego do tego, które Róża znalazła w szufladzie w pokoju Kasi.

Można by przypuszczać, iż Walasek zgubiła ozdóbkę, jadąc kiedyś busem Pata. Można by, gdyby nie jeden drobny fakt. Blaszka była pieczołowicie zawinięta w foliowy woreczek. A nikt przecież nie nosi na szyi biżuterii ukrytej w reklamówce.



Solański potrzebował drinka. Musiał zalać paranoję, w którą powoli zaczynał popadać. Każdy mieszkaniec Kelly's B&B wydawał mu się

podejrzany.

Na przykład co to miało być z tą połówką serduszka znaną w busie O'Connora? Pat tłumaczył się bełkotliwie, że znalazł ozdobę między siedzeniami i schował, by oddać ją Kasi. Ale skąd wiedział, że zawieszka należała do Walasek? Jego wyjaśnienia może i nawet składałyby się do kupy, lecz zdaniem Solańskiego bardziej przypominały na chybcika wymyśloną historyjkę, która miała ochronić dupsko O'Connora przed więzieniem. Szymon był skłonny przypuszczać, że serduszko stanowiło fant, który Pat zabrał na pamiątkę po swojej ofierze.

– Ale dlaczego miałby ją zabijać? – dopytywała się Róża, stawiając przed Solańskim dzin z tonikiem, a przed sobą Krwawą Mary. Nie przepadała za sokiem pomidorowym, ale teraz napój wydał się jej jakoś tak po wampirzemu seksowny. Metamorfoza Kwiatkowskiej trwała w najlepsze.

– To faszysta – rzucił Solański.

Sam fakt, że O'Connor gardził obcokrajowcami przyjeżdżającymi do jego kraju, nie stanowił jeszcze dowodu morderstwa. Za to rosnące w mężczyźnie uczucie nienawiści połączone z potężną dawką alkoholu, jaką Pat przyjmował każdego dnia, mogły doprowadzić do niepożądanych skutków – wnioskował Solański.

Podobne motywy mogły kierować Władkiem Królem, który z kolei żywił awersję do kobiet niespełniających jego wyobrażeń o ideale piękna. Król również pił na potęgę. I na domiar złego najwyraźniej miał świra.

– Mnie się wydaje, że to Aoife – powiedziała Róża. – Załóżmy, że z jakiegoś powodu John dał pieniądze Kasi. Skąpa jędza dowiedziała się o tym i ubiła biedaczkę.

– Nie mogła jej po prostu odebrać kasy? – powątpiewał Solański.

– Musimy się dowiedzieć, skąd Kasia miała hajs – zdecydowała

Kwiatkowska. – I co jest grane z tymi finansowymi przekrętami Smitha.

Szymon kiwnął głową. Zerknął na Seana, który właśnie pojawił się za barem. Zdaniem Solańskiego Gallagher jakoś zbyt gorliwie pucował blat, który już i tak błyszczał jak choinka. Szymon był przekonany, że barman podsłuchuje. Dlatego nie podzielił się z Różą kolejnym swoim podejrzeniem.

No bo przecież Sean najpierw został porzucony przez Siobhan, a potem przez Kasię. Można więc zrozumieć, że stracił nad sobą kontrolę i zabił tę, która zniszczyła jego marzenia o świetlanej przyszłości.

Poza tym Szymon chciałby też wiedzieć, co kryło się za przebierankami Dupy'ego. Facet był, delikatnie mówiąc, ekscentryczny. Siedział na zupełnym odludziu, twierdząc, że podobają mu się tutejsze krajobrazy. I że interesują go one ze względów naukowych. Pierre wyglądał jednak Solańskiemu na badacza jak Róża na primabalerinę. Zdaniem detektywa Francuz przed kimś się ukrywał. Być może więc Kasia odkryła sekret Dupy'ego i dlatego musiała zginąć?

A może Siobhan pokłóciła się o coś ze swoją przyjaciółką? Czy nie doszło do przepychanki skończonej nieszczęśliwym dla Kasi wypadkiem?

Solański gubił się w domysłach, gdy do pubu wtoczył się Władek. Oczy miał wybałuszone, gębę czerwoną. Drżał jak w delirce. Oparł się o bar. Rzucił dziesięć euro na blat. I zażądał wódki. Sean przyjął banknot i zaczął niemrawo szukać reszty w kasie.

– Tobie co znowu? – zainteresowała się Róża.

Król przysiadł się do nich bez pytania. Jednym haustem wydoił alkohol. Pstryknął palcami na Seana, domagając się powtórki. Gallagher zignorował go jednak i skrył się na zapleczu.

– Chciał mnie zabić! – obwieścił Władek.

– Kto? – jednocześnie spytali Róża i Szymon.

Solański tylko utwierdził się w przekonaniu, że ma do czynienia z pomyłką. Najpierw O'Connor z tą teorią, że koncerny spożywcze niczego bardziej nie pragną, niż go otruć. A teraz ten.

– Dziadyga! – Król wskazał na sufit, jakby tam miał się znajdować potencjalny morderca. – O! – Odsunął kołnierz, ukazując gołą szyję. – To mi zrobił!

Szymon przyjrzał się czerwonej prędze, jaka znaczyła gardło Władka.

– O mało mnie nie udusił! – skarżył się Król. – Zaszedł mnie od tyłu. Zarzucił mi na szyję pasek od spodni. I pociągnął! – Łzy stanęły w oczach Króla.

– Ale jakoś nic ci się nie stało. – Róża zlekceważyła sprawę.

– Bo mi się udało wyrwać! – wzburzył się Władek. – A gdyby mi się nie udało? To co by to było?

– Wiesz, co ja myślę? – przerwał mu Solański. Oczekał chwilę w ciszy, patrząc z obrzydzeniem na rodaka. – Myślę, że John mógł chcieć cię tylko nastraszyć – wyjaśnił. – Bo mu się nie spodobało, że go szantażowałaś.

– Ja? – zdumiał się Król.

– Sam widziałem – rzekł detektyw. – Niby skąd masz nagle na wódę?

– Zarobiłem. – Władek się obruszył.

– Ciekawi mnie tylko, coś ty tam znalazł na strychu, że John zgodził się zapłacić. – Solański wpatrywał się w Króla stalowym wzrokiem.

– Nie wiem, o czym mówisz! Jeśli tu ktokolwiek o czymkolwiek wiedział cokolwiek – zagmatwał się w swojej pokrętej wypowiedzi – znaczy... ten... to nie byłem to ja, tylko ta wścibska Kaśka! – oznajmił Władek i wstał od stolika.

Opuścił bar, nie czekając na resztę.



Jeżeli komuś przyszłoby do głowy udać się po zmroku na spacer

po Cwajce, jak mawiano na Chorzów Drugi, w którym mieszkałem razem z Solańskim, powinien wiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, taki śmiałek z pewnością zostanie zaczepiony przez niezidentyfikowaną bandę młodzieży rodzaju męskiego. A po drugie, odpowiedź na zadane przez ową bandę pytanie: „za kim leziesz?”, wcale nie jest taka oczywista. Niby logika nakazywałaby powiedzieć, że za Ruchem. Tymczasem historia już nieraz odnotowała przypadek opisany poniżej.

Otóż cwaniaki z Cwajki dla zmylenia przeciwnika obwiązują sobie karki szalikami w barwach żółto-zielono-czarnych, przynależnych GKS-owi Katowice. Indagowany spacerowicz na ten widok oddycha z ulgą i mówi, że od kołuski jest zagorzałym fanem wojewódzkiej drużyny. Wtedy kibole zrzucają kolorowe szaliczki i spod watolinowych kurtek wyciągają jedynie słuszne niebiesko-białe, za pomocą których grzmocą tchórzliwego delikwenta, który w chwili próby wyrzekł się najlepszego z klubów. Zresztą oponenci Ruchu uprawiają ten sam proceder. Tyle że ich można spotkać raczej w rejonach Tauzena, jak u nas z angielska mawiamy na leżące na granicy Chorzowa i Katowic Osiedle Tysiąclecia.

Przytaczam wam tę historię ku przestrodze. Na wypadek, gdybyście kiedyś chcieli mnie odwiedzić na 11 Listopada pod numerem sto trzynaście przez sześć.

Futbolowe refleksje naszły mnie, gdy z nudów postanowiłem rozegrać mecz piłki nożnej sam ze sobą. Wygrzebałem z plecaka Solańskiego swoją gumową piszczącą piłeczkę w trochę niemęskim odcieniu wściekłego różu i z owym nabytkiem w pysku wyszedłem na korytarz.

Podrzucałem fusbali, pomagając sobie nosem i łapami. Przy okazji okidałem nieco ścianę. Całkiem być może, że piłeczka nie była pierwszej świeżości i nosiła ślady wcześniejszych błotnych rozgrywek. Zagryzłem na niej zębiska. Wydała z siebie przenikliwy pisk. Zawsze doprowadzało mnie to do wściekliwości. Ruszyłem w galop z wciąż

piszczącą piłką w pysku. Wysmyknęła mi się złośliwie i sturlała ze schodów na parter. Co i ja uczyniłem.

Trzeba wam wiedzieć, że odkąd zaczęło mnie łupać w stawach, opracowałem nowatorską metodę schodzenia ze schodów. Polegała ona na sadzeniu równoległych susów najpierw obiema przednimi łapami, potem jedną tylną (plus pół). I tak aż na sam dół. Dzięki temu sposobowi i tym razem nie wylądowałem pyskiem na glebie, jak to się onegdaj zdarzało.

Dorwałem małpę w różowym, hamując pazurami na wykładzinie. Poniosło mnie na tyły domu zamieszkanego przez panie Kelly.

W progu swego zadżumionego pokoju stała Siobhan. Do framugi przyciskała swym potężnym gabarytem Seana. Zastanawiałem się, czy nie ruszyć mu na ratunek. Nie wyrywał się jednak jakoś specjalnie. Choć może po prostu nie miał na to szans. Przewaga sił była znacząca.

Znów zacisnąłem kły na piłeczce. Ta zaskowyczała. Gallagher i Kelly odskoczyli od siebie. Potem zauważyli, że to tylko ja. Zemdlny Sean osunął się na podłogę.

Pełen mieszanych uczuć wróciłem do pokoju, a tam znowu czytelnia ludowa.

*Chorzów, 20 stycznia 1988 roku*

*Kamilu!*

*Znów tragedia. Moje życie zrujnowane. I mojej wnuczki też.*

*Nic tego nie zapowiadało. W święta Bożego Narodzenia mieliśmy wiosnę. Termometry szalały. Kasia płakała, bo nie było śniegu. Bała się, że Gwiazdor nie zdoła do niej dojechać saniami i przywieźć jej prezentów.*

*Dla wyrównania rachunków mróz uderzył ze zdwojoną siłą w ostatni dzień roku. Na szybach mojego mieszkania malował kwieciste wzory. Mimo że kaloryfery grzały na potęgę. Kamila i Zenek postanowili wybrać się na zabawę sylwestrową*



do znajomych z Mysłowic. Ja zostałem z wnuczką. Spała, a ja oglądałem telewizję. Też się zdrzemnąłem.

Obudził mnie płacz Kasi. Ekran śnieżył. Spojrzałem na zegarek. Była godzina trzecia czternaście nad ranem. Poszedłem sprawdzić, co się stało. Kasia nie chciała jeść. Nie trzeba jej też było przewinąć. Długo nie mogłem utulić jej do snu. Gdy wreszcie zmęczona własnym szlochem zapadła w drzemkę, sam również się położyłem. Nie na długo.

Dzwonek do drzwi zbudził mnie tuż przed siódmą. Zdziwiłem się, bo Kamila i Zenek mieli odebrać małą dopiero po południu. Tak się umówiliśmy. Ale pomyślałem, że może zmienili zdanie. Pewnie przyjechali prosto z imprezy.

No bo któż inny? W Nowy Rok? O tej porze? Przez judasza dojrzałem pod moimi drzwiami dwóch milicjantów. Nogi mi zadrżały. Zwolniłem łańcuch. Przekręciłem zamek. Otworzyłem im drzwi. Już wiedziałem. Stało się coś strasznego. Coś, czego nie będzie można odwrócić. Jeden z mundurowych wyglądał nie tyle na skacowanego, ile wciąż pijanego.

– Czesław Koszycki? – zapytał.

W pierwszym odruchu chciałem zaprzeczyć. Może gdybym się nie przyznał, że ja to ja, to oni nie przekazaliby mi tych wieści. Które, zdawałem sobie z tego sprawę, miały obrócić moje życie w niwecz. Już nawet cofnąłem się w głąb mieszkania. Ale znów usłyszałem tego podpitego.

– Kamila Walasek to pana córka? – zapytał. – A Zenon Walasek zięć?

Wtedy byłem już pewny. Moja córka i jej mąż nie żyli. Kiedy parę minut później jak na autopilocie nalewałem do czajnika wody, by poczęstować milicjantów kawą, dowiedziałem się, w jaki sposób doszło do katastrofy.

*Droga z Mysłowic do Katowic była obludzona. Z wierzchu pokrywała ją warstwa śnieżnego puchu. Ktoś porozbijał okoliczne latarnie kamieniami. Było ciemno. Zenek nie tknął alkoholu. Wiedział, że będzie prowadził. Wpadł jednak w poślizg.*

*Zderzyli się ze słupem wysokiego napięcia stojącym na skraju ulicy. Pród auta zwinął się jak miech w akordeonie. Zasuwany dach kabrioletu oderwał się od konstrukcji i wylądował gdzieś w rowie. Oboje zginęli na miejscu. Nie było co zbierać. Tak powiedzieli milicjanci. Ciało mojej córki wraz ze zmielonymi odłamkami garbusa stanowiło sieczkę.*

*Już po wszystkim dostałem raport, w którym jakiś milicyjny ekspert przekonywał, że do wypadku przyczyniły się nie tylko złe warunki na drodze, ale i kiepski stan samochodu. A w szczególności hamulców. Jego zdaniem volkswagen w ogóle nie powinien wyjeżdżać na ulicę. Już od wielu lat.*

*Kasia została sierotą. Co z nią będzie, kiedy mnie zabraknie? To pewnie prędzej niż później.*

*W przekazanych mi dokumentach znalazłem informację, że do wypadku doszło kilkanaście minut po godzinie trzeciej nad ranem.*

*Czesław*

*– Gucio, złaź! – Solański szturchnął mnie w bok.*

*Wielkie olaboga, bo mi się przysnęło na jakichś głupich listach. Może i naniósłem na nie nieco błota, może i zaplułem je odrobinę. Ale kto śmiałby winić biednego małego kundelka ze schroniska? Solański najwyraźniej serca nie miał, bo choć zapierałem się łapami o wykładzinę, przesunął mnie pod ścianę.*

*Koperty rozsypały się po podłodze. Z mściwą satysfakcją pomyślałem, że Szymon będzie musiał się tłumaczyć Koszyckiemu z tego brudu na pamiątkach rodzinnych, powierzonych mu przecież*

w geście zaufania.

– Popatrz na to! – wykrzyknęła Róża, podtykając Solańskiemu pod nos jeden z listów.

Znudzony obróciłem się do ściany i zasnąłem.

*Chorzów, 20 lutego 1988 roku*

*Kamilu!*

*Mam nadzieję, że Kasia nie będzie pamiętać tego bólu. Tego horroru, który jest teraz naszym udziałem. Choć z drugiej strony chciałbym, by zostało jej jakieś wspomnienie o rodzicach. Uśmiech Kamili, gdy pochylała się nad łóżeczkiem córki. Śmieszne miny, jakie stroił do niej na dobranoc Zenek. Pewnie to wszystko przepadnie.*

*Ale na razie mała wciąż pyta, gdzie mama. Nie mam pojęcia, ile rozumie z tego, co się stało. Śpi ze mną. W ciągu dnia nie odstępuję mnie na krok. Już jedną dziewczynkę wychowałem samotnie. Nie wiem, jak ponownie podołam temu zadaniu. Jestem na to za stary!*

*Dzisiaj Kasia narysowała obrazek. Dołączam go do listu. Kiedy spytałem, kto na nim jest, powiedziała, że ona, mama, tata i wujek Milek. Czyżby gdzieś w podświadomości pozostało jej wspomnienie wizyty u Ciebie w Anglii? Była przecież wtedy niemowlakiem, więc trudno mi w to uwierzyć. Ale sam zobacz. Ten łysawy to, zdaje się, ty.*

*Czesław*



W zetknięciu ze sprzętem elektronicznym Solański, zdaniem Róży, zachowywał się jak jej pochodząca z Sosnowca babcia ze strony matki, która dmuchała na żarówkę, by ją zagasić. A przynajmniej takie żarciki

opowiadał ojciec Róży, gdy zdawało mu się, że żona nie słyszy.

Kwiatkowska postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Skoro już raz włamała się do pokoju Kasi, nie widziała powodu, dla którego nie miałyby tego dokonać po raz wtóry. Na swą okolo przestępczą działalność wybrała godzinę duchów. Powtórzyła numer z pożyczonymi od Solańskiego wytrychami. Zgarnęła z biurka Walasek rozładowanego laptopa. Wgramoliła się jeszcze pod blat, by zabrać także kabel z zasilaczem.

Cichaczem opuściła miejsce kradzieży.

Nie mogła zająć się komputerem w swoim pokoju, bo tam rezydował sierżant Murphy. Istniało więc prawdopodobieństwo, że zainteresuje się poczynaniami Róży i będzie jej próbował przeszkodzić w prywatnym śledztwie. Wprawdzie Liam o tej porze już głośno chrapał, ale czy to wiadomo, kiedy się cholernik nagle obudzi?

Położył się spać z kurami, twierdząc, że musi zebrać siły na następny dzień. Nie żeby przyszło mu nagle do głowy zaangażować się w dochodzenie w sprawie morderstwa. Tak niemądrych inicjatyw Murphy na szczęście nie przejawiał. Oznajmił za to Kwiatkowskiej, że od jutra nie ma go dla nikogo. I nawet gdyby dzwonił do niego sam Bono, prosi, by go nie łączyć, ponieważ on będzie oglądał mecze hurlingu.

Róża nie wiedziała, ki diabeł, ale nie zamierzała dociekać. Miała swoje sprawy na głowie.

Władowała się do pokoju Solańskiego. Szymon też już najwyraźniej ułożył się do snu. Różę naszła krótka refleksja na temat słabości męskiej natury.

– Wstawaj! – zaordynowała.

Solański poderwał się i rozejrzał po pomieszczeniu nieobecny wzrokiem. Wyglądał jak zagubione w lesie dziecko. Gucio z kolei spał tak twardo, że produkowane przez Kwiatkowską hałasy nie zdołały go

obudzić. Róża włączyła lampkę nocną. Na szczęście prąd akurat postanowił zadziałać. Prędko więc podłączyła laptopa do zasilacza i usadowiła się na wyrze Solańskiego.

– Co ty robisz? – zdołał wreszcie wydukać Szymon.

– Bawię się w Lisbeth – oznajmiła Róża z kamienną twarzą.

– Kogo? – Solański w półśnie nie łapał aluzji literackich. – Aha – zorientował się wreszcie. – Ale że co?

– Ogarnij się! – wrzasnęła na niego Kwiatkowska i wygrzebała z kangurzej kieszeni, w którą zaopatrzona była jej bluza, paczkę delikcji pomarańczowych.

Chrupiąc i brudząc Solańskiemu pościel odłamkami pryskającej jej z ust czekolady, Róża włączyła podprowadzony komputer. Urządzenie zaszumiło i zaczęło w żółwym tempie załadowywać system.

– To Kasi? – Szymon błysnął inteligencją. – Ukradłaś?

– Od razu ukradłaś! – obruszyła się na pokaz. – Pożyczyłam. Zresztą właścicielce się już nie przyda. A my zaraz obejrzymy sobie historię wyszukiwania.

– Co?

Róża zmilczała.

Na szczęście dostęp do komputera nie był chroniony hasłem. Kwiatkowska weszła w historię wyszukiwania. Kliknęła w odnośnik na samej górze listy. Na ekranie pojawiła się strona internetowa, którą Róża przez ułamek sekundy widziała, gdy po raz pierwszy w pokoju Kasi zajrzała do jej laptopa.

– Co to za banialuki? – zniecierpliwiła się.

– Pokaż – zainteresował się Solański.

Przechylił ekran w swoją stronę i przyjrzał się portalowi, który tuż przed śmiercią odwiedziła Walasek. Na różowym tle strony widniał czarny kształt ogołoczonego z liści drzewa.

– Moje dziedzictwo – powiedział Szymon pod nosem.

– Nie twoje, tylko Kasi – poprawiła go Róża. – Poza tym nie sądzę, by ten komputer można było nazwać jakimkolwiek dziedzictwem – oznajmiła. – Przecież to jest stary rzęch. Za rok czy dwa w żadnym lombardzie nie dostaniesz za niego nawet paru stów – perorowała Kwiatkowska, a Solański patrzył na nią z rosnącym zdziwieniem malującym się na porośniętej kiełkującym zarostem twarzy.

– *My Heritage* – wyjaśnił.

– Weź otwieraj jakoś szerzej usta, bo nic nie można zrozumieć – pouczyła go koleżanka.

– Moje dziedzictwo! – wkurzył się Szymon.

– A ten swoje. – Róża miała już serdecznie dość tej bezsensownej wymiany zdań.

– Tak się po angielsku nazywa ten portal! – Solański popukał palcem w ekran komputera. – I z tego, co widzę – przejrzał menu – służy do tworzenia drzewa genealogicznego.

Róża patrzyła na Szymona z głupią miną.

– Aha – powiedziała tylko. – To rozumiałe – przyznała. – Pewnie chciała odnaleźć jakichś dalszych krewnych, skoro z najbliższej rodziny miała tylko dziadka. A tak w zasadzie – dodała po chwili ciszy – co się stało z Kamilem Koszyckim? Żyje jeszcze?

– Przeczytaj sobie w listach – poradził jej Solański, który tuż przed snem zdążył podgonić lekturę.

– Tu jest jeszcze coś – powiedziała wgapiona w monitor Róża.

We dwójkę pochylili się nad ekranem, na którym widniała podstrona portalu informacyjnego. Kasia przeglądała ją tuż przed stroną poświęconą genealogii. Donoszono tam o napadzie na bank, jakiego dokonano kilka miesięcy temu. Podano, iż niezidentyfikowany dotąd złodziej działał najprawdopodobniej w pojedynkę, a jego łupem padło pięć milionów euro. Policja do tej pory nie wpadła na ślad bandyty. Napadu dokonano na Słowacji.

Różę średnio interesowali jacyś rabusie. Otworzyła jeszcze plik tekstowy zapisany na pulpicie laptopa. Znalazła w nim niezrozumiałą notatkę oznaczoną zeszłoroczną datą: *NW10, 5NU. Mary*. Róża nie знаła żadnej Mary. Wyłączyła więc Internet i kliknęła w przycisk zamykający komputer.

Patrzyła na ciemniejący ekran i zastanawiała się, na jaką cholerę Kasia wrzuciła sobie jako tło pulpitu rysunek jakiegoś brodatego dziada. Starego i brzydkiego. Kwiatkowska nie pojmowała tej dzisiejszej mody: stylówka na drwala.

Przetarła oczy i sięgnęła po listy.

*Londyn, 1 marca 1988 roku*

*Szanowny Panie!*

*Z wielką przykrością zawiadamiam, iż Pański brat, Kamil Koszycki, nie żyje. Znalazłem go wczoraj wieczorem w piwnicy jego domu. Powiesił się. Zostawił list pożegnalny zaadresowany do Pana, wraz z adnotacją, by wysłać go pod wskazany adres.*

*Nie sądzę, by Kamil wspominał Panu o mnie. Byłem jego wieloletnim partnerem.*

*Myślę, że wyjaśnienie tego, co się stało, znajdzie Pan w liście Kamila.*

*Z wyrazami szacunku  
Jack Bielecki*

Kwiatkowska uniosła brwi, aż sięgnęły jej połowy czoła. Wzięła do ręki kartkę, na której krzywymi literami Kamil Koszycki skreślił swoją ostatnią wolę.

*Londyn, 29 lutego 1988 roku*

*Kochany Braciszku!*

*To jest jedyne słuszne rozwiązanie. Nie mógłbym dalej żyć ze świadomością tego, co przeze mnie się stało. Let's be clear –*

*Kamila i Zenek zginęli z mojej winy. Gdybym im nie wcisnął tego grata, nadal by żyli.*

*Chciałem być takim lovely uncle z wielkiego świata. A postąpiłem jak skąpiec, który znalazł sposób na utylizację niechcianej rzeczy. A przy tym mógł poudawać wielkiego dobroczyńcę. Wstyd nie pozwala mi normalnie funkcjonować. Swoim bezmyślnym zachowaniem pozbawiłem Twoją wnuczkę rodziców. Tobie odebrałem córkę. Nie mogę spojrzeć swojemu odbiciu w lustrze w oczy.*

*Zresztą zawsze tak było. Brałem, co uważałem, że mi się należy. A Ty ustępowałaś. Zadowalałaś się gorszą pozycją, żeby nie ranić swojego little brother. Przyjmowałaś na siebie moje przewiny. Muszę spłacić swój dług wobec Ciebie. It's about time!*

*Przez wszystkie powojenne lata klepałeś biedę, podczas gdy ja wiodłem życie wiecznego kawalera, zabawiając się z kochasiami. Nie czułem się odpowiedzialny za nic i za nikogo. By zagłuszyć kielkujące wyrzuty sumienia, wysyłałem ci paczki, które tak naprawdę były jak jałmużna.*

*Teraz mogę się zdobyć na szczerłość. Nie robiłem tego dla Was, tylko dla siebie. Rosłem we własnych oczach. Przez dekady niby to nakłaniałem Cię do przyjazdu do mnie, ale było mi na rękę, że nie mogłaś dostać paszportu. Nigdy nie wysłałem Ci oficjalnego zaproszenia, które przecież pewnie pomogłoby w załatwieniu formalności. Nie kupiłem biletu. Odseparowałem się od rodziny, bo tak było mi wygodniej.*

*A potem przez moją butę zginęła Twoja córka! Moja bratanica!*

*Cały majątek zapisuję Tobie, Cześku. Mam nadzieję, że te pieniądze, które gromadziłem przez lata, całkiem zresztą przyjemnej pracy w London County Council, choć teraz przyniosą Tobie i Kasi dobre chwile. Może będziesz mógł kupić sobie dom,*



*o którym tak marzyłeś? Moją posiadłość w Londynie zostawiam Jackowi. Byłem z nim szczęśliwy.*

*Na pogrzeb nie przyjeżdżajcie. Już sobie wybrałem miejscówkę na cmentarzu Świętej Marii. Jack załatwi resztę.*

*Nie wspominajcie mnie źle. Choć na to zasłużyłem.*

*Kocham Was!*

*Milek*



Róży nie podobało się zakończenie historii rodziny Koszyckich. Może i Kamil nie był wzorem kochającego brata i faktycznie przyczynił się pośrednio do wypadku Kamili i Zenka, ale nie zasłużył sobie przecież na śmierć. Róża była tak rozżalona, że aż jej się zebrało na płacz. Potrzebowała pocieszenia.

Wróciła do swojego pokoju i zasiadła obok Liama. Murphy leżał na brzuchu na łóżku i hipnotycznym wzrokiem wpatrywał się w telewizor. Monitor został niedbale ustawiony na stoliku nocnym. Sierżant przyklejał się do niego czubkiem nosa. Kwiatkowska miała wrażenie, że jeszcze moment, a urządzenie osunie się na policjanta i po prostu go wchłonie.

– Skąd to? – Wskazała na telewizor. Dałaby sobie rękę uciąć, że wcześniej odbiornika nie było w ich pokoju.

Liam nie reagował. Wgapiał się w jakiś trawnik, po którym biegała, niczym spragniona wizyty w toalecie, gromada irlandzkich wymoczków odzianych w krótkie gatki i kaski à la Hannibal Lecter. W rękach dzierżyli drewniane kije, za pomocą których próbowali dosięgnąć skórzanej piłki. Co rusz któryś z nich potykał się albo walił, niby przypadkiem, lagą w kolegę. Doprawdy Róża znała o wiele ciekawsze formy rozrywki.

– Skąd masz telewizor?! – powtórzyła pytanie, tym razem szturchając Murphy’ego w bok.

Jedynym efektem, jaki osiągnęła, było niewyraźne stęknienie dobywające się z trzewi ukochanego. Poza tym nie wydarzyło się nic.

Kwiatkowska mogła zrozumieć wszystko. Ale nie tak jawny akt obojętności! Sięgnęła po porzuconego na narzucie łóżka pilota i wcisnęła pierwszy lepszy guzik. Hannibalki zniknęły, a w ich miejsce na ekranie pojawiła się pogodynka, która z zaaferowaną miną wskazywała wyświetlającą się za jej plecami mapę. Cały zachód Irlandii był pokryty granatowymi chmurami, z których gdzieniegdzie wyłaniały się żółte błyskawice.

– Oddawaj! – wydarł się wyrwany z transu Liam.

Jego oczy błyszczały jak u chorego na malarię. Twarz miał poczerwieniałą. Włos stanął mu dęba.

– Włączaj! – wrzeszczał, próbując wyszarpnąć Róży pilota.

Nie z Kwiatkowską były takie numery. Nie takich cwaniaczków przerabiała. Jednym celnym kopniakiem zwała kochanka na wykładzinę. Nic sobie nie robiła z tłumaczeń, że mistrzostwa, że hurling, że sport narodowy, że Galway kontra Mayo. Umknęła przed podrywającym się z podłogi Liamem do toalety. A potem na jego oczach wrzuciła pilota do muszli klozetowej. I spuściła wodę.

– Nie!!! – wyrwało się z gardła mężczyzny.

– Drzesz się, jakby zarzynali ci matkę – zlekceważyła go Róża.

Zdruzgotany sierżant wyznał wreszcie, że wyniósł telewizor z salonu w nadziei, że w spokoju będzie mógł obejrzeć zawody. Pozostając przy temacie matek, Róża przypomniała Murphy’emu, czyją matką jest nadzieja.

– Śledztwa nie musisz prowadzić? – zapytała ostrożnie Kwiatkowska.

– Śledztwa? Ja? – zdziwił się sierżant.

– A ja?

Liam wydał usta. Róża przyjrzała się swemu ukochanemu. Wyglądał teraz, jakby przedobrzył z botoksem. Albo sympatyzował z Makumbą.

– Się znajdzie – oznajmił Murphy, przepychając się w stronę telewizora. – Mordercę – wyjaśnił. – A potem się mu przemówi do rozumu i będzie po sprawie.

– Przemówi? – Róża nie wierzyła własnym uszom. Wprawdzie Garda była znana z pokojowych sposobów rozwiązywania sporów w narodzie, ale żeby sobie urządzać pogawędkę z zabójcą? Tego już było dla Kwiatkowskiej za wiele.

– No, albo pałką się go i gazem – zmienił zdanie Liam.

Dalsza dyskusja z Murphym była bezcelowa. Sierżant, dzięki wysiłkowi umysłowemu, któremu towarzyszyło drapanie się w czubek rudej głowy, przygryzanie koniuszka wystawionego języka i naciąganie spodni dresowych po same pachy, odkrył wreszcie, że kanały telewizyjne można przełączać nie tylko za pomocą pilota, ale i przy użyciu guziczków wmontowanych bezpośrednio pod monitorem.

– *Gooo!!! Lads!!! Gooo!!!* – zaczął się drzeć, obserwując akcję na murawie. – *Fuck!!! Sake!!! Fuck!!!* – Teraz już nie tylko wrzeszczał, ale i podskakiwał w miejscu, czochojąc się i wykonując niekontrolowane przysiady.

Róża doszła do wniosku, że coś w tej przepychance na trawniku musiało pójść nie po myśli Liama. Popatrzyła na niego z politowaniem. Uznała, że nie będzie się kopać z koniem. Wszak lubiła zwierzęta.

Wyszła, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.



Mówcie do mnie amsterdamczyku! Może też być – kopenhazaninie. Mieszkańcy tych miast słyną podobno z zamiłowania do przejażdżek rowerowych, a taką i ja zaliczyłem po raz pierwszy w życiu. Nie musiałem nawet swoimi krótkimi nóżkami sięgać do pedałów.

Zostałem usadzony w specjalnym wózekcu doczepionym z boku. Na siodełku ulokowała się Róża. Ów zmyślny pojazd Kwiatkowska wydobyła spośród innych ustawionych rządkiem w szopie za domem, po czym zaprosiła mnie na *rendez-vous*. Ja miałem daszek, ale Róża jedynie pelerynę, która chroniła ją przed deszczem średnio na jeża. Ruszyliśmy jak najdalej od tego domu zbrodni.

Nie zdążyliśmy wyjechać za najbliższy zakręt, gdy usłyszeliśmy za sobą wołanie. W naszą stronę biegł Solański, próbując jednocześnie wsiąść na wleczony za sobą rower. Moczył trampki w kałużach. Deszcz zalewał mu twarz. Wtarabanił się wreszcie na siodełko i dogonił nas. Róża nie pytała, dlaczego Szymon za nami łązi. Solański nie dociekał, dokąd zmierzamy. W sumie to się dziwiłem, że im się chce tak naparzać na kobzach w taką ulewę. Ale doszedłem do wniosku, że jest to niezły sposób na reset morderczych wrażeń. Poza tym nie miałem na co narzekać. Było mi całkiem wygodnie. Trochę trzęsło na wertepach, ale przez przezroczystą folię mogłem podziwiać mijane krajobrazy. Głównie kamienne murki, strzępy trawy i dużo błota.

Solański i Kwiatkowska pedałowali równo, jednak to Szymon wysforował się nieco przed nas. Choć wcale nie był z niego taki Lance Armstrong. Po pierwsze, mój pan nie stosował dopingu. A po drugie, mógł cwaniaczyć szybkim tempem, bo nie musiał ciągnąć wózka z moją zacną osobą w środku.

Zboczyliśmy z głównej drogi. Zaczął mnie już morzyć sen od tego równomiernego huśtania, gdy postyszałem wrzask Róży:

– Stój!

Solański zatrzymał się i obrócił w naszą stronę.

– Co? – zadał pytanie, na które i ja pragnąłem poznać odpowiedź.

– *Puffing hole* – rzekła.

– Co? – powtórzył Szymon.

– Dziura! – zirytowała się Kwiatkowska.

Zsiedliśmy z roweru i podeszliśmy do Solańskiego. Ten spojrzął wreszcie przed siebie i dojrzał to, co i naszym oczom się ukazało. A była to, zgodnie ze słowami Róży, dziura. Ale jaka! Naprawdę ogromna. Już chciałem zajrzeć, co kryje się w jej głębi, gdy z podstępnej jamy chlusnęła, niczym jakiś gejzer (tyle że z zepsutym termostatem), słona fala. Suchej nitki na nas nie zostawiła. Odskoczyliśmy na bezpieczną odległość.

– *Puffing hole*, powiadasz. – Solański przetarł twarz rękawem peleryny.

– Więcej tu tego – stwierdziła.

Moim skromnym zdaniem Szymon powinien podziękować Róży za uratowanie życia. Gdyby nie ona, wleciałby do dołu i tyle byśmy go widzieli. I kto by mi wtedy napełniał miskę co rano? Na szczęście zostałem zwolniony z rozstrzygania tej fundamentalnej kwestii.

Ominęliśmy przeszkodę i pojechaliśmy dalej. Wiatr wiał w plecy, więc musiało się im pedałowac całkiem przyjemnie. Jechaliśmy sobie bez celu, aż w końcu cel znalazł nas.

Ciary mi przebiegły po kręgosłupie. Przed nami, wśród targanych wichrem traw, wyrastały to tu, to tam nagrobki. Oczywiście Solański i Kwiatkowska siedli z rowerów. Wyciągnęli mnie z bezpiecznej przystani mojego wózecka. I skierowali nasze kroki ku cmentarzysku. Poczłapałem za nimi, bo już wolałem to, niż zostać sam na sam ze zjawami. Przecież w takim miejscu z pewnością czały się dusze tych wszystkich umarłaków, których tu pogrzebano.

Myślę, że gdyby architekt krajobrazu zobaczył, co się tu wyprawia, od razu by się postrzelił i ułożył obok rezydentów Teaghlach Einne, jak nazywało się to miejsce, podobno od imienia jakiegoś świętego.

Stawiano tu na różnorodność. Obok celtyckich krzyży (takich na tle koła) widać było te zwykłe, katolickie. Groby były rozrzucone wedle widzimisię jakiegoś bałaganiarza. A pośrodku tego całego rumowiska

w zagłębieniu tkwiły ruiny kościoła.

Oj, polski proboszcz zrobiłby z nimi szybko porządek. Trzeba by się było zrzucić na tacę – nie żadne tam co łaska, tylko poważne kwoty w banknotach od Władysława II Jagiełły w górę. I raz-dwa odbudowałoby się, co trzeba.

Ruszyliśmy na przechadzkę po tym królestwie chaosu. Kwiatkowska i Solański przystawali przed niektórymi nagrobkami i czytali stare inskrypcje. Często w języku gaelickim, więc ciekaw byłem, co z tego rozumieli.

Te nowsze mogiły nie były już takie stylowe jak ich celtyckie odpowiedniki. Pokryte lastrykiem płyty często przyozdabiano kiczowatymi sztucznymi kwiatami. A pod drucianymi siatkami rozpostartymi wokół grobów leżały poutykane tabliczki ze słowami pożegnania od zrozpaczonej rodziny. Pisali na przykład tak:

*My Love*

*I want to tell you something,*

*So there can be no doubt,*

*You're so wonderful to think of,*

*But so hard to do*

*Without.*

*R.I.P.*

Ta nagrobna poezja musiała nieźle wstrząsnąć moimi towarzyszami, bo stali przed mogiłą przyozdobioną wyżej wspomnianym wierszem i otwierali buzie tak, że wszelkie owady szukające schronienia przed deszczem mogły poczuć się zaproszone. Róża i Szymon szturchali się przy tym wzajemnie łokciami i spoglądali na siebie znacząco.

Doprawdy nie miałem pojęcia, co w nich wstąpiło. Dopóki nie spojrzałem na tabliczkę z napisem. Nazwisko pogrzebanego brzmiało nad wyraz swojsko.



Solańskiemu wydawało się, że zna już przynajmniej część prawdy. Choć niczego nie mógł udowodnić. Był przekonany, że do tych samych wniosków co on doszła wcześniej Walasek. I być może dlatego musiała zginąć.

Nie zważał na oblepiające go mokre ubranie. Poprosił Różę, by odstawiła rowery do szopy, a sam wbiegł na piętro B&B. Wiedział, że coś musieli pominąć. Wyjął z portfela wytrych i wszedł do pokoju Kasi. Starannie zamknął za sobą drzwi.

Przejrzeni tu już każdy zakamarek. Solański przemierzał teraz dwoma krokami swoich długich nóg cały pokój, po czym zawracał. Złościł się na samego siebie. Dlaczego tak trudno było mu rozwiązać tę sprawę? Czyżby już nie nadawał się do tej roboty? Może jego dawny przełożony, podkomisarz Matusiak, miał rację. Powinien dać sobie spokój i wreszcie wyjechać do sanatorium. Odpocząć, zregenerować się, nabrać dystansu.

Jego wzrok padł na półkę z książkami, które Kasia ustawiła, jak teraz dostrzegł, w porządku alfabetycznym, według nazwisk autorów. Solański wyciągał tom za tomem. Zaczął od *Martwego popołudnia* Mariusza Czubaja, przekartkował. Zajrzał za skrzydełka okładki. W *Kryminalistce* Joanny Jodełki znalazł firmową zakładkę Kawiarenki Kryminalnej. Poza tym nic. Żadnych notatek na karteluszki, czegokolwiek, co mogłoby rozjaśnić mu w głowie. Już zaczął tracić nadzieję, gdy w *Kogo kocham, kogo lubię* Marty Mizuro i Roberta Ostaszewskiego znalazł wreszcie to, czego szukał. List, który przynajmniej częściowo potwierdzał jego teorię.

Wyjrzał przez okno. Palmy w ogródku Kelly's B&B ugięły się pod naporem wiatru. Deszcz chłostał Władka Króla biegnącego w stronę przybudówki. Solański przeczytał krótką urzędową informację ponownie.

05 stycznia 2016

*Laboratorium Kryminalistyczne  
Komenda Główna Garda Síochána  
Phoenix Park  
Dublin 8  
Ms Katarzyna Walasek*

*Szanowna Pani!*

*Niestety na podstawie przesłanych przez Panią próbek nie jesteśmy w stanie stwierdzić ze stuprocentową pewnością zgodności DNA na materiałach. Informujemy, że nawet w przypadku dobrego stanu próbek porównawczych skala powodzenia testu w odpowiedniej kategorii wynosi zaledwie dwadzieścia pięć procent. Choć z przedstawionego przez Panią materiału numer 1 bez trudu pobraliśmy DNA, to przesłany przez Panią materiał numer 2 – ze względu na zbyt długi czas, jaki minął od powstania śladu – nie pozwala na wyodrębnienie kodu genetycznego.*

*Z przykrością więc zawiadamiamy, że nie możemy przeprowadzić badania porównawczego.*

*Z poważaniem  
sierżant David O’Leary*



– Dupa! – oświadczyła komórka Róży z pełną stanowczością.

Kwiatkowska przyjrzała się aparatowi z zadowoleniem. Zainstalowała w telefonie aplikację iTranslate Voice. Skłęta się w duchu za to, że wcześniej nie wpadła na tak genialny pomysł. Od tej pory zamierzała porozumiewać się z Irlandczykami tylko przez to cudo techniki.



Z innymi nacjami zresztą też, bo język można było w urzędzeniu łatwo zmienić.

Miało to wyglądać tak: Róża przemawia po polsku do komórki, a ta za pośrednictwem aplikacji tłumaczy wypowiedź Kwiatkowskiej na angielski. Róża już zacierała ręce na myśl o tym, czego dowie się od niej sierżant Murphy podczas seksu.

Teraz jednak Kwiatkowska używała telefonu w znacznie poważniejszych celach. Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę.

– Somár! – powiedziała do mikrofonu i znów usłyszała słowo na cztery litery.

Schowała komórkę do kieszeni bluzy. Zatrzasnęła wieko laptopa.

Wprawdzie Kwiatkowską wyrzucono z „Chorzowskich Nowin”, ale nie oznaczało to bynajmniej, że Róża pozbyła się hasła do elektronicznego archiwum gazety. „Chorzowskie Nowiny” były tygodnikiem lokalnym, skupiającym się głównie na problemach dziur w drogach i programach festynów parafialnych. Jednak kilka kolumn poświęcano zawsze wydarzeniom ogólnopolskim, a nawet światowym. Opublikowane w papierowym wydaniu artykuły zapisywano w wersji elektronicznej na serwerach redakcji. I właśnie na nie godzinę temu włamała się Róża.

Tknęło ją, gdy wracali z Solańskim z rowerowej przejażdżki. Mijali budynek mikroskopijnej siedziby banku, kiedy Róża najechała na wystający ze ścieżki głaz i spadła z roweru. Zaryła nosem w żwir. Podniosła się na klęczki. Wypluła z ust kilka drobnych kamyków. Obejrzała się na Gucia, który spokojnie siedział w wózek. Szymon zszedł ze swojej kobzy. Podał koleżance rękę i pomógł jej wstać. Kwiatkowska wytarła twarz. Nos napuchł jej i pulsował boleśnie. Obmacała go sobie ze znanym zawodowemu boksera.

I wtedy właśnie jej wzrok padł na fasadę banku. W głowie Róży przeskoczyły zapadki. Szare komórki zawrzały. Kwiatkowska

przypomniała sobie kilka szczegółów dotyczących jednego z mieszkańców Kelly's B&B. I wszystko złożyło się w spójną całość. Musiała jeszcze tylko coś sprawdzić, aby zyskać pewność.

Teraz wyszła ze swojego pokoju. Miała zamiar znaleźć bandziora. I przedstawić mu zarzuty.

– Piotr Dupa – rzekła do pleców mężczyzny siedzącego samotnie w pubie.

Ulokował się na miękkim skórzanym obiciu w jednej z łóż i popijał piwo wprost z butelki. Na dźwięk głosu Róży obrócił się gwałtownie.

– Mają tu kelta? – Kwiatkowska zerknęła na etykietkę widniejącą na ciemnobrązowej butelce.

– *Je ne comprrends pas* – odparł Pierre Dupy, wzruszając ramionami.

Ręka ześlizgnęła mu się ze spotniałej butelki. Piwo chlupnęło pianą na blat stolika.

– Daruj sobie – rzuciła Róża. – Rozumiesz mnie całkiem nieźle. Słowacki aż tak bardzo nie różni się od polskiego. – Popatrzyła na rozmówcę w zadumie. – W sumie nawet specjalnie barw narodowych nie musiałeś zmieniać, co? Nieźle to sobie wykombinowałeś – kontynuowała, przyglądając się, jak fałszywemu Francuzowi rzednie mina. – Peter Somár stał się Pierre'em Dupym. Somár – powiedziała jeszcze raz do swojej komórki, która posłusznie dokonała tłumaczenia na polski.

– Dupa – rzekł telefon namiętym głosem elektronicznej lektorki.

– Dupa, Dupy. – Kwiatkowska ciągnęła lingwistyczny wywód. – Sądziłeś, że nikt tego nie skojarzy? – zdziwiła się. – Faktycznie, Irlandczycy raczej by się nie zorientowali – odpowiedziała sama sobie. – Oni w większości nawet własnym językiem nie potrafią się poprawnie posługiwać, a co dopiero jakimiś tam słowiańskimi. To ja ci powiem, jak było – oznajmiła Róża. – Bo sam jakiś mało rozmowny się zrobiłeś.

Kwiatkowska zasiadła naprzeciw Pierre'a. Sięgnęła po jego kelta i łyknęła. Odbiło jej się głośno. Pierre patrzył na Różę szeroko otwartymi oczami. Jego dolna warga podrygiwała nerwowo. Dziennikarka opowiedziała mu historię, której elementy złożyła w całość dzięki prasowemu archiwum.

Róża długo zastanawiała się, po co Dupy'emu kosmetyki do makijażu. Farbowany żabojad wypierał się wprawdzie w żywe oczy, twierdząc, że nie należą do niego. Jednak Kwiatkowska ani przez chwilę mu nie wierzyła. Jej zdaniem z tym facetem coś było nie tak. Cholernie nie tak. Chodził zarośnięty niczym neandertalczyk, jakby pod warstwą kudłów próbował coś ukryć. Poza tym miesiącami mieszkał na odludziu, tłumacząc, że zwiedza okolicę. Róża poznała Inishmore w dwa dni i w zupełności jej to wystarczyło. Po co więc Pierre tkwił w tej dziurze, w której nie mógł liczyć nawet na przyzwoitą pogodę?

Druga kwestia, która rzuciła cień podejrzeń na Dupy'ego, dotyczyła języka. Pierre kaleczył francuski! Zapewne miał nadzieję, że i tak nikt tego nie zauważy. Wprawdzie mógł zwyczajnie nie grzeszyć inteligencją, ale Róża przyłapała go na kardynalnych błędach. A skoro wykryła je ona, która lekcje francuskiego pobierała dawno i nieprawda, coś było na rzeczy. Do Kwiatkowskiej dotarło też, że Dupy stanowczo zbyt wiele rozumie z jej rozmów z Solańskim. A od słowackiego do polskiego droga niedaleka.

Pierre coś ukrywał. Także w swoich wielkich walizkach. Nie bez powodu zabronił Kasi Walasek sprzątać w swoim pokoju. Gadanie o niedbałości pokojówki mógł sobie, zdaniem Róży, włożyć między irlandzkie legendy o świętych nawiedzających wyspy Aran. Już ona widziała faceta, który dobrowolnie pozbawia się wliczonej w cenę sprzątaczkę. Zbyt dobrze Kwiatkowska знаła męski podgatunek, by dać się nabrać na takie bajery. Pierre nie chciał, by Walasek odkryła, co przechowuje w swoich kufrach.

– Starczyłoby na pięciogwiazdkowy hotel, a nie to zatęchłe Bed and Breakfast – stwierdziła Róża, kładąc na stoliku plik banknotów, które wcześniej podprowadziła z pokoju Dupy’ego vel Somára.

Francuz w pierwszym odruchu rzucił się na forszę. Nakrył pieniądze rozczapierzonymi dłońmi. Szybko jednak cofnął ręce.

– *Je ne comprrends pas* – powtórzył, ale już z mniejszym przekonaniem.

– A ten dalej swoje – sapnęła Kwiatkowska. – Obłowiłeś się, że hej – pochwaliła. – Wystarczy ci do końca życia. Tylko co to za życie? W wiecznym ukryciu. Z ciągłym oglądaniem się za siebie. Choćbyś i uciekł na koniec świata, to jedno się nie zmieni. Odległość nic tu nie pomoże – pouczyła go.

Róża obserwowała rosnącą w oczach Pierre’a panikę. Bała się, że mężczyzna rzuci się teraz albo na nią – z jakimś dobytym z nogawki nożem – albo do ucieczki.

– To był parabank – powiedziała więc uspokajająco. – Taki wasz słowacki Amber Gold. Ja się tam nie znam na ekonomii, ale wiem jedno – zrobiła efektowną pauzę – to są niezłe skurwysynki. – Z zadowoleniem zauważyła, że kąciki ust Pierre’a uniosły się nieznacznie. – Mamią ludzi wysokim oprocentowaniem. Wyciągają od nich forszę. Klienci wpłacają zaskórniaki powyciągane ze skarpet i już ich nigdy więcej nie widzą.

Dupy powoli pokiwał głową.

– Ale parabank ubezpieczony był? – zagadnęła Kwiatkowska po chwili.

– Oddała klienty wszystko. – Pierre odezwał się łamaną polszczyzną. – Co do centyma.

Róża zaprezentowała uśmiech od ucha do ucha. Nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo.

– Parabank zamknięte – dodał Pierre.

– No, Piotruś – ucieszyła się. – Czyli przysłużyłeś się społeczeństwu. My mówimy w takich sytuacjach, że wilk syty i owca cała. – Poklepała

Słowaka po twarzy. – A potem załatwiłeś sobie lewe papiery, zmieniłeś wygląd i zwiąłeś z hajsem – dodała zimnym tonem. W oczach Pierre’a znów pojawił się strach. – I jakie miałeś plany? Na przyszłość?

– Statka na Ameryka Południowa – wymamrotał Somár. – Moja żona i córka w Peru już. – Słowak wyglądał, jakby miał się za chwilę rozpłakać. – Jak wiesz?

– Dzięki temu i owemu. – Róża się napuszyła. – Ale z tą dendrologią to już przesadziłeś.

– Czego? – zdziwił się Dupy.

– Powiedziałeś Solańskiemu, że przyjechałeś tu w celach turystyczno-naukowych. Że zajmujesz się dendrologią. A widziałeś tu jakieś drzewa? – Kwiatkowska machnęła ręką w kierunku okna. – Same skały i trawa. Najbliższe drzewo widziano kilka lat temu pod Dublinem – dworowała sobie. – A i to nie są potwierdzone informacje.

Przez twarz Pierre’a przebiegała cała feeria barw.

– *Deal* jest taki – oznajmiła.

I wyjaśniła Peterowi Somárowi, co go czeka w najbliższym czasie.



Postanowiłem złożyć skargę na Solańskiego do Europejskiego Trybunału Praw Psa w Strasburgerze, czy jak tam jemu było. Zamierzałem wyłuszczyć zasiadającym tam sędziom, iż nie po to mnie Bozia stworzyła takiego pięknego, puchatego, woniejącego kwieciem polnym, żeby mnie teraz Solański kąpał. Wbrew mej woli i naturze. Żeby on to jeszcze czynił w warunkach ludzkich, w jakimś spa czy innym jacuzzi, to może bym mu odpuścił z tym pozwem. Ale jeśli mnie wystawia na działanie lodowatego deszczu przez długie godziny, nie zważając na to, że sierść mi nasiąka i przykleja się do ciała, powodując liczne, a z pewnością nieuleczalne choroby, to to się nadaje do kryminału!

Plastikową płachtę wózcza w ostatecznym rozrachunku można było

o kant tyłka potłuc. Zmokłem na tej rowerowej przejażdżce tak, że równie dobrze mogłem sobie wskoczyć do oceanu i popływać. Efekt byłby taki sam. A po wszystkim nawet mnie nikt nie wytarł ręcznikiem do sucha i nie utulił w żalu. Tylko wszyscy (znaczy Solański i Kwiatkowska) zaraz polecili załatwiać swoje sprawy. Zostałem sam jak ten zbity pies.

W akcie zemsty poszedłem do naszego pokoju. Otworzyłem sobie łapą drzwi. Za pomocą zębisk i pazurów wytargałem spod łóżka do połowy załadowany wciąż czystymi ciuchami plecak Solańskiego. A następnie wysypałem cały ten chłam na podłogę i wytarzałem się w nim, aż miło. Z mściwą satysfakcją wyobrażałem sobie minę Szymona, gdy zobaczy swoje ukochane koszulki całe w mokrych kłakach, zaciekach z błota i psim aromacie.

Doszedł mnie jakiś rumor. Wyjrzałem na korytarz, bo znów się tam akcja rozgrywała bez mego udziału. Zobaczyłem uchylone drzwi do apartamentu Johna. Naturalną więc rzeczą kolejną wetknąłem w szparę nos i uruchomiłem radary. Moim oczom ukazał się obrazek zgoła dziwny.

Przy biurku siedział zgarbiony Smith. W jego ręku drżało wieczne pióro. Przed Johnem leżała sterta papierów. Resztki siwych włosów opadały dziadkowi na czoło. Nad Smithem stała, niczym ten Cerber, jego żona. Pomyślałem, że ja to się nigdy nie ożenię. Zresztą odkąd oprawca pogmerał mi skalpelem przy moim tym i owym, jakoś straciłem zainteresowanie płcią przeciwną. I bardzo dobrze, bo właśnie stałem się naocznym świadkiem sceny, która dowodziła, iż nie warto podpisywać na siebie wyroku dożywotniego mariażu.

– Podpisuj! – Aoife pukała w kartkę palcem zakończonym pomalowanym na czerwono szponem.

– Pozwolisz, że najpierw przeczytam – protestował John.

– Nie ufasz mi?! – Kelly aż się zapowietrzyła. – Jestem twoją żoną.

Tobie już niewiele czasu zostało, kochanie – zaszcebiotała, jakby ogłaszała nie wiadomo jak radosną nowinę. – To chyba naturalne, że muszę odziedziczyć cały twój majątek – mówiła powoli, z pozoru łagodnie, ale mnie nie zdołała oszukać. Napięcie wychodziło każdym porem jej skóry.

– Ufam, ufam. – John odłożył pióro. – Ale najpierw przeczytam – oznajmił. I zabrał się do lektury.

Widziałem, że Aoife najchętniej zdzieliłaby męża w czerep. Wgryzła się poźółkłymi zębami w swoje pazury i ruszyła w obchód wkoło biurka. Święty Einne, czy jak mu tam, dałby się wyprowadzić z równowagi, a co dopiero zwykły homo sapiens.

– Idź się napij herbaty, kochanie – poradził żonie John.

– Bo ty jakieś wypłaty z naszego konta robiłeś! – Aoife nie wytrzymała i w przerażeniu aż zasłoniła sobie usta ręką. – Nie zrozum mnie źle. – Zreflektowała się. – To twoje pieniądze. Możesz z nimi zrobić, co tylko zechcesz.

– Dziękuję za pozwolenie. – Smith skrzywił się w sarkastycznym grymasie.

– Ale może pomyliły ci się zera... – zasugerowała niezrażona Aoife. – Wiesz, w tym wieku wzrok już nie ten.

– Herbata! – warknął John z gwałtownością, o jaką w życiu bym nie podejrzewał tego dobrotliwego staruszka.

Aoife zacisnęła usta. Wybiegła z pokoju męża. Co i ja uczyniłem.

Schowałem się we własnych włościach. Z dołu dosłyszałem szloch pani Kelly. A potem trzaśnięcie drzwi wejściowych.



Odpowiedź czekała na Solańskiego bardzo blisko. Musiał ją tylko dostrzec.

Ubrał się w cudzą, za to suchą pelerynę, którą ściągnął z wieszaka

ustawionego w korytarzu B&B. Ruszył w kierunku fortu Dún Aengus. Szedł szybkim krokiem, nie przejmując się ulewą ani atakującymi go porywami wiatru. Przez jego głowę przelatywały miliony myśli. Zrozumiał wreszcie, dlaczego listy braci Koszyckich przywiodły Kasię Walasek na ten wyludniony kraniec Europy. Nie miał jednak pewności, czy znalazł mordercę. Możliwości wciąż było wiele.

Dotarł do krytego strzechą sklepu z pamiątkami. Przypomniawszy sobie, że to w tym miejscu widział ślady opon na żwirze i odciski butów sporych rozmiarów. Czy były to tropy pozostawione przez zabójcę? Czy przyjechał tu samochodem? Na przykład bussem O'Connora? Czy w takim razie to Pat był winny? A może morderca przyszedł pieszo? Kto nim tak naprawdę był?

Solański rozpoczął zmuszoną wędrówkę na szczyt fortu. Ślizgał się na mokrych kamieniach. Przeszywały go dreszcze. Tracił oddech. Jego kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Jeszcze niedawno chciał zacząć biegać. Jednak kiedy o poranku wyszedł na ulicę w starym dresie, który znalazł na strychu w domu matki, kolejno dochodził do wniosku, że: zaśnie, zamarznie albo umrze przez wyplucie płuc wprost na chodnik. Darował więc sobie te cyrki. Teraz pożałował swojej decyzji.

Wreszcie dotarł do celu. Od krawędzi klifu dzieliło go kilkadziesiąt metrów. Deszcz zalewał mu oczy. Wiatr chłostał go po całym ciele. Widoczność była fatalna. Tuż nad ziemią unosiła się mgła. Gdy wyciągnął przed siebie wyprostowaną rękę, z trudem mógł dostrzec koniuszki palców. W dole ryczał Atlantyck.

Solański szedł przed siebie, patrząc pod nogi. Zatrzymał się. Zdawało mu się, że przed nim ktoś stoi. W oddali, może na skraju klifu, tkwiła jakaś postać. Nie chciał jej przestraszyć. Najciszej, jak mógł, zbliżył się jeszcze odrobinę. Przesuwał się krok po kroku. Kobieta była odziana w pelerynę przeciwdeszczową, która okrywała jej bujne kształty. Kaptur



zsunął jej się z głowy. Włosy miała tak mokre, że trudno było określić ich kolor. Patrzyła przed siebie.

Solański wystraszył się, że zechce skoczyć. Był zbyt daleko, by interweniować. Podszedł jeszcze trochę. Teraz ją rozpoznał. Przynajmniej tak mu się zdawało. Plecami Siobhan wstrząsały spazmy płaczu. Peleryna lśniła od deszczu. Kelly opłakiwała swoją zmarłą przyjaciółkę.

Szymon speszony zawrócił.



Skoro mnie porzucono, postanowiłem znaleźć sobie nowych przyjaciół. Z moją uroczą mordką i maślanym spojrzeniem nie mogło to być aż takie trudne. „Na kogo wypadnie, na tego bęc” – pomyślałem. Trafiło na Władka.

Król siedział w barowej łoży. Przysiadłem się. Rodak sączył piwo, gapiąc się w ścianę z melancholijnym wyrazem twarzy.

– Piesio – oznajmił na mój widok i oparł opadającą głowę na dłoni. – Chodź do pana – zaproponował.

„Też mi spoufalanie się” – pomyślałem sobie. Uważałem, że nawet Solański nie powinien używać tego miana. Sam byłem sobie sterem, żeglarzem, okrętem i niepotrzebni mi byli żadni dyktatorzy.

Nadstawiłem uszu. Ludzie zazwyczaj gadają przy mnie, co im ślina na język przynosi, nawet przez ułamek sekundy nie podejrzewając, że ja to wszystko rejestruję i jestem w stanie wykorzystać przeciwko nim. I tym razem się nie zawiodłem.

– Dobry piesek – pochwalił mnie Król.

– Dobry pijak – odpowiedziałem szczeknięciem. Różnica między nami była taka, że ja go rozumiałem, a on mnie ni du-du.

– Panius ci zdradzi tajemnicę – oznajmił konfidencjonalnym szeptem.

Ucieszyłem się, bo tajemnice lubiłem bardziej nawet niż denta stix.

No i mi opowiedział historię, która stawiała na głowie nasze dotychczasowe ustalenia śledcze.

Tamtego dnia sztorm z godziny na godzinę przybierał na sile. W B&B światła migotały, zwiastując rychłą awarię prądu. Wszyscy niby wykonywali swoje zwyczajowe obowiązki (Sean pucował kufle, Siobhan smażyła coś w kuchni, Aoife się szarogęsiła, John oglądał klasery ze znaczkami w swoim gabinecie, Kasia ścieliła łóżka, Władek dłubał w nosie), ale szło im to jakoś niemrawo.

Prąd wysiadł wreszcie na dobre. Aoife ruszyła w obchód po swoich włościach. Zagrodziła drogę Kasi, która właśnie zniosła prześcieradła do prania. Kobiety stały w korytarzu, więc okupujący bar Władek widział całe zdarzenie tak dokładnie, jak tylko mógłby je widzieć podchmielony pan złota rączka.

Brudna pościel zwisała Kasi z ramienia. Dziewczyna popatrywała na szefową z mieszaniną strachu i obrzydzenia. Wygładziła wolną ręką służbowe wdzianko. Obcisłe czarne spodnie, falbaniasta czarna bluzka i opasający Kasię biały fartuszek przywodziły Władkowi na myśl lubieżne sceny z filmów, których żaden porządny pies by nie oglądał. Zatkanem uszy łapami, żeby nie słyszeć tych jego erotycznych wynurzeń.

Wreszcie wrócił do głównego wątku opowieści.

Aoife zapytała Kasię o Pierre'a Dupy'ego, którego nie widziała od samego rana. Dupy nie zszedł nawet na śniadanie. Walasek jednak już od pewnego czasu była zwolniona ze sprzątanego pokoju Francuza, więc nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie chlebodawczyni. Aoife wyszarpnęła prześcieradła z rąk Kasi, strzeliła nimi w kąt i kazała dziewczynie pójść za sobą.

Władek, jako że był wścibskim starym dziadem (to moja interpretacja, nie jego słowa), podążył za kobietami. Stał przy schodach i obserwował, co się dzieje na piętrze. Aoife załomotała do drzwi Pierre'a. Nikt jej jednak nie otworzył. Ponowiła próbę, po czym

wyciągnęła służbowy klucz i otworzyła sobie sama. Wyszła jednak szybko z pokoju i zbiegła na dół, potrącając zarówno Kasię, jak i wybałuszającego gały Władka. Mamrotała coś o sztormie, ulewie i śmiertelnym zagrożeniu.

Król podejrzewał, że Kelly nie martwi się wcale o Francuza, tylko rozważa, czy zaginięcie gościa hotelowego nie położy się cieniem na reputacji B&B. Turyści gotowi byli jeszcze pomyśleć, że to niebezpieczne miejsce, i wybrać się na urlop do Hiszpanii. Aoife musiałaby się pożegnać z zarobkiem. Druga leżąca na wątrobie Kelly kwestia, zdaniem Władka, dotyczyła tego, kto w razie ewentualnego zniknięcia Dupy'ego ureguluje jego rachunek. Tu był pies pogrzebany, jak to się nieładnie powiada. Pecunia non omlet.

Aoife zrobiła przegląd kurtek, które lokatorzy zwyczajowo odkładają na wieszak w korytarzu. Z inspekcji wynikło jej, że gdzieś zapodziała się ta należąca do Pierre'a. Niewiele myśląc, kazała Kasi szukać Dupy'ego na zewnątrz. Jakoś specjalnie nie przejęła się tym, że okropna pogoda może być niebezpieczna także dla panny Walasek. Wypchnęła ją z domu i kazała maszerować na Dún Aengus, ponieważ Francuz najczęściej tam wybierał się na swoje turystyczne eskapady.

– I nie wracaj bez niego! – rzuciła Aoife, zatrzaskując Kasi drzwi przed nosem.

Walasek zdążyła jeszcze tylko zarzucić na siebie swoją czerwoną kurtkę i zniknęła w deszczu.

– Więc mnie się tak widzi, drogi piesku – spoufalał się ze mną Król – że jędza wysłała tę biedaczkę do fortu specjalnie. Po to – zamilkł dla wzmocnienia efektu – żeby później ją zabić.

Władek nie miał jednak dowodów na swoją teorię. Nie miał też pojęcia, czy ktoś ruszył za Kasią. Nie wiedział, gdzie podziewała się reszta mieszkańców po wyjściu Walasek, bo zwyczajnie poszedł spać do swojej przybudówki.

A przynajmniej tak twierdził.

## Rozdział 8

*Here's to a long life and a merry one. A quick death and an easy one.*

*A pretty girl and an honest one. A cold pint and another one!*

*Wypijmy za długie i wesołe życie. Za szybką i łatwą śmierć.*

*Za piękną i szczerą dziewczynę. Za zimny kufel piwa.*

*I jeszcze jeden!*

Solańskiemu zdawało się, że od nieustającej ulewy w jego żyłach zamiast krwi płynie deszczówka. Zrzucił pelerynę i otrzepał się jak jego własny pies.

Wciąż miał przed oczami stojącą na skraju klifu Siobhan. Zanoszącą się spazmami szlochu.

Szymon miał ochotę coś rozwalić. Rąbać pięścią w ścianę. Do krwi. Aż pokruszy tynk i połamie sobie kłykcie.

Z głębi domu dochodziło dudnienie.

Pa-du! Pa-du!

Wwiercało się w mózg.

Pa-du! Pa-du!

Muzyka waliła coraz głośniejsze. Solański przytknął dłonie do uszu. Ruszył korytarzem. Przeszedł obok kuchni i skierował się na tyły. Dźwięki dobywały się z pokoju Siobhan. Drzwi lekko uchylono. Ktoś był w środku. Ktoś, kogo nie powinno tam być. Bo przecież Siobhan została na klifie.

Solański zamachnął się i kopnął drzwi z całej siły. Skrzydło otworzyło się z furgotem. Trzasnęło o coś w pokoju. Odskoczyło i palnęło Solańskiego w nos. Detektyw jęknął. Dotknął twarzy. Przedzierając się przez stosy walających się wszędzie ciuchów, wsunął się do pokoju.

Pa-du! Pa-du!

Czuł się tak, jakby ktoś próbował szpikulcem przebić mu bębenki.

Nagle dźwięki straciły na ostrości. Solański patrzył, ale nie widział. Otworzył buzię, jakby chciał coś powiedzieć. Zrezygnował jednak, pozostając z rozdziawionymi ustami. Gapił się na siedzącą po turecku Kelly. Kobieta darła na strzępy jakieś kartki. Tak była pochłonięta swym zajęciem, że nie zwróciła uwagi na detektywa.

– Ty? – spytał inteligentnie Solański. Siobhan podniosła na niego wzrok. – Tu? – jąkał się dalej. – Ty tu? Ty tu?! – zaciął się.

– Pa-du! Pa-du! – odpowiedziała mu muzyka dochodząca z migającego wygaszaczem ekranu laptopa.

– A kogo się spodziewałeś? – odparła Siobhan. – Matki Teresy? Z Kanady?

Pozbierała kawałeczki potarganych kartek. Szymon zrozumiał, że strzępki są skrawkami zdjęć. Różnokolorowe plamy pobłyskiwały w rękach Irlandki niczym rozsypane puzzle.

– Kalkuty – poprawił automatycznie. – Jak ty tu, to kto tam? – dopytywał się, machając ręką w kierunku drzwi. Gdzieś w głębi duszy zdawał sobie sprawę z tego, że wychodzi na idiotę. Niczego już nie rozumiał.

– Czego chcesz? – Siobhan przekrzykiwała muzykę, która właśnie weszła w fazę refrenu. To było nie do zniesienia nawet dla kogoś cierpiącego na niedosłuch.

– Ścisz to! – powiedział głos za plecami Solańskiego. – I przestań podkradać moje kalosze. Znów mi nogi przemokły przez ciebie.

Detektyw się obrócił. Zahaczył trampkami o wspomniane gumowce, które leżały u jego stóp. Przy okazji rozwiązał sobie sznurówkę. Nadepnął na nią. Szarpnął nogą i runął jak długi.

Spoczywając w tej jakże żalostnej pozycji, zdołał uświadomić sobie wiele ważnych rzeczy. Po pierwsze, osobą, która stała teraz w progu i domagała się wyłączenia łomotu, była Aoife Kelly. Gospodyni wciąż miała na sobie ociekającą wodą pelerynę. Tę samą, którą Szymon zobaczył rozdymaną wiatrem na brzegu Dún Aengus. Wtedy sądził, że zakrywa ona potężną sylwetkę Siobhan, a tymczasem to wichura spłatała mu figła. Pomylił osoby. Po chwili zastanowienia uznał jednak, że w tych koszmarnych warunkach pogodowych nie było to aż tak dziwne.

Aoife strzepnęła wodę z przylegających jej do czaszki włosów i z irytacją przestąpiła z nogi na nogę. Twarz wciąż miała mokrą. Od deszczu i od łez.

Za to Siobhan nie wyglądała w ogóle na zrozpaczoną. Minę miała raczej bezmyślną. W skupieniu kompletowała swoją układankę.

Solański nagle zrozumiał, dlaczego Aoife płakała na Dún Aengus. Bynajmniej nie nad Kasią Walasek.

Przyjrzał się porwanej fotografii, którą Siobhan układała na nowo w całość. Przedstawiała ona pannę Kelly i Seana. Choć tego drugiego z trudem można było rozpoznać, ponieważ jego postać pomazano czerwonym flamastrem i wielokrotnie przekłuto igłą, jak laleczkę wudu. Kolejna rzecz, którą właśnie pojął detektyw, sprawiła, że elementy układanki wskoczyły wreszcie na swoje miejsca.

No i były jeszcze gumowce. Te, na których Solański wciąż siedział. Kalosze zdobne w kolorowe kwiatki, które teraz ledwo wyzierały przez zaschnięte warstwy błota i drobnego żwirku. Ten ostatni poprzyklejał się wokół zelówek. Zelówek w rozmiarze, który bez trudu można było uznać za męski.

Na podeszwach butów Szymon zobaczył wzorki w kształcie rombów.



Mój pan się łaskawie odnalazł. Zdjął mokre ciuchy. Wybrał sobie z podłogi nowe, te mniej przeze mnie wygniecione. Otrzeptał mą zaczął sierść z koszulki z jakimś niemowlakiem pływającym w basenie za dolarem, pod którym widniał napis, że nieważne. Potem wyszedł bez słowa z pokoju, by po chwili wrócić, ciągnąc za sobą sierżanta Murphy'ego.

Stróż prawa opierał się, jak mógł. Solański był jednak nieugięty. Na pierwszy rzut oka Murphy wyglądał (i pachniał) jak pijany żul. Szymon i na to znalazł remedium. Wsadził głowę funkcjonariusza Gardy pod kran i odkręcił lodowatą wodę. Jak już zapewne wspominałem, wszelkimi ablucjami się brzydzę, więc zostawiłem ich w łazience sam na sam. Długo im tam zeszło. Dochodziły mnie tylko jakieś chlupoty przerywane zażartą dyskusją, której sens mi umykał. Może to dlatego, że zdrzemnąłem się w trakcie.

Zbudziłem się tylko na moment, gdy do pokoju, niczym taran, wparowała Róża i dołączyła do towarzystwa w wucecie. Zastanawiałem się, jak oni się tam w trójkę mieszczą. Na moje oko przynajmniej jedna sztuka musiała wleźć do wanny, żeby się wzajemnie nie zdeptali.

Gdy obrady zostały zakończone, wreszcie człekokształty zaczęły mówić z sensem.

– Idziemy na obiad – zaordynował Szymon.

Grzecznie ustawiliśmy się gęsiego i poczłapaliśmy za nim do pubu. Tylko sierżant Murphy ubrał się w pelerynę i wyszedł na dwór, nie racząc się nawet odmeldować.

Biorąc pod uwagę późne godziny popołudniowe oraz mrok zapadający za oknem, posiłek nazwałbym raczej obiadową kolacją. Nie zamierzałem jednak czepiać się detali, szczególnie że Różyczka już



podtykała mi pod nos kawałek kotleta.

Mlaskałem, rozglądając się po sali. Władek siedział w kącie, rzucając na boki podejrzliwe spojrzenia. Sean sterczał za barem. Aoife i Siobhan uwijały się między pubem a kuchnią, wciąż donosząc jakieś żarcie. Smith w ogóle nie zszedł na posiłek. Aoife z zaciętą miną zaniósła mu na górę wypełnioną po brzegi tacę. Ja bym na jego miejscu nie tknął niczego z rąk tego babona w obawie, że pewnikiem jest zatrute. Przecież ona już samym spojrzeniem infekowała potencjalną ofiarę jadem. Pat wszedł na salę ostatni i usiadł plecami do wszystkich. Rodzinna atmosfera w Kelly's B&B rodem z folderów reklamowych kwitła w najlepsze.

Odebrałem od Róży kolejny ochłap i doszedłem do wniosku, że brakuje mi tu jednego gagatka. Nigdzie mianowicie nie widziałem Francuzika.

Przy naszym stoliku biesiadnicy niemrawo dłubali widelcami w talerzach. Nie wiem, co tam uradzili w toalecie, ale musiało im to odebrać apetyt. Już ich chciałem spytać, czy mama nie uczyła, że nie wolno bawić się jedzeniem, ale napotkałem stalowe spojrzenie Solańskiego. Zrozumiałem, że sytuacja jest poważna. Mój pan coś knuł.

Aoife i Siobhan zaczęły zbierać puste talerze ze stołów. Szymon podniósł się z krzesła. Walnął się otwartą dłonią w udo. Strzeliło jak z bata. Musiało go zapiec, że ho, ho.

– Idziemy na spacer! – przemówił do mnie, stosując wersję dla głuchych. – Chodź, Gucio! Na spacer! – darł się dalej, a ja zanotowałem w myślach, aby zapisać się na lekcje aktorstwa w domu kultury. Poradzę mu to później. Uznałem, że jeśli ktoś da się nabrać na ten cyrk, który tu Solański odczynia, będzie to można uznać za cud. – Na spacer! – głądził dalej, o zgrozo, cmokając na mnie i pogwizdując. – Na Dún Aengus! Przyjrzymy się raz jeszcze miejscu zbrodni! – oświadczył ten mistrz blagi i kamuflażu. – Zanim przyjedzie Garda, którą poszedł wezwać sierżant

Murphy – plóttł, rozglądając się dookoła, by sprawdzić, czy do wszystkich dotarło jego przemówienie.

Osobiście byłem zdania, że Solański zasłużył sobie tym występem na Złotą Malinę. Choć przyznam, miał godną siebie konkurentkę w pogoni za hollywoodzką sławą.

– Ja z tobą! – wydarła się Róża.

Wstała, przewracając krzesło. Zarzuciła grzywą jak rasowa gwiazda filmowa. Albo koń.

– Nie trzeba! – kontynuował Solański. – Pójdziemy z Guciem sami. Będę mógł w spokoju pomyśleć. Bo chyba już wiem, kto jest mordercą! – oznajmił i gapił się na wszystkich po kolei, potakując sam sobie.

Z zażenowania schowałem się pod stołem i zakryłem oczy łapami. Toż to przedszkolne jasełka miały w sobie więcej finezji.

– To idziemy! – wrzeszczał Szymon, klepiąc się po nodze. Ruszyłem posłusznie za nim. Bałem się, że jeśli dalej będzie się tak bił, to nabawi się siniaków.

Detektyw okutał się w przeciwdeszczowe mantle. Z porcelanowego stojaka w kształcie kaloszy zaiwanił czyjś parasol. Ruszyliśmy w coraz szybciej zapadający mrok. Najpierw skierowaliśmy jednak swe kroki do przybudówki Króla. Ja zostałem na warcie, a Solański wszedł do środka, po czym wrócił po paru minutach z wypchaną kieszenią peleryny.

Jeśli coś tu się święciło, chciałem wiedzieć, co konkretnie. Ta trójca tajniaków ustaliła między sobą jakiś plan, a ja miałem w nim brać udział, tyle że w ciemno. Nie podobało mi się to ani trochę. Lecz, jako ten wierny pies, i tak towarzyszyłem Solańskiemu. Byłem pewny, że napyta sobie biedy. A wtedy kto mu pomoże, jeśli nie ja?

Po raz setny wleźliśmy na ten cholerny Dún Aengus. Postanowiłem sobie, że już nigdy w życiu nie będę zwiedzał. I że przeprowadzę się na Majorkę. Albo Saharę. Grunt, żeby nie padało.

Tym razem nie narażaliśmy życia. Obeszło się bez podchodzenia na skraj urwiska. Szymon umyślił sobie za to, że schowamy się za kamiennym murkiem, który wchodził w skład jednego z trzech kręgów pozostałych po starożytnym forcie. Przykucnęliśmy pod parasolem i co rusz wyglądaliśmy zza winkła, czy ktoś się nie zbliża.

Nie musieliśmy długo czekać. Już po jakichś dziesięciu minutach na ścieżce prowadzącej do fortu pojawiła się znajoma postać. Stanęła jak wryta i rozglądała się wokoło, najwyraźniej szukając nas. Wyskoczyliśmy więc z ukrycia, jak ten filip z konopi, i zaprezentowaliśmy się w całej krasie.

– Tu jesteście! – powiedziało to śledzące nas indywiduum.

– Niedługo będzie też policja – odezwał się Solański. – Gra skończona – rzucił popkulturowym banałem, a ja załamane łapy. Czy on naprawdę sądził, że bierze udział w jakimś kiepskim filmie klasy zet? – Wszystko już wiem – pochwalił się.

– Nic nie wiesz! – wyklócała się postać ukryta pod kapturem. Niebezpiecznie zmierzała ku krańcowi klifu. Głupi Szymon dreptał jej śladem, nie zdając sobie sprawy z tego, że to się może skończyć tylko katastrofą. Płatałem mu się u nóg, by dać mu do zrozumienia, że najlepiej by było, gdybyśmy zawrócili. Ale oczywiście mnie nie słuchał.

– Mam dowody – upierał się Solański.

– Nie rozumiesz! – W głosie posłyszałem nutkę hysterii. – To było przez... – Postać potknęła się i urwała w pół zdania.

– Przez przypadek – dokończył za nią Szymon.

– Więc wiesz?

– To nie zmienia faktów. – Stał nie tylko wyzierała ze spojrzenia mego pana, ale i pojawiła się w jego głosie. – Zginął człowiek. A ty jesteś morderczynią.

Wiatr zerwał kaptur z głowy kobiety. Spojrzała Solańskiemu prosto

w oczy. A potem rzuciła się na niego. Razem runęli ku skrajowi klifu.



Róży ni cholery nie podobał się plan, jaki w przypiływie nagłej komitywy uknuli Solański z Murphym. Czuła, że to się wszystko źle skończy. Nie było jednak czasu na drobiazgowy przygotowania. Trzeba było działać szybko. Szymon odczynił więc tę całą szopkę z głośnym wyprowadzeniem Gucia na spacer w nadziei, że zabójca podąży za nim.

Róża miała przykazane siedzieć w domu i czekać na odsiecz sprowadzoną przez sierżanta Murphy'ego. Kwiatkowska oznajmiła swojemu chłopakowi, że choćby nawet miał stracić pracę w Gardzie i do końca życia czyścić szalety miejskie na promenadzie w Galway, musi przekonać inspektora do przysłania posiłków na Inishmore. Sztorm dalej szalał, jednak bez porównania słabszy niż wtedy, gdy na wyspę przyplłynął Solański. Stróże prawa, choćby i byli leniwymi Irlandczykami, powinni się więc jakoś przeprawić przez zatokę.

Liam wybiegł łapać zasięg, a Róża przyczaiła się za kanapą w salonie. Stąd miała świetny widok na korytarz. Po jakichś dziesięciu minutach opatulona peleryną postać śmignęła w stronę wyjścia. Dziennikarka nie zamierzała dać się wykluczyć z *clou* imprezy. Włożyła swoją żółtą kurtkę i ruszyła w ślad za postacią w deszczowcu.

Brnęła przez ulewę. Gdyby jej się chciało wyciągać gołe dłonie z kieszeni na ten ziąb, toby się popukała w czoło na własną cześć. Na jaką cholereę wkładała tę kanarkową puchówkę, przyciągającą wzrok niczym boja ratunkowa, nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Wystarczy, że postać zatrzyma się, odwróci i poczeka, aż Róża znajdzie się w zasięgu jej wzroku, a nie będzie miała wątpliwości, kto za nią idzie.

Kwiatkowska skradała się najlepiej, jak potrafiła. Czyli nie najlepiej. Chowwała się za opustoszałe domki i kamienne murki okalające pastwiska. Wyglądała zza nich, by sprawdzić, czy obiekt oddalił się

na odległość pozwalającą na dalszą inwigilację. Co się Róża przy tym torze przeszkód następowała, co naklęła... Mogła jednak darować sobie te wysiłki.

Kobieta parła przed siebie, nie zwracając uwagi na nic ani na nikogo. W tym przyśpieszonym tempie dobiegły obie na szczyt fortu. Solańskiego jednak nigdzie nie było.

Róża skryła się za murkiem i obserwowała. Kobieta ruszyła przed siebie. Nagle tuż obok niej pojawił się Szymon wraz z Guciem. Coś tam do siebie mówili, jednak Kwiatkowska ze swojej kryjówki nie mogła dosłyszeć żadnych konkretnych słów.

A potem wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Babsztyl runął na Solańskiego całym swoim ciężarem. Poturlali się na skraj klifu.

Róża jednym susem przesadziła murek i wrzasnęła wniebogłosy.



– Zostaw go, ty krowo! – usłyszałem znajomy głos za plecami.

Nie wiedziałem, w którą stronę mam patrzeć. Przedemną Solański walczył na śmierć i życie z tym przeklętym babonem. Za mną rozsierdzona żółta kula w osobie Róży zbliżała się, wyrzucając z siebie najwymyślniejsze przekleństwa we wszystkich istniejących (bądź nie) językach świata. Zdezorientowany usiadłem i zawyłem w przestworza.

Kwiatkowska dopadła do szamoczącej się pary i wplątała swe potężne cielsko w stertę nóg, rąk i mokrych szmat. Próbowałem też się wtrącić, podgryzając wroga w kaptur. Przez makówkę przebiegła mi myśl, czyśmy tu wszyscy przypadkiem nie powariowali.

W dole huczał ocean. Ostre kamienie tylko czekały, by poszatkować nasze ciała na krwistą surówkę. A my sobie tu jakieś przepychanki urządzaliśmy w najmniej odpowiednim miejscu.

Trójca tłukła się na oślep u mych stóp, nie dochodząc do żadnej konkluzji. Już by się naprawdę zdecydowali. Oczywiście obiecana przez

sierzanta Murphy'ego odsiecz ani myślała nadciągnąć. Gołym okiem widać było, że te dwie niemoty, Solański i Kwiatkowska, dawały się pokonać jednej sztuce przeciwnika. Leżeli już na samym skraju klifu i jeszcze chwila, a wypłynęliby na nie tak znowu suchego przestwór oceanu.

Nie zdzierżyłem. Skoczyłem między nich. Złapałem zębiskami morderczynię za co popadło. I pociągnąłem. Tak się złożyło, że popadło akurat na nos. A wiadomo, że nikt nie lubi, jak się go szarpie kłami za kinol. Baba złapała się więc oburącz za twarz, uwalniając tym samym mych przyjaciół. Szymon opamiętał się pierwszy. Pomógł wstać Róży.

– Zostaw! – wydał mi władczo polecenie.

Nie wiem, co on sobie myślał. Przecież nie miałem w planach zżerać tego nosa. Posiadam wszakże kubki smakowe i gust kulinarny. Poza tym ludziny nie tykam z zasady. Nigdy nie wiadomo, na jakie ścierwo się trafi. Zwolniłem zatem ucisk i pozostawiłem jęczące babsko na pastwę mych towarzyszy.

Róża i Szymon przeciągnęli zakładniczkę na bezpieczną odległość od krawędzi urwiska. Z napuchniętej fioletowej gały ciekła jej krew, z oczu sączyły się łzy. Dla pewności związali jej ręce i nogi taśmą izolacyjną, którą Solański pożyczył od Władka Króla.

Szymon rozłożył porzucony pod kamiennym murkiem parasol i ustawił go nad swoją, Róży i moją głową. Kwiatkowska pogmerała w przepastnej kieszeni bluzy. Wydobyła z niej smartfona. Uruchomiła funkcję dyktafonu i podetknęła aparat pod usta spętanej u naszych stóp kobiety.

– No to teraz nam wszystko wyśpiewasz, Siobhan – oznajmiła.



Dzień morderstwa:

*Takiej zniewagi nawet w najgorszych nawiedzających ją nocą*

koszmarach się nie spodziewała. Tym boleśniej, gdy uświadamiała sobie, że jest już po trzydziestce. Wszystkie te dyrdymały o byciu singlem, korzystaniu z przygodnego seksu i cieszeniu się życiem były jej zdaniem jedną wielką bzdurą. Ogłupianiem ludzi, którzy w głębi duszy dobrze wiedzieli, czego chcą. A pragnęli bezpieczeństwa i stabilizacji. Pewności, że gdy obudzą się rano, będą mieli do kogo otworzyć usta, z kim iść do kina na nowego Jamesa Bonda. A przy rezerwacji wczasów na Kanarach będą mogli pełnoprawnie poprosić o sypialnię z podwójnym łóżkiem.

Siobhan nie była w tym względzie wyjątkiem. Też chciała tego wszystkiego. I już jej się nawet wydawało, że to zdobyła. Miała przecież Seana. Znała go jeszcze z czasów szkolnych. To on ją pierwszy pocałował. W tłumie, podczas parady na cześć Świętego Patryka, siedemnastego marca dwutysięcznego roku. To był piątek. Pamiętała jak dziś. Wprawdzie dała mu wtedy w pysk, ale zrobiła to bez przekonania. Poza tym wiadomo, że faceci są zdobywcami. Nie lubią, gdy im się podaje siebie na tacy.

Siobhan znała jeszcze cały szereg podobnych mądrości zaczerpniętych z tanich poradników pseudopsychologicznych, które kupowała na kopy w Easonie. Nie uchroniły jej jednak przed wielką katastrofą. A katastrofie tej było na imię zdrada.

Co roku w wakacje Siobhan miała nadzieję, że Gallagher wreszcie oświadczy jej się na plażach Teneryfy czy w innym romantycznym zakątku, gdzie ciągała go z uporem maniaka każdego sierpnia. Sean jednak zachowywał się, jakby nic nie rozumiał.

Siobhan chodziła z Gallagherem już od sześciu lat, kiedy ta drobna, przypominająca chłopca Polka pojawiła się w progach B&B w poszukiwaniu pracy.

Siobhan szybko zrozumiała, że Kasia Walasek jest tylko pretekstem. Prędzej czy później Sean i tak by ją rzucił. Wcale nie planował wspólnego życia, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Wręcz przeciwnie. Gdy tylko nadarzyła się okazja, przeskoczył z irlandzkiej koniczyny na polską malwę. Wychudzone dziewczę z Europy Środkowo-Wschodniej wydało mu się takie egzotyczne... Zupełnie oszalał na jej punkcie. Ogłuchł, ośleplł i cofnął się w rozwoju. Nie zauważał nawet, że nowa wybranka wcale nie odwzajemnia jego uczuć. Siobhan próbowała mu tłumaczyć, jak się sprawy mają, ale on nie słuchał. Krzyczał, że jest starą zazdrośnicą. I żeby mu dała spokój na wieki wieków. Amen.

„Mówisz, masz” – pomyślała. Uznała, że skoro Sean nie chce być z nią, to nie będzie z żadną. Siobhan Kelly nie zostawia się na lodzie. Na pastwę wścibskich pytań sąsiadów i znajomych. Na dociekania matki, co się stało i kiedy wnuki. Tak się po prostu nie robi.

Irlandka, gdy już sobie coś postanowiła, to doprowadzała sprawę do końca. A tu kwestia była nagląca. Bo Kelly nie mogła dłużej patrzeć na tę migdalącą się po kątach parę. Na tego judasza.

Do Kasi w sumie nic nie miała. Biedne dziewczę z dalekiego kraju przyjechało podcierać obce tyłki, żeby zarobić na lepsze jutro. Tak w zasadzie było jej nawet żal tej Polki. Ale Gallagherowi nie zamierzała wybaczyć. Najchętniej rozkwasiłaby jego fałszywą gębę na typowym arańskim murku. Tyle że nie chciała odpowiadać karnie za wymierzenie sprawiedliwości. Sąd z pewnością nie zrozumiałby kierujących nią motywów. Poszłaby za kraty na długie lata, a może i na zawsze. A gdyby nawet kiedyś wyszła z więzienia, byłaby tak stara, że nikt by już jej nie zechciał. Nie dla niej byłby marsz Mendelssohna i suknia ślubna à la Kate Middleton. Potrzebowała więc innego rozwiązania.



To musiało wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Rozważała różne opcje. Zaczęła nawet czytać Agathę Christie, by się podszkolić w kwestii trucizn. Mogłaby mu na przykład dodać arszeniku do piwa. Albo dosypać talu do obiadu. Tylko skąd miałaby wziąć te specyfiki? W Bootsie ich raczej nie sprzedawali. Doprawdy nie mogła się zdecydować, co począć.

I wtedy nadarzyła się okazja. Pomyślała, że grzechem byłoby z niej nie skorzystać. Smażyła właśnie w kuchni ziemniaczane placuszki hash browns, gdy kątem oka w korytarzu dostrzegła jakiś ruch. Ze skwierczącej patelni unosił się siwy dym, szczyptał ją w oczy i kręcił w nosie. Później więc, kiedy było już o wiele za późno, za swoją pomyłkę winiła te nieszczęsne przypalone placki.

W każdym razie przez zasłoną dymną zdołała jedynie zauważyć, że Sean wkłada swoją czerwoną kurtkę i wychodzi na dwór. Pogoda już od rana nikogo nie rozpieszczała. Lało, wiało, a z oddali pohukiwał sztorm. Siobhan pomyślała, że jeszcze raz przemówi Seanowi do rozsądku. A jeśli nie prośbą, to groźbą odzyska, co jej się przecież należało przez sześćoletnie zasiedzenie.

Wyłączyła piec. Wytarła zatłuszczone dłonie w kuchenną ścierkę z nadrukowanymi koniczynami. W locie chwyciła pelerynę i wybiegła za barmanem. Jego już jednak nigdzie nie było.

Woda lała się z nieba wartkim strumieniem, ograniczając widoczność do czubka nosa. Siobhan zawróciła do domu, zrzuciła trampki i pożyczyła od matki kalosze w kolorowe kwiatki. Zastanawiała się, dlaczego Sean wychodzi w taką pogodę. Doszła do wniosku, że pewnie umówił się na potajemną schadzkę ze swoją biedadziwczyną.

Siobhan lubiła myśleć, że Gallagher jest z Kasią z litości. Postanowiła wybić im z głowy te chore amory. Raz na zawsze.

Przyjrzała się ścieżce prowadzącej do drzwi wejściowych B&B. Deszcz obracał wszystko w niwecz, jednak w błocie można było jeszcze dostrzec odbicia podeszew. Siobhan poszła ich śladem.

Wyglądało na to, że Sean wybrał się w stronę fortu. Więc to tam się umawiali! Wyobraźnia Kelly pracowała na najwyższych obrotach. Już widziała, jak uprawiają seks na starożytnych skamielinach w rytm szumu oceanicznych fal. Chowają się za kamiennymi murkami i pewnie kręci ich świadomość, że w każdej chwili mogą zostać zauważeni przez jakiegoś zbłąkanego turystę. Choć akurat tego dnia żaden podróżny o zdrowych zmysłach nie wybrałby się na Dún Aengus.

Siobhan ruszyła przed siebie. Wściekłość wzbierała w niej z każdym krokiem. Pomyślała, że jeśli go teraz dorwie, nie ręczy za siebie.

Z trudem wdrapała się na szczyt fortu. Wprawdzie należała do klubu Weight Watchers, ale jej wysiłki, by stracić nieco na wadze, nie przynosiły efektu. Za bardzo lubiła hamburgery i czekoladowe shaki.

Sapała niczym zdezelowana lokomotywa. Podnosiła wysoko stopy, zapadające się w rozmiękłym od deszczu żwirze. Pot ściekał jej po twarzy, mieszając się z kroplami deszczu.

Zobaczyła go na brzegu klifu. Stał do niej tyłem. Wpatrywał się w horyzont. Jakby tam było cokolwiek do oglądania. Poły jego czerwonej kurtki rozwiewał wiatr. Kaptur co rusz zsuwał mu się z głowy, odsłaniając nierówno ostrzyżone kasztanowe włosy. Choć tak naprawdę przez zasłonę deszczu i własnych łez Siobhan nie mogła dostrzec szczegółów. Był sam. Pewnie czekał na Kasię.

Do tej pory myśl o tym, że mogłaby tego niewiernego dupka zetrzeć w pył, była dla Siobhan tylko pocieszeniem. Teraz pojawiła się możliwość, by słowo stało się ciałem.

*Zdecydowała się w ułamku sekundy. Nabrała rozpędu. Wyciągnęła przed siebie obie ręce. I z impetem natarła na Seana. W ostatniej chwili przymknęła oczy. Poczuła jego plecy pod palcami. Mokłą, śliską powierzchnię ortalionowej kurtki.*

*Nie spodziewał się ataku. Poszybował w przód, nie stawiając najmniejszego oporu. Jak kukła. Nie zdążył nawet krzyknąć.*

*Siobhan się zatrzymała. Nogi jej dygotały. Otworzyła oczy. Nie wyjrzała za brzeg klifu. Odwróciła się na pięcie i pobięła przed siebie.*



– Pomyliłam się! – Siobhan smarkała na przemian to w prawy, to w lewy rękaw, co było dość trudnym zadaniem, ponieważ ręce miała wciąż związane przed sobą taśmą izolacyjną.

Siedzieliśmy przebrani w suche ciuchy w pubie B&B i słuchaliśmy po raz drugi zwierzeń morderczynie. Róża wszystko skrzętnie nagrywała i już planowała reportaż, a może i książkę, która miała utorować jej drogę powrotną na dziennikarski piedestał.

– Jeszcze się w „Chorzowskich Nowinach” pokichają z zazdrości! – poinformowała nas, stukając utłuszczonym palcem w ekran swojego smartfona.

Nie zamierzaliśmy polemizować. Chętnie byśmy obejrzeni triumf Róży. A Solański to się nawet pod nosem uśmiechał, bo z tego wszystkiego wychodziło mu, tak jak i mnie, że Kwiatkowska porzuciła raz na zawsze pomysł smażenia kotletów w Super Burgerze i zamierzała wrócić na ojczyzny łono.

– Chciałaś mnie zabić?! – Zza kontuaru wynurzył się Sean i z przerażeniem patrzył na swoją byłą dziewczynę. Telepało nim, jakby właśnie wsadził pośliniony palec do kontaktu. Oczy miał jak spodki. Zęby mu szczękały. – Mnie? Zabić? – nie dowierzał. – Ale za co?

– Za co?! – obruszyła się Siobhan. – Kochałam cię, idioto! – zdobyła się na wyznanie. – Ale gdy mnie rzuciłeś dla tej polskiej lafiryndy, znieawidziałam cię. Miałam, przyznasz, powód.

– Ale żeby zabić?! – Gallagher strącił na podłogę firmowy kufel Guinnessa. Ten roztrzaskał się w drobny mak. Barman nie pofatygował się, by pozbierać szkło.

Pomyślałem, że przy tym tempie tłuczenia zastawy już dawno bym go zwolnił.

– Gdy odkryłam swoją pomyłkę – kontynuowała Siobhan, nie zważając na lamenty Seana – nie wiedziałam właściwie, co czuję. Z jednej strony szkoda mi było tej nieboraczki. Żeby tak zginąć przez przypadek! Z drugiej wkurzyłam się, że mi nie wyszło. Ale potem pomyślałam sobie, że to dobrze. Że skoro tak, to może otrzeźwiejesz i wrócisz do mnie.

Siobhan wypowiadała te brednie, a ja już się bałem, że sąd uzna ją za niepoczytalną. I Kelly wywinie się od kary. No bo żeby takie rzeczy opowiadać, trzeba mieć, moim skromnym zdaniem, pod czachą nie po kolei.

– Ale ty już mnie nie chciałeś. – Znów zaczęła wycierać nos w co popadło. – Mimo że Kasia nie żyła. Choć tak bardzo się starałam do niej upodobnić. A potem oni zaczęli węszyć. – Tu machnęła na Szymona, Różę i mnie. – Do końca miałam nadzieję, że się nie połapiecie, co naprawdę się wydarzyło – zwróciła się do Solańskiego. – I że uznacie to za nieszczęśliwy wypadek.

Szymon i Kwiatkowska nic już nie mówili. Bo i nie pozostawało nic do powiedzenia. Deszcz jakby z mniejszą zaciętością walił w okna pubu. I albo dałem się oszukać swojej zamię, albo na sekundę zza wielkiej burzowej chmury wyjrzało słońce. Ale pewnie byłem w błędzie.

Siobhan chlupała. Sean dreptał od prawa do lewa, chrobocząc przydeptywanym szkłem. I tak sobie siedzieliśmy, kontemplując chwilę

prawdy, gdy nagle wokół rozpętało się piekło.

Jako pierwszy do pubu wparował sierżant Murphy.

– Gdzie ten morderca?! – zakrzyknął z groźną miną.

„Oho – pomyślałem – rychło w czas.” Wlazłem na kanapę barowej łoży i usadowiłem się wygodnie. Czekał mnie nie lada spektakl.

Za Liamem do pomieszczenia wkroczyło trzech mundurowych. Jeden był starszy niż cała banda razem wzięta. Uznałem, że to musi być sławetny inspektor Taylor, choć nie raczył się nam przedstawić ani wylegitymować.

– Który to? – Murphy błędził zdeorientowanym wzrokiem po sali.

– Która – poprawiła go Róża.

– Co która? – chciał wiedzieć sierżant.

– Która, nie który – zdenerwowała się Kwiatkowska. – To morderczyni, nie morderca!

– Opowiadasz! – oburzył się Murphy, którego Solański najwyraźniej nie wtajemniczył dogłębnie w swoje podejrzenia co do tożsamości zabójcy.

– Sądysz, że kobieta nie jest w stanie zabić?! – wkurzyła się już nie na żarty Róża. – Mogę ci udowodnić, że jest inaczej! – Kwiatkowska zerwała się na równe nogi i podciągając rękawy do łokci, skierowała się wprost na funkcjonariusza Gardy, niczym rozjuszony byk.

Na szczęście wtrącił się Solański.

– Później sobie pogruchacie. – Złapał Różę za frak. Dostał jednak między żebra, aż wykrzywił swą nie tak znowu przystojną (przynajmniej w porównaniu z moją mordeczką) twarz. – Siobhan Kelly przyznała się do zamordowania Katarzyny Walasek – oznajmił oficjalnie. – Możemy panom udostępnić nagranie.

I na te właśnie słowa weszła Aoife, która chciała przygotować stoły na jutrzejsze śniadanie. Możecie sobie wyobrazić, co było dalej. Jak wrzeszczała, że to niemożliwe, że kłamstwo i mistyfikacja. Jak rzucała

się do gardeł Solańskiemu, policjantom, Róży i nawet mnie biednemu. Jak próbowała brać winę na siebie. Na przemian błagała i groziła. Wypadło to jednak w moich oczach dość teatralnie. Tak jakby Kelly już wcześniej znała prawdę. W każdym razie nic z tego nie mogło pomóc Siobhan, która siedziała przy barze z zaciętym wyrazem twarzy i wyglądała na zadowoloną. Wreszcie znalazła się w centrum uwagi.

Na odgłos szamotaniny przybiegli do baru Pat i Władek. Chcieli oczywiście wiedzieć, o co chodzi, i wtrącić swoje trzy grosze: „a nie mówiłem”, „ja to wiedziałem”, „trzeba było spytać mnie”, „mnie to nikt nie słuchał”. Minęło trochę czasu, zanim udało się opanować sytuację.

Wreszcie policjanci wraz z zakutą w kajdanki Siobhan mogli wsiąść w samochód i podjechać na lotnisko, gdzie już czekał na nich Gary w maszynie Aer Arann gotowej do odlotu na stały ląd.

Patrzyłem na to wszystko i zastanawiałem się nad kapryсами losu. Nad tym, jak to życiem kieruje przypadek. I śmiercią też.

Na kogo wypadnie, na tego bęc!



O tym, jak potoczyły się losy naszych znajomych z Inishmore, dowiedzieliśmy się długo po powrocie z wyprawy na Zieloną Wyspę. Zadzwonił do nas Władek Król i przeplotkował nam wszystkie newsy. Widocznie nie miał z kim pogadać albo tęsknił za ojczystą mową, bo pofatygował się, by znaleźć numer agencji detektywistycznej „Solan” w Internecie, i kazał się telefonistce łączyć na koszt odbiorcy.

Jeszcze tego samego wieczoru udaliśmy się do Albion Pubu, by w samotności przetrwać nad kufelkiem czerwonego książęcego (Solański) i wodą prosto z kranu (ja) zdobyte informacje. Za jedynych towarzyszy mieliśmy łysego właściciela baru i rudego dentystę, siedzącego jak zwykle w rogu. Przynajmniej tutaj wszystko było po staremu.

Nie zdziwiło mnie, że Sean Gallagher spakował manatki w jeden plecak, kupił bilet na koniec świata, czyli do Australii, i wsiadł w najbliższy samolot startujący z lotniska w Shannon. W kraju surferów, pośród piaszczystych plaż, lazurowych wód oceanu i rekinów, Sean chciał uporać się ze stratą. Miał nad czym myśleć. Jedna go chciała, ale on jej nie. On chciał drugą, ale ona jego nie. Pierwsza nie chciała, by on chciał tę drugą, i dlatego ją zabiła, tyle że przez przypadek. Życie bywa pogmatwane. Gallagher łudził się, że praca w pocie czoła przy zrywaniu owoców na australijskich plantacjach i zapoznanie kilku gorących *Aussies* przywróca mu równowagę.

– Skąd ty w ogóle dzwonisz? – zapytał Solański trajkoczącego Władka, bo w tle postyszał jakieś obce głosy. Nie był to ani angielski, ani gaelicki, ani nawet polski.

– Ja? – zdziwił się Król. – Jak to skąd? Z Hiszpanii, *baby!* – zakrzyknął uradowany.

Jak się okazało, władze irlandzkie stanowczo odmówiły Królowi dalszego wypłacania jakiegokolwiek zasiłku i poradziły mu z dobrego serca, by czym prędzej zabrał cztery litery i opuścił granice ich kraju.

– Powiedzieli, że inaczej mnie aresztują za oszustwa podatkowe – poskarżył się Szymonowi. – I za wyłudzenie świadczeń.

Irlandczycy kupili nawet Władkowi bilet lotniczy. Musiał tylko wskazać kierunek, w którym chciałby się udać. Następnie specjalnie przydzielona mu urzędniczka dopilnowała, by Król wszedł do samolotu tanich linii zmierzającego na Majorkę. Cała Irlandia odetchnęła z ulgą, gdy maszyna wzbiła się w powietrze z Władkiem Królem na pokładzie. Jednego pasożyta mniej.

– Tutaj mają całkiem niezłe benefity – poinformował Solańskiego Król. – A te laski! Chodzą tylko w bikini! Powinieneś przyjechać i zobaczyć to na własne oczy! – entuzjasmował się. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, zmienił temat. – A tak w ogóle to już wiem,

skąd ja go znam! – oznajmił.

– Kogo? – Solański ziewnął.

– Tego dziada. No, jak mu tam. Smitha.

Władek Król podzielił się nowinami, które pozwalały przypuszczać, że jednak nie jest z niego taki skończony pijus, na jakiego wygląda.



W tym samym mniej więcej czasie, gdy my sączyliśmy napoje wyskokowe w chorzowskim pubie, na wyspach Aran powoli zaczynał się już sezon turystyczny. Podróżni z całego świata zjeżdżali zobaczyć Inishmore, Inishmaan i Inisheer, trzech niezwykłych strażników zatoki Galway, broniących jej przed atakami Oceanu Atlantyckiego.

Turyści pakowali się pojedynczo lub grupami na promy w Rossaveal, by dostać się do Kilronan. Tam wsiadali do bryczek, wynajmowali rowery, szli pieszo bądź kupowali bilety na przejazd busikiem. Wszystko po to, by podziwiać piękno wysp.

Za kierownicą przerdzewiałego, z trudem trzymającego się w kupie busika siedział Pat O'Connor i w myślach dokonywał kalkulacji. Cyfry przelatywały mu przed oczami. Sumowały się i mnożyły. Zamieniały się w migoczące symbole euro. A on liczył, ile da się wydoić z tych wszystkich żądnych oglądania starych kamieni naiwniaków.

Kasował za bilety podwójną stawkę. Upychał do swojego rzęcha pasażerów nadliczbowych. Ubliżał międzynarodowej gawiedzi po gaelicku, tak by nikt się nie zorientował. Wmawiał podróżnym, że brak pasów bezpieczeństwa w jego pojeździe to nie defekt, a lokalny zwyczaj. Chował banknoty po kieszeniach i przeliczał euro na pinty piwa, które zamierzał wieczorem wysączyć w pubie.

Musiał się odkuć. Dość się najadł strachu przez tego detektywa z Polski. Ten tak węszył, że o mało nie wywęszył faktów, które mogły postawić Pata w niekorzystnym świetle.



Prawie zdradziły go ślady opon na żwirze. O'Connor rzeczywiście był pod fortem tuż przed śmiercią Kasi. Podjechał tam swoim busem. Chciał się zorientować, czy sztorm poczynił wielkie szkody w okolicy. Czy drogi są przejezdne. Minał nawet Polkę, gdy ta szła w stronę Dún Aengus, uginając się pod naporem wiatru. Pomachał do niej, zapraszając, by wsiadła do busa. Nie mógł pojąć, dlaczego wybrała się na przechadzkę w taką pogodę. Ale ona spławiła go kiwnięciem ręki. Przyśpieszyła. Pat zawrócił więc i odjechał.

A potem ten Solański zaczął drażnić. O'Connor przez przypadek o mało nie został podejrzany o morderstwo! Na domiar złego w jego busie znalazł się ten przeklęty wisiorek. Ta cała Walasek musiała go po prostu zgubić podczas którejś z przejazdów, on go podniósł i ukrył w schowku z zamiarem odsprzedania błyskotki, aż wreszcie o niej zapomniał na śmierć. Ale oczywiście w sądzie Pat mógłby sobie wsadzić takie tłumaczenia tam, gdzie światło nie dochodzi. Pewnie już w tych chorych polskich łbach Solańskiego i tej grubej Kwiatkowskiej majaczyła wizja mordercy i złodzieja biżuterii w jednym.

Na szczęście prawdziwy sprawca został odnaleziony. A on po tym całym stresie miał zamiar w trakcie sezonu zrekompensować sobie to i owo.

Zasiadł za kierownicą i jeszcze raz kontrolnie spojrzął przez ramię. Gdyby zorganizować konkurs na największą liczbę turystów w busie, O'Connor z pewnością zakasowałby konkurencję.

Pat włożył kluczyki do stacyjki. Przekręcił. Silnik kaszlnął. I zdechł. Pomimo licznych prób ponownego odpalenia maszyny O'Connor musiał się pogodzić ze smutną prawdą. Ten bus dalej nie pojedzie! Był też zmuszony oddać przeliczone już i upakowane po kieszeniach banknoty ich prawowitym właścicielom, a potem patrzeć, jak wsiadają do konkurencyjnych busików i znikają na drodze w głąb wyspy.

Pat walnął pięścią w kierownicę, uruchamiając klakson. A on, chyba

jako jedyny w całej tej kupie złomu, zadziałał. O'Connor pozwolił rzewnym łzom wściekłości spłynąć po policzkach.

Ten sezon musiał spisać na straty.



Gapiliśmy się w telewizor zawieszony nad barem w Albion Pubie, gdy John Smith spotykał się z notariuszem, który specjalnie na jego wezwanie przyjechał z Galway na Inishmore. Panowie zasiedli w zaciszu gabinetu Smitha i raczyli się herbatą z mlekiem z eleganckich filiżanek postawionych na blacie zabytkowego mahoniowego biurka.

Spotkanie nie trwało długo. Notariusz miał już swoje lata i zetknął się w zawodowej karierze z każdym niemal dziwactwem. Dlatego nawet dyspozycja starszego pana nie uprawiła go w zdumienie. Nie wnikał w zachcianki klientów. Oni płacili, on spełniał ich życzenia. Byleby wszystko przebiegało zgodnie z literą prawa.

Notariusz spisał na firmowym papierze nowy testament Johna Smitha, w którym ten wydziedziczał zarówno swoją żonę Aoife Kelly, jak i jej córkę Siobhan. W skrócie mówiąc, nie zostawił im ani centa. Nakazywał za to po swojej (rychłej już zapewne) śmierci cały swój (niemały) majątek (z jednym wyjątkiem, o którym później) przekazać pewnemu schronisku dla bezdomnych zwierząt, ulokowanemu w mieście o dziwnie brzmiącej nazwie.

– Czoroł – rzekł prawnik, przepisując literka po literce nazwę miejscowości leżącej gdzieś w południowej Polsce.

Notariusz nie za bardzo orientował się, gdzie leży ta cała Polska, a co dopiero jakiś Czoroł. Ale przecież z zasady nie dyskutował z życzeniami klientów, więc i tym razem nie zamierzał.

Ostatni punkt testamentu Johna Smitha zawierał zapis, na mocy którego znaczna kwota miała być przekazana na rachunek bankowy jakiegoś faceta. Jego imienia i nazwiska notariusz także nie potrafił

poprawnie wymówić. Tym razem nawet się nie starał. Zapamiętał tylko, że jego inicjały stanowiły dwie litery S. Prawnik pomyślał, że gdyby to jego obdarzono takim imieniem i nazwiskiem, pewnie zmieniłby tożsamość. Często musiał parafować morze dokumentów przy użyciu samych tylko inicjałów. A każdemu z jego pokolenia te dwie literki kojarzyły się jak najgorzej.

Pod testamentem, w miejscu przeznaczonym na podpis świadka, znalazło się nazwisko niejakiego Gary'ego Browna.



Aoife Kelly stała przed ceglanyimi zabudowaniami Dóchas Centre w Phibsboro w Dublinie. Było to jedno z dwóch więzień dla kobiet w Irlandii. Aoife zastanawiała się, jaki cynik nazwał to miejsce z gaelicka Centrum Nadziei. Choć ta ponoć umierała ostatnia. To by się nawet zgadzało.

Kelly zdawało się, że sama jest już martwa za życia. Jej jedyna córka była zabójczynią. Zamordowała koleżankę. Wprawdzie przez przypadek, ale to nie umniejszało ciężaru jej winy. Przecież i tak zamierzała kogoś zabić. Nie o tożsamość ofiary tu chodziło.

Kelly po raz enty rozważała, gdzie popełniła błąd. Czy w pogoni za pieniędzmi, za dzianym mężem, za utrzymaniem odpowiedniego poziomu życia zapomniała o wychowaniu swojej córki na przyzwoitego człowieka? A przynajmniej takiego, któremu nie wydaje się, że może decydować o życiu bądź śmierci innych?

Zachodziła w głowę, jak doszło do tego, że stoi tu, gdzie stoi. Na tym uprzątniętym chodniku przed otoczonym metalowym czarnym płotem budynkiem, którego sam widok powodował, że w jej żołądku coś rośło.

Córka Aoife tkwiła gdzieś tam w środku. Samotna pośród zgrai przestępczyń, wykolejonych dewiantek, które w każdej chwili mogły zaatakować Siobhan. Aoife oglądała nie tylko *Skazanych*

na *Shawshank*, ale i *Skazanego na śmierć*. Wiedziała więc o więzieniach tyle, ile trzeba, by uruchomić wyobraźnię. Ta zaś podpowiadała najgorsze sceny. I nie zmieniała tego świadomość, że akurat to więzienie różni się od typowych zakładów karnych. Że osadzone mieszkają tu w warunkach do złudzenia przypominających takie, jakie miałyby na wolności. To nie pocieszało Aoife ani odrobinę.

Kelly przyjechała do Dublina tylko na jeden dzień. Kupiła już bilet na wieczorny autobus Citylink z powrotem do Galway. Miała więc mało czasu, by porozmawiać z córką. I w zasadzie nie wiedziała, co powinna jej powiedzieć. Że czuje się nią zawiedziona? Czy że to ona jako matka zawiodła? Że nie ma pojęcia, co dalej? Że choć John zostawił jej B&B (samemu wcale nie zamierzając się wyprowadzić), to całkowicie pominął je w spadku, na który przecież od samego początku tej znajomości liczyła? Że wszystkie lata niańczenia dziadka poszły na marne?

Aoife szybko przekonała się, że ludzie może i lubią kryminały, ale tylko na kartach książek. Te życiowe wołą omijać szerokim łukiem. Tak jak teraz, po licznych artykułach w prasie krajowej i zagranicznej opisujących sprawę śmierci Kasi Walasek, omijali Kelly's B&B. Jakby nad domem ciążyła jakaś klątwa. Jak gdyby ona, Aoife, miała ich wszystkich wymordować, gdy tylko przekroczą próg pensjonatu. W rezultacie zaczynało jej brakować pieniędzy.

Jeśli nie chciała wylądować z córką w jednej celi, zamknięta za napad na bank, nie miała innego wyjścia. Musiała zatrudnić się tam, gdzie przyjmowali właściwie każdego, kto choć w minimalnym stopniu posługuje się językiem angielskim. Czyli w Super Burgerze. Mejsiur już wpisał ją do grafiku. W poniedziałek czekała ją pierwsza zmiana.

Nacisnęła guzik domofonu. Oparła czoło o zimny metal bramy. Kiedy usłyszała głos strażniczki, odwróciła się i odeszła.



Solański zamówił drugiego browara. Tępym wzrokiem wpatrywał się w wyśpiewującego swoje megahity Bono. Nie słyszał jednak, czy to było *One*, czy może *Sunday Bloody Sunday*, bo w odbiorniku telewizyjnym włączono opcję *mute*.

Minęło już wiele tygodni od zakończenia śledztwa, a on wciąż czuł się zupełnie wyzuty z emocji. Wprawdzie jego konto w banku zasilila spora sumka wpłacona tam, nawet z nawiązką, przez Czesława Koszyckiego, ale to i tak nie poprawiało Szymonowi humoru.

Wbrew jego oczekiwaniom Róża wcale nie wróciła z nim do Chorzowa. Uparła się, by zostać w Irlandii. Rzuciła pracę w Super Burgerze i przeniosła się z Inishmore do Galway. A tam, o dziwo, zatrudniono ją w Galway Bay FM.

Kwiatkowska co tydzień wchodziła na antenę radiową i prowadziła program dla irlandzkiej Polonii. Tutaj jej kiepski angielski nie stanowił problemu. Pracowała też podobno nad reportażem, o który, jak zapewniała, będą się biły najlepsze wydawnictwa w kraju. Wciąż umawiała się też z sierżantem Murphym, który po akcji na Inishmore awansował. Jakby wykrycie mordercy było jego zasługą.

Solański cieszył się sukcesem przyjaciółki, ale czuł się osamotniony. Przyjmował nudne zlecenia, polegające na śledzeniu niewiernych mężów czy fotografowaniu puszczalskich żon. Dostawał za to niezłą kasę.

Coraz rzadziej chodził na cmentarz do Joanny. Coraz mniej mu się chciało. Nic nie miało sensu. Męczył się w swoim własnym towarzystwie. Jedynie pies stanowił światełko w tunelu. Kiedy kładł swój umorusany kradzionym jogurtem pysk na kolanie Szymona i łypał na niego ciemnymi zażawionymi oczami, detektywa zaczynało coś drapać w gardle. Swędziało go pod powiekami, zaciskał szczęki

i uznawał, że może jednak warto. Jeszcze tydzień, miesiąc. Jakoś się przemęczy. Może wreszcie coś się odmieni. Na lepsze.

Poza tym miał jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Dopił piwo. Zsunął się z krzesła, do którego był przywiązany Gucio, i skierował się w stronę toalety. Znow się poparzył, bo cholerny kurek z ciepłą wodą zamontowano w Albionie na wzór brytyjski. Wyszedł z łazienki, trzaskając za sobą wściekle drzwiami.

Jednym tchem puścił wiązaną niezrozumiałych wyzwisk, gdy zobaczył, że ktoś zajął jego miejsce. W dodatku odpiął psa. Gucio szwendał się teraz po lokalu bez ograniczeń.

Nieznajoma postać siedziała do niego tyłem. Solański sunął w jej stronę, patrząc pod nogi i wymyślając naprędce, co zaraz powie intruzowi. Stanął nad nim i otworzył usta.

– Szymonek! – Róża ucieszyła się na widok jego zbaraniałej miny. – Wiedziałam, że tu cię znajdę.

Solański klapnął bezwładnie na krzesło ustawione naprzeciwko Róży. Miał jej tak wiele do powiedzenia, a nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Ale żeby tak psa przywiązywać do krzesła? – skarciła go Kwiatkowska. – Sumienia nie masz? – Pogłaskała Gucia, który władował jej się przednimi łapami na kolana.

Solański gapił się na Różę swymi stalowymi oczami. Jego przyjaciółka wyglądała jakoś inaczej. Był typowym facetem, więc miał kłopot z uchwyceniem, o co konkretnie chodzi. Czyżby Róża schudła? Zrobiła nową fryzurę? Profesjonalny makijaż? Włożyła dopasowane do jej figury modne ciuchy?

Pewnie to wszystko też, ale chodziło o coś więcej. Z Róży biło samozadowolenie. Ten błysk w oku. Te uniesione nieustająco kąciaki ust. Wyprostowane plecy.

Róża odgarnęła stylowo przyciętą grzywkę, opadającą na lewe oko.

I wtedy Solański to zobaczył. Na serdecznym palcu Róży tkwił złoty pierścionek. Szymon wybałuszył oczy i przyjrzał się tym dwóm dłoniom trzymającym serce w koronie, które zdobiły biżuterię.

Tego było za wiele. Czy Róża się zaręczyła? Tak ostentacyjnie? Jakaś odpustową błyskotką? Z tym sierżantem?

– *Heło!* – Kwiatkowska szturchnęła Solańskiego w bok. – Kontaktujesz? – Wyszczrzyła zęby.

– Przyjechałaś.

Solański już sam nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Co ona tu robi? Chce go zaprosić na ślub? Z tym matołem Murphym? Czy jej rozum odjęło? Będzie jej musiał wyjaśnić, dlaczego nie powinna tego robić. Popełniać największego błędu w życiu.

I że niby potem co? Zamieszka na tym irlandzkim wygwizdowie już na wieki wieków? I będzie tej pokrace rodzić dzieci w liczbie wystarczającej do stworzenia prywatnej drużyny piłkarskiej? Przecież oni tam nawet nie grali w futbol! Tylko wymachiwali kijami od mioteł. Harry'owie Potterowie, pożał się Boże!

– Zaraz wyjeżdżam – sprostowała Róża.

– Z powrotem? – Solański zmarkotniał. – Przecież tam psy dupami szczekają. – Ukrył twarz w rozłożonych dłoniach.

– A tu to niby wielki Hollywood – obruszyła się Kwiatkowska. – Zresztą nie wracam do Irlandii, jeśli o to ci chodzi.

– Nie? – Nadzieja aż zadławiła Solańskiego. – To dokąd jedziesz?

– Nie twój interes – rzuciła szybko Róża. – Mam dla ciebie prezent.

Kwiatkowska wyciągnęła z torebki opakowane w ozdobny papier zawiniątko. Solańskiemu znów serce stanęło. Paczka wydawała się zbyt duża jak na ślubne zaproszenie. Ale kto ich tam wie w tej Irlandii, jakie mają zwyczaje.

Szymon nie życzył sobie żadnego zaproszenia. Już chciał odmówić, kiedy Gucio dopadł do pakunku i zaczął skubać brzeg papieru. Chcąc nie

chcąc, Solański dobrał się do prezentu.

Trzymał w ręku książkę w twardej oprawie.

– Wydawnictwo Dolnośląskie – odczytał.

Na okładce widniało zdjęcie znajomych widoków. Zielone pastwiska poprzecinane kamiennymi murkami, pasące się owce o kolorowych zadach, a w tle połyskujący ocean. Nad fotografią umieszczono tytuł: *Zbrodnia nad urwiskiem* i nazwisko autorki.

– Wydałaś reportaż! – Solański po raz pierwszy od miesiąca uśmiechnął się szczerze.

Popatrzył na Różę. Pękała z dumy, choć starała się udawać, że to nic takiego.

– Gratulacje! Daj autograf! – Otworzył książkę na pierwszej stronie i pomacał się po kieszeni w poszukiwaniu długopisu. Spojrzał jeszcze raz na trzymany tom. W prawym dolnym rogu widniała krótka dedykacja: *Dla Szymona*. – Dla mnie? – Poczuł, że coś go dusi w gardle, a do oczu napływają łzy. No naprawdę, zbabiał już do reszty. Potrzebował nachlać się z kolegami, tak do trzeciego rzygania. Odzyskać nieco testosteronu. – A to nie dla Murphy’ego ta dedykacja? – chciał wiedzieć. – Co on na to?

– Oj, zamknij się – poradziła mu Róża. – Po pierwsze, dlaczego sądzisz, że jesteś jedynym Szymonem, jakiego znam?

– To nie dla mnie? – Solański już nic z tego nie rozumiał.

– A po drugie – kontynuowała Róża, napawając się jego głupią miną – nic mnie nie obchodzi, co na to czy też na cokolwiek innego Murphy.

– Nie? – Szymon ucieszył się, przytulając książkę do piersi.

– Słuchaj. – Róża zmieniła ton i temat. – Tak szybko zwinąłeś się z Inishmore, że ominęło cię sporo atrakcji.

– Jestem mniej więcej na bieżąco – odparł Solański. – Dzięki Władkowi.

Szymon, po długiej rozmowie z Johnem Smithem, postanowił nie



czekać ani dnia więcej na dokończenie postępowania irlandzkiej policji i z ulgą wrócił do domu. Róża więc zrelacjonowała mu teraz, jak się sprawy miały po jego wyjeździe.

Gdy tylko pogoda uspokoiła się jako tako, Garda zorganizowała akcję poszukiwawczą u podnóży Dún Aengus. Niestety, mimo udziału śmigłowca, płetwonurków i alpinistów, nie udało się odnaleźć ciała Katarzyny Walasek. Jedyne, na co natrafili, to strzępy czerwonej kurtki należącej do dziewczyny. Jednak po zbadaniu szczątkowych śladów, jakie mimo sztormu pozostały na miejscu zbrodni, i wzięwszy pod uwagę zeznania Siobhan Kelly, uznali Kasię nie za zaginioną, lecz za zmarłą.

– A co się stało z Pierre’em Dupym? – Szymon przypomniał sobie jedyny wątek, który umknął mu w toku śledztwa.

– Masz na myśli Piotrusia Somára?

– Kogo? – Solański nie rozumiał, o czym Róża mówi.

– Słowackiego złodzieja.

Zdaniem Szymona Róża nie powinna się już nazywać Kwiatkowska, tylko Wszechwiedząca. Właśnie na taką wyglądała, gdy z łaską wyjawiała detektywowi fakty, które sama odkryła, a o których on nie miał pojęcia.

Detektyw dowiedział się więc, że Peter Somár ukradł z bratysławskiego parabanku tonę forsy i uciekł z nią na kraniec Europy. Stamtąd miał nadzieję wyruszyć w podróż do Ameryki Południowej, gdzie już czekała na niego rodzina.

Do napadu przygotował się z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Nie zapomniał o najmniejszym szczególe, który teraz mógłby doprowadzić do niego policję. Rozentuzjzmowane media okrzyknęły ów napad skokiem stulecia. Pretensje do złodzieja miała firma ubezpieczeniowa, której polisę wykupił parabank. Społeczeństwo nie. W końcu Somár okradł instytucję finansową żerującą na biednych

ludziach, zmuszonych do zaciągania szybkich pożyczek i spłacania ich potem na skandalicznych warunkach. Ci, którzy trzymali fundusze w parabanku, odzyskali pieniądze od ubezpieczyciela, więc też nie rościli żadnych pretensji do Petera. Parabank również nie narzekał, bo go po prostu zamknięto. Tym sposobem większość była zadowolona.

Tylko policji Somár zagrał na nosie, bo nijak nie pozwalał się odnaleźć. Ale któż by się tam przejmował uczuciami gliniarzy?

– Gdzie on jest? – dopytywał się Solański. W odpowiedzi otrzymał tylko wzruszenie ramion. – Pozwoliłaś mu zbiec? – nie dowierzał. Róża najwyraźniej jednak uważała temat za zamknięty. – Gdzie on był w chwili morderstwa?

– To akurat mogę ci zdradzić – rzekła. – Poszedł w ustronne miejsce, żeby zadzwonić do żony.

Solańskiemu wystarczył jeden rzut oka na Kwiatkowską, aby przekonać się, że nie wydebi z niej ani słowa więcej na ten temat.

– No to dokąd wyjeżdżacie? – Szymon drażył sprawę, która interesowała go o wiele bardziej niż jakiś tam rabuś.

– My? – zdziwiła się Róża.

– Wy – potwierdził Szymon.

– Nie wiem, o jakim „wy” mówisz – ucięła. – Ja w każdym razie jadę tu. – Położyła przed Solańskim prospekt reklamowy.

Na kredowym papierze widniało zdjęcie jakiegoś ośrodka wczasowego zasłoniętego częściowo przez drzewa. Całą masę drzew. W tle połyskiwało w zachodzącym słońcu jezioro. A na górze wypisano: *Barlinek – wypoczynek jak w rajku.*

– O rajku... – rzekł Solański. – Jedziesz na wakacje! – Rozpromienił się, sam nie wiedząc czemu. – Mogę z tobą?

– Nie!

– A Murphy czemu nie jedzie? – Szymon nie potrafił odpuścić.

– Bo nie! – Róża walnęła pięścią w stół.

– To się nie zaręczyliście? – Detektyw wskazał pierścionek na palcu Kwiatkowskiej.

– Co? – Różę zatkało. – To? To jest *Claddagh ring*, matołku. Wyrób prosto z Galway. – Widząc minę Solańskiego, poczęła tłumaczyć dalej. – Serce symbolizuje miłość, dłonie przyjaźń, a korona wierność i uczciwość. Takie wartości. Obiło ci się o uszy?

– Mnie? – Szymon wyglądał na otumanionego. – To to nie jest pierścionek zaręczynowy?

– Tak sobie kupiłam, bo ładny – wyjaśniła. – A nie chciałbyś, żeby był zaręczynowy? – Kwiatkowska zadała podchwytliwe pytanie.

– Nie no, mógłby być – zapewnił Solański.

Ale jego mina mówiła coś zupełnie innego.



Tym razem zostałem z Różyczką w domu. Jak na dekadę życia biednego kundelka ze schroniska jedna podróż przez całą Europę i z powrotem w zupełności wystarczy. Poza tym Solański zamierzał skorzystać z usług linii lotniczych, a z tymi nie było mi po drodze.

Zasiadłem na kanapie w mieszkaniu Kwiatkowskiej i obserwowałem, jak Róża pakuje się do tego całego Barlinka, gdzie wybierała się w jakichś tajemniczych celach. Nawet mnie nie zdradziła, po co tam jedzie.

Opowiedziała mi za to, jaki los spotkał sierżanta Murphy’ego.

– Porzuciłam go w cholere! – oznajmiła. Róża jeszcze nigdy nikogo nie porzuciła. Dotąd, jeżeli ktoś tu był porzucany, to raczej ona. Dlatego czuła się dziwnie w nowej roli. Wyrzuty sumienia przeplatały się w jestestwie Róży z nowo odkrytą wewnętrzną siłą. – Przecież i tak nie jego kocham – zakończyła temat.

Nie musiałem pytać, kogo zatem darzy uczuciem. Z choinki nie spadłem. Wlazłem za to Kwiatkowskiej do walizki, coby jej pomóc

w ugniataniu ubrań, bo się za nic nie chciały zmieścić.

Usłyszeliśmy hałas dochodzący z klatki schodowej. Solański wszedł do mieszkania Róży z reklamówką pełną pobrękujących guinnessów. Rzuciłem się witać pana powracającego z powtórnej wyprawy na Inishmore. Kwiatkowska sięgnęła po wiszący na ścianie otwieracz do butelek. Cmoknęło dwa razy. Szymon pociągnął łyk i rozpoczął opowieść.

Parę dni temu Solański zaparkował swoją szarą skodę przed bramą na Roosevelta pod numerem ósmym. Była czwarta nad ranem. Mimo wczesnej pory, nim zdążył nacisnąć guzik domofonu, furtka zabrzęczała. Czesław Koszycki czekał w progu. Był już ubrany w odprasowany garnitur. Tym razem nie mierzył do detektywa z flinty. Zamiast niej dzierżył w ręku mały bagaż podręczny. Solański bez słowa odebrał walizkę od Koszyckiego i poprowadził go do samochodu. Pędzili przez opustoszałe ulice, nie odzywając się do siebie. Po półgodzinie byli w Pyrzowicach.

Samolot tanich linii lotniczych startował o tej nieboskiej godzinie, kiedy jeszcze nawet ptaki spały. Jednak ani Koszyckiego, ani Solańskiego nie morzył sen. Usadowili się na swoich miejscach pośród ryczących niemowlaków, podchmielonych Irlandczyków i przemęczonych urlopem w ojczyźnie rodaków. Zapięli pasy. Szymon obawiał się tego, jak Czesław zniesie lot. W jego wieku takie podróże były już niewskazane. Koszycki jednak uznał, że choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi, polecą na Zieloną Wyspę. W odwiedziny do kogoś, kto wcale na ten przyjazd nie czekał.

Stanęli w progu piętrowego domu z mansardowymi oknami. Oczekali chwilę, zanim Czesław odważył się nacisnąć dzwonek.

Tym razem przeprawa przez zatokę Galway była czystą przyjemnością. Ocean okazał się dla nich łaskawy. W porcie w Kilronan czekał już samochód, za kierownicą którego siedział Gary. Nie tylko pilotował

samoloty, był też niezłym rajdowcem.

Kelly's B&B wyglądało na bardziej opustoszałe teraz, w sezonie, niż w zimowe sztormowe dni, gdy jedynym gościem wynajmującym tu pokój z własnej woli był pewien słowacki złodziej. Okna na parterze znaczyły smugi brudu, firanki poszarzały. Trawnika nie koszone tu chyba od zeszłego sezonu, a ze skrzydła drzwiowego odchodziły płaty złuszczonej farby.

Wreszcie Koszycki zawisł na dzwonku. Czekali długo w milczeniu. Ze środka posłyszeli ciche odgłosy kroków zbliżających się do drzwi. W końcu uchyliły się na szerokość kilku centymetrów. W szparze pojawiła się znaczona plamami wątrobowymi głowa z rzadkimi kępkami siwych włosów sterczących w nieładzie. Szymon zobaczył w oczach Johna błysk.

– To ty! – powiedział dziadek.

Czesław Koszycki stanął twarzą w twarz z Johnem Smithem. Długo patrzyli sobie w oczy. W jednakowe oczy. Jak to często u braci bywa.



– A tak w ogóle to już wiem, skąd ja go znam! – usłyszeliśmy głos Władka Króla po drugiej stronie słuchawki.

– Kogo? – Solański ziewnął.

– Tego dziada. No, jak mu tam. Smitha.

– Kamila Koszyckiego – poprawił Szymon, który do tej pory ukrywał przede mną te rewelacje. Śledztwo przybrało nieoczekiwany obrót.

– Właśnie! W jednej mojej wojennej książce widziałem jego zdjęcie.

– Książce? – nie dowierzał detektyw.

– Bzdur to nie czytam – przyznał szczerze Król. – Ale o wojnie to wszystko! I ta akurat była o polskich dywizjonach lotniczych w Wielkiej Brytanii w czasie drugiej wojny światowej – rzekł. – I ten cały Koszycki tam był na fotografii. O wiele młodszy, ale jak w pysk to był on.

Siedział na skrzydle samolotu. Niezła maszyna. Dlatego sobie go zapamiętałem. To jak, dojedziesz do mnie? – Nagle stracił zainteresowanie historią. – Weź przywieź rodakowi trochę kiełbasy śląskiej, czyściochy jakiej, z wagon fajek, bo tu drogie...

Solański rozłączył się i poprzysiągł sobie, że zmieni numer telefonu.



– Czesław Koszycki to brat Johna Smitha? – upewniła się Róża, upychając ostatnie części garderoby w wielkiej walizce na kółkach.

Kwiatkowska potrzebowała wyjaśnień, bo do tej pory niezbyt drobiazgowo śledziła meandry prowadzonego przez Szymona śledztwa. Bardziej pochłaniały ją zawirowania w jej własnym życiu uczuciowym.

Solański tymczasem siedział, wymęczony daleką podróżą, na jej kanapie i głaskał Gucia po nadstawianym łbie.

– A John Smith to Kamil Koszycki? – Kłapa walizki odstawała, więc Róża na niej usiadła. – Spreparował samobójstwo, żeby brat mógł dostać po nim spadek? – Każde zdanie Kwiatkowskiej stanowiło wielki znak zapytania. A naprawdę była wściekła. Gdyby знаła zakończenie tej historii, nie śpieszyłaby się tak bardzo z publikacją reportażu. Z rewelacjami, które Solański przywiózł z Inishmore, jej tekst byłby jeszcze lepszy. – Bo miał wyrzuty sumienia, że przez niego zginęła córka Koszyckiego i jej mąż?

– I że przez całe życie Czesław miał gorzej od niego – uzupełnił Solański. – Upozorował więc własną śmierć. Rzekomo został pochowany na cmentarzu katolickim Świętej Mary w Londynie. Ale kiedy Kasia była na praktykach w Anglii i poszła tam, by odszukać grób Kamila, niczego nie znalazła.

– A! – ryknęła Róża. – Stąd ta Mary! – przypomniała sobie. – To o to chodziło w tej notatce. A te jakieś literki i cyferki to pewnie miał być adres kwatery w nekropolii.

– Kamil oddał bratu większą część swojego majątku – kontynuował Solański. – Sobie zostawił tyle, by żyć w miarę przyzwoicie. A dom w Londynie, który potem sprzedali, przepisał na Jacka Bieleckiego. Dzięki spadkowi Czesław mógł sobie kupić willę na Roosevelta. Zresztą kiedy po latach Kasia wreszcie odnalazła Kamila, jej też dał pieniądze. Te, które znaleźliśmy w skrytce pod podłogą. Pewnie uważał, że wciąż jest coś winien swojej polskiej rodzinie. Błagał, żeby nie wyjawiała prawdy Czesławowi. Bał się, że go to zabije.

– No ale jak to się potoczyło? – chciała wiedzieć Kwiatkowska.

– Po swojej rzekomej śmierci Kamil zmienił nazwisko i przeniósł się wraz z kochankiem na największe zadupie Europy, czyli na wyspy Aran.

– Kochankiem! – wrzasnęła Róża, podskakując na walizce, bo ta za cholerę nie chciała się dopiąć.

– Z Jackiem Bieleckim – potwierdził Solański.

– Tym z nagrobka z wierszykiem – przypomniała sobie Róża.

– To ten sam. Od niego właśnie Koszycki dostał list z załączonym ostatnim pożegnaniem Kamila.

– Sprytnie – pochwaliła Kwiatkowska i kopnęła swój bagaż.

– Ale Bieleckiemu się zmarło. Już na Inishmore. Dlatego Koszycki, który zmienił nazwisko na najbardziej chyba pospolite, czyli Smith, żeby nie czuć się samotnie, związał się z Aoife i przysposobił Siobhan. Dotąd wraz z Bieleckim uchodzili na wyspie za dwóch starych kawalerów, przyjaciół z dzieciństwa, którzy na starość zamieszkali razem, by zaoszczędzić na rachunkach. Swoją drogą wydaje mi się, że Aoife wreszcie odkryła prawdziwe preferencje męża. Dlatego pewnego dnia tak na niego wrzeszczała, że aż się B&B trzęsło w posadach. Pamiętasz?

– Czekaj, czekaj – zastanowiła się Róża. – Bo coś mi świta. Z tym Smithem. – Podrapała się w głowę. – Czy ja o nim już gdzieś... coś... – zająknęła się. – Taki kolo z brodą na drwala. Ten od Pocahontas! – Olśniło ją.

Solański popatrzył na Kwiatkowską z uznaniem. Jednak miała oko do szczegółów. Rycina przedstawiająca amerykańskiego odkrywcę, który w siedemnastym wieku zakładał w Ameryce Północnej Nową Anglię, wisiała w apartamencie Johna. Obok zarośniętego jegomościa stała dziewczyna z warkoczami, dzięki wstawiennictwu której Smith nie zginął z rąk Indian. Dziewczyna, o której w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku Disney nakręcił kreskówkę. Jednym słowem – Pocahontas.

Solański był taki mądry, bo sobie o historycznych szczegółach poczytał w Wikipedii.

– Kamil nie wiedział, że trafił na łowczynię majątków. Ale jakoś dawał sobie radę z Irlandkami. Aż na Inishmore przyjechała Kasia w poszukiwaniu rzekomo zmarłego dziadko-wujka.

– Skąd wiedziała, że on żyje? – zastanawiała się Róża.

– Przeczytała listy. Pogrzebała w Internecie. A potem pojechała na te praktyki do Londynu. I nie znalazła grobu Kamila na cmentarzu opisanym przez Bieleckiego. Zaczęła żmudne poszukiwania. Na przykład na stronach poświęconych genealogii. Kamilowi też najwyraźniej cknęło się za rodziną, bo na portalu *My Heritage* założył profil. Wpisał tam dane swoje i brata, nie zdając sobie pewnie sprawy z tego, że każdy będzie mógł zaznajomić się z tymi informacjami. Właściwie to i tak cud, że w swoim wieku Koszycki korzystał z Internetu... No i jako obecny adres zamieszkania Kamil podał nazwę wyspy Inishmore. Sama sprawdź. Ta strona dalej istnieje – dodał Szymon. – Kasia mogła też skojarzyć z listów, że Koszycki myślał o zmianie nazwiska na bardziej angielskie, bo jego nikt na Wyspach nie potrafił wymówić. No a jakie jest najbardziej popularne angielskie nazwisko?

– Smith? – Róża uporowała się już z walizką i usiadła na niej okrakiem.

– John Smith to taki nasz Jan Kowalski. A do tego Kamila, matka Kasi, wspominała z ich wyjazdu z Zenkiem do Anglii, że w mieszkaniu wujka



pełno było rozwieszonych podróźniczych grafik.

– Pewnie z Johnem Smithem, tym od Pocahontas?

– Bingo! Potem pozostało Kasi już tylko połączyć Johna Smitha z Kamilem Koszyckim z Inishmore, który zarejestrował się na *My Heritage*.

– W zasadzie wszystko miała podane na tacy – zauważyła Róża.

– Mogła też przypomnieć sobie – pewnie wielokrotnie opowiadane przez Czesława – historie o tym, jak Kamil zabrał ją, jeszcze taką malutką, razem z rodzicami na rejs połączony z obserwowaniem delfinów na zachodzie Irlandii. Dokładnego adresu nie mogła jednak znać. Zdaje się, że pomógł jej przypadek. Pracę na Zielonej Wyspie Kasia załatwiła sobie przez agencję pośrednictwa. Na Inishmore, tyle że w Kilronan. Kiedy przyjechała na miejsce, okazało się, że posada jest już zajęta. Zaczęła więc szukać innej.

– I trafiła na Kelly's B&B. – Róża spoglądała nerwowo na zegarek.

– Pomyśl, jak musiała się ucieszyć, gdy odkryła, że gospodarz nazywa się John Smith. Pewność zyskała, gdy przyszła posprzątać jego apartament. Na ścianie wisiała oprawiona odznaka Dywizjonu 307 „Lwowskich Puchaczy”, w którym służył Kamil Koszycki. Sowa siedząca na samolocie.

– A potem do akcji wkroczyła ta zazdrosna cholera, Siobhan – zezłościła się Róża.

– I Kasia zginęła zupełnie niepotrzebnie – dokończył Solański. – Kiedy rozmawiałem z Siobhan na początku śledztwa, powiedziała mi, że nie rozumie, jak do tego doszło. Sądziłem, że po prostu dziwi się, jak ktoś mógł zamordować jej przyjaciółkę. A tymczasem ona nie pojmowała, jak mogła się pomylić. Zepchnąć Kasię zamiast Seana.

– Przypadek – rzekła Róża i na dźwięk klaksonu dobiegającego z ulicy zerwała się na równe nogi. – To na razie – rzekła.

– Po co jedziesz do Barlinka? – wołał za Kwiatkowską Solański, stojąc

w progu jej mieszkania.

– *Póg mo thóin* – usłyszał z parteru.

– Co to znaczy?!

– Pocałuj mnie – odpowiedziała Róża. – W cztery litery – dokończyła z krzywym uśmiechem.

I już jej nie było.

Szymon przeżywał swego rodzaju *déjà vu*. Już raz tak stał pod drzwiami Kwiatkowskiej i patrzył, jak ta pakuje się z walizką do taksówki. I odjeżdża w nieznane. Wtedy jednak, dobre pół roku temu, rozstawali się z Różą w minorowych nastrojach. Teraz Solański czuł, że nie jest źle.

Co więcej, przypuszczał, że może być tylko lepiej.



Trudno było się przebić przez gęste powietrze, które wręcz stało tego upalnego poranka. Osa zapyliła malwę rosnącą na grządce tuż przy śnieżnobiałej elewacji willi. Niemrawo wzbiła się do lotu. Bzycząc, zrobiła rundkę nad wymagającym skoszenia trawnikiem. W ostatniej chwili wyminęła kurę, która usadowiła się z koleżankami na środku ogrodu i skubała liście wawrzynu.

Osa zawróciła w stronę domu i wiedziona słodkim zapachem, wleciała przez otwarte na oścież okno do pokoju na parterze. Drożdżowe ciasto z truskawkami, pokrojone na spore kawałki, leżało na talerzu, który postawiono na pokrytym dzierganym obrusem stole. Owad przysiadł na kruszonce i oddał się spożywaniu tych niespodziewanych delicji. Nie zwrócił więc uwagi na to, co działo się tuż obok.

– Melduję sto! – powiedział staruszek. Rzucił na stół damę kier i łypnął na stos banknotów wrzuconych do puli.

– Niech cię szlag! – zaśmiał się równie wiekowy mężczyzna siedzący

naprzeciwno. – Po tylu latach wciąż mnie ogrywasz. – Z kieszeni wyciągnął bawełnianą chusteczkę i przetarł pot z czoła. – Odwykłem od takich tropików – poskarżył się.

– Nie zrzucaj winy na pogodę – rzekł ten pierwszy i wstał od stołu. – Przyniosę coś do picia.

Osa z trudem oderwała się od słodkości. Przefrunęła tam i z powrotem. Wreszcie spoczęła na łysinie dziadka, który położył głowę na blacie stołu. Z jego na wpół otwartych ust ściekała ślina. Wprost na damę kier.

Gdy Czesław Koszycki wrócił z kuchni, niosąc dzbanek wypełniony wodą z lodem i cytryną, jego brat już nie oddychał. Naczynie wyślizgnęło się staruszkowi z ręki i roztrzaskało na podłodze. Osa wyfrunęła do ogrodu.

## PODZIĘKOWANIA

Praca pisarza to z pozoru zajęcie dla odludka, który w pojedynkę walczy z literacką materią. Z pozoru...

Tak naprawdę w powstaniu książki biorą udział zastępy ludzi, którzy swoją życzliwością, profesjonalizmem czy dobrą radą przyczyniają się do finalnego efektu, jakim jest powieść, którą właśnie trzymają Państwo w rękach.

Druga część przygód Szymona Solańskiego, Gucia i Róży Kwiatkowskiej nie powstałaby, gdyby nie wsparcie mojego niezastąpionego męża Damiana. Dobrze mieć u boku kogoś, kto wierzy we mnie bardziej niż ja sama.

Wielką pomocą służyli mi także moi rodzice – Barbara i Jerzy Chodaccy. Dzięki za Wasz entuzjizm i wsparcie, jakie mi dajecie!

Historia braci Koszyckich jest luźno inspirowana dziejami mojego dziadka Zdzisława Chodackiego oraz jego brata Emila Chodackiego. Dziadek walczył w szeregach Armii Krajowej, przyjmując pseudonim „Migdał”. Dowodząc drużyną saperów, powstrzymał na dłuższy czas napór Niemców w bitwie pod Kałużówką w 1944 roku w ramach akcji „Burza”. Emil z kolei wędrował razem z armią Andersa, a potem w Wielkiej Brytanii walczył w Polskich Siłach Powietrznych w Dywizjonie 307 „Lwowskich Puchaczy”. Za pomoc w zgłębianiu rodzinnej historii dziękuję mojemu wujkowi Andrzejowi Przemyskiemu.

Wdzięczna jestem moim przyjaciółkom: Natalii Kamieńskiej, Julii Łapińskiej i Dorocie Dziedzic-Chojnackiej za nieustające wsparcie i doping.

Podziękowania za życzliwe przyjęcie mojej pierwszej książki,

*Tajemniczej śmierci Marianny Biel*, a tym samym danie mi zastrzyku energii do dalszych działań, kieruję do pana Irka Grina, a także Marty Mizuro, Roberta Ostaszewskiego i Alka Rogozińskiego.

Podobno nie powinno się oceniać książki po okładce, ale moją jak najbardziej można, a to dzięki świetnej robocie graficzki Ilony Gostyńskiej-Rymkiewicz. Kłaniam się nisko!

Za pomoc w promowaniu moich powieści dziękuję pięknie Krzysztofowi Knasowi z magazynu „Chorzów Miasto Kultury”, Annie Ładuniuk i Marii Olesze-Lisieckiej z „Dziennika Zachodniego”, zespołowi redakcyjnemu portalu Książka Zamiast Kwiatka w składzie: Grażyna Strumiłowska, Małgorzata Kursa, Anna Klejzerowicz, Iga Reguła oraz Chris Babental, Magdzie Kuydowicz ze Zwierciadła.pl, Aleksandrze Czapli-Oslislo z Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Ewie Dąbrowskiej z Portalu Kryminalnego, Monice Badowskiej z MBP w Katowicach, pracownikom księgarni Bookszpan w Katowicach.

Dziękuję Wydawnictwu Dolnośląskiemu, że dało szansę zaistnieć Guciovi i spółce na kartach powieści, a w szczególności Natalii Twardy, Annie Jackowskiej i Annie Heine.

Za ciepłe przyjęcie moich książek, poświęcony czas i dobre słowo podziękowania należą się recenzentom, których wymienię tu alfabetycznie: Joanna Aftanas (PrzeCzytajka), Anna Czupioł (Literackie Przeszpiegi), Agnieszka Kolano (Dowolnik), Dominika Matuła (Domi czyta), Paulina Molicka (Recenzje Dropsa Książkowego), Tomasz Radochoński (Nowalijki), Maria Skibińska (Chiara76), Karolina Sosnowska (Tanayah Czyta), Ewa Suchoń, Anna Sznajder, Anna Szterleja (Un café con libros).

Moim ulubionym Bibliotekarzom z Legionowa: Annie Bęczkowskiej, Karolinie Sidowskiej-Ptasiewicz i Tomaszowi Talarskiemu za wspólne kryminalne akcje, długie Polaków rozmowy i wsparcie.

Podziękowania kieruję też do wszystkich tych, dzięki którym podczas

mojego pobytu na Zielonej Wyspie poczułam się jak w domu.

Nieustannie kłaniam się pracownikom Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt w Chorzowie, skąd pochodzi Gucio, i weterynarzom ze Śląskiego Centrum Weterynarii w Chorzowie – a w szczególności panu doktorowi Mariuszowi Stefankowi – którzy opiekują się moim czworonożnym przyjacielem.

Przede wszystkim jednak dziękuję Tobie, Czytelniku, że sięgnąłeś po *Zbrodnię nad urwiskiem* i pozwoliłeś się wciągnąć w ten wir przygód.

# Przypisy

[1] Mottami rozdziałów są irlandzkie bądź gaelickie przysłowia.

[2] *Pieśń wdzięczności* żołnierzy armii Andersa przytoczona w książce Normana Daviesa *Szlak Nadziei. Armia Andersa. Marsz przez trzy kontynenty*, Wydawnictwo Rosikon Press, 2015.

*kryminał pod psem*



Irlandzka wyspa Inishmore to dla Szymona Solańskiego miła odmiana od chorzowskich podwórek. Prywatny detektyw poszukuje tam zaginionej Katarzyny Walasek, a także wytchnienia od sercowych rozterek. Polka nie odnajduje się, za to jej ciało – owszem. Śledztwa nie ułatwiają ekscentryczni mieszkańcy Kelly's Bed&Breakfast, gdzie pracowała Walasek, ani sztorm, który odcina wyspę od świata. A na dodatek lokalnego policjanta bardziej niż dochodzenie interesuje picie whiskey.

Czy Solański z wiernym kundelkiem Guciem u boku rozwikła zagadkę śmierci dziewczyny? I jaką rolę w sprawie odegra Róża Kwiatkowska, dawna przyjaciółka Szymona?

*Jest śmiesznie, ale i niebezpiecznie, a największe zagrożenie tkwi w tym, że nie oderwiecie się od lektury ani na moment, chyba że zrywając boki.*

**Przemysław Garczyński**

[3telnik.pl](http://3telnik.pl)

### KRYMINAŁY POD PSEM

- ◆ *Tajemnicza śmierć Marianny Biel*
- ◆ *Zbrodnia nad urwiskiem*

Patronat medialny:



 [lubimyczytać.pl](http://lubimyczytać.pl)



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5756-0

EAN 9788327157560

U.WD.KRW077.1.01.01